

JAKUB

SZAMIAŁEK

STACJA

Wydawnictwo
ab
two

Jakub Szamałek

Stacja



Copyright © by Jakub Szamałek MMXXIII

Wydanie I

Warszawa MMXXIII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Copyright

Dedykacja

Motto

= 1 =

= 2 =

= 3 =

= 4 =

= 5 =

= 6 =

= 7 =

= 8 =

= 9 =

= 10 =

= 11 =

Posłowie

Podziękowania

Bibliografia

Strona redakcyjna

Matyldzie, jedynej w całym wszechświecie

Kiedy zamknie się dwóch mężczyzn w kabinie o wymiarach pięć i pół na sześć metrów i zostawi ich tam na dwa miesiące, zapewnione są wszystkie warunki konieczne dla morderstwa.

– Walerij Riumin, ekspedycja Sojuz 35/37, 1980

O astronautach mówi się tylko wówczas, gdy zapcha się toaleta na stacji kosmicznej.

– sir Martin Rees, astronom królewski Wielkiej Brytanii, 2020

Grudzień 2021

Protokół przesłuchań

LAMAR: Czy będzie potrzebne Pismo Święte?

HUNT: Nie, dziękuję.

LAMAR: Proszę unieść prawą rękę. Czy przysięga pan mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę?

HUNT: Przysięgam.

LAMAR: Rozumiem, że posiada pan informacje istotne dla tej komisji?

HUNT: Zgadza się.

LAMAR: Proszę złożyć zeznanie.

HUNT: Od czego mam zacząć? Od dnia wypadku?

LAMAR: Nie. Od początku.

Czerwiec 2021

Nate Hunt czekał na żonę. Lucy się spóźniała.

– Tato, nudzę się – jęknęła Eliza, ich córka. Nate trzymał ją na kolanach. Włosy dziecka naelektryzowały się od pocierania o sweter, łaskotały Nate'a w nos.

– Tak, wiem – westchnął. – Mówiłaś już.

Nate również się nudził. Te wszystkie ceremonie, wycieczki i konferencje prasowe zdawały się nie mieć końca. Jednocześnie był też przerażony. Mogłoby się wydawać, że te dwa stany emocjonalne wzajemnie się wykluczają, ale wcale tak nie było. Przeżywał to już ostatnim razem, osiem lat temu. Tylko że wtedy był tu sam. Nie musiał ćwiczyć w myślach, co powie dziecku, jeśli coś pójdzie nie tak. Wciąż nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Możliwe, że po prostu takie nie istniały.

– Kiedy przyjdzie mama? – spytała dziewczynka.

– Niedługo – odpowiedział.

– Ale za ile dokładnie?

– Nie wiem, kochanie.

– *Ty chcesz konfietu, riebionka?* – Kobieta z krzesła obok zaszeleściła torebką z landrynkami i uśmiechnęła się zachęcająco. Ale Eliza nie była w nastroju na rozmowy z nieznajomymi. Odwróciła się od kobiety i wtuliła w ojca.

– *Prastitie, ona sonnaja.* – Nate uśmiechnął się przepaszająco. Rosyjskiego nauczył się niejako przez przypadek. Tyle razy odpytywał Lucy przed jej egzaminami, że zapamiętał to i owo. Jego ulubione słowo: *poczemuczka*, czyli ktoś, kto zadaje za dużo pytań, pasowało jak ulał do Elizy.

Kobieta pokiwała ze zrozumieniem głową; pewnie też wstała dziś przed świtem. Ciekawe, który raz to robi, pomyślał Nate. Trzeci, czwarty? Nie było po niej widać nerwów, wręcz przeciwnie, z jej ust nie zniknął szeroki uśmiech. Może dlatego, że w torebce oprócz cukierków miała również opakowanie leków uspokajających.

– Zagrajmy chociaż w jakąś grę – poprosiła Eliza.

– Pewnie – zgodził się Nate. – Może w „zgadnij, co widzę”?

– Dobra. Ty pierwszy.

Nate rozejrzał się po pokoju. Przypominał salę lekcyjną albo poczekalnię u dentysty: ostre światło jarzeniówek, beżowe ściany ozdobione wyblakłymi plakatami, rzędy plastikowych krzeseł, rachityczne rośliny na parapecie. Tyle tylko, że przez środek pomieszczenia biegła gruba pleksiglasowa szyba. Po jej drugiej stronie stał długi stół, a na nim trzy mikrofony, każdy podpisany: cyrylicą na górze, alfabetem łacińskim pod spodem. *Anton Kowalow. Lew Zajcew. Lucy Poplaski.*

– Widzę coś na „m” – szepnął Nate.

– Mapa? – spytała Eliza.

– Nie.

– Mebel?

Pokręcił głową.

– Mikrofon?

– Tak. Twoja kolej.

Dziewczynka zaczęła się wiercić, zupełnie nie zważając na to, że wbija ojcu w brzuch to łokieć, to kolano. Zebrani w pomieszczeniu ludzie – członkowie innych rodzin, oficjele, dziennikarze – machali do niej i posyłali uśmiechy. Ale Eliza kompletnie ich ignorowała, była skupiona na grze. Wszelkiego rodzaju współzawodnictwo traktowała niezwykle poważnie. Kiedy na jakiejś szkolnej imprezie zajęła drugie miejsce w konkursie w skokach w worku, płakała przez resztę dnia. „Eliza jest bardzo ambitną dziewczynką”, powiedziała im wówczas na pożegnanie nauczycielka; jej ton wskazywał, że może nawet zbyt ambitną. „To po mamie”, odparł Nate bez chwili zastanowienia.

– Widzę coś na „r” – powiedziała.

– Ramka?

– Nie.

– Hmm... – Nate potarł brodę. – Roślina?

– Nie.

– Rura?

– Też nie. – Dziewczynka pokręciła przecząco głową. Z wyraźną satysfakcją.

– W takim razie się poddaję.

– Rakiet! – zatriumfowała Eliza.

Nate wyrzął za okno. Wznosiła się ku niebu wśród bezkresu spalonej słońcem trawy – otoczona nimbem mlecznobiałej pary, przezierała zza azuru rusztowań. Nie pasowała do tego krajobrazu: do wyblakłych stepów Kazachstanu, do rozpadających się, odrapanych budynków, do wycia bezdomnych psów. Wyglądała jak pozostałość po jakiejś wymarłej obcej

cywilizacji. Poniekąd tak właśnie było: kosmodrom w Bajkonurze został wszak wybudowany przez Związek Radziecki. Za umiejscowieniem go właśnie tutaj przemawiały dwa czynniki: po pierwsze, szerokość geograficzna ułatwiała wspięcie się na pożądaną orbitę. Po drugie, gdyby coś poszło nie tak – na przykład gdyby rakietę wybuchła tuż po starcie – ryzyko, że płonące kawałki blachy spadną komuś na głowę, było relatywnie niewielkie. Wokół, jak okiem sięgnąć, była tylko trawa.

Nate widział taką eksplozję. Miał wtedy sześć lat, był w odwiedzinach u rodziny na Florydzie i akurat tak się złożyło, że zbliżał się wielokrotnie przekładany lot wahadłowca Challenger. Rodzice zabrali chłopca do Kennedy Space Centre, żeby zobaczył start na własne oczy, zwłaszcza że wśród załogi była Christa McAuliffe, zwykła nauczycielka, która miała poprowadzić lekcję z kosmosu. Pamiętał to pamięcią dziecka, jak gdyby miał wtedy ze sobą aparat i robił przypadkowe zdjęcia: źle wykadrowane, nieostre, prześwieczone emocjami. Dostał papierową czapkę z daszkiem z logo NASA, która opadała mu na oczy, w związku z czym było mu bardzo smutno. Zajęli miejsca na trybunie tuż za mężczyzną w kowbojskim kapeluszu. Wszystko mu zasłaniał, więc mały Nate był już w ogóle obrażony na cały świat. Ojciec wziął go na barana, żeby lepiej widział, ignorując protesty ludzi z rzędu za nimi. Potem były oślepiający błysk i huk, gorące powietrze we włosach, wibracje rozchodzące się po całym ciele, aż dzwoniły zęby, aż mrowiła skóra. Rakietę pięła się w górę, zagłuszając wiwaty, rzygając ogniem, coraz szybciej i szybciej, aż zmieniła się w mały punkcik na niebie. A potem ten punkcik rozbłysnął i zmienił się w kilka mniejszych punkcików. Niektóre z nich zaczęły opadać, a inne kreśliły w powietrzu fantazyjne esy-floresy. Nate przez ułamek sekundy myślał, że tak miało właśnie być, że to takie kosmiczne fajerwerki, jak na czwartego lipca, i bardzo się ucieszył. Radość nie trwała długo, a to, co nastąpiło później – szlochy, krzyki, chaos – śniło mu się jeszcze potem

przez lata. Mimo to sam też związał swoje życie z kosmosem. Bezkręś fascynował, przerażał, wciągał.

Przez salę przeszedł szmer, zaterkotały zwalniane raz za razem migawki aparatów. Wreszcie, odetchnął Nate. Po drugiej stronie szyby otworzyły się drzwi i do pomieszczenia weszła załoga sojuza – Lew, Anton i Lucy. To w stronę jego żony skierowane były obiektywy. Po pierwsze dlatego, że niewątpliwie była bardziej fotogeniczna niż Rosjanie. Ciemne kręcone włosy spięte w kucyk, szeroki uśmiech, zadarty piegowaty nos – wyglądała jak sympatyczna dziewczyna z sąsiedztwa, ktoś, z kim można zaprzyjaźnić się w pięć minut. Po drugie, była jedną z ostatnich Amerykanek, które polecą w kosmos z Kazachstanu. Po kilkunastu latach przerwy Stany miały wreszcie znowu własny środek transportu na orbitę: kapsuły Dragon, zgodnie z najlepszą amerykańską tradycją wybudowane przez ekscentrycznego miliardera. Pierwsze loty były udane, NASA negocjowała już nowy, większy kontrakt, który miał całkowicie uniezależnić Amerykanów od rosyjskiej pomocy. Zegar tykał.

– *Uważajemyje kollegi, dorogije gosti...* – rozpoczął dyrektor Roskosmosu Jurij Rybkin, siwy, postawny mężczyzna w kremowej marynarce.

– Co ten pan mówi? – spytała Eliza.

– Nic ciekawego.

– Ale co?

– Że zbliża się koniec pięknego rozdziału w historii przyjaźni między naszymi narodami, ale rozpoczyna się nowy.

– Co to znaczy?

Że wkrótce Rosjanie nie będą już mogli inkasować dziewięćdziesięciu milionów dolarów za miejsce w sojuszu, pomyślał Nate. Że bez tych regularnych zastrzyków gotówki Roskosmos stanie na krawędzi bankructwa. Że za deklaracjami o gotowości do dalszej współpracy kryją się zawiść, pretensje i żal.

– Że będziemy latać w kosmos razem, ale osobno – powiedział zamiast tego.

Rosyjski oficjel zakończył mowę, a mikrofon przejął przedstawiciel NASA, wicedyrektor do spraw lotów załogowych Steve Ayers – krępy, łysiejący mężczyzna w okularach o grubych szklach. Kolejne górnolotne frazesy, życzenia pomyslniej misji, agencyjna nowomowa. Wreszcie nadszedł czas na pożegnania z rodziną: wymuszona intymność przed kamerami, wśród obcych, przez pleksiglas. Nate usiadł wraz z córką naprzeciwko Lucy. Chciał jej powiedzieć mnóstwo rzeczy. Że jest cholernie dumny. Że będzie tęsknić. Że się cieszy. Że się o nią boi. Ale nie mógł się przemóc, nie w tym tłumie.

– Hej. – To ona odezwała się pierwsza. – Jak wasz poranek?

A więc banały, puste słowa. Ale puste słowa można przecież czymś wypełnić, może w nich brzmieć coś zupełnie niepowiązanego z ich właściwym znaczeniem. Tembr głosu, pauza, spojrzenie, w ten sposób mówili sobie to wszystko, czego powiedzieć się nie dało, czego nie potrafiliby nawet nazwać, wbrew semantyce.

– W porządku – odparł Nate. – Prawda, Eliza? W porządku?

– Kiedy wrócisz? – spytała dziewczynka. Pytanie było jednocześnie oskarżeniem.

– Przecież wiesz. Za sześć miesięcy.

– Nie będzie cię na moich urodzinach.

– Będę, kochanie – odparła Lucy ze smutnym uśmiechem. – Nawet więcej niż raz.

– Co?

– Pamiętasz? Stacja okrąży Ziemię raz na pięćdziesiąt minut. Jeśli twoje przyjęcie będzie trwało trzy godziny, to w tym czasie przelecę nad domem dwa razy. I będę wtedy myślała o tobie. Okej?

– To nie jest to samo.

Lucy przyłożyła dłoń do szyby. Namiastka prawdziwego kontaktu, wymóg kwarantanny.

– Wiem, kochanie.

– To dlaczego tam lecisz?

Lucy nie zdążyła odpowiedzieć. Czas pożegnań dobiegł końca. Następnym razem mieli zobaczyć się za pół roku. Zakładając, że wszystko pójdzie dobrze.

Zdobiona złotymi nićmi szata prawosławnego księdza zaskrzyła w świetle fleszy. Kropidło zatoczyło w powietrzu szeroki łuk, święcona woda spłynęła po policzkach Lucy niczym łzy. Kolejna tradycja, kolejny przesąd. Każdy etap przygotowania do lotu – a było ich wiele – łączył się u Rosjan z jakimś rytuałem, a po każdej misji dochodził kolejny; więcej folkloru niż na wiejskim weselu. Każdy uczestnik lotu musi złożyć kwiaty pod pomnikiem Jurija Gagarina. Wciągnąć flagę swojego kraju na maszt. Zasadzić drzewko w alei Kosmonautów. Podpisać się na drzwiach hotelu w Bajkonurze. W przeddzień lotu obejrzeć film *Białe słońce pustyni*, hit radzieckiego kina z lat siedemdziesiątych. Do tego, rzecz jasna, dochodziło jeszcze obowiązkowe błogosławieństwo duchownego, niezależnie od osobistych preferencji czy wyznania, i to nie raz, ale dwa razy. Jak gdyby Rosjanie wierzyli, że powodzenie lotu nie zależy wcale od praw natury czy równań matematycznych, tylko od woli kapryśnych niebios, które trzeba było obłaskawić trwającymi całe tygodnie ceremoniami.

Lucy wsiadła do autobusu, który miał zawieźć załogę na płytę wyrzutni. Była już ubrana w skafander Sokół: szyty na miarę, wyposażony w dziesiątki sznurowań, guzików i zatrząsków, istny kosmiczny gorset. Zakładanie go trwało blisko dwie godziny i wymagało asysty kilku techników, a jako że był w pełni hermetyczny, każdy załogant został

dodatkowo wyposażony w przenośny wentylator – małą niebieską walizeczkę – żeby żywcem się nie ugotować.

Kiedy autobus ruszył, kiedy wreszcie, chociaż na chwilę, Lucy znalazła się poza zasięgiem kamer i mikrofonów, oparła czoło o szybę i zamknęła oczy. Wstała o czwartej rano, dochodziła osiemnasta, a przed nią jeszcze trzy godziny lotu na Międzynarodową Stację Kosmiczną w kapsule wielkości windy – trzeba było więc korzystać z każdej okazji do odpoczynku, Rosjanie zresztą już spali.

Ona jednak nie mogła usnąć. Wracała wciąż myślami do pytania Elizy. Dlaczego? Po co? Oczywiście, odpowiadała na nie już tysiące razy: najpierw w trakcie niekończących się rozmów kwalifikacyjnych, potem w ramach wywiadów, wystąpień publicznych i w sytuacjach prywatnych. Ale wtedy mówiła to, czego od niej oczekiwano, co powiedzieć powinna, co od dziesięcioleci powtarzali inni astronauty: że w ten sposób przysłuży się nauce, że eksploracja kosmosu to najważniejsza misja ludzkości, że chce być inspiracją dla małych dziewczynek na całym świecie i tak dalej, i tym podobne. Tyle że to były kłamstwa. Jeśliby ktoś podał jej serum prawdy – gdyby coś takiego istniało – jej odpowiedź byłaby mniej wzniosła. Czemu? Bo nic nie daje takiego kopa, takiej frajdy jak lot z prędkością trzynastu tysięcy kilometrów na godzinę. Bo to niesamowita przygoda. Bo inni nie mogli, a ja tak. Bo to potwierdzenie, że jestem najlepsza.

To wszystko sprawiało, że pretensja w głosie córki, jej wyrzut bolały jeszcze bardziej. Nie chodziło przecież o urodziny. Lucy prawie nigdy nie było w domu. Ostatnie cztery lata spędziła na walizkach, latając między Waszyngtonem, Houston, Tuluzą, Moskwą i Kolonią – niekończące się treningi, kursy, przygotowania, egzaminy. Każda godzina, ba, każda minuta misji musiała być zaplanowana i wielokrotnie przećwiczona przynajmniej rok do przodu. Lucy musiała znać na pamięć każdą procedurę bezpieczeństwa, wykuć na blachę wszystkie instrukcje i diagramy techniczne, znać nazwę każdej śrubki, przełącznika, kabelka, i to zarówno

po angielsku, jak i po rosyjsku. Gdyby faktycznie robiła to wszystko dla dobra ludzkości, może potrafiłaby to przed sobą usprawiedliwić, uciszyć wyrzuty sumienia. Ale tak nie było. Zastanawiała się, czy jej koledzy też mieli takie myśli, też opłakiwali przegapione pierwsze kroki i słowa, czy to była tylko dola kobiet: czuć wyrzuty sumienia z powodu własnej ambicji.

Gryzło ją jeszcze coś innego. Poprzedniego dnia odbyła spotkanie z wicedyrektorem Ayersem. Nie było zaplanowane, nie figurowało w żadnym grafiku, a słów, które padły, próżno byłoby szukać w relacjach prasowych. Narastające napięcia. Konflikt na najwyższych szczeblach. Obawa przed eskalacją. Trudno było uwierzyć, że coś takiego może się wydarzyć w dwudziestym pierwszym wieku, i to w przesiąkniętej krwią Europie. Ale dyrektor Ayers mówił całkowicie poważnie. Na horyzoncie zbierały się chmury.

Międzynarodowa Stacja Kosmiczna była dzieckiem optymizmu lat dziewięćdziesiątych. Rosjanie i Amerykanie, wyzwoleni z logiki zimnej wojny, nie musieli dłużej ścigać się wśród gwiazd, połączyli więc siły dla dobra ludzkości. Wspólnym wysiłkiem, przy udziale Europy i Japonii, skonstruowali latające wokół Ziemi laboratorium – za, bagatela, sto dwadzieścia miliardów dolarów. Symbol nowych czasów, wspólnych marzeń, końca historii. Oczywiście za górnolotnymi hasłami skrywały się pragmatyczne kalkulacje. Amerykanie pragnęli dostępu do radzieckiej technologii, Rosjanie zaś potrzebowali pieniędzy, żeby utrzymać swój program kosmiczny przy życiu pośród chaosu pierestrojki, a nikt poza Amerykanami nie był w stanie wówczas wyłożyć niezbędnych do tego sum. Każdy dostał, czego chciał, i wszyscy byli zadowoleni.

Ale dziś, ponad dwadzieścia lat później, rachunek przestał się zgadzać. Po pierwsze, pod względem technicznym Roskosmos nie miał już Amerykanom nic do zaoferowania: wciąż opierał się na radzieckich rozwiązaniach z lat sześćdziesiątych. Po drugie, wyłoniła się nowa superpotęga, Chiny, które gotowe były łożyć pieniądze na rosyjską agencję,

i to bez uciążliwych pytań o prawa człowieka, demokrację czy wolność prasy. Innymi słowy, małżeństwo zawarte z rozsądku zaczęło się sypać, ale kosmiczny dom wciąż jeszcze trzeba było dzielić.

Autobus zatrzymał się w szczerym polu, kilka kilometrów od rakiety; cykanie świerszczy niosło się po stepie. No tak, czas na ostatnią tradycję. Wstała, Anton przepuścił ją w przejściu, wykonując przy tym przesadnie szarmancki gest. Barczysty, z kwadratową szczęką i krótkimi blond włosami, był nawet przystojny. Efekt psuły tylko pożółkłe od papierosów zęby. Służyli razem na stacji, kiedy leciała tam po raz pierwszy, osiem lat temu. Dobrze się znali. Dlatego właśnie go unikała.

– Panie na lewo, panowie na prawo – zarządził Anton, kiedy stanęli na rozgrzanym asfalcie. Krok za nim szedł Lew: niższy o głowę, zamknięty w sobie, wąsy równie krzaczaste co brwi. Lucy poznała go przy okazji wspólnych treningów – i polubiła. Był człowiekiem starej daty, szczerym i oddanym sprawie. Głęboko wierzył, że przepaść między Wschodem i Zachodem da się zasypać, albo chociaż że z perspektywy orbity ten podział przestaje mieć sens. Był uosobieniem radzieckiego ideału: ciężko pracujący, racjonalny, przekonany, że przyszłość może być lepsza od przeszłości. To była jego ostatnia misja, pożegnanie z kosmosem. Wyglądał, jakby już teraz napawało go to smutkiem.

Chwilę później szczęknęły zwalniane zatraski, zasyczały suwaki. Kombinezony Sokoł, ledwo godzinę temu starannie zapinane przez mrowie techników w lateksowych rękawiczkach, bawełnianych czepkach i foliowych ochraniaczach na butach, na oczach rodzin i dziennikarzy, zostały rozhermetyzowane. Oczywiście, wszyscy, łącznie z rzeczonymi technikami, wiedzieli, że właśnie tak będzie. Bo 12 kwietnia 1961 roku, dokładnie w tym samym miejscu, Jurij Gagarin poprosił kierowcę, żeby zatrzymał autobus. Człowiek, który lada moment jako pierwszy miał rzucić okowy grawitacji, musiał najpierw uporać się z najbardziej przyziemną z potrzeb: chciało mu się sikać. A jako że potem poleciał

i wrócił w jednym kawałku, od tej pory taki sam przystanek robili sobie wszyscy kolejni kosmonauci – na wszelki wypadek. Jak to zwykle bywa, mężczyźni mieli łatwiej. Kobiety, aby zadośćuczynić wymogom tradycji, przywoziły oddany uprzednio mocz w plastikowej buteleczce. Lucy wylała jej zawartość na tylną oponę, a ostatnie krople strząsnęła energicznym ruchem nadgarstka, który podpatrzyła u błogosławiącego ich wcześniej księdza.

Z głośników ryknął oficjalny hymn kosmonautów, *Trawa u doma*, który zwiastował, że załoga jest już w rakiecie, a od startu dzielą ich niecałe dwie godziny. Steve Ayers zastanawiał się, ile razy już słyszał ten rzewny kawałek, który to raz stał na tarasie widokowym kosmodromu w Bajkonurze. Dwudziesty? Dwudziesty piąty? Nie miał zielonego pojęcia. Żegnał tu już tyle misji, że zlewały mu się jedna z drugą; jego paszport wypełniony był pieczętkami kazachskiej służby celnej. Ale ten moment, ta ostatnia prosta, wciąż podnosił adrenalinę. Za chwilę wyślą ludzi w kosmos. Do tego nie sposób było się przyzwyczaić, to nie przestawało dziwić. Jeszcze kilka zdjęć, przemówień, telekonferencja z centrum kontroli lotów w Moskwie i oficjele wyszli na taras widokowy. Dochodziła ósma wieczorem.

– Coś się kończy, coś się zaczyna. – Dyrektor Rybkin oparł się o balustradę. Złożona na cztery ulotka z programem dnia wystawała mu z tylnej kieszeni spodni. Rybkin wywodził się z wojska i było widać, że nie służył za biurkiem. Zdradzały to jego oczy: czujne, skupione, wiecznie w ruchu, wyćwiczone do wypatrywania wrogów, wyszukiwania pułapek. Ten nawyk mógł mu się jeszcze przydać. Jego poprzednik został odwołany niecały rok wcześniej w atmosferze skandalu, pośród oskarżeń o korupcję, za którą groził mu długi pobyt w łagrze. Nikt się nie zastanawiał, czy był

winy czy nie, wystarczyło spojrzeć na biżuterię jego dużo młodszej żony, żeby wyrobić sobie zdanie na ten temat. Bardziej zastanawiało, czemu prokuratura zwróciła na niego uwagę właśnie teraz. Innymi słowy: czym rozczarował swoich mocodawców? Jakich oczekiwań nie spełnił? Co w międzyczasie zmieniło się za grubymi murami Kremla?

– Wcale nie musi się kończyć – odparł Ayers. Rozmawiali po angielsku, tak było wygodniej.

– Ach, czyli jednak chcecie kupić miejsce na kolejny lot?

– Jeśli zejście z ceną niższą niż konkurencja...

– Racja... Wolny rynek. – Rybkin się skrzywił. – Niestety, nie wydaje mi się, żeby to było możliwe.

– Są inne projekty.

– Na przykład?

Ayers uniósł wymownie wzrok ku niebu. Słońce już zaszło, zza chmur przezierał Księżyc. Ostatni raz człowiek stanął na jego powierzchni ponad pięćdziesiąt lat temu. Planów, żeby wrócić, było wiele, ale brakowało entuzjazmu, pieniędzy – i dobrego powodu. W trakcie swojej długiej kariery w NASA Ayers był wielokrotnie świadkiem, jak projekty powrotu na Srebrny Glob wędrowały do niszczarki. Kiedy już powoli tracił nadzieję, że cokolwiek z tego wyniknie, że jeszcze za jego życia ludzie znów polecą poza ziemską orbitę, sytuacja całkowicie się zmieniła. SpaceX – prywatna firma, start-up, który jeszcze kilkanaście lat temu wyśmiewali weterani branży – pokazał, że można latać taniej, częściej i dalej, niż ktokolwiek śmiał marzyć. Co więcej, postępy w rozwoju fuzji jądrowej sprawiły, że snute od lat marzenia o tym, by wykorzystać nieprzebrane pokłady księżycowego helu-3 jako rewolucyjne nowe paliwo, miały szansę stać się rzeczywistością. Ameryka patrzyła w nocne niebo z rosnącym zainteresowaniem. I nie tylko ona.

– Znajdziemy innego partnera. – Rybkin odsunął się od balustrady, złożył ręce za plecami.

- Chiny?
- Ma pan coś przeciwko?
- Chiny nie będą dla was partnerem.
- A wy byliście?

Ayers nie odpowiedział od razu. Czuł, że od tej pory powinien ważyć każde słowo.

- Chciałbym tak myśleć – odparł.

Rosjanin odwrócił wzrok w stronę rakiety. Skąpana w świetle reflektorów, pośród nocnej czerni stepów wyglądała jak monumentalny pomnik wzniesiony ku czci – czego? Ludzkiej ciekawości? Potęgi? Arogancji?

– Wie pan, ile płacimy Kazachstanowi za używanie Bajkonuru? – spytał Rybkin po chwili.

- Dane są dostępne publicznie.
- Niech pan powie na głos. Przypomnijmy sobie.
- Sto piętnaście milionów rocznie.
- Ale sto piętnaście milionów czego? Rubli może?
- Nie. Dolarów.

– Dolarów, właśnie. – Rosjanin pokiwał głową. – To dużo pieniędzy czy mało?

- Dla mnie? Dużo.

– Prawda? A ile pieniędzy wyłożył Kazachstan na budowę tego kosmodromu, którego nam teraz łaskawie użycza? Czy te dane również są dostępne publicznie, panie Ayers?

- Pan mnie próbuje wciągnąć w rozmowę o polityce. A ja...
- Proszę po prostu powiedzieć: ile?

Ayers spojrział Rybkinowi w oczy. Próbował zrozumieć, dokąd ten zmierza, co chce osiągnąć. Czy chodzi tu tylko o stare żale, czy o coś więcej.

– Kazachstan był wówczas częścią Związku Radzieckiego – odparł dyplomatycznie Amerykanin.

– Ach, no właśnie. A co się takiego stało, że Związek Radziecki się rozpadł?

– Nie wydaje mi się, żeby to było istotne dla naszej rozmowy.

– To jest istotne dla każdej rozmowy.

– Powiedzmy, że są różne opinie.

– Tak, bardzo różne – zgodził się Rybkin. – Moja jest taka, że pomógł nam w tym nasz partner. Ten sam, który teraz zabrał mi połowę budżetu.

– Prywatne firmy są po prostu tańsze. To nie nasza wina.

– Ach, jakbym się cofnął do lat pięćdziesiątych – prychnął Rosjanin.

– Może opowie mi pan jeszcze o niewidzialnej ręce rynku?

Oho, pomyślał Ayers, pora zmienić temat.

– Odnoszę wrażenie, że nasza rozmowa nie zmierza w konstruktywnym kierunku – powiedział z serdecznym uśmiechem, jaki potrafi przylepić do twarzy tylko Amerykanin.

– Tak? – Rybkin nie odpuszczał. – Bo moim zdaniem wyłaniają się z niej bardzo konkretne wnioski.

– *Zażyganije... Priedwaritielnaja...* – zatrzeszczało w głośnikach. Rusztowania odchyliły się od rakiety, odrzucono kable startowe; wyglądało to, jakby kwiat rozchyłał płatki. – *Dziesiat'! Dziewiat'! Wosiem'!*

– Jakie, jeśli można spytać? – chciał wiedzieć Amerykanin.

– *Siem'! Szest'! Piat'!*

– Że to wszystko – Rybkin wskazał najpierw siebie, a potem Ayersa – był błąd.

Ich twarze zalało światło płomieni.

Tuż nad głową Lucy dyndał pluszowy piesek. Miał czarny nos, różową sierść i wielkie oczy. Ważył równo dwadzieścia trzy gramy i był ważnym elementem wyposażenia sojuza. Przypominał jej pamiątkę, którą Nate przywiózł kiedyś z konferencji w Edynburgu. Był to oprawiony w ramkę kamień opatrzony napisem „szkocka stacja meteorologiczna”. Jeśli kamień jest ciepły – świeci słońce. Jeśli mokry – pada. Jeśli go nie widać – mgła. Dla pieska instrukcja obsługi wyglądałaby następująco. Jeśli piesek się nie rusza – jeszcze nie wystartowaliście. Jeśli zaczyna drgać – włączono silniki. Jeśli podskakuje – oderwaliście się od ziemi. Jeśli unosi się w powietrzu – dotarliście na orbitę. Jeśli płonie – coś poszło bardzo nie tak.

Pluszak zaczął się trząść. Podobnie jak jej ręce, nogi, żołądek, język, oczy, mózg – wibracje rozchodziły się po całej kapsule. Lucy siedziała, a właściwie leżała, z lewej strony, skulona i z kolanami dociśniętymi pod samą brodę, wepchnięta we wnękę zrobioną na podstawie gipsowego odlewu jej ciała; żeby wytrzymać kilka godzin w tej pozycji, wszyscy prewencyjnie łykali końską dawkę leków przeciwbólowych. W ciasnym wnętrzu kabiny sojuza trzeba było wykorzystać każdy centymetr sześcienny, dlatego nad jej głową, schronioną w bańce pleksiglasu, pęczniały wypchane po brzegi luki bagażowe. Za ich spakowanie odpowiadał dowódca kapsuły, Anton. Gdyby ciężar rozłożony był nierównomiernie, gdyby z jednej strony było choćby pół kilograma więcej niż z drugiej, pojazd zbczyłby z kursu. A to, kiedy podróżuje się po bezkresie kosmosu, nigdy nie było dobrą wiadomością.

– Odczyty z raket nośnych nominalne – rozległ się głos w słuchawkach.

Lucy czuła, jak ogromna siła wgniata ją w fotel, wyciska powietrze z płuc. Płonęło pod nią czterdzieści tysięcy kilogramów paliwa raketowego. Spojrzała na ekran: przeciążenie wynosiło dwa g, dwa i pół, trzy, trzy i pół... Chciało jej się śmiać, płakać, krzyczeć z radości – wreszcie, po ośmiu latach czekania, pracy, wyrzeczeń, poświęceń swoich i cudzych, znowu odrywa się od Ziemi. Ale zdusiła to w sobie, równie

sprawnie i beznamiętnie, jakby przerzucała jakąś wajchę na panelu kontrolnym czy wciskała guzik. Ta umiejętność była dla astronautki tak samo ważna jak znajomość mechaniki orbitalnej bądź technik pierwszej pomocy. Lucy była ciągle obserwowana, oceniana i ewaluowana, nawet teraz, w tej chwili, miała przed twarzą kamerę, która transmitowała obraz do centrów kontroli lotów w Houston, Moskwie, Tuluzie i Tsukubie. Wiedziała, że chociaż w tym locie odgrywała właściwie rolę pasażerki (kontrolę nad lotem sprawowali Anton i Lew, a i oni nie mieli na razie zbyt wiele do roboty, bo w większości zadań wyręczał ich komputer pokładowy), musi wyglądać na poważną i skupioną – inaczej znajdzie się na radarze psychologów sprawujących pieczę nad załogą. Śledziła więc odczyty na ekranach, sprawdzała kolejne pozycje na liście kontrolnej.

– Separacja pierwszego stopnia – powiedział Anton.

Poczuła, jakby nagle ktoś zdjął nogę z pedału gazu. Rakieta odrzuciła ogon, łącznie z pustymi bakami i czterema silnikami, każdy wielkości ciężarówki. Spłoną wkrótce w atmosferze, niczym ofiary złożone grawitacji.

– Separacja modułu ewakuacyjnego.

Huknęło. Odskoczyła iglica skrywająca silniki, które w razie wypadku błyskawicznie oderwałyby kapsułę od reszty rakiety. Najbardziej niebezpieczna faza lotu była już za nimi. Mogli odetchnąć.

– Odrzucenie osłon.

Kapsułę zalało światło. Do tej pory okna były zakryte panelami z blachy. Lucy wyjrzała na zewnątrz. Połowę okna wypełniała bezkresna czerń, pośród której lśniły gwiazdy, niby te same, które oglądała na nocnym niebie, ale jednak inne: bez przesłaniającego całunu atmosfery ich światło było dużo ostrzejsze, wyrazistsze. Czowała się, jakby dobierała szkła u okulistki i wreszcie znalazła te właściwe, które pokazują świat takim, jaki jest naprawdę. Niżej przesuwała się Ziemia. Nad Azją była noc, płonęły światła miast. Tęskniła za tym widokiem. Każdego dnia. Każdej chwili.

– Wciąż robi wrażenie, co? – zagadnął Anton.

– Robi.

– Odrzucenie drugiego stopnia – odczytał komunikat podany przez komputer Lew. Ze strzelistej wieży, która wystartowała z Bajkonuru, została już jedynie kapsuła. – Zapłon trzeciego stopnia... Zainicjowany...

– Widok jak wtedy w Cupoli – ciągnął Anton. W jego głosie pobrzmiwała drwina. Wyzwanie.

– Prędkość trzynaście tysięcy siedemset dwie mile na godzinę – powiedziała Lucy, ignorując zaczepkę.

– Też lecieliśmy wtedy nad Turkmenistanem.

– Rozwinięcie paneli fotowoltaicznych... – Astronautka pstryknęła odpowiedni przełącznik. – Zainicjowane...

– Te światła tam to Aszchabad... A tam Biszkek...

– Uwaga – zabrzmiało w słuchawkach. Kontrolerzy lotu z Moskwy. – Utrata sygnału za trzydzieści sekund. Powrót łączności za mniej więcej dwadzieścia minut. Rozpocznijcie przygotowania do pierwszego manewru delta-v.

– Potwierdzam.

W kabinie zapanowała cisza. Na równo pół minuty. Cierpkich słów, które padły potem, nie odnotowano w oficjalnych protokołach.

Kosmodrom w Bajkonurze zaczął się opróżniać. Zamilkły głośniki, zgasły reflektory oświetlające wyrzutnię. Oficjele wsiedli do czekających na nich limuzyn, dziennikarze składali statywy i chowali aparaty do futerałów. Nate zastanawiał się, jaki będzie popyt na ich materiały, kto to będzie chciał puszczać i – co ważniejsze – oglądać. O ile perspektywa wyprawy na Księżyc czy Marsa rozpałała jeszcze wyobraźnię, o ile ekscytowano się sporami śmigających po orbicie miliarderów, o tyle loty na

Międzynarodową Stację Kosmiczną już spowszedniały. Informacje o startach kolejnych rakiet były rzecz jasna śledzone przez wierne grono entuzjastów, ale nie trafiały już na pierwsze strony gazet – ani nawet drugie czy trzecie.

Trudno się temu zresztą dziwić: ISS była w końcu laboratorium – latającym, ale jednak – a jak tu ekscytować się pipetowaniem, choćby w stanie nieważkości. Biuro prasowe NASA doskonale to rozumiało. Robiło więc, co mogło, by wykrzesać entuzjazm dla stacji: astronauta nagrywali filmiki, na których tłumaczyli, jak działa kosmiczna toaleta (*patrzcie, tymi paskami przypina się stopy, a do tego lejka oddaje się mocz...*), kręcili bączki, wyciskali sok z tubki i łapali uciekające przed nimi krople, istni cyrkowcy mikrograwitacji. W końcu jednak i to się opatrzyło. I tak coś, co jeszcze pół wieku temu było ledwie marzeniem, mrzonką właściwie, już zdążyło wkomponować się w codzienność, wtopić bezszelestnie w tło. Taki już los każdego przełomu, każdej technologii: do wszystkiego jesteśmy w stanie się przyzwyczaić. Może zresztą to klucz do naszego sukcesu, powód, dla którego zwierzę stworzone do życia na trawiastej sawannie, dwunożna małpa, nie oszalało jeszcze w świecie szkła, kabli i ekranów. Albo może raczej: nie oszalało do szczętu.

– Tato, idziemy? – spytała Eliza. Dziewczynka była zmęczona. Na dole czekała taksówka.

– Jeszcze chwila.

Nate uniósł wzrok ku niebu, ku miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą migotały zionące ogniem silniki. Po sojuszu nie było już śladu, rozpląnął się wśród gwiazd, kropka pośród tysięcy kropek. Mężczyzna wziął głęboki oddech – czuł zapach spalin i nagrzanego asfaltu – po czym powoli wypuścił powietrze z płuc. Strach, który zżerał go od tygodni, który wczepiał się w każdą myśl i przesiąkał do każdego snu, wreszcie nieco zelżał. Ale nie zniknął, bo nie zniknął nigdy: był gotowy wrócić przy pierwszej nadarzającej się okazji, przy byle impulsie, niczym pająk, który

poczucie najlżejsze choćby drgnięcie sieci rozpiętej w jego głowie. Tak właśnie to sobie wyobrażał: tysiące srebrnych nitek rozpiętych wewnątrz jego czaszki, a pośród nich błyszczą czarne oczy, które nigdy nie mrugają.

Dlatego Nate cieszył się, że wraca do domu, do codzienności, znajomych tras między domem a szkołą, sklepem a stacją benzynową, parkiem a biblioteką. Potrzebował rutyny, żeby oswoić rzeczywistość, żeby sobie z nią radzić. To chyba najbardziej ich od siebie różniło, jego i Lucy. Ona ciągle łaknęła nowych wrażeń, on ich unikał, nawet jeśli chodziło o coś, wydawałoby się, przyjemnego i prostego. Weekend poza miastem, dajmy na to. Brzmi świetnie, ale co, jeśli nie dopisze pogoda, zabraknie benzyny, złapią gumę, Eliza się rozchoruje albo na miejscu okaże się, że coś nie tak z rezerwacją? Oczywiście, w końcu jechali – bo przecież chciał pojechać, albo przynajmniej wiedział, że powinien chcieć – ale te pytania nie znikwały. Nate opracowywał więc w myślach coraz bardziej złożone, rozgałęziające się niczym delta Amazonki plany awaryjne i podejmował szeroko zakrojone działania prewencyjne. Tankował dzień wcześniej, sprawdzał ciśnienie w oponach i poziom oleju, dwa razy upewniał się, że spakował kurtki przeciwdeszczowe, a pokój hotelowy jest wykupiony na właściwą datę. Nate jechał więc nie na wakacje, tylko coś w rodzaju trzyosobowych manewrów wojskowych, podczas których jako główny sztabowy musiał cały czas sprawdzać mapy, odbierać raporty i identyfikować potencjalne zagrożenia. Co oczywiste, trudno było w takich warunkach o relaks. Podziwiał widoki dopiero po powrocie do domu, na zdjęciach.

Lucy była jego totalnym przeciwieństwem. Zawsze opanowana, zawsze kontrolująca sytuację. Dla niej nowy problem stanowił ciekawe wyzwanie, zagadkę do rozwiązania. Spieszą się na lotnisko i wpadli w korek? Świetnie, trzeba szybko opracować alternatywną trasę. Termin na odesłanie tekstu mija za kilka godzin, a komputer się zawiesił? Doskonała okazja, żeby poszerzyć wiedzę z zakresu informatyki. Nie dało jej się zagiąć, zbić z tropu.

Poznali się czternaście lat temu na Międzynarodowej Konferencji Nauk Planetarnych. On, geofizyk, był wtedy członkiem zespołu pracującego nad sondą, która miała polecieć na Tytana (nie poleciała, zabrakło pieniędzy). Ona, wówczas jeszcze astrofizyczka, prezentowała wyniki analizy spektroskopijnej planet układu Gliese 581 w konstelacji Wagi. Zwrócił na nią uwagę, bo jej plakat, zamiast na rozkładanym stojaku, był rozwieszony na zaimprovizowanej konstrukcji z kija od szczotki, rozprostowanego drucianego wieszaka i nici z hotelowego zestawu do szycia. Okazało się, że linie lotnicze zgubiły jej bagaż, więc musiała skonstruować nowy stojak, korzystając z tego, co akurat miała pod ręką, i to w niecałą godzinę. Chwilę porozmawiali, on zażartował, ona się zaśmiała. Spytał, czy ma jakieś plany na wieczór. Nie miała. Czasami – rzadko, ale jednak – żałował, że nie spytał też, jakie ma plany na następne dziesięć lat. Kto wie, może wtedy nie poszliby na drinki, nie całowali się w hotelowej windzie, nie spędzili nocy w jego pokoju, słowem, nie byłoby tego całego łańcucha przyczynowo-skutkowego, który doprowadził Nate'a tutaj, do kosmodromu w Kazachstanie. Partnerzy astronautek i astronautów mieli ciężko. Partnerzy o jego konstrukcji psychicznej mieli szczególnie ciężko.

– Nate! – Ktoś położył dłoń na jego ramieniu. Wicedyrektor Ayers. Choć widzieli się trzeci raz w życiu, brzmiał, jakby zwracał się do najlepszego przyjaciela. Czuć było, że spędził życie w polityce. Miał reputację gracza równie sprawnego, co bezwzględne. – Będziecie na kolacji pożegnalnej?

– Przepraszam, nie tym razem. Mała musi już iść spać.

– Rozumiem. Gdybyście czegoś potrzebowali...

– Dziękuję, wszystko mamy.

– Doskonale... W takim razie widzimy się tu wszyscy za pół roku?

Jeśli wszystko pójdzie jak trzeba, powiedział głos z tyłu głowy Nate'a. Jeśli kapsuła Lucy nie wejdzie w atmosferę pod zbyt ostrym kątem i nie spłonie. Jeśli nie wejdzie pod zbyt płytkim kątem i nie odbije się od okalającej planetę płaszczka gazu, jak puszczona po jeziorze kaczka. Jeśli

nie zawiedzie osłona termiczna. Nie dojdzie do dekompresji kabiny. Otworzy się spadochron. Nie wpadną w rotację, która wywoła zabójcze przeciążenia. Nie roztrzaskają się o kazachski step.

– Dokładnie tak – odparł, z trudem zmuszając się do uśmiechu.

Szczęknięły zwalniane zasuwki i właz zaczął się otwierać. Sojuza wypełnił ogłuszający huk wentylatorów i charakterystyczne zapachy, które zapamiętała z poprzedniego pobytu: pot, nagrany metal, zleżały plastik. W rozwartej śluzie, u góry, pojawiły się twarze załogi. Pierwszy wyszedł ku nim Anton – lekkie odbicie i już unosił się ku wyjściu, jakby płynął przez powietrze. Lucy zgarnęła włosy falujące przed twarzą i spięła je mocno gumką. Była gotowa, nie mogła się doczekać. Teraz Lew – jeden ruch ręką i był w górze. Nadeszła jej kolej. Stała na fotelu, zgięła lekko kolana i poleciała śladem reszty.

Chociaż kiedyś tu już była, chociaż odbyła setki lotów parabolicznych, w trakcie których przyzwyczajała ciało do stanu nieważkości, i tak zakreśliło jej się w głowie, ścisnęło ją w żołądku. Góra, dół, nagle te słowa straciły znaczenie, były bezużyteczne. Miała wrażenie, jakby znalazła się wewnątrz iluzji optycznej, w której nic nie jest tam, gdzie być powinno, która tym bardziej płącze zmysły, im dłużej się na nią patrzy. Lucy poczuła w przelyku cierpką ślinę. Nie porzygaj się, pomyślała, tylko się nie porzygaj. Już ktoś ją ścisnął, klepał po plecach. Omal nie uderzyła głową w obiektyw kamery. Byli w części rosyjskiej, w module Rasswiet, więc było ciasno, za ciasno dla dwójki ludzi, a co dopiero dziewiątki. Kłębili się jak ryby w sieci.

Lucy rozpoznała troje astronautów, których luzowali, ich sojuz wracał na Ziemię za kilka dni: Igor Wołkow, Kate Hortchak, Francesco Russo. Chwilę później witał się z nią pilot dragona Ezra Wendley. Rudy, muskularny,

biały jak prześcieradło, był niegdyś wojskowym i tak właśnie wyglądał. Jego kapsuła zadokowała trzy miesiące wcześniej i miała tu jeszcze zostać na trzy kolejne. Z lewej mignął jej Lafayette Summers, wiecznie uśmiechnięty botanik, Afroamerykanin z Luizjany. Ostatnia w kolejce – choć trudno było to nazwać kolejką, bo wszyscy byli w ruchu, łatwiej byłoby jej zaplanować matujący ruch w trójwymiarowych szachach, niż powiedzieć, kto gdzie akurat się znajduje, czyja to ręka, a czyja noga – była Devaki Anand, Amerykanka hinduskiego pochodzenia. Ją Lucy znała najslabiej. Jako jedyna z tego grona nie była zawodową astronautką, lecz kosmiczną turystką. Oczywiście nie oznaczało to, że mogła sączyć drinki ze szklanki z palemką, NASA też zaprzęła tę załogantkę do roboty. To, ile zapłaciła za pobyt na stacji, stanowiło tajemnicę, ale niewątpliwie była to kwota siedmiocyfrowa. Dla Devaki, która dorobiła się miliardów w Dolinie Krzemowej, taki wydatek nie stanowił jednak większego problemu.

Lucy marzyła o tym, żeby już udać się do swojej kajuty (szumne słowo – w rzeczywistości było to pomieszczenie mniejsze od schowka na szczotki), rozebrać się (choć głośno się o tym nie mówiło, astronauta odbywali lot w pieluchach, oficjalnie i eufemistycznie zwanymi „wkładkami wysokoabsorpcyjnymi”) i umyć (to znaczy: wytrzeć całe ciało jednorazowymi wilgotnymi chusteczkami, bo pryszniców nie było; wolno płynąca woda plus mikrogravitacja równa się gwarantowane zwarcie). Ale był jeszcze jeden punkt programu: wieńcząca lot konferencja prasowa. Przenieśli się do Nauki, jednego z najstarszych, jak i najnowszych modułów stacji. Najstarszych, bo jego konstrukcję rozpoczęto jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Najnowszych, bo Rosjanom udało się go dokończyć i wysłać w kosmos dopiero na początku tego roku. To, co im się nie udało, to bezpieczne dokowanie: kiedy Nauka została przyłączona, niespodziewanie aktywował się szwankujący wcześniej główny napęd, spychając całą stację z orbity, co o mały włos nie skończyło się katastrofą.

Od środka moduł wyglądał jak każdy inny: wszędzie, z każdej płaszczyzny, wystawały kable, diody, elektronika.

– Okej, ustawmy się... – Rotacyjny dowódca załogi stacji, Wołkow, przejął inicjatywę. – Nowi z przodu... Reszta z tyłu...

Chwilę im zajęło, żeby znaleźć się na wyznaczonych pozycjach. Żeby nie konfundować widzów na Ziemi, wszyscy przyjęli tę samą orientację, jak gdyby stali na podłodze, chociaż równie dobrze połowa z nich mogłaby wisieć do góry nogami. Każdy się czegoś chwycił – ci, którzy dopiero co przybyli na stację, odruchowo używali rąk, reszta, obyta już z mikrogravitacją, zahaczyła się o uchwyty stopami; tak było wygodniej. Trzy, dwa, jeden, lampka przy szklanym oku kamery zaświeciła się na czerwono.

– ISS, tu Moskwa – wywołał ich kontroler. – Nie za ciasno wam?

– Jakoś dajemy radę – odparł z uśmiechem Wołkow. Włosy, podobnie jak reszta Rosjan, miał ostrzyżone na krótko, a szyję czerwoną od podrażnień; golenie się w kosmosie było wyjątkowo nieprzyjemne. Nad jego głową błyszczał przyklejony do ściany złoty prawosławny krzyż.

– Doskonale. Sojuz, jak lot?

– Bez żadnych trudności – skwitował Anton.

I tak dalej, i w tym duchu; mało konkretów, dużo wymuszonej jowialności, nieprzekonujący teatr. Lucy przestała słuchać, zamiast tego przyglądała się astronautom, z którymi miała spędzić następne miesiące na bardzo, ale to bardzo ograniczonej przestrzeni. Widziała ich twarze na ciekłokrystalicznym ekranie z podglądem transmisji. Anton sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie, miał zresztą ku temu powody, proces dokowania wykonał bowiem bezbłędnie, jak przystało na byłego pilota odrzutowców. Szybko przeniosła wzrok dalej. Lew był ewidentnie zmęczony, na czole kroplił mu się pot, małe przezroczyste kuleczki odrywały się od skóry przy każdym ruchu. Lafayette jak zawsze tryskał pozytywną energią, co chwila wtrącał się z jakimś żartem. Mówił po

rosyjsku z silnym amerykańskim akcentem, ale z zadziwiającą płynnością. Ezra skrzyżował potężne ramiona na piersi, jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Devaki zdawała się robić dobrą minę do złej gry: jej wypowiedzi o tym, jak doskonale bawi się w kosmosie, kontrastowały z pobladłą cerą i podkrążonymi oczami. Jeśli wierzyć plotkom, cierpiała z powodu choroby lokomocyjnej. Każdy to odczuwał: na orbicie błędnik wariował. Malutkie włoski w uchu wewnętrznym, wyzwolone z okowów grawitacji, falowały, zamiast opadać, co mózg interpretował jako ciągłe staczanie się, pompował więc do krwi adrenalinę i wysyłał ponaglące sygnały: złap się czegoś! Chroń głowę! Uważaj! U większości osób te symptomy przechodziły po trzech, czterech dniach – ale nie u wszystkich. Nieoficjalną jednostką pomiaru choroby lokomocyjnej w środowisku mikrograwitacyjnym był garn. Nazwano ją tak na cześć senatora Jake’a Garna, który w latach osiemdziesiątych najpierw wymógł na NASA, by agencja wysłała go w kosmos na pokładzie wahadłowca, a następnie, w rzadkim przejawie karmicznej sprawiedliwości, spędził całą misję, rzygając jak kot. Tak więc zero garnów oznaczało pełen komfort, pół garnu nieustające mdłości, a jeden garn ciągłe i bolesne wymioty. Lucy oceniała swój stan na dwadzieścia setnych garnu, Devaki – na siedemdziesiąt pięć setnych garnu. Biedna kobieta.

– Choć oczywiście żałuję, że mój czas na stacji dobiega kresu – Igor Wołkow kończył powoli przemowę – to cieszę się, że przekazuję stery w tak kompetentne ręce.

Astronautka uśmiechnęła się do kamery. Jej wielki moment. Wyróżnienie, na które pracowała latami.

– Lucy. – Rosjanin uściśnął jej mocno dłoń. Zastanawiała się, czy jego uśmiech jest szczery. – Powodzenia.

Francesco Russo potrząsnął mosiężnym dzwonkiem. Ot, tradycja wywodząca się z żeglugi morskiej, z czasów, kiedy gwiazdy były jeszcze bogami. Ekspedycja 74 dobiegła końca, rozpoczęła się ekspedycja 75 – pod

dowództwem Lucy. Zawsze ją ciągnęło do tego, żeby grać pierwsze skrzypce. Była drużynową w skautach. Przewodniczącą szkolnego samorządu. Prezeską trzech różnych klubów na kampusie oraz kapitaną uniwersyteckiej drużyny piłkarskiej. To, co dla wielu byłoby męczarnią (rozmasowywanie konfliktów, wysłuchiwanie zażaleń, motywowanie zdemotywowanych), dla niej stanowiło po prostu kolejne wyzwanie: wielowektorowy układ, który musiała zrozumieć i rozpracować. Poza tym każde „tak jest”, „masz rację”, „dobry pomysł” łechtało jej ego, odkręcało kranik z endorfinami, od których była uzależniona. Żeby żyć, musiała być w ruchu, bić rekordy, odkrywać nieznane.

– Dziękuję, Igor – odparła, po czym wygłosiła przygotowaną wcześniej formułkę. – Ekspedycja 75 zapowiada się szalenie ciekawie. Devaki będzie kontynuowała pracę nad fenomenem przekłamań bitowych wywołanych promieniowaniem kosmicznym. Jej studia przyniosły do tej pory wiele ciekawych wyników. Lafayette rozpocznie projekt kluczowy dla przyszłej kolonizacji Marsa: badanie potencjału użyźniania jałowej gleby za pomocą ACC, czyli – Lucy wzięła głęboki wdech – kwasu 1-aminocyklopropano-1-karboksyłowego. Z kolei ja i Ezra odbędziemy w przyszłym miesiącu spacer kosmiczny, żeby naprawić uszkodzone panele słoneczne na skrzydle S-6. Nasi rosyjscy koledzy, Anton i Lew, też będą prowadzili liczne badania naukowe – o których Roskosmos nie chciał powiedzieć ani słowa, pomyślała. Mimo wielokrotnie ponawianych próśb. – Podsumowując, przed nami kilka pracowitych i ekscytujących miesięcy.

– Dziękujemy, Lucy – odpowiedział kontroler z Moskwy. – Trzymamy za was kciuki.

Czerwona lampka zgasła, koniec transmisji. Jeszcze trochę pogaduszek, small talku i załoga zaczęła się rozchodzić. Każdy miał co robić – stacja wymagała stałej, nieustającej konserwacji, żeby funkcjonować – a poza tym obecność tak wielu ludzi w tak małym pomieszczeniu była niebezpieczna, system wentylacyjny nie był przygotowany na takie obciążenie. Kilka

minut później, precyzyjnie się przez klaustrofobicznie ciasne moduły Zwiasta i Zaria, znalazła się w części amerykańskiej, natomiast Anton i Lew zostali u siebie. Nie będą się widywali zbyt często, stacja była zaprojektowana tak, żeby te dwa skrzydła można było od siebie z łatwością odizolować. Przebywali tu razem, ale jednak osobno. Owszem, czasami spotykali się na posiłek w module Unity, czasem, gdy kontrolerzy litowali się nad nimi i mieli wolny wieczór, oglądali razem jakiś film. Ale atmosfera między ich krajami i agencjami była ostatnimi czasy tak napięta, że tych wspólnych chwil nie będzie zapewne zbyt wiele. Bardzo jej to zresztą odpowiadało. Jedyne obowiązkowe punkty programu to cotygodniowy odbiór pojemników z uryną. Rosyjskie skrzydło nie miało systemu odzyskiwania wody, trzeba było więc zabrać zbiorniczki do maszynowni po stronie amerykańskiej. Prawie że biblijna alchemia, przemiana moczu w wodę.

Lucy dotarła do swojej kajuty. Znajdowała się ona w module Harmonii, wpuszczona w ścianę, która w obecnej pozycji lokatorki była sufitem. Astronautka złapała za uchwyt, dźwignęła się jednym ruchem – hop, zakreśliła ją jak na karuzeli i sufit zamienił się miejscami z podłogą. Kajuta była wielkości niewielkiej kabiny prysznicowej i obita miękką tkaniną. Mieściły się tam śpiwór, dwa przypięte do ściany laptopy – jeden do komunikacji z centrum kontroli lotów, drugi prywatny – i to wszystko. Lucy wyciągnęła z torby kopertę oznaczoną etykietą PRZEDMIOTY OSOBISTE, MAKSYMALNA WAGA 240 GRAMÓW, wyjęła z niej zdjęcia rodziny – pięcioletnia Eliza na ścianie wspinaczkowej, Nate w kajaku na jeziorze Texoma, rodzice Lucy przed domem na przedmieściach Chicago – i przypięła je pinezkami. Upewniła się dwa razy, że tkwią mocno w ścianie. Gdyby wypadły, lewitowałyby po kajucie, co, delikatnie mówiąc, byłoby niepożądane: w trakcie snu mogłyby ją ukłuć albo gorzej, wpaść do otwartych ust. Następnie wyciągnęła i rozprostowała swój uniform, ciemnoniebieski, z naszywką amerykańskiej flagi i logo ich misji: kapsuła

Sojuz na tle uściśniętych dłoni, symbol wspólnych lotów, kończącej się epoki.

Nim się jednak umyła i przebrała, uruchomiła komputer i sprawdziła listę zadań na następny dzień. Choć była dowódczynią, jej kontrola nad stacją była właściwie tylko formalna: grafiki jej oraz reszty załogi ustalono na wiele lat do przodu w agencjach kosmicznych, a parametry lotu i funkcjonowanie licznych systemów podtrzymywania życia były monitorowane przez centra w Houston i Moskwie. Podobnie jak inni astronauty, miała po prostu postępować wedle ustalonego planu, odhaczając kolejne zadania z liczącej kilka tysięcy pozycji listy. W trakcie sprawowania rotacyjnej funkcji przywódczej najpewniej nie wyda zatem nawet jednego rozkazu.

Chyba że doszłoby do sytuacji kryzysowej.

Steve Ayers wyszedł spod prysznic. Kucnął, żeby wytrzeć wodę z podłogi, kiedy zauważył, że pod szafką coś się skrzy. Kolczyk, biała muszelka oprawiona w srebro. Obrócił go w dłoni, obejrzał. A potem wyrzucił do kosza na śmieci.

Steve mieszkał sam, w wielkim domu na przedmieściach Houston. Nie zawsze tak było, kiedyś z kimś go dzielił. Mimo że minęło już wiele lat, wciąż znajdował różne drobiazgi z tamtych czasów: zawieruszoną biżuterię właśnie, część jakiejś zabawki czy cudzą wełnianą czapkę wepchniętą w rękaw starej kurtki. Zastanawiał się, czy nie sprzedać tego miejsca. To byłby sposób, żeby raz na zawsze odciąć się od wspomnień, poza tym nie potrzebował tylu pokoi. Ale potem policzył, że spędza w domu mniej niż sto dni rocznie, i uznał, że przeprowadzka nie byłaby warta fadygi. Może kiedyś, jak już przejdzie na emeryturę. Miał wiele planów z nią związanych, i to coraz śmielszych. Kupi sobie łódkę i będzie łowił marliny.

Albo: wsiądzie do kampera i przejedzie z Teksasu na Alaskę. Albo: przeprowadzi się do Paryża, usiądzie ze sztalugą na brzegu Sekwany i będzie malował pejzaże dla turystów. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że żadnego z tych scenariuszy nigdy nie zrealizuje, nawet nie dlatego, że nie znosił ryb, od długiej jazdy samochodem strzykało mu w plecach i w życiu nie trzymał w ręku pędzla, tylko dlatego, że opierały się na całkowicie nierealistycznym założeniu: że kiedyś przestanie pracować.

Steve wytarł parę z lustra, spojrzął na swoje odbicie. Przekrwione oczy, dwudniowy zarost. Wycisnął piankę do golenia i natarł policzki, pospiesznie, jak gdyby chciał zmazać twarz, którą zobaczył. Był zmęczony. Z Kazachstanu poleciał jeszcze na kurtuazyjną wizytę do Moskwy, stamtąd zaś do Kolonii, a następnie do Paryża i dopiero tam wsiadł w samolot do Stanów. Cały ostatni etap podróży spędził, garbiąc się nad rozłożonym na kolanach laptopem. W Houston wylądował poprzedniego dnia, tuż przed północą. Do domu dotarł przed drugą nad ranem, zasnął o czwartej, niecałe trzy godziny później zadzwonił budzik. Jeśli Ayers stosowałby się do zaleceń lekarza, wzięłby dziś wolne: poszedł na długi spacer, zjadł lekki posiłek, położył się do łóżka wczesnym wieczorem i poczytał książkę. Ale jeśli słuchałby się zaleceń lekarza, nie dotarłby tam, gdzie dotarł, nie wspinałby się na szczyt biurokratycznej drabiny. Nie było czasu na odpoczynek, miał przed sobą cały dzień spotkań. Temat: zbliżająca się wizyta w Waszyngtonie. Kongres ustalał budżet na następny rok, nadchodził więc czas kuluarowych targów, politycznego teatru, retorycznych pytań skierowanych do kamer.

Zwykle Steve musiał się tłumaczyć, czemu jego programy są tak kosztowne, walczyć o każdego dolara i każdego centa. Tym razem miał walczyć o to, żeby dostać ich mniej. Kongresmeni naciskali, żeby planowane misje na Księżyc wysłać raketami systemu SLS, konstruowanymi na rządowych kontraktach. Każdy ich start kosztował, bagatela, cztery miliardy dolarów. Prywatne firmy mogły im sprzedać

rakiety o podobnych parametrach za ułamek tej ceny, ale Waszyngton bronił się przed tym nogami i rękami. Oficjalnie mówiono, że tak kluczowej technologii nie należy oddawać w ręce zewnętrznych kontrahentów, że nie można dopuścić, by federalne agencje utraciły to strategiczne know-how. Nieoficjalnie chodziło o chronienie własnych dup. Rakiety SLS były konstruowane przez konsorcja zrzeszające kilkaset firm, rozsianych – nieprzypadkowo – po wszystkich pięćdziesięciu stanach. Każda z nich wystawiała słony rachunek i każda przekazywała potem część uzyskanej kwoty na kampanie reelekcyjne kongresmenów, których podpisy widniały pod budżetem. Amerykański system był równie przeżarty korupcją co rosyjski, tylko bardziej wyrafinowany. Białe rękawiczki zamiast kastetów.

Steve ściągnął usta, żeby dosięgnąć włosów rosnących tuż pod nosem, pociągnął jeszcze dwa razy maszynką, po czym spłukał twarz. Obejrzał się krytycznie, sprawdził, czy nie przegapił przypadkiem jakiejś kępki – na grdyce albo tuż przy uszach – po czym natarł policzki i szyję wodą po goleniu. Zapiekł. Dobrze, trochę go to rozbudziło. Mimo że siedział w lotach kosmicznych już kilkadziesiąt lat, nie przestawało go fascynować, jak wielki jest kontrast między wzniosłymi hasłami głoszonymi publicznie – *robimy to dla dobra całej ludzkości, to wspólna misja wszystkich narodów, eksploracja wszechświata to nasze przeznaczenie* – a brutalnością i cynizmem tego, co działo się za kulisami. Ciekawe, pomyślał, czy gdziekolwiek jest podobnie. Może w kościele. Może.

Wyszedł z łazienki i otworzył szafę. Wisiało w niej kilkanaście garniturów, wszystkie w stonowanych kolorach, gładkie, bo wszelkiego rodzaju prążki i grochy źle wyglądały w telewizji. Zastanawiał się, który założyć, gdy zwrócił uwagę, że wyciszony telefon mruga do niego żółtą diodą. Steve wytarł ręce i odblokował ekran.

Siedemnaście nieodebranych połączeń.

Grudzień 2021

LAMAR: Kiedy otrzymał pan informację o zagrożeniu?

AYERS: Nie pamiętam.

LAMAR: A co zrobił pan po jej otrzymaniu?

AYERS: Postępowałem zgodnie z procedurami.

LAMAR: Czyli?

AYERS: Wszystkie informacje na ten temat zawarte są w stenogramach.

LAMAR: Panie Ayers, czy zdaje pan sobie sprawę z powagi zarzutów, jakie kierowane są pod pana adresem?

AYERS: Tak.

LAMAR: Sugerowałbym zatem zmienić podejście.

Czerwiec 2021

Dzień Lucy zaczął się normalnie. Pobudka o siódmej rano – przy czym „rano” było całkowicie umowne, bo na stacji słońce wschodziło (oraz zachodziło) co czterdzieści pięć minut, kolorując planetę gradientem żółci i czerwieni – potem chwila na sprawdzenie e-maili prywatnych i służbowych. Następnie poranna toaleta i śniadanie w module Unity: kawa (z proszku, pita przez słomkę, z filiżanki by uciekła), parówki (pakowane próżniowo, odgrzane w mikrofalówce), tortille (tradycyjne pieczywo było towarem zakazanym, ponieważ się kruszyło). Przy stole spotkała się z resztą amerykańskiej załogi, ale rozmowa się nie kleiła. Gonił ich czas, na śniadanie przewidziano nie więcej niż kwadrans, potem jeszcze krótka wideokonferencja z Ziemią i pora brać się do pracy; każda minuta miała zostać optymalnie wykorzystana, każda bowiem kosztowała dziesiątki tysięcy dolarów.

Widać było, że Devaki je z wyraźnym trudem, ledwie powstrzymując odruch wymiotny. Muszę z nią potem porozmawiać, odnotowała w myślach Lucy, dowiedzieć się, czy mogę jakoś jej pomóc. Przeniosła wzrok na tablet, który wyświetlał plan dnia. Był przypięty rzepami do jej kolan, żeby nie odleciał. Może spróbuję po południu, stwierdziła, skończę ćwiczenia chwilę wcześniej. Oczywiście, zostanie to odnotowane, lekarz przypomni jej podczas następnej rozmowy, przyjmując grobowy ton zarezerwowany dla nierozsądnych pacjentów, co stanie się z jej ciałem, jeśli nie będzie trzymała się rygorów pokładowej gimnastyki: atrofia mięśni, osteoporoza, zawał. Sport to zdrowie, zwłaszcza w kosmosie.

Kiedy minęło przepisowe piętnaście minut, posprzątali po posiłku: puste opakowania powędrowały do plastikowych toreb, torby zaś do modułu BEAM, gdzie będą oczekiwać na kosmiczną śmieciarkę. Za dwa tygodnie miała przylecieć kapsuła towarowa Cygnus, wyładowana po brzegi jedzeniem, ubraniami, narzędziami i całą resztą majdanu potrzebnego, żeby utrzymać stację oraz jej załogę przy życiu. Potem zapakują do Cygnusa śmieci – nie tylko opakowania po jedzeniu, ale też brudne, przepocone ubrania oraz puszki z fekaliami – i wyślą go, żeby spopielił się w atmosferze. Jeśli ktoś na Ziemi spojrzy wtedy ku niebu, pomyśli, że to spadająca gwiazda, wyszepcze życzenie, zachwyci się pięknem wszechświata.

– Okej, gotowi? – spytała Lucy, kiedy skończyli sprzątać.

– Gotowi – odparł Ezra. – Można się łączyć.

Lucy przyczepiła tablet do ściany – tam też były paski z rzepami – i kliknęła odpowiedni przycisk. Spodziewała się zobaczyć któregoś z dyrektorów lotu, Michaela, Judy albo Roberta. Nie pamiętała, które z nich miało akurat dyżur. Zamiast tego zobaczyła wicedyrektora do spraw lotów załogowych Steve’a Ayersa. To nie zapowiadało niczego dobrego. Steve był zajęтым człowiekiem. Jeśli się z nimi łączył, miał do przekazania

ważne wieści. A z doświadczenia Lucy wynikało, że ważne wieści rzadko kiedy są dobrymi wieściami.

– Dzień dobry – przywitał się Ayers. – Jak samopoczucie?

– Świetnie. – Lucy podkreśliła głośność; nieustający szum wentylacji utrudniał rozmowę.

– Dobrze słyszeć, chociaż... Cóż... Obawiam się, że trochę je zepsuję. Przed chwilą rozmawiałem z NOAA. Ich aparatura odnotowała silny rozbłysk słoneczny.

– Klasa? – spytała Lucy.

– Obawiam się, że X.

– Ile?

– Nie są jeszcze pewni, analizują wciąż dane. Co najmniej X osiem, ale możliwe, że dojdzie do dziesięciu.

Lafayette gwizdnął przez zęby. X10 było najwyższą możliwą klasyfikacją. A to znaczyło, że Słońce rzygnęło właśnie taką ilością rozpędzonych fotonów, by zakłócić pracę sieci energetycznej oraz komunikację radiową na Ziemi. A oni nie byli na Ziemi, nie chroniła ich atmosfera. Całe szczęście znajdowali się przynajmniej wewnątrz ziemskiego pola magnetycznego, w chmurze cząsteczek pasów Van Allena. Gdyby byli dalej – na Księżycu, w drodze na Marsa – nic nie ochroniłoby ich przed kosmicznym wiatrem. Promieniowanie jonizujące rozerwałoby ich komórki na strzępy.

– Według naszych wyliczeń nie jesteście w żaden sposób zagrożeni. Wchłoniecie pewnie po jednym remie, no, może półtora – ciągnął Ayers. – Ale musimy rozpocząć działania alarmowe. Wariant drugi.

Lucy przeszła w myślach przez kolejne kroki procedury: przerwać transfery danych. Wyłączyć elektronikę, która nie jest konieczna dla funkcjonowania stacji. Schować próbki biologiczne, zamknąć szafy laboratoryjne. Schronić się w Harmony, module sypialnym, którego zewnętrzna powłoka ma najgrubsze osłony przeciwpromienne. Pierwszy

kryzys. Nie czuła strachu, już prędzej ekscytację: będzie jednak okazja wyjść poza komórki arkusza, wykazać się, zapisać czymś w historii stacji. Jeśli czegoś się bała, to reakcji Nate'a. Wiedziała, że informacja o wprowadzeniu procedur alarmowych zostanie podana publicznie, a jej mąż odruchowo zacznie wyobrażać sobie najgorsze możliwe scenariusze zdarzeń.

– NOAA twierdzi, że wiatr dotrze na stację o ósmej czterdzieści siedem czasu pokładowego. Macie więc równo... – Ayers spojrzął na zegarek – ... czterdzieści dwie minuty. O dziewiętej trzydzieści cztery będziecie już bezpieczni. W międzyczasie wszystkie kanały komunikacji będą zamknięte.

– Rosjanie? – Lucy spojrzała odruchowo w stronę rufy, gdzie moduł Unity łączył się z Zarią.

– Są poinformowani, zabezpieczają swoją część stacji. Macie jeszcze jakieś palące pytania?

Cisza. Pokręcili przecząco głowami.

– W takim razie do usłyszenia – pożegnał się Ayers. – Uważajcie na siebie.

Gdy tylko się rozłączyli, Lucy wydała polecenia reszcie załogi. Ona sama zabezpieczała Unity, Ezra zajął się Destiny, Lafayette wziął na siebie Columbusa, a Devaki – Tranquility. Dała im na to pół godziny, potem mieli się spotkać w module sypialnym Harmony, gdzie mogli bezpiecznie przeczekać słoneczny wiatr. Lucy ruszała się pospiesznie, co tylko wzmogło jej dezorientację. Wciąż nie mogła przyzwyczaić się do tego, że każda ściana była jednocześnie podłogą i sufitem, że każda płaszczyzna naszpikowana była elektroniką. Choć moduły były ciasne, miało się przez to wrażenie, że są poszerzone o czwarty wymiar – łatwo było coś przeoczyć, o czymś zapomnieć, zewsząd wystawały kable, na każdej ścianie świeciły ekrany. Na szczęście diagramy techniczne całej stacji miała wykute na blachę, mogłaby z pamięci rozrysować położenie każdego drutu i rury, to pozwalało jej się zorientować w pozornym chaosie. Kręciła się

więc wokół własnej osi, prawo–lewo, góra–dół, szybkie *pstryk, pstryk, pstryk* guzików, gasły kolejne panele. Spojrzała na zegarek, pora się zbierać. Złapała się poręczy, szarpnęła i już leciała przez moduł, ale za szybko: uderzyła ramieniem o ścianę, weszła w rotację. Stacja zatańczyła wokół niej, krew zaszumiała w uszach. Chwyciła kolejną poręcz, ustabilizowała się i odepchnęła jeszcze raz, teraz już ostrożniej. Popłynęła przez moduł Destiny, chwilę potem była już w Harmony, jeszcze obrót o sto osiemdziesiąt stopni i znalazła się w swojej kajucie. Zdążyła jeszcze wysłać szybki e-mail do Nate'a – „wszystko w porządku, nie przejmuj się” – po czym wyłączyła komputer. Dopiero teraz wychyliła się na zewnątrz. Bezpośrednio nad nią mieściła się kabina Lafayette'a, botanik już był w środku, z lewej zobaczyła Ezrę. Z prawej, gdzie spała Devaki, było pusto.

– Gdzie ona jest? – spytała.

– Nie wiem – odpowiedział jej botanik.

– Devaki? – zawołała Lucy, choć nie była pewna, czy udało jej się przekrzyczeć huk wentylatorów. Moduł Tranquility był relatywnie daleko, odbijał w bok od Unity.

Cisza. Spojrzała na zegarek. Ósma trzydzieści dziewięć. Miała jeszcze osiem minut, nim przez stację przetoczy się fala rozpędzonych cząstek.

– Trzeba po nią pójść – powiedział Ezra.

– Przecież się nie zgubiła.

– Ale może coś jej się stało.

– Dajmy jej jeszcze kilka minut – odparła, choć sama usłyszała w swoim głosie wahanie. Z jednej strony nie chciała, żeby Devaki miała poczucie, że została sprowadzona do roli damy w tarapatkach. Z drugiej jako dowódczyni była odpowiedzialna za jej bezpieczeństwo. Oczywiście, nawet gdyby Devaki znalazła się poza Harmony w momencie, kiedy wiatr słoneczny uderzy w stację, nie groziłaby jej śmierć. Przynajmniej nie gwałtowna.

Ezra chciał coś jeszcze powiedzieć, ale najwyraźniej zmienił zdanie. Lucy spodziewała się, że będzie miała z nim problemy, że trudno będzie mu

przyjmować rozkazy od cywila, a do tego jeszcze kobiety. Miał ponad pięćdziesiąt lat, należał do poprzedniej, wymierającej generacji astronautów: kowbojów, chojraków, asów przestworzy. Cele naukowe misji niespecjalnie go interesowały. Dla niego lot w kosmos był ostatecznym testem bojowym, kolejną odznaką do przypięcia na mundurze, obok orderów z Iraku. W dwudziestym pierwszym wieku, kiedy przeciętna misja trwała już nie tydzień czy dwa, jak w czasach Apollo, tylko długie miesiące, a powoli zaczynało się mówić o mających trwać latami misjach na Marsa, NASA stawiała na innych ludzi: wyważonych, koncyliacyjnych, umiejących otwarcie mówić o swoich emocjach. Wymiana pokoleniowa prawie się dopełniła, Ezra był jednym z ostatnich astronautów starej daty.

– Może sprawdzisz na kamerach? – spytał Lafayette. – Czy już wyłączone?

– Wyłączone.

– Ósma czterdzieści jeden – wtrącił Ezra. Jego ton był ponagląjący.

– Tak, wiem – odparła. – Dobrze, sprawdź, co się z nią dzieje.

Ezra skinął głową i odbił się w stronę rufy, w stronę Tranquility. Minęła minuta, potem dwie. Dość, żeby dziesięć razy pokonać trasę między modułami. Co się z nią dzieje, pomyślała Lucy, ma jakiś problem ze sprzętem, zagapiła się i nie zauważyła, która jest godzina? Wątpliwe. Tu nie chodziło przecież o seans w kinie czy odjazd autobusu, tylko o śmiercionośne promieniowanie. Takich rzeczy się nie zapomina, nie lekceważy.

– Niezły początek ekspedycji, co? – Lafayette do niej mrugnął. Z twarzy nie zniknął mu uśmiech; mógłby figurować w encyklopedii pod hasłem „optymizm”. Potrzebowali tu takich ludzi, z bezbrzeżnym, zaraźliwym entuzjazmem.

– Przynajmniej coś się dzieje – odparła.

– O, tu zawsze się coś dzieje.

Coś ciężkiego zabrzmiało w tych słowach, jakiś uraz, pretensja.

– Ziemia mocno cię ciśnie? – spytała.

– Nie inaczej... A przez to wszystko będę dodatkowe pół dnia do tyłu. – Botanik ściągnął okulary, przetarł je irchą. Kiedy skończył, uniósł je ku światłu, żeby sprawdzić, czy szkła są czyste. – Słuchaj, czy ty wiesz, na jakiej podstawie Faizan dobiera załogi?

– Nie. Nikt chyba nie wie.

– Aha.

– Dlaczego pytasz?

– Bez konkretnego powodu – odpowiedział Lafayette, po czym dodał głośniej: – Z ciekawości.

Lucy usłyszała jakieś dźwięki dochodzące od strony śluzy, coś jak stuknięcie, sapnięcie; ledwie było je słyhać przez warkot wentylacji. Do modułu wpadła Devaki, chwilę za nią Ezra. Była ósma czterdzieści sześć. Wiatr słoneczny uderzy za minutę.

– Przepraszam – wydyszała Devaki.

– Co się stało?

– Musiałam... – Urwała. – Potrzebowałam chwili.

Lucy przyjrzała jej się uważnie. Błada cera, zmierzwione włosy, ślina w kąciuku ust. Powiedzieć coś, nie powiedzieć? Zagrać kartą przywódcy czy schować ją do kieszeni? Czuła na sobie wzrok pozostałych, byli ciekawi, jak to rozegra.

– Wolę, żebyś wymiotowała tutaj, niż narażała innych członków załogi – powiedziała.

– Rozumiem. Nie chciałam, żeby...

Lucy nie dała jej dokończyć.

– Temat zamknięty – powiedziała.

– Poza tym, miejmy nadzieję, nie będzie następnego razu – stwierdził Lafayette. – Tego rodzaju błyski zdarzają się raz na kilkanaście lat. Zwłaszcza że mamy słoneczne minimum.

Bip, bip, bip. Włączył się alarm w zegarku Lucy. Ósma czterdzieści siedem. Zaczęło się.

Od: Lucy <lucy.poplaski@protonmail.com>

Do: Ja <nate.j.hunt@protonmail.com>

Temat: <brak tematu>

wszystko w porządku, nie przejmuj się

Lucy Poplaski

Nate poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Zamknął okno z pocztą, wszedł na stronę z wiadomościami o lotach kosmicznych. *NAJWIĘKSZY ROZBŁYSK SŁOŃCA OD DWUDZIESTU LAT*, krzyczał nagłówek. Czytał pospiesznie, skanując tekst w poszukiwaniu kluczowych słów. *Emisja promieniowania. Spodziewane zakłócenia. Procedury alarmowe.*

– Kasa numer osiem – powiedział ktoś.

Nate oderwał wzrok od telefonu. Stał przed rzędem kas samoobsługowych. Dukwały jedna przez drugą, chór syntetycznych głosów w chaotycznym kanonie; *wyłóż następny, następny produkt, wyłóż, połóż produkt w strefie pakowania, wyłóż następny...*

– Kasa numer osiem, proszę pana – powtórzyła pracownica supermarketu. Miała na sobie dres, koszulę w kratę i niebieską polarową kamizelkę z krzywo przypiętym identyfikatorem, który oznajmiał światu, że ma na imię Kate. Wokół błyskały ekrany, pikały skanery, w tle grał mdły pop.

– Przepraszam. – Nate porzucił wózek wyładowany zakupami i ruszył chwiejnym krokiem ku wyjściu. „Nie przejmuj się”. Jakby to było takie proste, jakby tak się dało wytłumaczyć samemu sobie. Może gdyby mniej wiedział, nie rozumiał, co to naprawdę znaczy. Wpływ promieniowania na

człowieka to jedno, bardziej martwiła go elektronika. Stacja była całkowicie od niej zależna, to za jej pośrednictwem weryfikowano orbitę, obracano panele słoneczne, kontrolowano temperaturę i skład atmosfery, włączano bądź wyłączano silniki do korekty kursu, komunikowano się z Ziemią. Oczywiście, komputery na stacji były przygotowane na taki scenariusz, każdy obwód logiczny miał przynajmniej trzy zapasowe kopie, które zastępowały go w przypadku awarii. Ale wciąż istniało prawdopodobieństwo, jakkolwiek niewielkie, że przy tak intensywnym bombardowaniu przez rozpędzone cząstki zawiodą wszystkie po kolei. A stacja była niezwykle skomplikowanym systemem naczyń połączonych: wystarczyło, aby stanął jeden, a nastąpi kaskada awarii.

Wyszedł przed supermarket na ciągnący się po horyzont parking.auta błyszczały w rozedrganym, gorącym powietrzu, kółka wózków terkotały po nierównym asfalcie, ktoś krzyczał na płaczące dziecko. Nate wybrał numer do Jeffa Pictou. Jeff też był astronautą, tyle że na Ziemi, między misjami. Został wyznaczony jako punkt kontaktowy dla rodzin tych, którzy znajdowali się aktualnie w kosmosie. To on miał za zadanie dotrzymać im towarzystwa w trakcie niekończących się przygotowań do lotu, tłumaczyć, co się dzieje, zabawiać w trakcie oficjalnych kolacji. To on by przyjechał, gdyby trzeba było przekazać najgorsze.

– Jeff?

– Hej, Nate, właśnie miałem do ciebie dzwonić – odpowiedział mu męski głos. – Trzymasz się?

– Są jakieś informacje?

– Nie mamy odczytów. Przerwa w komunikacji.

– Kiedy się skończy?

– Czekać, już sprawdzam... – Szmer, szept, drugi głos w tle, palce stukają w klawiaturę. – Jeszcze około dwudziestu minut. Potem przeprowadzimy diagnostykę. Ale nie powinno być żadnych problemów.

– Rozumiem. Ale jakby co, daj, proszę, znać.

– Oczywiście. Mogę ci jeszcze jakoś pomóc?

Przewin czas do przodu, pomyślał Nate. Obiecuj, że nic jej się nie stanie.

– Nie, dzięki – odpowiedział zamiast tego.

– Dobra. Ale gdyby coś... Dzwon od razu, okej? O każdej porze.

– Dzięki. Doceniam.

– Trzymaj się – powiedział Jeff, po czym się rozłączył.

Nate schował telefon do kieszeni i usiadł na ławce przed sklepem. Wokół toczyło się normalne życie, proza codzienności: ludzie upychali torby w bagażnikach, szukali miejsc do parkowania. Nie potrafił wrócić do tej powszedniości, do etykiet, paragonów, promocji dwa w cenie jednego. Myśli wciąż pędziły jedna za drugą, po plecach spływał mu pot.

Nie tak wyobrażał sobie swoje życie. Nie tego chciał. Kiedy Lucy spytała go, lata temu: *Co ty na to, żebym złożyła podanie o pracę astronautki?*, skinął po prostu głową, bez zastanowienia. Nie zdawał sobie sprawy, że przekroczył właśnie czerwoną linię, która przecinała jego życie na „przed” i „po”. Równie dobrze mogła go przecież spytać: *Co ty na to, żebym zagrała w totolotka? Albo Czy miałbyś coś przeciwko, gdybym poszukała złota w strumieniu za domem?* Na każde miejsce w szeregach astronautów przypadały tysiące kandydatów, szansa, że wybiorą akurat ją, była nikła. Ale potem przyszło zaproszenie na pierwszą rozmowę. I drugą. Wreszcie trzecią i ostatnią. Oczywiście za każdym razem pytała go o zgodę, upewniała się, *czy to na pewno w porządku i czy mam twoją zgodę*. Ale co miał jej powiedzieć? Że zakazuje? Co najwyżej mogli się rozwieść. Wtedy to byłoby jeszcze łatwe, nie mieli dziecka, kredytu na dom. Ale tak się złożyło, że ją kochał.

Żeby to wszystko miało jeszcze sens. Ale on przecież był z tego świata, pracował pięć lat w Laboratorium Fizyki Stosowanej na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa, kolejne siedem w Południowo-Zachodnim Instytucie Badawczym w San Antonio, wiedział, jaka jest rzeczywistość. Dziewięćdziesiąt procent eksperymentów, które przeprowadzano na

Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, można było wykonać kilkadziesiąt razy taniej, bez udziału człowieka, za pomocą zdalnie sterowanych bądź całkowicie autonomicznych satelitów. Pozostałe dziesięć procent astronauta robili na sobie: pobierali własną krew i mocz, odpowiadali na kwestionariusze psychologiczne, rejestrowali samopoczucie. Po co? Żeby zbadać, jak ludzkie ciało i umysł zachowują się w kosmosie. Po co? Żeby latać w kosmos. Piękny przykład rozumowania cyrkularnego. Oczywiście, szukano innych uzasadnień. Były głosy, że ludzie muszą sposobić się do lotów załogowych, bo kto wie, być może kiedyś trzeba będzie opuścić Ziemię i znaleźć sobie inne miejsce we wszechświecie. Może, ale trudno było oprzeć się wrażeniu, że to argumentacja post factum, logika w służbie zachcianki. Ludzi – przynajmniej ludzi pewnego rodzaju, takich jak jego żona – po prostu ciągnęło w nieznane, a na Ziemi niewiele go już zostało. Nawet w Himalajach były kolejki. Nie było już w co wetknąć flagi, gdzie krzyknąć „pierwszy!”.

Nate przejechał dłońmi po policzkach, zarost drażnił skórę. Jeszcze dziesięć minut.

– No i jak tam? – zagał Lafayette. Nie czuł się dobrze w ciszy. Wisiał bezpośrednio naprzeciwko Lucy, metr, może półtora nad nią. Ciągle miała wrażenie, że zaraz na nią spadnie. – Czujecie coś?

– Nie – odpowiedziała Lucy. – A powinniśmy?

– Nie wiem właśnie. Pierwszy raz jestem w takiej sytuacji.

– A jak robią ci rentgena, to coś czujesz?

– Nie. Ale teraz promieniowanie jest kilkadziesiąt razy większe. Wiem, że to głupie, ale myślałem, że... – Botanik urwał na chwilę, potarł kark. – No nie wiem. Że organizm jednak jakoś to zarejestruje. Że będzie mnie mrowiło albo...

– Albo że zyskasz jakieś supermoce?

– Na przykład.

– Odczuwa się tylko skutki – powiedział Ezra. Naciągnął gumę do ćwiczeń wokół kostek i unosił to jedną, to drugą nogę; wyrzeźbione mięśnie rysowały się pod obcisłymi dresami. Najwyraźniej pilot postanowił produktywnie spędzić nieplanowaną przerwę. – Ale dopiero powyżej zero trzydzieści pięć greja, czyli trzydziestu pięciu radów. Zaczerwienie skóry, bóle głowy, wymioty.

– To mnie chyba napromieniowało – wtrąciła Devaki. – Jakież trzy miesiące temu.

– Próbowałaś sproszkowanego imbiru? – spytała Lucy.

– Próbowałam.

– I co?

– Cóż. – Skrzywiła się. – Smakuje gorzej w drugą stronę.

– Podobno działa jeszcze uciskanie nadgarstków.

– Nie na mnie.

– Czekajcie... – Lafayette uniósł dłoń. – Ezra, a skąd u ciebie taka wiedza o promieniowaniu?

– Tajemnica zawodowa.

– Rozumiem. Musiałbyś mnie zabić, gdybyś mi powiedział?

– Nie musiałbym – odparł Ezra – ale mógłbym.

Gdyby tym słowom towarzyszył uśmiech, można by je uznać za żart. Ciekawe, pomyślała Lucy, co się między nimi wydarzyło przez ostatnie trzy miesiące. Skąd to napięcie. Kolejna rzecz do sprawdzenia. Nie dlatego, żeby była ciekawska. To był jej obowiązek: musiała rozumieć dynamikę załogi, umieć się do niej dostosować, wiedzieć, czy może tej dwójce powierzyć wspólne zadanie czy nie.

Brzdęk. Lucy nadstawiła uszu. Coś przebiło się przez dudnienie wentylatorów. Jakby metal uderzył o metal. Pierwsza myśl: coś spadło. Ale tu rzeczy przecież nie spadały, nigdy. A raczej: spadały cały czas, razem z całą stacją, wokół Ziemi, za horyzont, z prędkością ponad dwudziestu siedmiu tysięcy kilometrów na godzinę.

– Co to było? – Lafayette wychylił się ze swojej kajuty.

– Może coś uderzyło o kratkę? – zasugerowała Devaki.

To miało sens, pomyślała Lucy. Przedmioty pozostawione bez opieki – długopisy, śrubokręty, aparaty fotograficzne – unosiły się początkowo bezładnie po kabinie, ale z czasem ruch zasysanego powietrza popychał je ku wentylatorom. To tam znajdowali potem zawieruszone grzebienie czy sztućce.

– Nie. Szum tła to w tym momencie... – Ezra spojrział na dozometr akustyczny przyczepiony do ściany swojej kabiny – ...siedemdziesiąt dwa decybele. To musiał być głośny dźwięk, skoro wentylatory go nie zagłuszyły.

– Czyli to albo było coś większego...

– ...albo poruszającego się z dużo większą prędkością.

– Kolizja? – spytała Devaki.

Kolejny koszmar: że coś uderzy o zewnętrzne ściany stacji. Obiekt na tyle mały, że nie zostanie wykryty zawczasu i nie uda się go ominąć, korygując kurs. Śrubka ze starego satelity, zamrożona kropla moczu astronauty sprzed pół wieku czy choćby złuszczona farba. Niby nic, ale przy takich prędkościach nawet takie nic mogło spowodować katastrofę. A podobnych obiektów krążyło wokół planety, bagatela, jakieś sto dwadzieścia osiem milionów i przybywało ich z każdym rokiem. Śmieci, wszędzie śmieci, wysypywały się już nie tylko do oceanów, ale i w kosmos.

– Może. Ale gdyby doszło do przerwania powłoki i dekompresji, tobyśmy już wiedzieli. – Machnął ręką Lafayette. – Nie ma się czym przejmować.

– Chyba że mikroasteroida uderzyła w panel słoneczny albo rozpraszacz ciepła... – rzuciła Devaki.

– Racja. – Lucy skinęła głową. – Trzeba to będzie sprawdzić.

– A jeśli to jednak coś w środku? – spytał Ezra.

– Niby co?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszył ramionami. – Dlatego warto sprawdzić.

– Sprawdzimy za... – Lucy spojrzała na zegarek – ...trzy minuty i piętnaście sekund.

– Uważam, że powinniśmy sprawdzić teraz.

Lucy przyjrzała się pilotowi. Nie rozumiała, o co mu chodzi. Co może być takie ważne, co więcej, takie pilne, żeby ryzykować wystawienie się na jeszcze większe promieniowanie? A może chciał w ten sposób zaznaczyć, że on inaczej rozegrałby tę sytuację, podjął lepszą decyzję?

– Dlaczego? – spytała po prostu.

Oczy uciekły mu w bok, w stronę otwartej śluzy. Przemyślał coś. Wzruszył ramionami.

– Nieważne – odparł. – Trzy minuty nas nie zbawią.

Steve Ayers uniósł kubek do ust. Kawa była zimna, lekko przepalona, na dnie unosiły się fusy. Nieważne, nawet nie odnotował jej smaku. Pił kawę czysto użytkowo, a właściwie można powiedzieć – zażywał, w równych interwałach, co kilka godzin. Nie byłby już w stanie powiedzieć, czy po to, żeby wyostrzyć umysł, czy żeby uniknąć potężnego bólu głowy, który dopadał go zawsze, gdy poziom kofeiny we krwi zbliżał się do zera. Nie był bynajmniej osamotniony w uzależnieniu: kiedy raz, jeszcze za czasów wahadłowców, zepsuł się ekspres w sali kontroli lotów, wybuchła panika. Woźny z zapasową kawiarką pędził melexem przez kampus niczym kierowca ambulansu z narządem do przeszczepienia. Od tego czasu zespół miał do dyspozycji dwa ekspresy. Kolejny dowód na to, że kluczowe systemy muszą być dublowane na wypadek awarii.

Steve był właśnie w tej sali, a raczej – piętro nad nią, w przeszklonej łoży, z której oficjele mogli dyskretnie obserwować pracę kontrolerów, nie przeszkadzając im przy tym, nie rozpraszać ich. Miał stąd doskonały widok na całe pomieszczenie. Jedną ze ścian zajmował ogromny ekran, jak w kinie, podzielony na kilka okien: mapa świata z naniesioną orbitą stacji, podgląd z kamer pokładowych, na zewnątrz i ze środka, zegary pokazujące czas w San Francisco, Kolonii, Moskwie, Tokio. Wreszcie obok –

trójwymiarowy model stacji, ukazujący jej aktualny kąt nachylenia i ustawienie względem Słońca.

Jej kształt był dziwny, kłuł w oczy. Zlepek modułów pączkujących w każdą możliwą stronę, najeżony antenami i wspornikami. Coś jak niepoprawnie złożona zabawka albo zgnieciony owad. Ludzki umysł miał problem z przyswojeniem tej bryły, był przyzwyczajony do jasnego porządku góra–dół, prawo–lewo, oczywistych symetrii i krzywizn wymuszonych przez grawitację oraz opór powietrza. Ale w kosmosie te prawa, zinternalizowane, intuicyjnie rozumiane, wszak nie obowiązywały. Tam budowano wedle innych, obcych ludzkiemu doświadczeniu prawideł.

Przed ekranem stało kilkanaście biurek, zastawionych monitorami i oplecionych kablami. Siedzieli przy nich kontrolerzy lotu, każdy odpowiedzialny za któryś z systemów stacji. Z tyłu sali znajdowało się stanowisko dyrektora lotu – był niczym generał, który obserwuje ze wzgórz ruchy swoich wojsk, przyjmuje raporty, wydaje rozkazy. Stacja była niezwykle skomplikowanym mechanizmem, dyrektor musiał więc myśleć wielowątkowo, dzielić uwagę, pamiętać o setkach współzależności. Zwłaszcza teraz, kiedy wprowadzono stan alarmowy.

– Flight, OSO – zatrzeszczało w uszach.

Steve poprawił słuchawki, podkreślił głośność. Był podłączony do kanału dyrektora lotu: to tu przekazywano najważniejsze informacje, tu ogłaszano kluczowe decyzje. Zabierać głos mogli tu jedynie kontrolerzy, Steve nie mógł więc w żaden sposób wpłynąć na rozwój wypadków, a gdyby stało się coś ważnego, od razu by go przecież poinformowano. Ale w sytuacjach kryzysowych wolał trzymać rękę na pulsie, być w centrum wydarzeń.

– OSO, słucham cię – odpowiedział niski głos. Należał do Roberta Schiffa, bieżącego dyrektora lotu.

– Mamy potwierdzenie od NOAA, że rozbłysk się zakończył.

– Przyjąłem. CAPCOM, status astronautów?

– Wszystko okej – padła odpowiedź.

- ADCO? – Robert zwrócił się do kolejnego kontrolera.
- Orbita poprawna.
- CRONUS?
- Pełna przepustowość na wszystkich łączach.
- SPARTAN?
- Panele sprawne – odparł męski głos. – Rozpraszacze ciepła sprawne.
- ETHOS?

Ostatni kluczowy kontroler. Ostatnie systemy.

– Chwila, Flight... Czekam na odczyt... – Pauza, pięć sekund, piętnaście, trzydzieści; Steve czuł, jak cierpie mu skóra. – Temperatura w normie, atmosfera pokładowa w normie.

Czyli rozbłysk słoneczny niczego trwale nie uszkodził, kryzys zażegnany, można odetchnąć. Ale czy na pewno? Dyrektor Ayers miał wrażenie, że z głosem kontrolera ETHOS było coś nie tak, zdawało mu się, że pobrzmiwał w nim niepokój. Wypatrzył go: siedział w drugim rzędzie biurek. Młody, włosy do ramion, plama potu na plecach, rękawy koszuli podwiniete do łokci. Może pracował od niedawna i był po prostu przejęty pierwszym kryzysem, może zestresował się tym, że nie miał gotowych danych, kazał dyrektorowi lotu czekać. A może działo się coś jeszcze; kontrolerzy nie zgłaszali problemów „górze”, jeśli uznawali, że nie mają one wpływu na bezpieczeństwo załogi ani statku i mogą być rozwiązane bez angażowania przełożonych. Kontroler musiał często w ułamku sekundy zdecydować, czy dana informacja powinna trafić do Flight, dyrektora lotu – który był zewsząd bombardowany informacjami, którego czasu nie można było marnować – czy też nie. Błąd w ocenie mógł być katastrofalny w skutkach, jeśli nie dla misji, to dla kariery kontrolera, który go popełnił. Steve wiedział o tym doskonale: sam kiedyś pracował w tym pokoju, też godzinami wpatrywał się w spływające po ekranach cyfry, nasłuchiwał raportów, wahał się: powiedzieć? Nie powiedzieć?

– CAPCOM, przekaz załodze, że ma wrócić do realizacji planu dnia – zarządził Schiff. – Ile jesteśmy do tyłu?

– Godzinę i dwanaście minut.

– Okej. – Dyrektor lotu skinął głową. – OPSPLAN, zadania, które miały zostać wykonane w tym czasie, przełożmy na kolejne dni.

– Przyjęłam, Flight. Przedstawię zaktualizowany grafik za dwie godziny.

– RIO, skontaktuj się z Moskwą i ustal, czy...

Pstryk. Steve już nie słuchał. Przełączał kanały, jeden za drugim, aż trafił na ten przeznaczony dla ETHOS, czyli *environmental and thermal operating systems*, systemów środowiskowych i termicznych, innymi słowy – mechanizmów odpowiedzialnych za podtrzymywanie życia na stacji, która krążyła w próżni, bez swobodnego dostępu do wody, tlenu, pożywienia, bombardowana radioaktywnymi cząstkami, na przemian nagrzewana do stu dwudziestu jeden i schładzana do minus stu pięćdziesięciu siedmiu stopni Celsjusza. Kontroler, który raportował do dyrektora lotu, był jedynie przedstawicielem większego zespołu, wierzchołkiem góry lodowej. Gdzieś w trzewiach tego gigantycznego betonowego budynku, kilka pięter niżej bądź wyżej, znajdował się pokój wypełniony po brzegi inżynierami, którzy dzień i noc obserwowali spływające dane telemetryczne, analizując każdy bit i bajt, wypatrując najsubtelniejszych odchyłeń od normy.

– ...to musiał być błąd w odczycie – Steve usłyszał czyjś głos.

– Na pewno? – spytał młody kontroler.

– Na pewno. Taki nagły skok nie ma żadnego logicznego uzasadnienia – wtrącił się ktoś trzeci.

– Poza tym praca aparatury była zakłócona przez rozbłysk.

– Mamy analogiczny wynik w bazie archiwalnej? – Chłopak z pokoju kontroli lotów nie odpuszczał. Dobrze, takich właśnie ludzi szukali: sumiennych, dokładnych. Upierdliwych.

– Nie. Tak jak mówię, to musiał być nieprawidłowy odczyt.

– Sprawdźcie jeszcze wyniki z SAM.

– SAM? – Szelest papierów. Inżynier na linii coś sprawdzał. – Jest teraz ustawiony na tryb MCA. A to urządzenie kontroluje Huntsville.

– To zadzwońcie i powiedzcie, żeby go przestawili na TGA.

Steve zdjął słuchawki. Rozmowa zesłała na technikalia, których nie rozumiał, ba, nie potrafiłby nawet rozszyfrować usłyszanych akronimów. Ale z tonu głosu wnosił, że to rutynowe działania. Taka była specyfika tej pracy. Jeśli działo się coś ciekawego czy, nie daj Boże, ekscytującego, mogło to oznaczać tylko jedno: coś jest nie tak. Przez większość czasu kontrolerzy odhaczali po prostu kolejne pozycje z długiej listy, zadawali te same pytania i na nie odpowiadali, dzień w dzień, noc w noc, i tak od dwudziestu kilku lat, odkąd na orbitę wyniesiono pierwszy moduł stacji.

Nie każdy to wytrzymał. Do NASA ściągali ludzie ambitni: osobowości alfa, liderzy szukający wyzwań, pasjonaci, którzy pragnęli popchnąć ludzkość do przodu. Spodziewali się, że każdy dzień będzie sprawdzianem, niczym w Star Treku, gdzie kapitan Picard to eksploruje nieznaną planetę, to odpiera ataki zdradliwych Ferengów, to ratuje zagubioną ekspedycję naukową przed wybuchem supernowej; co odcinek inna przygoda. Tymczasem głównie się nudzili, jednocześnie zmuszeni do utrzymania stanu maksymalnego skupienia, bo jeden błąd, przeoczony komunikat czy zbagatelizowane ostrzeżenie mogły oznaczać śmierć całej załogi. Tak jak w przypadku Challengera, który eksplodował z powodu wadliwej uszczelki, czy Columbii, która spłonęła w atmosferze, bo kawałek poliuretanowej gąbki – takiej samej, jaką zmywa się naczynia – uderzył przy starcie o skrzydło wahadłowca i uszkodził kruchą powłokę termoizolacyjną. Steve uważał, że kontrolerom lotu najbliższym jest do pracowników ochrony na lotnisku: większość z nich przez całą swoją karierę nie zobaczy niczego podejrzanego, ale ten jeden, jedyny raz, kiedy na ekranie pojawi się broń czy ładunek wybuchowy, muszą być gotowi, muszą zareagować – i to natychmiast, bo inaczej zginą ludzie. Nic zatem dziwnego, że większość kontrolerów lotu wypalała się po kilku latach. Ci,

którzy zostawali – którym nie przeszkadzała nuda podszyta stresem, dwunastogodzinne zmiany, zarwane noce – często płacili za to wysoką cenę. Tracili rodziny i przyjaciół, podupadali na zdrowiu. Tak jak Steve.

Mógł już wrócić do biura. Mało tego, powinien. Alarm odwołany, pora usiąść do e-maili, spotkań, kalendarzy, prezentacji. Jego sekretarka Jenny czekała już pewnie z całą listą nieodebranych połączeń oraz plikiem pilnych pism do podpisania. Steve postanowił jednak, że jeszcze poczeka – atmosfera sali kontroli lotu, pozbawionej okien, pogrążonej w nabożnej ciszy, sprzyjała pracy. Wyciągnął zatem laptopa i zaczął nadganiać zaległą korespondencję. Słuchawki leżały na stole, sączący się z nich baryton dyrektora lotu był jak biały szum. Co jakiś czas – kiedy Steve akurat unosił wzrok znad ekranu, kiedy sięgał po kubek z kawą – wyłapywał pojedyncze komunikaty. Lucy ćwiczyła na symulatorze wysięgnika CANADARM2. Ezra wymieniał filtry powietrza. Lafayette wrócił do pracy nad eksperymentami z użyźnianiem gleby. Devaki była na bieżni. Trzy godziny truchtu, żeby uratować kości przed rozpadem. A Rosjanie siedzieli u siebie i robili Bóg wie co.

Minęło pół godziny, Jenny przypominała o nadchodzącym spotkaniu. Steve westchnął, włożył komputer do torby. Miał już wychodzić, kiedy ze słuchawek doszły go głosy z pokoju kontroli lotów.

- Flight, ETHOS.
- ETHOS, słucham cię – odpowiedział Robert.
- Coś jest nie tak.

Grudzień 2021

LAMAR: Jest pan dyrektorem lotów od lat. Proszę powiedzieć, czy podobne odczyty odnotowano kiedykolwiek wcześniej?

SCHIFF: Nie. Nigdy.

LAMAR: Zgadza się pan z teorią, którą przedstawiła specjalistka Poplaski?

SCHIFF: Tak. To jedyne logiczne wytłumaczenie.

LAMAR: Jakie jest prawdopodobieństwo takiego ciągu zdarzeń?

SCHIFF: Jeden do siedmiu milionów.

Czerwiec 2021

SUKCES, pogratulował program ćwiczebny. *ZRESTARTOWAĆ SYMULATOR?* Lucy rozmasowała obolałe palce i wcisnęła guzik z napisem *TAK*. Trzecia godzina, podejście numer dwadzieścia siedem. Astronautka westchnęła ciężko.

Kiedyś, w lecie między jedną a drugą klasą liceum, zatrudniła się jako testerka w firmie robiącej gry komputerowe. Wymagania nie były duże: trzeba było wiedzieć, jak obsługiwać dżojstik. A ona była typowym dzieckiem lat osiemdziesiątych, miała w pokoju konsolę Nintendo podłączoną do dziewiętnastocalowego telewizora. W deszczowe popołudnia, nakryta kocem, przedzierała się przez mroczne pieczary Hyrulii, walczyła ze złowieszczym generałem Bisonem, wcielała się w bohaterskich komandosów ratujących świat przed inwazją obcych.

Koledzy ze szkoły jej zazdrościli: *Wow, będziesz grała cały dzień i jeszcze ci za to zapłacą!* Rzeczywistość była jednak mniej różowa. Studio, które ją

zatrudniło, robiło proste wyścigówki. Lucy testowała jedną z nich. Codziennie, przez bite osiem godzin, jeździła zlepionym z kilkuset wielokątów samochodem po tej samej trasie. Pierwszego dnia było nawet fajnie. Drugiego miała już trochę dość. Po tygodniu znała już każdy zakręt, wybój, znak i drzewo, była w stanie ukończyć przejazd z zamkniętymi oczami. Po miesiącu złożyła wymówienie, ale pikselowe powidoki jeszcze długo nawiedzały jej sny. Jak mówiła stara maksyma, w odpowiednio dużej dawce każde lekarstwo staje się trucizną. Lucy odkryła, że w odpowiednio dużej dawce każda przyjemność staje się torturą.

Teraz, kiedy była astronautką, też słyszała podszyte zawiścią westchnienia: *Wow, będziesz latała w kosmos i jeszcze ci za to zapłacą.* I też musiała powtarzać te same zadania, często raz za razem, dzień w dzień. Jednym z jej obowiązków na pokładzie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej było operowanie wysięgnikiem CANADARM2, mierzącym blisko dwadzieścia metrów metalowym ramieniem, za pomocą którego przechwytywano kapsuły towarowe, takie jak Cygnus. Zadanie było proste, ale – jak to zwykle w kosmosie – najmniejszy nawet błąd miałby opłakane skutki. Wystarczyło chybić o kilka centymetrów albo użyć nieco zbyt dużo siły, a kapsuła odbiłaby się od wysięgnika i uderzyła o stację, w najlepszym razie zakłócając jej orbitę, a w najgorszym – przerywając powłokę, co z kolei prowadziłoby do dekompresji kabin i być może śmierci całej załogi.

Dlatego każda czynność musiała być przećwiczona wiele – dziesiątki, setki, czasem tysiące – razy. Poprzedniego roku Lucy spędziła więc dwa miesiące w Kolonii, ćwicząc na symulatorze wysięgnika. Choć za każdym razem osiągała najlepszy możliwy wynik, bynajmniej nie zwalniało jej to z dalszego treningu. Teraz, kiedy była już na stacji, obsługa naziemna uznała, że najwyższa pora odświeżyć umiejętności. Lucy przechwytywała więc cyfrowe kapsuły raz za razem, aż rwało ją w nadgarstkach, aż dżojstik ślizgał się od potu. Uważała, że to bez sensu, mało tego – że to ustawiczne ćwiczenie zwiększa, a nie zmniejsza ryzyko wypadku, bo usypia mózg,

przerzuca kontrolę nad wykonywaną czynnością w obwody podświadomości. Tak jak wiele razy powtarzane słowo traci w końcu znaczenie, tak samo gubiły sens ponawiane nieustannie ruchy. Ale nie narzekała, więcej: nie mogła narzekać. Chętnych do kolejnych lotów nie brakowało, nie chciała, żeby przypięto jej łątkę malkontentki. Poza tym czy astronautom w ogóle wypadało wyrażać niezadowolenie? W końcu realizowała właśnie marzenia milionów. I za miliony.

SUKCES, ponownie wieszował komputer, *ZRESTARTOWAĆ SYMULATOR?* Lucy spojrzała na tablet z grafiką dnia, żeby sprawdzić, ile jeszcze podejść ma przed sobą. Ku jej zdziwieniu bloczek z napisem *CANADARM2 – ĆWICZENIA* skurczył się o połowę. Powstałe w ten sposób miejsce zajęła nowa pozycja: *WIDEOKONFERENCJA – CAPCOM (PRIV)*. Z ulgą zamknęła program ćwiczebny. Miała jeszcze pięć minut, dość, żeby wstąpić do modułu Unity i napełnić butelkę z wodą. Spotkała tam Ezrę, któremu przypadło jeszcze mniej wdzięczne zadanie: przeprowadzał inwentaryzację posiłków. Musiał otworzyć każdą szufladkę, wyciągnąć saszetki z jedzeniem, sprawdzić ich numery seryjne i odhaczyć z listy. Chociaż wszyscy trzymali się wyliczeń dietetycznych – jedli nie mniej i nie więcej, niż im przydzielono, co do kalorii – obsługa naziemna i tak nalegała, żeby weryfikowali stan zapasów co najmniej raz na dwa tygodnie. Najwyraźniej obawiali się, że jeśli tylko zabraknie zewnętrznej kontroli, astronauta zaczną podjadać ze spizarki, a potem będzie płacz, gdy głód zajrzy im w oczy. Superbohaterowie, których rozliczano z batoników.

Lucy weszła do kajuty i zamknęła za sobą drzwi. Adnotacja PRIV przy nazwie spotkania oznaczała, że rozmowa ma się odbyć bez świadków. Na ekranie laptopa pojawiła się twarz Anny Rathke, ich bieżącej CAPCOM, czyli *capsule communicator*, kontrolerki odpowiedzialnej za kontakt z załogą. Anna sama była kiedyś astronautką, latała w kosmos jeszcze na początku wieku. Jako jedyna osoba na dyżurze w Houston widziała stację

na własne oczy, wiedziała, jak to jest być tam, oglądać Ziemię przez okno, spowiadać się z każdej sekundy swojego czasu.

– Cześć. – Lucy zaparła się nogami o ścianę kabiny, żeby ograniczyć dryf.

– Co dla mnie masz?

– Więcej pracy, obawiam się.

– Nie ma problemu – odparła Lucy z uśmiechem. Dobra mina do złej gry.

– O co dokładnie chodzi?

– Po rozbłysku przeprowadziliśmy pełną diagnostykę systemów. Wszystko działa poprawnie, ale... – Pauza, westchnienie. – Mamy jeden niepokojący wynik. Chodzi o stężenie amoniaku w powietrzu. Przy ostatnim pomiarze wynosiło półtorej cząsteczki na milion, czyli w normie. Ale późniejszy odczyt pokazuje jeden przecinek siedemdziesiąt pięć. Na początku myśleliśmy, że to tylko błąd aparatury, ale kolejne pomiary potwierdzają ten wynik.

Amoniak. To słowo budziło jedno skojarzenie, jedną obawę.

– To wyciek z obwodów chłodzących? – spytała Lucy.

W ścianach części amerykańskiej, za panelami, ukryta była gęsta sieć plastikowych rurek, którymi płynęła woda. Krążąc po modułach, wchłaniała ciepło generowane przez wszechobecny sprzęt komputerowy i samych astronautów. Ale to ciepło gdzieś trzeba było oddać, wypchnąć, inaczej by się w końcu wszyscy ugotowali w tej stalowej puszcze, a okien wszak otworzyć nie mogli. Najprościej byłoby wyprowadzić rurki z wodą na zewnątrz stacji, by tam schłodził ją trzaskający mróz kosmosu. Problem w tym, że woda natychmiast by zamarzała, blokując dalszą cyrkulację płynu. Dlatego w kilku miejscach – oznaczonych licznymi jaskrawymi naklejkami z napisami UWAGA oraz RYZYKO ŚMIERCI – rurki z wodą stykały się z oddzielnym obwodem, którym płynął skroplony amoniak. Amoniak ma bowiem tę fantastyczną cechę, że zamarza dopiero przy minus siedemdziesięciu siedmiu stopniach Celsjusza, można było więc przepuścić go po zewnętrznej ścianie stacji, gdzie emitował w próżnię przejęte od

wody ciepło i wracał do wnętrza stacji, nim zaczął się krystalizować. Problem w tym, że amoniak jest również wysoce toksyczny. W temperaturze pokojowej zmienia się w gaz i miesza z powietrzem. Przy siedmiuset cząsteczkach na milion doprowadza do silnych podrażnień błon śluzowych. W stężeniu przekraczającym dwa tysiące cząsteczek na milion oznacza zaś śmierć w męczarniach. Gdyby któraś z rurek z amoniakiem na pokładzie pękła albo została przecięta, przekroczyliby ten próg w ciągu kilku minut. Jedyne, co wtedy im wówczas pozostawało, to uciec do części rosyjskiej – która była chłodzona odrębnym systemem – i zamknąć za sobą śluzy. Prawdopodobnie raz na zawsze.

– Nie wiemy – odparła Anna. – Jeśli tak, to mamy do czynienia z jakąś mikroperforacją. Gdyby otwór w obwodzie był większy, już byście to czuli. Oczywiście trzeba będzie to sprawdzić, ale na razie wydaje nam się, że źródło jest inne.

– To znaczy? Jakie?

– Cóż... Amoniak jest produktem ubocznym procesów metabolicznych, prawda?

O nie, pomyślała Lucy. Tylko nie to.

– Jest w moczu, pocie... Również kale... – dodała Anna, marszcząc lekko nos. – Wydaje nam się, że możecie mieć jakiś problem z toaletą. Jeśli zbiornik przecieka, to... mocz się ulatnia, a wraz z nim amoniak. Alternatywnie, istnieje możliwość, że puszki z... No wiesz...

– Wiem. Z gównem.

– Nasi chemicy użyli innego określenia, ale tak. Że te puszki nie zostały odpowiednio mocno zakręcone.

– Niech zgadnę... Mamy przejrzeć torby ze śmieciami i...?

– Tak. Upewnić się, że są szczelne. I sprawdzić, czy nie dochodzi do innych procesów gnilnych, które mogłyby być źródłem gazu.

– Pewnie, zrobi się – odparła Lucy. Uśmiech było jednak utrzymać coraz trudniej.

– Zarezerwujemy wam czas w grafiku. Zaczniecie już dziś po południu.

– Okej.

– I... Lucy?

– Tak?

– Flight prosił, żeby podkreślić, że to jest, wbrew pozorom, poważna sprawa. Skok o zero dwadzieścia pięć cząsteczki to niby niedużo... Ale limit dla amoniaku w atmosferze stacji wynosi dwie cząsteczki na milion. Jeśli nie znajdziemy źródła, jeśli go nie wyeliminujemy... – Urwała na chwilę; znacząca pauza. – Będzie trzeba rozważyć różne opcje.

– Na przykład jakie?

– Wszystkie. Łącznie z wcześniejszym powrotem.

Teraz Lucy zrozumiała, czemu wideokonferencja miała się odbyć bez świadków.

– To nie jest lekka przesada? – spytała. – Jeśli dobrze pamiętam, próg wyczuwalności amoniaku to dwadzieścia pięć cząsteczek na milion, nadal nam do tego daleko. Nic nam nie grozi.

– Zgadza się. Ale takie są procedury. Wasze bezpieczeństwo jest kluczowe.

Lucy stłumiła wzbierające westchnienie. Ryzyko. Po katastrofach wahadłowców NASA unikała go jak mogła. Czasem, tak jak w tym przypadku, popadając w absurd.

– Dobrze – powiedziała. – Dzięki za ostrzeżenie, potraktuję ten temat z należytą powagą.

– Świetnie. W takim razie to wszystko. Powodzenia.

Lucy zamknęła komunikator. Miała ochotę zostać chwilę w kabinie, odreagować narastającą frustrację – pooglądać koty w internecie, posłuchać muzyki, cokolwiek – albo chociaż przemyśleć na spokojnie to, co właśnie usłyszała. Ale nie, grafik nie pozwalał, czerwona kreska przesuwiała się nieubłaganie w dół grafiku, telekonferencja zakończona, następny punkt programu już rozpoczęty: obiad, dwadzieścia minut, żeby pożywić

organizm ściśle wyliczoną liczbą kalorii, kolejny posiłek dopiero za sześć godzin. Otworzyła więc drzwi kabiny, odbiła się od progu i poleciała ku Unity. Złapała uchwyt przymocowany do ściany, przekreśliła świat o sto osiemdziesiąt stopni i wpłynęła do modułu. Było tu ciasno, poza Ezrą, Devaki i Lafayette'em pojawił się też Anton.

- O, jest i pani kapitan. – Rosjanin zsalutował, puścił jej oko.
- Czemu zawdzięczamy tę przyjemność...?
- Och, jestem tu w duchu międzynarodowej współpracy, dialogu...
- Anton chce wymienić kawior na bekon – wszedł mu w słowo Lafayette.

Miał pełne usta, okruch jedzenia wyrwał się na wolność i pofrunął przezabinę.

- Trzy puszki za jedno opakowanie. To dobry, jak wy to mówicie, deal.
- Może. – Ezra otworzył pudełko z makaronem. – Ale chętnych brak.
- Ech, perły przed wieprze... – Rosjanin pokręcił głową.
- Wieprze nie chcą bałaganu w dokumentach.
- No tak, racja, zapomniałem, że u was taki porządek. Może ty, Lucy?

Hm? – Anton wyciągnął puszkę z kieszeni. – Z bieługi. Najlepszy na świecie.

- Nie wątpię. Ale podziękuję.
- Kiedyś miałaś więcej luzu, wiesz?

Nie odpowiedziała na tę zaczepkę. Wyjęła pierwszą z brzegu tackę i kilka saszetek ostrego sosu. W stanie mikrogravitacji gorące powietrze nie unosi się, tylko tworzy bąbel wokół talerza. Aromat jedzenia nie dociera więc do nosa, nie aktywuje receptorów węchowych. Wszystko smakuje jak styropian.

- Nie to nie. – Anton zdarł pokrywkę z puszki i oblizał wieczko.
- Co w ogóle porabiacie? – spytał Lafayette. Wydawał się szczerze zainteresowany albo doskonale udawał.

– Ach, przeprowadzamy kluczowe dla ludzkości eksperymenty. – Anton wisiał w powietrzu, ze skrzyżowanymi kolanami, niczym fakir. – Ja,

wyobraźcie sobie, uprawiam sałatę, Lew zaś hoduje ślimaki.

Na twarzach astronautów pojawiły się drwiące uśmiešky. Program badawczy Roskosmosu był przedmiotem wielu żartów. W związku z wieloletnim opóźnieniem instalacji modułu Nauka rosyjska część stacji była pozbawiona aparatury potrzebnej do przeprowadzania skomplikowanych eksperymentów. Rosjanie nie mieli więc zbyt wielu zajęć, poza sprzątaniami i naprawami rzecz jasna. W typowo słowiańskim duchu radzili sobie, improwizując i majsterkując. Coś z niczego, jakoś to będzie. Na przykład zamontowali w starym skafandrze Orłan ładowane bateriami słonecznymi radio, tworząc w ten sposób humanoidalnego satelitę, i wypchnęli go w kosmos. Po co? Po nic. Innym razem grali tygodniami w *Tetris*, żeby sprawdzić, czy w stanie mikrogravitacji mają inny czas reakcji niż w warunkach 1 g (otóż: okazało się, że tak, ale wiedziano to już od lat sześćdziesiątych). Albo wyglądali przez okno ku Ziemi i wypatrywali nadciągających huraganów (co robiły już liczne satelity, i to znacznie lepiej). Jako że te eksperymenty budziły głównie politowanie społeczności międzynarodowej, w odpowiedzi Roskosmos zataił informacje na temat zajęć swoich załogantów. *Wot i problema niet.*

– Ślimaki, mówisz? – spytał Lafayette.

– Tak. Chcemy sprawdzić, jak będą się rozwijać w stanie nieważkości.

– I jak?

– Na razie nam wychodzi – Anton załadował kopiastą łyżkę kawioru do ust – że tak samo jak na Ziemi.

– Szykuje się Nobel – wtrącił Ezra. Nie spuszczał z Rosjanina oczu, nie mrugał. Powiało chłodem. Nic dziwnego: obaj byli pilotami wojskowymi, obaj byli przygotowywani latami do wojny, w której stanęliby naprzeciwko siebie.

– Też tak myślę. – Anton zignorował zaczepkę. – A jak twój telefon z Ziemią, Lucy?

– Słucham? – zdziwiła się. Skąd wiedział, że ta rozmowa się w ogóle odbyła? Jej grafik nie był dostępny dla reszty załogi. Chyba że zapomniała wylogować się z któregoś z tabletów.

– No, o czym gadaliście?

– O niczym ciekawym.

Anton przekrzywił głowę, przyglądał jej się badawczo. Jego wzrok ją drażnił.

– Tak? – rzuciła cierpko. – Jeszcze jakieś pytania?

– Nie, pani kapitan. Raczej rada.

– Słucham?

– Nie graj w pokera – odparł Anton, po czym zniknął w korytarzu prowadzącym do rosyjskiego skrzydła.

Dzień Steve’a przyspieszył. Spotkanie za spotkaniem, liczące setki slajdów prezentacje, góra papierów. Nie wiadomo kiedy zrobiła się pierwsza i trzeba było pójść na przerwę obiadową, nie wiadomo kiedy zrobiła się szósta i biuro zaczynało pustoszeć. Za oknem ciemniało. Steve włączył lampkę. To był stary, prosty model: klosz w kształcie stożka, gięta stalowa nóżka, ciężka owalna podstawka wyszczerbiona w kilku miejscach. Przydzielono mu tę lampkę, kiedy zaczął tu pracować, trzydzieści kilka lat temu. Zabierał ją ze sobą przy każdej biurowej przeprowadzce, z piętra na piętro, z jednego szczebla drabiny na drugi. Wystawała z tekturowego pudła jak ciekawski pies, który wygląda przez okno samochodu.

Jenny, jego sekretarka, namawiała go wiele razy, żeby wymienił sprzęt na nowszy model, który będzie godnie się prezentował na dyrektorskim biurku, ale Steve stanowczo odmawiał. Niektórzy podejrzewali, że jest przywiązany do tej lampki z pobudek sentymentalnych: że przypomina mu ona o starych dobrych czasach, o młodości. Prawda była bardziej przyjemna.

Po pierwsze, kiedy przesuwano się przełącznik z pozycji OFF na ON, wydawał z siebie głośne metaliczne kliknięcie. Steve – inżynier z wykształcenia, powołania i temperamentu – wyobrażał sobie wówczas, jak zamyka się obwód, jak po kablach zaczynają pędzić elektrony, jak ich pęd rozgrzewa zamknięty w szklanej bańce wolframowy drucik, aż ten zaczyna się żarzyć, a wszystko to w ułamku sekundy, w efekcie lekkiego dotknięcia, za sprawą ludzkiego geniuszu, dzięki niezliczonym pokoleniom eksperymentatorów, majsterkowiczów i szaleńców.

Steve w ogóle lubił wszelkiego rodzaju mechanizmy: przekładnie, koła zębate, guziki. Chciał rozumieć, co wpływa na co, co się przesuwa i gdzie. Słowem, był człowiekiem ery analogowej, który postrzegał świat w kategoriach fizyki newtonowskiej, akcji i reakcji, jasnych ciągów przyczynowo-skutkowych. Nie przepadał więc za urządzeniami cyfrowymi, które ukrywały logikę zdarzeń za milionami zer i jedynek, przenosiły je w wymiar, którego człowiek nie był w stanie postrzegać zmysłami. Nie podobało mu się, że w jego nowym samochodzie nie ma bezpośredniej przekładni między pedałem gazu a silnikiem, że we wszystkim musi pośredniczyć komputer. Nie podobał mu się jego telefon, prostokąt złożony z dwóch warstw, hartowanego szkła i polerowanego metalu, zaplombowany i zazdrośnie strzegący swoich tajemnic. Nie podobały mu się wreszcie nowe lampki, które aktywowało się bezgłośnie muśnięciem, które nie udzielały żadnej informacji zwrotnej, żadnego *klik*, *pstryk* ani *pyk*.

Poza tym wspomniana lampka rzucała wąski snop światła, niczym reflektor w teatrze. Pomagało się to skupić na pracy. Liczyło się tylko to, co wydobyte z ciemności: rozłożone na biurku dokumenty, samoprzylepne karteczki, ołówek o twardości 2H. Całą resztę spowijał mrok, przestawała się liczyć, znikająca z pola widzenia. Meble ustawione pod ścianami. Drzwi, przez które mógł wyjść. Dom, do którego mógł pojechać.

Lubił ten moment: koniec dnia, kiedy cichną kroki na korytarzu, głosy w kantynie, telefony na biurkach. Wreszcie nikt niczego od niego nie

chciał, wreszcie mógł zająć się tymi sprawami, które uważał za naprawdę ważne (aktualnie: kwestia amoniaku, bo wciąż nie udało się przekonująco wyjaśnić, skąd wzrost jego stężenia). Potrafił wtedy siedzieć za biurkiem długimi godzinami, do późnej nocy, całkowicie pochłonięty pracą, wyciągnięty poza nawias codzienności. Każde ciało, choćby najmniejsze, jest przyciągane i przyciąga, jego ruch determinują setki współzależności, a jego spoczynek to efekt ich perfekcyjnej równowagi. Na Steve'a te siły jakby nie działały, nikt i nic nie wpływało na trajektorię jego życia, nie umiało uwięzić go w swojej orbicie. Opiekę nad dziećmi pozostawiał żonie, pierwszej, drugiej, w końcu trzeciej. Przegapiał chrzciny, śluby i pogrzeby. Wbijał noże w plecy, wyciągał dywan spod stóp, nieszczerze schlebiał i szczerze groził. Wszystko dla ludzkości, tak to sobie tłumaczył, tak zagłuszał sumienie. Niczym obiektyw szerokokątny, widział tylko dalszy plan, nie umiał skupić się na szczególe. To, co daleko, na horyzoncie, było krystalicznie czyste; to, co przed nim – rozmytą plamą.

Drrrrryń. Dzwonek telefonu wyrwał go z zamyślenia. Jenny. Teoretycznie skończyła już pracę, ale czekała, aż on pójdzie do domu, a Steve czekał nie wiadomo na co – inżynierowie mieli przedstawić briefing na temat amoniaku dopiero jutro rano. Odblokował ekran, choć dopiero za drugim razem. Spocony palec ślizgał się po idealnie płaskiej tafli.

– Tak? – spytał.

– Mam na linii dyrektora Rybkina. Prosi o rozmowę, mówi, że to pilne. Mogę łączyć?

– Pewnie.

Usiadł za biurkiem, przełączył telefon stacjonarny na tryb głośnomówiący i splótł palce na blacie. Spodziewał się, że rozmowa nie będzie ani łatwa, ani przyjemna.

– *Dobryj wieczor*, Jurij – zaczął Steve. Jego rosyjski był fatalny, ale wtrącenie jednego chociaż słówka było miłym gestem, skinieniem głowy,

które podkreślało, że oba języki, obie agencje są sobie równe. Nawet jeśli od dawna tak już nie było. – Jak się miewasz?

– Podobno macie wyciek.

– Na razie nic na to nie wskazuje.

– To skąd się bierze amoniak? – spytał Rosjanin.

– Cieszę się, że pytasz. Będziemy to ustalać.

Rybkin prychnął. Nie znosił tego rodzaju okrągłych formułek, dyplomatycznych wybiegów. Oczywiście Steve doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Dlatego właśnie ich używał. Wiedział, że im bardziej wytrąci rozmówcę z równowagi, tym bardziej ten odsłoni swoje karty.

– Mydlicie nam oczy.

– Zapewniam cię, że tak nie jest – odparł Ayers. – Macie dostęp do tych samych danych co my. Tak, aparatura zarejestrowała niewielki skok w stężeniu tego gazu, ale dynamika przyrostu nie wskazuje na wyciek z obwodu chłodzącego.

– Tam są moi ludzie. Oddychają tym samym powietrzem.

– Jestem tego świadomy.

– Kiedy rozwiążecie problem?

– Na razie to nie jest nawet problem.

– Kiedy?

– Jak najszybciej oczywiście.

Cisza w słuchawce. Steve nie spieszył się, żeby ją przerwać.

– Od początku zwracaliśmy wam uwagę, że chłodzenie amoniakiem to zła decyzja – ciągnął Rosjanin. – Że to jest tykająca bomba.

– Tak, pamiętam. Byłem przy tym – zgodził się Ayers. – Czego ode mnie oczekujesz, Jurij? Że cofnę się w czasie?

– Powiem ci, czego ty możesz oczekiwać. Adekwatnej reakcji.

Steve uniósł brwi.

– To znaczy?

– Jestem odpowiedzialny za zdrowie mojej załogi. I będę je chronił.

- W jaki sposób?
- Powiedziałem, co miałem do powiedzenia.
- Cóż, w takim razie dziękuję ci za twój czas. *Do swidanija.*

Klik, połączenie zostało przerwane. Steve odchylił się w krzesło, założył ręce za głowę. Ciekawa rozmowa, pomyślał. Jeszcze ciekawsze, po co się odbyła.

Houston podzieliło astronautów na dwa zespoły. Devaki i Ezra mierzyli stężenie amoniaku w poszczególnych sekcjach stacji, używając elektronicznych czujników i rurek Drägera. Lucy i Lafayette zostali skierowani do modułu BEAM. Zainstalowano go w 2016 roku, w celach eksperymentalnych. W odróżnieniu od pozostałych modułów, które były sztywnymi stalowymi puszkami, BEAM był nadmuchiwany, jak balon. Gdyby tego rodzaju konstrukcja się sprawdziła, budowanie następnej stacji kosmicznej byłoby znacznie prostsze i tańsze. Największym problemem – i źródłem kosztów – w takim przedsięwzięciu było bowiem wyniesienie komponentów na orbitę, pokonanie ziemskiej grawitacji. Każdy odjęty kilogram przekładał się więc na dziesiątki, jeśli nie setki, tysięcy dolarów oszczędności. A zatem moduł, który można było, niczym plażowy materac, złożyć na czas transportu w kostkę i wypełnić gazem dopiero na orbicie, mógł okazać się przełomowy. Firma, która go wyprodukowała – Bigelow Aerospace – chciała zbudować pierwszą prywatną stację kosmiczną, latający wokół planety hotel, a potem, kto wie, może również spa i kasyno. Masaż gorącymi kamieniami z widokiem na Ziemię to by było coś!

Niestety, skończyło się na marzeniach. Bigelow Aerospace splajtowało, a stacja zyskała pusty, bezpieczny moduł. Szybko go jednak zagospodarowano: na śmietnik. Astronauci nie mieli do swojej dyspozycji zmywarek, pralek ani pryszniców, nie wspominając o kanalizacji. Wszystko było więc jednorazowe, wszystko prędzej czy później stawało się odpadem, a stacja nie cierpiała bynajmniej na nadmiar wolnej przestrzeni – jej mieszkańcy ciągle więc szukali miejsca, gdzie można byłoby upchnąć

jeszcze jeden worek, jeszcze jedno pudło. Zabawnie to kontrastowało z pojazdami kosmicznymi z filmów science fiction, gdzie wszystko jest lśniące, czyste i wysmakowane, jak gdyby zostało zaprojektowane przez włoskich designerów. Tymczasem na stacji liczyła się funkcja, funkcja i jeszcze raz funkcja; jeśli twórcom ISS przyświecała jakakolwiek doktryna estetyczna, to był nią *horror vacui*. Z każdej powierzchni wystawał jakiś kabel, guzik, panel, wszędzie były schowki, szufladki i paski rzepów, łatwo było się o coś zaczepić, zadrapać, uderzyć.

– Okej, miejmy to za sobą – powiedział Lafayette, kiedy zawisnęli przed wejściem do BEAM. – Ja biorę kontenery A i B, ty C i D. W porządku?

– W porządku.

Wzięli się do pracy. Procedura była prosta: otwierali worki ze śmieciami, weryfikowali, czy torebki z przepoconą bielizną są ciasno zawiązane, a metalowe puszki z fekaliami mocno zakręcone. Sprawdzone worki przerzucali do sąsiadującego modułu. Żeby im nie uciekły, powiązali je ze sobą. Brzmi prosto, ale okazało się męczące, zwłaszcza walka z zakrętkami. Jeśli źle się ustawili – jeśli nie zaparli się uprzednio rękami bądź nogami o ścianę – to zamiast je przekręcać, sami zaczęli obracać się wokół puszek. Ciężar nie ma znaczenia, liczy się tylko ruch. Kolejny urok mikrogravitacji. Wkrótce oboje byli złani potem. Ale botanik nie zwalniał, nie szukał wymówek, nie przestawał się uśmiechać. Choć wszyscy przylecieli tu z Ziemi, to on miał najdłuższą drogę, to on pokonał najwięcej przeszkód. Czarny, biedny i do tego gej – zawsze miał pod górkę, zawsze zaczynał na minusie. Dopiero po latach, kiedy oślim uporem dorobił się doktoratu z prestiżowej uczelni, wyciągnięto ku niemu rękę. To ładnie wyglądało, można się było poklepać po plecach: patrzcie, w Ameryce każdy ma szansę, tu każdy może zrealizować swój wielki *dream*. Może, ale nie każdy chodził do szkoły ulicami poznaczonymi przez dziury po kulach, nie każdy latami nie dojadął, nie każdy pracował przez lata szesnaście, osiemnaście godzin na dobę, żeby tylko utrzymać się na powierzchni.

– I jak? Znalazłaś coś? – spytał Lafayette.

– Nie.

– Tak między nami to trochę bez sensu. – Botanik otarł mokre czoło rękawem. – Co najwyżej pogarszamy sprawę.

– Dlaczego?

– Amoniak jest w pocie. Przeciętna osoba generuje pięćdziesiąt miligramów dziennie. Ja już pewnie dorzuciłem drugie tyle.

– To zrobmy przerwę – zarządziła. – Niech się przewietrzy.

Lafayette skinął głową. BEAM był tak zagracony, że cyrkulacja powietrza była tu wolniejsza niż w pozostałych częściach stacji. Wydychany przez nich dwutlenek węgla zalegał w module, tworzył bąbel. Centrum kontroli lotów poinstruowało ich, że nie mogą przebywać tu dłużej niż dwie godziny bez przerwy, inaczej mogliby zacząć cierpieć na niedobór tlenu. Albo inaczej: cierpieliby na jeszcze ostrzejszy niedobór tlenu. Usuwanie dwutlenku węgla z atmosfery stacji od początku było problematyczne – służące do tego filtry CDRA były mniej wydajne, niż zakładano, a do tego ciągle się psuły. Stężenie CO₂ było tu więc kilkukrotnie wyższe niż na Ziemi, co przekładało się na bóle głowy, problemy z pamięcią i koncentracją. Astronauci regularnie się na to skarżyli, ale nic się nie zmieniało: poziom dwutlenku węgla, w przeciwieństwie do amoniaku, mieścił się bowiem w normach, a z normami się nie dyskutowało. Nawet jeśli zdawały się odklejone od rzeczywistości.

– Wody? – zaproponowała Lucy.

– Dzięki. Mam swoją.

– Jesteś pewien, że to ślepy zaułek?

– W stu procentach. – Lafayette odkorkował butelkę i wysunął składaną słomkę. Pieluchy, słomki, śpiworki. Kosmos jakby ich cofał w rozwoju, upupiał. – Stężenie skoczyło o zero dwadzieścia pięć cząsteczki na milion, tak? Całkowity wolumen atmosfery na stacji to dziewięćset piętnaście metrów sześciennych... Filtry węglowe są w stanie usunąć cztery gramy

amoniaku przy każdej cyrkulacji powietrza, czyli co godzinę... Nie wiem, jaka jest emisja amoniaku z metra sześciennego gówna, to by trzeba było sprawdzić, ale zakładam, że jakieś dziesięć–piętnaście miligramów... – Lafayette podrapał się po głowie, ruszał bezgłośnie ustami. – No, musielibyśmy tutaj znaleźć rozlane szambo, żeby matematyka się zgadzała.

– Na Ziemi pewnie też to ktoś policzył.

– Pewnie tak.

– A mimo wszystko nas tu wysłali. Czemu?

Lafayette rozejrzał się wokół. Wiedziała, czego wypatruje: najbliższej kamery. W ramach transparentności – *patrzcie, nie jesteśmy agencją wojskową, gdybyśmy byli, tobyśmy tego nie robili* – NASA transmitowała na żywo podgląd ze stacji. Większość czasu pokazywano obraz z zewnątrz: brząsk słońca wyłaniającego się zza krawędzi planety, woal zórz polarnych, kłębiące się chmury i inne pocztówkowe widoczki. Ale czasem, dla urozmaicenia, pokazywano też ujęcia ze środka: astronautów w laboratorium, na bieżni, przy posiłku. Bez dźwięku co prawda, ale z ruchu ust też dało się wiele wyczytać. Wyjątkiem była część rosyjska, tam kamer nie zainstalowano.

– Żeby zrobić cokolwiek – powiedział Lafayette. – Żeby było wrażenie, że działamy. Bo oni nie mają pojęcia, co się dzieje. Gdyby pękły obwody chłodzące, przyrost byłby gwałtowny. Gdyby rzeczywiście chodziło o śmieci albo nieszczelny kibel, przyrost byłby minimalny, nawet byśmy o tym nie wiedzieli. A jesteśmy gdzieś pomiędzy. Na co nie ma żadnego logicznego wytłumaczenia.

– Mikroperforacje?

– Okej, ale wtedy dostalibyśmy komunikat o spadku ciśnienia płynu.

– Błąd w pomiarach? – Lucy rzuciła kolejną hipotezę. – W końcu dopiero co dostaliśmy wiatrem słonecznym.

– Też tak myślałem, że SAM wariuje – odparł botanik. – Ale Devaki mówi, że drągera pokazuje to samo. Zastanawiałem się, jakie jeszcze mogą

być inne źródła... Nowy sprzęt odgazowuje jeszcze przez jakiś czas, wiesz, jak mebel, który parę tygodni pachnie lakierem, albo nowy samochód... Ale to są naprawdę minimalne wartości, zresztą niczego dużego ostatnio nam nie przysyłali...

– Nic innego nie przychodzi ci do głowy?

– Znaczący, wiesz... Gdybyś mi kazała wyprodukować amoniak, to nic łatwiejszego, to jest przecież prosta do uzyskania substancja. Ale tu mówimy o przypadkowej emisji, produkcie ubocznym jakiejś zachodzącej w tle reakcji. No i to akurat z niczym się nie klei. Nie wiem... – Botanik westchnął. – Może w trakcie rozbłysku doszło do abordażu i na pokładzie ukrył się bardzo potliwy intruz.

– Ciekawe. – Uśmiechnęła się. – Przedstawię tę hipotezę Houston.

– Okej, ale pod swoim nazwiskiem.

– Słuchaj, a z innej beczki... Coś się stało między tobą a Ezrą?

Botanik przyglądał jej się badawczo.

– Czemu pytasz?

– Bo muszę. Wiesz przecież.

– Nie lubię go. – Lafayette wzruszył ramionami. – Tyle.

– Za co?

– Za całokształt – odparł, po czym odbił się w stronę BEAM. Może nie chciał, żeby myślała, że kabluje na kolegę, może nie dość jej ufał, żeby się zwierzać. Zresztą czy on i Ezra mogli się kiedykolwiek dogadać? Obaj byli z Ziemi, z jednego kraju, ale jednak z różnych światów, spotkać się mogli tylko tu, na orbicie.

Lucy dołączyła do botanika, zakasała rękawy. Pracowali dalej w milczeniu, sumiennie, choć bez przekonania. Wkrótce moduł pełen był kropli potu. Skrzyły się w świetle ledowych lamp, ustawiały w skomplikowane konstelacje, łączyły jedna z drugą, a potem wędrowały, niby po niewidzialnej ścieżce, ku wentylatorom. Tam wilgoć zostanie przechwycona i przefiltrowana; jutro będą pili odzyskaną w ten sposób

wodę do śniadania. Lucy nigdzie nie czuła się tak świadoma swojej materialności jak w kosmosie. Była zlepkiem miliardów cząsteczek, chemicznym reaktorem, który ciągle, dzień i noc, emitował odpady i gazy.

Zegar pokładowy pokazał dwudziestą pierwszą trzydzieści. Światła przygasły, wentylatory zmniejszyły obroty. Grafik Lucy zawierał już tylko dwie pozycje: *CZAS WOLNY*, do dwudziestej drugiej trzydzieści, a potem, aż do poranku następnego dnia: *ODPOCZYNEK*. Oczywiście, nikt ich nie rozliczał z tego, o której dokładnie poszli spać, nie musieli czytać przy latarce, ale nie znała nikogo, kto zarywałby na stacji nocie. Dni były wyczerpujące i bez tego: ciągły wyścig z czasem, nieustający hałas, obowiązkowe trzy godziny na siłowni; to wszystko robiło swoje. Sen był zaś płytki i porwany, każdej nocy budziła się kilkanaście razy: czasem dlatego, że rozregulowany błędnik wysyłał spanikowane sygnały, czasem dlatego, że nerwy wzrokowe, trafione i aktywowane zabłąkaną kosmiczną cząstką, rozbłyskiwały nagle oślepiającym ogniem. A zatem: miała godzinę, żeby się umyć, przebrać, sprawdzić prywatną skrzynkę pocztową i dzwonić się z Nate'em. Miała nadzieję – i jednocześnie czuła z tego powodu wyrzuty sumienia – że ich rozmowa będzie krótka. Kochała go, kochała go dojrzałą, świadomą miłością, zahartowaną latami wspólnej codzienności, ale potrzebowała trochę czasu dla siebie. Na ułożenie planu.

Musiała bowiem działać. Doszła do wniosku, że Lafayette miał rację: kontrolerzy lotu rzeczywiście nie wiedzą, co się dzieje, pozorują działania. Astronaucci zwykle mogli na nich polegać, może nawet polegali za bardzo, jak dzieci, które nie myślą o konsekwencjach swoich czynów, bo ciągle są pod nadzorem dorosłych, którzy zawsze ostrzegą, pomogą, doradzą, *nie dotykaj, to jest ała*. Tym razem jednak wyglądało na to, że zastępy inżynierów i chemików nie mają dla nich gotowego rozwiązania, a ich hipotezy się nie potwierdziły. Testy, które przeprowadzili Devaki i Ezra za pomocą rurek Drägera, wskazywały, że stężenie amoniaku jest podobne we wszystkich modułach – chociaż przy tak niewielkiej ilości trudno było

o precyzyjne pomiary. Ostatni odczyt z aparatu SAM pokazywał już jeden przecinek osiem cząsteczki na milion. Granice akceptowalnej normy były więc coraz bliżej, zegar tykał coraz głośniej.

Lucy wycisnęła pastę na szczoteczkę. Jedna rzecz nie dawała jej spokoju. Czemu do wzrostu stężenia amoniaku doszło tuż po rozbłysku? Między jednym a drugim nie było oczywistego związku, ale zbieg okoliczności byłby zbyt wygodnym wytłumaczeniem. Wyrzucone przez słońce cząstki mogły uszkodzić elektronikę, zakłócić pracę komputerów – również tych odpowiedzialnych za kontrolowanie systemów podtrzymujących życie – jednak według obsługi naziemnej żadne takie problemy nie nastąpiły. Może ten huk, który rozległ się, kiedy już schronili się w Harmony, miał z tym coś wspólnego? Może coś się wtedy oberwało, pękło, popsuło? Jeśli nie wewnątrz stacji, to może na zewnątrz? Ale przecież tam też były kamery i czujniki, jakakolwiek awaria zostałaaby natychmiast wykryta.

Lucy wróciła do kabiny, nadchodził czas, żeby zdzwonić się z Nate'em. Nim nacisnęła odpowiedni przycisk, rozmasowała twarz, poprawiła włosy. Wiedziała, że jeśli będzie wyglądała na zdołowaną czy przejętą, Nate natychmiast to wyczuje i nasiąknie tymi emocjami. Dawno temu wyrobiła sobie nawyk ukrywania przed nim niewygodnych spraw, przynajmniej tak długo, jak tylko się dało. Dostali pismo, że spóźnili się ze spłatą karty kredytowej? Darła je na drobne kawałki i robiła przelew z własnego konta. Złe wyniki u lekarza? Lepiej to przemilczeć do następnej wizyty, może w międzyczasie coś się poprawi. Tłumaczyła sobie, że w ten sposób chroni go przed niepotrzebnym stresem – i była to prawda, choć niepełna. Równie ważne było to, że dzięki tym małym białym kłamstwom oszczędzała sobie konieczności zajmowania się jego obawami. System działał, związek funkcjonował, ale efekt uboczny był taki, że Lucy żona była równie nieprawdziwa co Lucy astronautka, obie były figurami stworzonymi na użytek innych, obie ważyły każde słowo, ściśle kontrolowały emocje i mimikę. Obie były tym wyczerpane.

Nate pojawił się na ekranie. Był już w piżamie, włosy sterczały mu na wszystkie strony.

– Hej! – Uśmiechnął się na jej widok.

– Hej, hej. Masz kukuryku.

– Gdzie? – Odruchowo uniósł rękę do głowy.

– Za uchem, z lewej.

– Tu?

– Aha. Co u was? Eliza już śpi?

– Tak. – Nate skinął głową. – Uparła się, że doczeka, ale w końcu ją zmogło.

– Wyślij mi jakieś zdjęcie.

– Pewnie. Zrobię jutro. Słuchaj... – Nate podrapał się za uchem, poprawił okulary. – Słyszałem, że znowu macie jakiś problem?

Aha, pomyślała, czyli już wyszło szydło z worka.

– Wiesz, tu zawsze jest jakiś problem – odparła. – Kto o tym pisze? Berger? Coving?

– Nie. TASS wypuściło komunikat.

– No tak – westchnęła. – Rosjanie muszą być zachwyceni, że dla odmiany popsuło się coś po naszej stronie.

– Faktycznie, taki był ton tej depechy... Wiadomo już, o co chodzi?

– Nie. – Pokręciła głową. – Słuchaj, a co u twojej matki? Doszła do siebie?

– Trzyma się. Zmienili jej leki. To co zrobicie?

– Nie wiem. – Lucy wzruszyła ramionami. Próba zmiany tematu się nie powiodła. – Co wymyśli Houston.

– Bo to brzmi groźnie.

– Nie, nie, jest w porządku, naprawdę – uspokajała. – Musimy tylko ustalić źródło.

– Okej. Ale bądź ostrożna.

Stłumiła westchnienie.

– Kochanie, przy tym stężeniu to nie ma żadnego wpływu na moje zdrowie – powiedziała. Powoli, jak do dziecka.

– Nie o to mi chodzi.

– A o co?

Znowu podrapał się za uchem. Robił tak, kiedy się denerwował.

– No, nie podoba mi się to po prostu – powiedział. – Ta sekwencja zdarzeń. Za dużo naraz.

– Pech, i tyle.

– Po prostu uważaj na siebie.

Powinna się uśmiechnąć, podziękować, znowu spróbować zmienić temat. Ale była zmęczona i poirytowana, sznureczki, którymi ciągnęła za kąciki ust, brwi, struny głosowe, wyslizgnęły jej się z palców.

– Czyli co mam zrobić, tak właściwie? – spytała. – Brać co drugi oddech?

Od razu pożałowała tych słów, tego tonu, od razu zrobiło jej się głupio. Przecież chciał dobrze. Przecież tyle dla niej poświęcił. Przecież ją kochał.

– Nie wiem, Lucy.

– Hej... – wyszeptała. – Przepraszam. To było niepotrzebne.

– Nic się nie stało. Chciałem tylko powiedzieć, że ja na twoim miejscu miałbym oczy dookoła głowy.

Mimo późnej pory w dinerze był spory ruch. Większość stolików była zajęta, z głośników leciało country – podmiot liryczny piał peany na cześć gór Wirginii Zachodniej – a w powietrzu unosił się zapach smażonego bekonu. Za oknem migwały światła samochodów pędzących po drodze międzystanowej, ryczały potężne silniki ciężarówek. Steve przerzucił laminowane strony jadłospisu, aż dotarł do działu *ŚNIADANIA – SERWOWANE CAŁĄ DOBĘ*.

– Dla mnie będą naleśniki i kawa – powiedział.

– Z mlekiem? – spytała kelnerka. Czerwony lakier łuszczył jej się z obgryzionych paznokci.

– Nie, czarna. A ty, Kevin? Co zamawiasz? Ja stawiam.

Mężczyzna po drugiej stronie stołu miał na sobie wygniecioną, krzywo zapiętą koszulę. Odłożył menu na stół, wytarł palce o spodnie.

– Dla mnie tylko herbata – mruknął. – Jakaś bezkofeinowa, jeśli można.

– Rumianek?

– Niech będzie. – Skinął głową.

– Robi się.

Steve międlil saszetkę z cukrem. Kryształki chrzęściły między palcami.

– Przepraszam, że wyrwałem cię z łóżka – powiedział. Niezupełnie szczerze. Taka praca, i tyle.

– Nie ma sprawy.

– Masz dzisiaj zmianę?

– Tak. – Kevin stłumił ziewnięcie, przeciągnął się. – Zaczynam za pięć godzin.

– Dobrze. Będę się streszczał, żebyś zdążył jeszcze wrócić do łóżka.

Kevin Wallgreen skinął głową, pogodzony z losem. Nie pierwszy raz zarywał noc. Był kontrolerem lotu, a dokładniej – RIO, *russian interface officer*, odpowiedzialnym za kontakty z Moskwą. Jego matka była Ukrainką z Połtawy, znał więc język i zwyczaje, umiał pić wódkę, nie wzdrygał się na widok sałatki jarzynowej tonącej w żółknącym majonezie, jak nikt wyczuwał, kiedy twarde *niewozmożno* było rzeczywiście stwierdzeniem faktu, a kiedy zaproszeniem do negocjacji, krótko mówiąc: rozumiał rosyjską duszę. Co bynajmniej nie znaczyło, że ją lubił.

– Staram się zrozumieć, co Rybkin próbuje osiągnąć – powiedział Steve.

– Do czego zmierza.

– Chce zapunktować u przełożonych.

– To oczywiste, tak. Ale... – Ayers zawiesił głos. – Grasz w szachy?

– Grywam.

– Świetnie. Ten telefon Rybkina i depezę TASS trzeba traktować jako otwarcie, to jasne. A ja chciałbym wiedzieć, co nam to mówi o ich

pożądaney pozycji. W co nas chcą wciągnąć.

– Okej, rozumiem. – Kevin skinął głową. – Zaczniemy od tego, że ich program kosmiczny jest w tragicznym stanie.

– Tak, czytałem raport.

– O nie, jest dużo gorzej niż w raporcie.

– Serio?

– Serio. – Kevin się ożywił. W tle bulgotał ekspres do kawy, trzaskały drzwi wejściowe. – Ludzie odchodzą tabunami. W kularach mówi się, że kosmodrom Wostoczny będzie w budowie jeszcze co najmniej piętnaście lat, a w momencie ukończenia będzie już przestarzały. Cała technologia, wszystko, od skafandrów po sojuzy, to jest spuścizna lat sześćdziesiątych. Wszelkie próby modernizacji kończą się fiaskiem, pieniądze wyciekają bokiem.

– Wiem. W tym nasze dolary.

– A będzie tylko gorzej – ciągnął Kevin – bo za kilka lat ISS zostanie zdeorbitowana. Oczywiście, my zachowamy kilka modułów i na ich bazie zbudujemy nową stację... Znaczący przywaciarze zbudują, ale wychodzi na to samo. Natomiast część rosyjska jest przestarzała, z tego złomu nic się już nie wykrzesze. A wysłanie w kosmos choćby jednego nowego modułu ich teraz przerasta.

– Rybkin stawia na Chiny.

– Oficjalnie, tak. Ale... – Kevin pochylił się ku Steve'owi. Skajowa kanapa zaskrzypiała, w łazience ktoś właśnie spuścił wodę. – Ja osobiście nie wierzę, żeby coś z tego wyszło.

– Czemu?

– Bo oni nigdy nie zgodzą się na układ, w którym grają drugie skrzypce. Kosmos to jest dla nich nadal źródło ogromnej dumy narodowej. Pod pomnikiem Gagarina kwiaty leżą cały rok. Tierieszkowa nie może przejść ulicą, bo zaraz robi się wokół tłum, ludzie mają łzy w oczach, chcą ją całować po rękach, a co drugi kundel nazywa się Łajka albo Strielka.

Sytuacja, w której stają się czyimś pomagierem, przestają się liczyć w wyścigu, jest dla nich politycznie nie do przyjęcia.

– No właśnie, czyli potrzebują sukcesu.

– I tu się mylisz.

– Kawa i naleśniki dla ciebie... – Kelnerka wróciła właśnie z ich zamówieniem. Talerze stuknęły o blat, szczękneły sztućce. – Herbata dla ciebie... Będzie coś jeszcze?

– Nie, dziękuję. – Steve sięgnął po dzbanek z syropem. Lepił się do palców.

– Jakby coś, wołajcie.

– Oczywiście.

– Cholera, ładnie wyglądają te naleśniki... – westchnął Kevin, wpatrując się w parujący talerz.

– Chcesz trochę? Ja i tak nie zjem wszystkiego.

– No, może jednego.

– Mówiłeś, że się mylę...?

– No, nawet nie tyle, że mylisz – Kevin podsunął pusty talerz – ile podchodzisz do tego po naszymu. Mierz w Księżyc, a wylądujesz pośród gwiazd, potknięcie to pierwszy krok do wygranej i tak dalej, i tym podobne. A Rosjanie patrzą na to inaczej. Po swoim.

– Mianowicie?

– Widzisz, im sukces wcale nie jest potrzebny – odparł kontroler, krojąc naleśnik. – Wystarczy, że inni też poniosą porażkę.

Lucy przygotowała się do snu. Wślizgnęła się do śpiwora (co nie było łatwe w kabinie o wymiarach dwa metry na pół), zatkała uszy stoperami i naciągnęła opaskę na oczy. Poczuła się jak w komorze deprywacji sensorycznej: zatarły się granice jej ciała, odłączyła się od zmysłów, zanurzyła w białym szumie. Myśli, w ciągu dnia zagłuszane przez huk wentylacji, spychane na drugi plan, rozproszone, teraz dopiero układały się w szereg, zasłyszane słowa wracały odbite echem.

„Może coś uderzyło o kratkę?”

„Jak twój telefon z Ziemią, Lucy?”

„To jest prosta do uzyskania substancja”.

„Na twoim miejscu miałbym oczy dookoła głowy”.

Przypomniała sobie przebieg wydarzeń. Steve Ayers przekazał im informacje o zbliżającym się rozbłysku. Mieli kilkanaście minut na uprzątnięcie pokładu. Schowali się w module Harmony. Lafayette był tam pierwszy. Devaki się spóźniała. Ezra poszedł jej szukać. Rosjanie schronili się u siebie. Kiedy stacja była już bombardowana przez słoneczny wiatr, usłyszeli jakiś huk czy raczej brzdęk. Potem, już po alarmie, wrócili do standardowych zajęć – naprawy, sprzątanie, eksperymenty, siłownia. Kilka godzin później dostali komunikat o wzroście stężenia amoniaku.

Załóżmy, pomyślała, założmy na chwilę, choć to przecież tak nieprawdopodobne, że aż absurdalne, że te problemy z amoniakiem nie są wynikiem losowego wypadku, tylko czyjegoś świadomego działania. Po co, dlaczego, jak – to w tej chwili nieważne, do przeanalizowania później, na razie liczy się tylko „jeśli”. Jeśli tak, to w trakcie rozbłysku były ku temu idealne warunki. Kamery zostały wyłączone, transmisja danych telemetrycznych zawieszona, tak samo jak komunikacja z Ziemią. A potem – co rzadkie, co właściwie nie zdarzało się w ciągu dnia – obie załogi zamknęły się na kilkanaście minut w swoich kajutach. Kilkanaście minut, kiedy Houston było ślepe, głuche i nieme, kiedy ktoś – gdyby chciał, choć to doprawdy tak nieprawdopodobne, że aż absurdalne – mógłby poruszać się po stacji niezauważony, niczym duch. Tamten huk nie wziął się z niczego. Akcja – reakcja. Coś uderzyło o coś innego. I to mocno.

Lucy ściągnęła maskę z oczu i uruchomiła komputer – ten służbowy. Otwierała kolejne foldery, jeden za drugim: *EKSPEDYCJA 75*, *DANE*, *MONITORING*. Przeglądała nagrania z kolejnych kamer, Tranquility, Harmony, Columbus, Leonardo, Kibo. Wszędzie to samo – puste pomieszczenia, wygaszone ekrany, mrowie przycisków, uchwytów, kabli.

Przeskakiwała przez pół godziny czerni, kiedy na czas rozbłysku wyłączono monitoring. *Klik*, przed, *klik*, po, wytęż wzrok, znajdź różnicę między obrazkami. Chociaż to tak nieprawdopodobne, że aż absurdalne.

Klik. Pauza. Do przodu. Do tyłu. Do przodu. Do tyłu.

Nagranie z modułu Tranquility. Ósma czterdzieści siedem. Wszystko w porządku, na swoim miejscu. Dziewięta trzydzieści cztery. Na ścianie naprzeciwko bieżni pojawia się niewielkie wgniecenie. A nieopodal w powietrzu unosi się śrubokręt.

Grudzień 2021

LAMAR: Kiedy pojawiły się problemy we współpracy ze stroną rosyjską?

WALLGREEN: Problemy były zawsze, od samego początku. Znaczące pogorszenie nastąpiło w dwa tysiące cztertnastym, po inwazji na Krym.

LAMAR: To znaczy?

WALLGREEN: Skończyła się transparentność. Roskosmos odciął się od naszych ekspertów, ignorował wspólnie ustalone procedury. To przełożyło się na różnego rodzaju incydenty, jak ten z instalacją modułu Nauka.

LAMAR: Spodziewał się pan eskalacji?

WALLGREEN: Owszem. Ale nie aż takiej.

Czerwiec 2021

Lucy otworzyła torbę ze strojem do ćwiczeń. Tak jak się obawiała: koszulka była wciąż mokra. Westchnęła. Wedle oficjalnych wytycznych musiała ją założyć jeszcze trzy razy, dopiero wtedy przysługiwała jej następna. Cóż, trudno. Przebrała się i poleciała w stronę modułu Tranquility; za kilka minut zaczynała trening. Wreszcie miała więc czas – i pretekst – żeby tam zajrzeć, porównać moduł z tym, co zobaczyła wczorajszego wieczora na nagraniu. Nikogo jeszcze nie poinformowała o swoim odkryciu. Nie chciała bić na alarm, dopóki nie będzie pewna, że coś jest na rzeczy, że nic jej się nie przywidziało. Atmosfera na stacji była gęsta i bez tego – dosłownie i w przenośni.

Rano odbyli telekonferencję z obsługą naziemną. Poziom amoniaku cały czas wzrastał, choć na szczęście powoli. Według porannych pomiarów jego

stężenie w powietrzu na stacji wynosiło jeden przecinek osiemdziesiąt trzy cząsteczki na milion. Wciąż był niewyczuwalny i niewidzialny, ale zdominował życie na stacji. Ich grafiki – przygotowywane z taką pieczołowitością – znów zostały zmienione, aby zarezerwować czas potrzebny na kolejne testy. Devaki i Lafayette zostali oddelegowani do wnikliwych oględzin wszystkich dziesięciu paneli IFHX, gdzie rurki z wodą stykały się z rurkami z amoniakiem. W ten sposób mieli ostatecznie potwierdzić bądź obalić teorię o mikroperforacjach obwodów. Lucy wraz z Ezrą mieli zaś za zadanie sprawdzić filtry węglowe. Podejrzewano, że jeden z nich mógł być wadliwy. To by mogło wytłumaczyć nietypową dynamikę przyrostu gazu w atmosferze i miałyby sens w kontekście sekwencji zdarzeń: filtry były wymieniane ostatni raz tuż po zakończeniu rozbłysku. Pozostałe zadania zostały na razie odsunięte w czasie, a niektóre – zawieszono do odwołania. Do tej ostatniej kategorii zaliczono eksperymenty botaniczne. Lafayette był rzecz jasna niepokieszony.

Ale nie ćwiczenia – musiałyby się palić, żeby je odwołano. Przed pierwszymi lotami w kosmos zastanawiano się, czy człowiek w ogóle da radę przetrwać w stanie nieważkości. Może w tych warunkach serce nie będzie w stanie pompować krwi? A może zawiodą płuca? Dlatego pierwszego astronautę poprzedziły psy, rezusy i szympansy. Okazało się, że owszem, ziemskie organizmy są zdolne do życia na orbicie, że szybko przystosowują się do nowych warunków – ba, może nawet zbyt szybko. Kości nie muszą utrzymywać wagi ciała? Świetnie, można w takim razie wyssać z nich cenne mikroelementy, przydadzą się gdzie indziej. Mięśnie rąk i nóg nie są tak intensywnie używane? Niech zatem stracą na wadze, o dziesięć, piętnaście, dwadzieścia procent. Mechanizmy regulujące ludzkie ciała okazały się bardziej bezwzględne niż ekonomiści szkoły chicagowskiej: cięły każdy niepotrzebny wydatek, eliminowały każdą zbędną komórkę, miały zerową tolerancję dla darmożjadów, dotacji i zasiłków. Problem w tym, że ludzie w końcu wracali, a ich ciała,

rozpieszczone brakiem grawitacji, musiały w trakcie krótkiego lotu na Ziemię poradzić sobie z przeciążeniami rzędu trzech, czterech – a gdyby coś poszło nie tak, gdyby trajektorię lotu trzeba było nagle zmienić – nawet i dwunastu g. Bez regularnych wielogodzinnych ćwiczeń – bez zmuszenia neoliberalnej klikki kontrolującej nasze ciała do utrzymania zbędnych w stanie nieważkości komórek – astronauta rozpadliby się wówczas na kawałki.

Lucy wpłynęła do Tranquility. To właśnie tu znajdował się sprzęt do ćwiczeń – bieżnia, rower stacjonarny oraz ARED, system tłoków próżniowych, który symulował unoszenie ciężarów. Obok były toaleta, aparatura do uzdatniania wody, jeden z generatorów tlenu oraz panel kontroli do obsługi drugiego, mniejszego wysięgnika, Dextre. Poza tym – jak wszędzie – każde wolne miejsce zostało wykorzystane jako schowek. Wszystkie ściany oplatała gęsta sieć elastycznych sznurków, za którymi upchnięte były worki ze sprzętem, narzędziami, odczynnikami do eksperymentów.

Wgniecenia nie było widać. Lucy złapała za uchwyt, obróciła się – wykonując piruet bez najmniejszego oporu czy wysiłku – szukając właściwej ściany. To była ta po przeciwnej stronie od bieżni, przypomniawszy sobie astronautka, mniej więcej na środku. Teraz to miejsce było zasłonięte przez torby z zapasowymi ubraniami. Na wideo były gdzie indziej, od strony rufy. Czyli ktoś je tu w międzyczasie przesunął. Może dlatego, że przeszkadzały. A może żeby coś ukryć.

Lucy poluzowała sznurki, torby natychmiast ożyły, zaczęły się ruszać, odbijać od siebie, jak prażony popcorn. Choć każda ważyła po kilkanaście kilogramów, dawało się je przesunąć jednym ruchem dłoni. Ta na lewo, ta na prawo, kawałek w bok... Znalazła wgniecenie. Było niewielkie: głębokie na centymetr, może dwa, nie więcej niż dziesięć w średnicy. Ale panele ścienne zrobione były z grubego, twardego plastiku. Coś musiało uderzyć ze sporą siłą, żeby zostawić taki ślad. Pod spodem był schowek, w nim

jakieś pudła. Zajrzała do środka – zaplombowane plastikowe butelki. Nic podejrzanego.

– Szukasz czegoś? – usłyszała zza pleców.

Lucy odwróciła się gwałtownie. Devaki. Musiała być w toalecie. Nie usłyszała, jak otwierała drzwi, jak podpłynęła na wyciągnięcie ręki. Na stacji nie skrzypiały podłogi ani zawiasy, a nawet gdyby, to te dźwięki zostałyby zagłuszone przez wentylatory. Łatwo było tu kogoś zaskoczyć. Zajść od tyłu.

– Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć...

– Nic się nie stało. – Lucy przesunęła się tak, żeby zasłonić plecami wgniecenie. Zrobiła to automatycznie, bezrefleksyjnie, chociaż nie było żadnego powodu, żeby trzymać to w tajemnicy przed Devaki. Przynajmniej żadnego racjonalnego. – Jak się czujesz?

– Bez zmian.

– Cholera.

– Lepiej bym tego nie ujęła.

– Lekarz nic nie wymyślił?

– Mają mi wysłać jakieś nowe proszki następnym transportem – odparła Devaki. Brzmiała i wyglądała na bardzo zmęczoną. – Ale nie robię sobie specjalnych nadziei.

– Dzielna jesteś.

– Nie jestem.

Zamilkły. Ale to była cisza, w której wiele wybrzmiało. Gdybym mogła wrócić wcześniej – mówiło jej wychudłe ciało, krzyczały jej przekrwione oczy – już bym to zrobiła, ba, zapłaciłabym drugie tyle. To właśnie było szczególnie okrutne: że to właśnie ona, jedyna uczestniczka lotu, która pokryła koszty biletu z własnej kieszeni, cierpiała z powodu ciągłych nudności. A mogła przecież polecieć komercyjnymi raketami, które ledwie przekraczały umowną granicę kosmosu, powisieć na orbicie kwadrans albo dwa, zrobić sobie selfie z lewitującym jabłkiem lub długopisem, a potem

spędzić resztę życia, powtarzając wytarte teksty o martwym bezkresie czerni i błękitnej kuli życia. Ale nie, Devaki nie pragnęła trofeum ani pamiątki, chciała to zrobić na poważnie, z pełnym zaangażowaniem. Wynegocjowała z NASA najdłuższy w historii kosmicznej turystyki pobyt, a w zamian zobowiązała się do pracy na takich samych zasadach jak reszta załogi. Szczególnie że jako guru nowych technologii z doktoratem z MIT niewątpliwie miała kwalifikacje, żeby być na stacji czymś więcej niż tylko balastem. Niestety, coś, co miało być zwieńczeniem marzeń, na co pracowała tyle lat, okazało się trwającym miesiącami koszmarem.

Lucy już nieraz myślała, że chciałaby jej zadać to samo pytanie, które ciągle zadawano jej i na które nie potrafiła odpowiedzieć ani na głos, ani w myślach. Po co? Dlaczego? Devaki na Ziemi miała wszystko: firmę o kapitalizacji kilkuset milionów dolarów, oszałamiającą rezydencję w Presidio Heights, kochającego męża o aparycji modela i dzieci, które odziedziczyły jego wygląd i jej intelekt. Dlaczego w takim razie ryzykowała życie, żeby spędzić sześć miesięcy w stalowej puszcze, w wiecznym hałasie i smrodzie, pracując od świtu do zmierzchu? Czy dla tych kilku chwil, kiedy mogła oglądać świat z okien Cupoli? Czy też dla tych na Ziemi, przed i po, kiedy strzelały flesze? Ale Lucy przecież wiedziała, jak mało kto, że takie pytania nie mają sensu, że równie dobrze mogłaby indagować Devaki, czemu chce żyć, po co założyła rodzinę, skąd znalazła w sobie siłę, żeby odnieść sukces w Dolinie Krzemowej. Tyle można było na to wszystko odpowiedzieć co uciążliwemu dziecku: bo tak.

– Muszę iść. – Devaki złapała za uchwyt. Już miała pociągnąć, wpędzić ciało w ruch.

– Poczekaj – zatrzymała ją Lucy. – Ty zabezpieczałaś ten moduł przed rozbłyskiem, tak?

– Tak.

– I wszystko było tu w porządku?

Devaki zdawała się zdziwiona tym pytaniem. Może nawet lekko poirytowana.

– Wybacz, chyba nie rozumiem – odpowiedziała.

– Musiałś tu coś... Nie wiem... – Lucy urwała. Ważyła słowa. – Przymocować, poluzować? Dokręcić?

– Nie. Wyłączałam elektronikę. Zgodnie z twoimi instrukcjami. A potem poszłam do łazienki. Dlaczego pytasz?

– Chciałam się upewnić.

– Upewnić co do czego?

– Nieważne. – Lucy machnęła ręką. – Nie chcę cię trzymać.

Devaki skinęła głową – i już jej nie było, już leciała przez śluzę prowadzącą do Unity. Jej długie czarne włosy falowały jak na wodzie.

Ósma rano, zbliżał się koniec zmiany. Luzowani kontrolerzy składali raport swoim zastępcom: co się wydarzyło przez ostatnie dziesięć godzin, co udało się zrobić, a czego nie, czym trzeba się zająć w pierwszej kolejności, a co można przełożyć na później. Przy każdym biurku siedziały teraz dwie osoby, ciche zwykle pomieszczenie wypełniały szmer zwielokrotnionego szeptu i szelest przierzucanych papierów. Było nerwowo: źródło amoniaku wciąż pozostawało nieznane. Filtry działały prawidłowo, w toaletach nie wykryto żadnych usterek, po stronie rosyjskiej też nie zgłoszono żadnej awarii. Pułap dwóch cząsteczek na milion, którego nie mogli przekroczyć, był coraz bliżej. Uznano więc, że skoro nie udało się wyeliminować źródła – choć próby jego zidentyfikowania nie ustawały – trzeba skupić się na zwalczaniu skutków. Pomogłoby uruchomienie dodatkowych filtrów, tyle że takiego sprzętu na stacji nie było, a wysłanie go na orbitę zajęłoby, nawet w trybie przyspieszonym, co najmniej kilka tygodni. Ale inżynierowie NASA słynęli z kreatywnych rozwiązań – opracowywali więc właśnie plan, jak zbudować filtry z części dostępnych na stacji. Samo w sobie nie było to szczególnie skomplikowane, ale trzeba było również

rozważyć dziesiątki czynników i współzależności. Jak uruchomienie dodatkowego sprzętu wpłynie na obciążenie obwodów elektrycznych, o ile zwiększy się ryzyko zwarcia? Ile taki zaimprovizowany sprzęt wygeneruje ciepła, jak mocne wibracje, ile decybeli? Ile będzie ważył i gdzie w związku z tym go zainstalować, aby nie zaburzyć delikatnej równowagi stacji, nie zablokować śluz, nie zasłonić żadnego ważnego gniazdka ani panelu? Jakakolwiek czynność na pokładzie przypominała rozgrywkę w bierki albo budowę domku z kart: ruszenie jednego elementu wpływało na pozostałe, wystarczyła jedna nieprzemyślana decyzja, aby wszystko runęło. Zawsze, na każdym kroku, trzeba było zrobić rachunek prawdopodobieństwa: o ile zwiększę ryzyko, że dojdzie do katastrofy? Odpowiedź na to pytanie nigdy nie wynosiła zero, każda ingerencja niosła ze sobą niepożądane konsekwencje, które trzeba było przewidzieć, zrozumieć, obliczyć. A zegar nie stał w miejscu, nie sposób było zagłuszyć jego tykania. Obsługa naziemna musiała jednocześnie się spieszyć i niczego nie przeoczyć, podejmować i minimalizować ryzyko. Jeszcze się nie paliło – jeszcze nie mierzyli się z kryzysem na miarę Apollo 13 – ale w Houston każdy problem traktowano śmiertelnie poważnie, bo też każdy mógł przynieść śmiertelne konsekwencje.

Steve, który obserwował pokój kontroli lotów z łoży VIP, szukał wśród kontrolerów znajomych twarzy. Kevin Wallgreen, który zaczynał właśnie swój dyżur jako RIO, stał przy ekspresie do kawy. Miał na sobie tę samą koszulę co wcześniej, tyle że starannie zapiętą. Anna Rathke, CAPCOM, kończyła pracę, zbierała z biurka swoje rzeczy, w tym kubek termiczny z napisem *NAJLEPSZA BABCIA WE WSZECHŚWIECIE*. Robert Schiff, dyrektor lotu, też szykował się do wyjścia. Przygarbiony, w mokrej od potu koszuli, widać było po nim dziesięć godzin wysiłku, dziesięć godzin stresu, jaki wiąże się z odpowiedzialnością za ludzkie życie i za sprzęt wart ponad sto miliardów dolarów. Steve wyszedł dyrektorowi na spotkanie.

– Robert! – zawołał.

Schiff drgnął, zatrzymał się w pół kroku.

– Steve. Miło cię widzieć – powiedział, choć wyraz jego twarzy kontrastował ze słowami. Wiadomo: chciał wrócić do domu. Wziąć gorący prysznic. Do nikogo się nie odzywać, nikogo nie słuchać, przestawić przegrzany mózg na niższe obroty. Steve Ayers to widział. I ignorował. Robert był mu potrzebny, i to teraz.

– Masz chwilę? – spytał jednak kurtuazyjnie.

Pauza. Rzut okiem na wiszący na ścianie zegar.

– Oczywiście – odparł Robert.

– Świetnie. Chodź, tu obok widziałem wolną salkę.

Steve otworzył drzwi. Pokój bez okien, światło jarzeniówek, terkot klimatyzatora, na wyposażeniu stół z zaciekami po kubkach, plastikowe krzesła, tablica pokryta równaniami.

– Pewnie wiesz, o czym chcę porozmawiać – powiedział Steve.

– O amoniaku?

– Zgadza się. – Skinął głową. – Nasze spotkanie sponsorują literki N, H i cyfra 3.

– Opisałem wszystko w raporcie. – Robert nawet się nie uśmiechnął. Może go to nie bawiło, może był zbyt zmęczony. – Ostatni pomiar, sprzed godziny, to jeden osiemdziesiąt osiem, przy tym tempie wzrostu, nawet zakładając brak innych działań, mamy co najmniej dwa dni, żeby...

– Tak, tak – wszedł mu w słowo Ayers. – Czytałem. Ale nie o to chodzi.

– A o co?

Steve odchylił się w krześle, założył ręce za głowę, przymknął oczy. Piekły z niewyspania.

– Mam wrażenie, że utknęliśmy – powiedział. – Więc wyjdźmy z kolein. Odwróćmy na chwilę równanie.

– To znaczy?

– Załóżmy, że chciałbyś podnieść poziom amoniaku na pokładzie.

– Świadomie?

- Niech będzie, że świadomie.
- Okej...
- I tak, żeby nikt inny tego nie wykrył.

Robert uniósł brwi.

- Przepraszam, do czego zmierzasz? – spytał.
- Niewinny eksperyment myślowy. Nic więcej. – Steve się uśmiechnął. – Jak byś się do tego zabrał?

– Cóż... – Dyrektor lotów założył nogę na nogę. – Najprostsza opcja to naruszenie integralności któregoś z paneli IFHX.

– Ale oględziny niczego nie wykazały. Dalej.

– Reakcja chemiczna, oczywiście.

– Jaka?

– Jest wiele możliwości, musiałbym się zastanowić, co jest do osiągnięcia na stacji, co... – Robert urwał w połowie zdania. – Ale moment, Steve, ty chyba nie myślisz, że...

– Nieważne, co myślę. Konkretnie przykłady proszę.

Pauza. Mierzyli się wzrokiem.

– Redukcja kwasu azotowego albo azotynów – powiedział wreszcie Robert. – Reakcja tlenku wapnia i chlorku amonu. Ale nie jestem w stanie ci nawet w tej chwili powiedzieć, czy odpowiednie składniki są na stacji, a jeśli tak, to w jakiej ilości... Czy dałoby się w ogóle wygenerować w ten sposób odpowiednią ilość gazu...

– W takim razie sprawdź to. – Steve odchylił się w krześle. – Ale nieoficjalnie.

– Nieoficjalnie?

– Tak.

– W ramach twojego niewinnego eksperymentu myślowego?

– Dokładnie.

– Steve. Powiedz mi, co się, do cholery, dzieje.

Ayers wstał, oparł się o ścianę.

– Odpowiem ci pytaniem. Co się stanie, kiedy przekroczymy granicę dwóch cząsteczek na milion?

– Nie przekroczymy.

– Ale gdyby. Wal śmiało, przecież tylko sobie gadamy.

Robert milczał dłuższą chwilę.

– Rada MCB zwoła awaryjne posiedzenie – odparł w końcu. – Zgłosimy wniosek o tymczasową zmianę norm. Zakładam, że nikt nie będzie robił problemów, ale...

– Załóż, że ktoś będzie.

Robert uniósł brew, wyraźnie zaskoczony.

– Rosjanie? – spytał.

– Może Rosjanie. – Steve wzruszył ramionami. – Może Brazylia. Nieważne. Co wtedy?

Robert popatrzył w bok, otworzył usta, zamknął je bezgłośnie; można było niemal usłyszeć zgrzyt obracających się pod sklepieniem czaszki kół zębatach. Wreszcie przemówił.

– To chyba reguluje zapis dziesiąty, ustęp czwarty porozumienia z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku?

Steve pokiwał z zadowoleniem głową. Robert był najlepszym dyrektorem lotów, jakiego mieli od lat. Na tyle dobrym, że wkrótce – niestety – trzeba będzie go awansować. Ale Steve miał jeszcze kilka lat, żeby wycisnąć z niego soki. Chętnie z tego korzystał.

– Tak – potwierdził. – Następuje spotkanie dyrektorów NASA, ESA, Roskosmosu i ministra nauki Japonii.

– Mam założyć, że znów nie dojdzie do porozumienia?

– Właśnie. Co teraz?

– Hmm... – Robert się zamyślił. – To już wpada w prawo międzynarodowe, arbitraż...

– Jest podkładka pod to, żeby odstąpić od porozumienia, i to ze skutkiem natychmiastowym – powiedział Steve. Wziął głęboki oddech.

Kręciło mu się w głowie ze zmęczenia. – Rosjanie mogą wtedy rozpocząć procedurę odłączenia swojej części stacji. To można zrobić nawet w kilka dni, nie będzie czasu na przygotowanie naszych modułów do samodzielnego działania. A jesteśmy zależni od generowanego przez nich tlenu i, co ważniejsze, sterowania. W ciągu kilku tygodni dojdzie do degradacji orbity. Trzeba będzie ewakuować załogę, a stacja spłonie w atmosferze. I okej, jej żywot i tak dobiega końca... Ale kilka nowszych modułów miało posłużyć za jądro dla następnej stacji. Bez nich perspektywa jej powstania oddała się o kilkanaście lat. A my potrzebujemy stacji, żeby odbywać regularne loty na Księżyc, o Marsie nie wspominając – dokończył.

– Ale rosyjskie skrzydło też nie jest w stanie funkcjonować bez nas.

– No i?

Robert nie miał na to dobrej odpowiedzi.

Pora obiadu. Astronauci zebrali się wokół stołu: składanej metalowej płyty, którą opuszczano jak most zwodzony. Dzięki rzepom, magnesom i haczykom mogli odłożyć sztucce i tacki z jedzeniem bez obaw, że te za chwilę odlecą. Samych siebie też musieli jakoś zakotwiczyć – inaczej potrącony łokciem sąsiad pofrunąłby na przeciwległy kraniec modułu – wsuwali więc stopy w przytwierdzone do ścian uchwyty.

Nie musiało to tak wyglądać. Mogli przecież jeść osobno, o różnych porach, wtedy nie byłoby tłoku. Mogli wysysać pastę z tubek, wtedy nie trzeba byłoby martwić się sztuccami. Ba, mogli nawet jeść bez stołu, swobodnie się unosząc, robiąc w powietrzu bączki, każdy obrócony w swoją stronę. Ale niektórych przyzwyczajęń trudno się wyzbyć, zwłaszcza tych związanych z posiłkami. W tym wypadku biologia i kultura były tak ciasno ze sobą splecione, że nie dało się ich rozdzielić.

W latach sześćdziesiątych, kiedy człowiek był upity nagłym rozwojem technologii, kiedy kosmiczny wyścig przypominał sprint, a nie maraton,

kwesnię wyżywienia załogi potraktowano jako problem czysto inżynierski. Liczył się bilans białek, tłuszczów, witamin i mikroelementów – kwestia smaku była nieistotna. Astronomom pakowano więc do chlebaków mięsne pastylki, sok pomarańczowy w proszku doprawiony końską dawką żelaza, owocowo-warzywne papki jak dla niemowlaka. Okazało się jednak, że człowiek to nie mechanizm, że kubków smakowych nie można potraktować jako zbędnego podsystemu, do wyłączenia na czas lotu. Po kilku dniach takiej diety astronauta robił się drażliwy i nieprzyjemny, a po kilkunastu popadał w stan depresyjny. Wniosek był taki, że dla podboju kosmosu przyprawy są równie ważne co paliwo raketowe, a inżynierowie musieli oddać garnki i patelnie w ręce kucharzy. Każdy transport na stację zawierał więc świeże owoce – choć zajmowały tyle miejsca, lamentowali niektórzy kontrolerzy, choć zawierały tak niewiele kalorii w przeliczeniu na centymetr sześcienny – a posiłki na specjalne okazje, takie jak Święto Dziękczynienia czy Boże Narodzenie, szykowano w restauracjach z gwiazdkami Michelin.

– Podacie sól? – spytał Lafayette.

– Proszę. – Devaki pchnęła saszetkę w jego stronę. Botanik przechwycił ją i przedarł, uwalniając chmurę błyszczących kryształków, które zaraz zagarnął w stronę parującej tacki.

– Jak tam twoje rośliny?

– Niestety martwe – westchnął Lafayette. – Będę musiał zacząć od nowa, jak to wszystko się skończy.

– Zdążysz?

– Nie wiem. – Lafayette wzruszył ramionami.

– To tylko rzezucha – wtrącił Ezra.

– No dzięki.

– Do usług.

– Ale miałeś już jakieś wyniki? – spytała Devaki. Może była ciekawa, a może musiała się czymś rozproszyć, zająć uwagę, żeby wmusić w siebie

kolejny kęs.

– Tak, wygląda to obiecująco – podchwycił Lafayette. – Widzisz, zasadniczo problem jest taki, że w glebie na Marsie nie ma bakterii, a skoro nie ma bakterii, nie ma komu wiązać azotu, a bez azotu nic nie wyrośnie.

– Nawet kartofle?

– Nawet. Pomysł jest taki, że ów kwas, ACC, mógłby przyspieszyć ten proces...

Lucy nie słuchała, była pogrążona w myślach. Wiedziała już na pewno: ktoś był w Tranquility, w czasie kiedy wyłączono kamery. Albo w trakcie rozbłysku, albo tuż przed bądź tuż po. Co tam robił? Nie sposób powiedzieć, przynajmniej nie na pierwszy rzut oka; w module znajdowało się tyle paneli, instrumentów i urządzeń, że dokładne sprawdzenie każdego z nich zajęłoby jej tygodnie. Jedyne ślady to wgniecenie na ścianie i porzucony śrubokręt. Szukała go – ruch powietrza powinien był zepchnąć go w stronę kratki wentylacyjnej – ale bez powodzenia. Niewykluczone, że gdzieś się zawieruszył, czasami zagubione przedmioty przepadały bez śladu. Niewykluczone, że ktoś go stamtąd zabrał. Może ta sama osoba, która przesunęła kontenery tak, aby zasłonić uszkodzoną ścianę.

Oblał ją zimny pot. W trakcie szkolenia na astronautkę ćwiczyła dziesiątki scenariuszy alarmowych. Co zrobić, jeśli na pokładzie wybuchnie pożar (w każdym module znajdowały się gaśnice, wodne po stronie rosyjskiej, gdzie napięcie wynosiło dwadzieścia osiem woltów, śniegowe po stronie amerykańskiej, gdzie wynosiło sto dwadzieścia cztery wolty, oraz maski tlenowe). Co zrobić, jeśli dojdzie do dekompresji (mieli na wyposażeniu specjalne przyssawki, którymi można było zatkać dziurę w poszyciu). Co zrobić, jeśli przy lądowaniu kapsuła zboczy z kursu i wylądują z dala od miejsca, gdzie ich oczekiwano (w schowku sojuza mieli na tę okoliczność przygotowane żelazne racje żywnościowe, flare, zapalki, namiot i sprzęt do uzdatniania wody). Scenariusza, w którym na stacji znajduje się sabotażysta, nie przerabiali.

Wciąż nie była gotowa, aby podzielić się podejrzeniami z resztą. Zdawała sobie sprawę, że – nawet gdyby nie miała racji – wywoła wówczas sekwencję zdarzeń, której finału nie sposób było przewidzieć. Na stację nie można było przecież wezwać policji, żeby zbadała ślady, ba, nie było nawet systemu prawnego, który umożliwiłby przeprowadzenie dochodzenia. Sama próba ustalenia, w czyją jurysdykcję wpadali, zajęłaby zapewne długie lata. Teoretycznie każdy moduł był traktowany jako terytorium państwa, które go zbudowało. Śledztwo w Kibo prowadziliby więc Japończycy, w Harmony – Amerykanie, a w Columbusie – Europejczycy, którzy musieliby się jeszcze dogadać między sobą (powodzenia!). Co kilka metrów obowiązywał inny kodeks. Nie, gdyby na pokładzie doszło do konfliktu, musieliby go rozwiązać na własną rękę. Cokolwiek to oznaczało.

– ...oczywiście, pytanie, na ile ten proces można skalować – ciągnął Lafayette. – Ale zakładając, że...

– Przepraszam – wtrąciła Lucy. – Widzieliście może bezpieczny śrubokręt?

– Nie. – Ezra pokręcił głową. – Czemu?

– Nie mogę znaleźć. Ostatnio jak zaglądałam do skrzynki z narzędziami, był, a teraz nie ma.

– A jak wyglądał?

– No nie wiem, jak śrubokręt. Niebieska rączka.

– Niebieska? – zdziwił się Ezra. – Jesteś pewna?

– Tak.

– Bo niebieskie mają Rosjanie. Dostali ostatnim transportem, miesiąc temu. Może coś ci się pomyliło?

– Może – odparła, nieobecna myślami.

Lucy zabrała swoją tackę ze stołu. Straciła apetyt.

Źródło amoniaku wciąż pozostawało nieznane. Devaki i Lafayette'a zaprzęgnięto do budowy dodatkowego filtra, wedle instrukcji przesłanych z Houston. Wisieli w module Columbus, otoczeni konstelacją narzędzi i części, wsłuchani w instrukcje płynące z głośników. Lucy i Ezzre przypadło tym razem sprzątanie, kolejna czynność, z której nie można było zrezygnować ani przełożyć jej na później. Wszelkiego rodzaju pojazdy kosmiczne kojarzyły się z technologią: plastikiem, metalem, szkłem. Wydawały się pozbawione życia, sterylne, wypełnione suchym, martwym powietrzem. Nic bardziej mylnego.

Każdy astronauta – każdy człowiek – był złożonym ekosystemem, mikrokosmosem obleczonym skórą. Choć przed lotem nacierano ich od stóp do głów spirytusem, załoganci i tak przywozili ze sobą miliardy pasażerów na gapę – bakterii, wirusów, grzybów – które wydostawały się na zewnątrz przy każdym oddechu, kichnięciu i kasznięciu. Jako że woda i powietrze krążyły tu w zamkniętym obiegu, wszystkie te niewidzialne byty mnożyły się na potęgę, kolonizując najodleglejsze zakamarki: szyby wentylacyjne, szpary między panelami, przestrzeń między kablami. Żywiły się złuszczonego naskórkiem, tłuszczem z odcisków palców, kroplą śliny. Żeby dało się tu żyć – żeby stacja nie zmieniła w bombę biologiczną z opóźnionym zapłonem – astronauta toczyli z mikroorganizmami nieustającą wojnę. Był to jeden z tych konfliktów, których nie sposób rozstrzygnąć, front przesuwiał się to w jedną, to w drugą stronę, niczym zmieniająca się z każdym przypływem i odpływem linia brzegowa. Raz na dwa tygodnie, uzbrojeni w mokre chusteczki i płyn do dezynfekcji, astronauta przecierali każdą płaszczyznę i uchwyt, ze szczególnym uwzględnieniem toalet i sprzętu do ćwiczeń. Mikroby ginęły miliardami, a potem błyskawicznie się odradzały z niedobitków i cały proces trzeba było powtórzyć. I tak, choć człowiek nie spotkał jeszcze obcych, to toczył już zacięty bój o supremację swojego gatunku w kosmosie.

Lucy szorowała, wycierała, zdrapywała, bez przerwy, najszybciej jak mogła. Zbliżali się do końca: byli w Kibo, do zrobienia mieli już tylko Tranquility. Może zdązę, pomyślała.

– Spieszysz się gdzieś? – spytał Ezra. Potężnie zbudowany i umięśniony, śmiesznie wyglądał w winylowych rękawiczkach i fartuchu. Widać było, że zdaje sobie z tego sprawę i czuje się w tym wdzianku niezręcznie. Choć nie mówił tego na głos, ewidentnie miał światu za złe, że on, były wojskowy, prawdziwy mężczyzna, musi szorować kible.

– Trochę – przyznała.

– To leć. Ja dokończę.

– Jesteś pewny? – spytała. Ale już ściągała rękawiczki.

– Mhm.

– Dzięki. Wiszę ci przysługę.

Nie czekała na odpowiedź. Złapała się uchwyty, podciągnęła w stronę otwartej śluzy. Spojrzała na zegarek. Miała dwadzieścia minut, nim trzeba będzie zameldować się do kolejnego zadania, a Lafayette i Devaki byli wciąż w Columbusie. Lepsza okazja może się prędko nie nadarzyć; nie będzie zdziwionych spojrzeń i pytań, ani tu, ani na Ziemi. Zgięła nogi i odbiła się z całej siły, moment i już była na końcu modułu Unity, który łączył się z częścią rosyjską. Zatrzymała się przy wejściu. Było ciemne i wąskie. Nie chciała tego robić, nie miała na to najmniejszej ochoty. Nie miała też wyboru.

Wpełzła do długiego korytarza, wypełniła go prawie w całości. Kilka ruchów i przecisnęła się do Zarii, pierwszego rosyjskiego modułu. Tutaj dopiero było ciasno: nie dało się nawet rozprostować ramion, ba, trzeba było przyciskać łokcie do brzucha, żeby nie ocierać się o ściany. Lucy nie miała klaustrofobii – sprawdzano to wielokrotnie i z wielką sumiennością, nim została przyjęta w szeregi astronautów – ale i tak nie wyobrażała sobie, jak można spędzić w takiej przestrzeni kilka miesięcy i nie oszaleć.

– Zapraszam – zawołał ktoś z sąsiadującego modułu, Zwiezdy. Anton. Miał charakterystyczny głos. Niski. Podszyty drwiną.

Wpełzła do środka. Wnętrze wypełniała elektronika: do każdej ściany przyłączone były laptopy, aparaty fotograficzne, obiektywy. Sprzęt buczał, szumiał, terkotał. Anton unosił się pośrodku, krzyżyk na złotym łańcuszku wysunął się spod koszulki i falował łagodnie, skrząc się w zimnym świetle lamp. Rosjanin był pogrążony w lekturze, nawet nie oderwał wzroku od książki. Fantastyka, wnosząc po kolorowej okładce ze smokami i skąpo odzianymi wojowniczkami. Widać brakowało pilniejszych zadań.

– Jednak skusisz się na kawior? – Anton polizał palec, przerzucił stronę.

– Nie, dziękuję.

– To czemu zawdzięczam wizytę?

– A odłożysz książkę?

– Czekał – mruknął. – Dokończę stronę.

– Wolałabym teraz.

– Mhm... – Jasnoniebieskie oczy przesuwały się powoli po tekście. W końcu Anton zamknął książkę i popchnął ją za siebie. Obracała się wokół własnej osi jak zaczarowana, szeleszcząc kartkami. – No, już. Słucham cię.

– Coś wam się udało ustalić? – spytała.

– Hm?

– Z amoniakiem.

– Ach. Na razie nie. – Rosjanin pokręcił głową. – Ale zapewniam, że poszukiwania idą pełną parą.

– Widzę właśnie.

– Och, proszę cię. – Anton przewrócił oczami. – Przecież wiadomo, że to coś po waszej stronie.

– Tak? Skąd wiadomo?

– Bo to wy używacie amoniaku.

- System chłodzenia jest szczelny.
- Mówisz? A, no to możemy spać spokojnie.

Uśmiechnął się. W sposób, który budził w niej agresję. Ja wiem, że ty wiesz, że ja wiem.

– To wszystko? – Anton przekrzywił głowę. – Nie obraż się, ale ciekaw jestem, co będzie dalej. To znaczy: w książce.

- Nie zgubiłeś czegoś? – spytała.
- Nie rozumiem?
- Coś się wam aby nie zawieruszyło?

– Na przykład co? – Anton się przeciągnął, ostrożnie, powoli, żeby nie uderzyć żadnego z komputerów, były pod nim, nad nim, obok. Przypominał zwierzę trzymane w zbyt ciasnej klatce.

- Na przykład śrubokręt – doprecyzowała.

Spojrzał jej w oczy. Na krótką chwilę. Potem odwrócił wzrok.

- Nie żebym zauważył – odparł. – A co? Znalazłaś?
- Powiedzmy.

Rosjanin się zaśmiał.

– Kochana Lucy, to nie mechanika kwantowa, tylko kwestia zero-jedynkowa. Albo znalazłaś – Anton wygiął się do tyłu, pociągnął za uchwyt i obrócił o trzysta sześćdziesiąt stopni – albo nie.

- Gdzie byłeś w trakcie rozbłysku?
- Śmieszne pytanie. – Wzruszył ramionami. – Na stacji.
- Gdzie na stacji?
- Gdzieś tutaj, jeśli dobrze pamiętam.

Zamilkła. Ścisnęła spocone dłonie w pięści, rozprostowała palce. Robił co mógł, żeby ją wkurzyć, wybić z równowagi. Nie chciała mu dać tej satysfakcji.

- Porozmawiam z Lwem – stwierdziła. – Może ma lepszą pamięć.

Anton odbił się od ściany. Nagle, gwałtownie. Zasłonił swoim ciałem przejście do Nauki.

- Lew jest zajęty – powiedział.
- Przesuń się.
- Będziesz mu przeszkadzać w eksperymencie.
- Z sałatą czy ślimakami?
- One są ściśle ze sobą powiązane – odparł Anton, po czym dodał, szeptem, jak gdyby zdradzał jej pilnie strzeżoną tajemnicę. – Widzisz, ślimaki jedzą sałatę.
- Powiedziałam: przesuń się.
- Jako Lucy Poplaski – spytał Rosjanin, teraz już zupełnie poważnie – czy jako dowódczyni ekspedycji? Jeśli to pierwsze, to moja odpowiedź wciąż brzmi „nie”.
- A jeśli to drugie?
- Oczywiście wykonam rozkaz – odparł. – A potem niezwłocznie poinformuję o tym Moskwę.
- Milczeli. Wentylacja huczała. Z Nauki nie dochodził żaden słyszalny dźwięk.

Lucy nie odbierała. Dlaczego, pomyślał Nate, co się dzieje? Gdyby ktoś teraz mógł zajrzeć mu do głowy – gdyby ktoś właśnie robił mu tomografię komputerową – zobaczyłby, jak jego mózg eksploduje stroboskopowym światłem błyskających neuronów. *Pstryk-pstryk-pstryk*, ładunek elektryczny przebiegał przez kolejne komórki, niczym zdyszany goniec niosący złe wieści. Czy miała wypadek? Czy na stacji doszło do jakiejś awarii? Czy stracili łączność? Nate nie miał nad tym żadnej kontroli. To było jak nagłe ściśnięcie żołądka, kiedy samochód zajędzie drogę, jak przyspieszone bicie serca, kiedy coś wyślizgnie się z rąk.

Spojrzał na zegarek, mieli się połączyć pięć minut temu. Sprawdził skrzynkę pocztową, żadnych nowych wiadomości. Wstał od biurka, wziął

głęboki oddech, wypuścił powoli powietrze przez ściśnięte usta – raz, drugi, trzeci. To pomagało. Trochę. Były też inne metody. W łazience, w szafce nad umywalką, tej ze skrzypiącymi zawiasami, stało białe plastikowe pudełeczko. Alprazolam, pół miligrama. Kiedy jego lekarz usłyszał, że Lucy leci na kolejną misję, od razu wypisał mu receptę. Na wszelki wypadek, powiedział. Gdybyś nie mógł zasnąć. Gdyby coś się stało.

Póki co nie wziął ani jednej tabletki. Paradoksalnie – bał się. Lista potencjalnych działań niepożądanych ciągnęła się na pół ulotki: ospałość, zawroty głowy, zaburzenia pamięci, nieborność ruchów. A przecież był w domu sam z Elizą, w każdej chwili mogło się coś stać, mogła się zakrztusić, spaść ze schodów, sparzyć się, zaciąć nożyczkami, i trzeba będzie jechać do szpitala. Bał się też, że jeśli zażyje tabletkę choć raz, jeśli okaże się, że działa, nie zdobędzie się już na to, żeby odstawić lek. Być w jego głowie to jak pływać w zimnym basenie: tak długo, jak jesteś w środku, jak jesteś w ruchu, jest to jeszcze do zniesienia, ale jeśli raz wyjdiesz, chociaż na chwilę, to już nie zmusisz się, żeby tam wrócić. Musiał więc pływać. Cały czas. Choć było to wycieńczające.

Spojrzał na ekran komputera. Ciągle nic. Poszedł do kuchni, nalał sobie soku pomarańczowego, wypił duszkiem, skrzywił się. Zajrzał do sypialni Elizy, żeby sprawdzić, czy się nie rozkopała albo nie leży zbyt blisko krawędzi łóżka. Potem sprawdził jej szkolny plecak: czy ma już spakowany batonik i jabłko, czy w bocznej przegródce ma czyste maseczki. Nie miał wpływu na to, co dzieje się na orbicie, więc przynajmniej kontrolował to, co było wokół, co mógł samemu obejrzeć, dotknąć, poprawić. Zajęcie – jakiegokolwiek – pomagało ukierunkować i okiełznać rozpedzone myśli.

Usłyszał dźwięk komunikatora. Wreszcie dzwoniła. Pobiegł do gabinetu, usiadł za komputerem. *Klik*. Ekran wypełniła twarz Lucy. Wyglądała inaczej niż na Ziemi, jej twarz była zniekształcona mikrogravitacją, obrzękła i spuchnięta. Jak gdyby przed chwilą płakała.

– Hej – powiedziała.

- Cześć.
- Przepraszam, że się spóźniłam.
- Nic się nie stało.
- Pewnie się martwiłeś.
- Nie, nie – odparł. – Jest okej.

Nie chciał obciążać jej tym, co działo się w jego głowie, dorzucać jej zmartwień. Ich rozmowy często wyglądały tak, że oboje ślizgali się po powierzchni.

- Jak się trzymasz? – spytał.
- Daję radę.
- Są jakieś postępy? Z amoniakiem?
- Hm? Nie. Ale uruchomiliśmy dodatkowy filtr, więc powinno być w porządku.

Ale nie było. Widział to. Lucy była zdenerwowana. Może nawet więcej, wstrząśnięta. Rzadko ją taką widywał.

- Co się stało?
- Nic.
- Widzę, że nie nic.

Pauza. Oczy uciekły jej w bok, chociaż nie bardzo miały gdzie. Jej kabina była wąska niczym trumna.

- Uroki międzynarodowej załogi – westchnęła.
- Rosjanie?
- Rosjanie. – Skinęła głową.
- Powiesz coś więcej?

Widział, że się zastanawia. Czy może się z nim podzielić obawami, czy nie będzie tak, że zamiast jednego problemu będzie miała zaraz dwa. Zaboląło go to. Chciał być dla niej oparciem, prawdziwym mężczyzną, kowbojem z reklamy papierosów, który w każdych warunkach zachowa zimną krew, pomoże, wypnie włochatą pierś, w którą można się wtulić.

- Nie wiem, Nate – powiedziała w końcu. – Dziwnie się zachowują.

– To znaczy?

– Nie powinnam o tym mówić.

– Lew czy Anton? – spytał.

– Lwa nie widziałam od rozbłysku. A Anton... – Urwała w pół zdania, spuściła wzrok. Coś było nie tak.

– A Anton co?

– Przestałam mu ufać.

– Ale co się stało?

Cisza. Błada twarz Lucy obramowana ścianami kabiny.

– Oni zrobili coś na stacji – powiedziała. – A teraz to ukrywają.

Kolejny rozbłysk neuronów, najgorsze scenariusze. Nate podrapał się za uchem. Skórę pokrywały strupy.

– Nate?

– Hm?

– Nie mów, proszę, nikomu. Gdyby to się przedostało do mediów...

– Rozumiem.

Milczeli. Lucy posłała mu zmęczony uśmiech. Odwzajemnił go.

– Muszę się zbierać.

– Okej.

– Kocham cię. – Posłała mu całusa.

– Ja ciebie bardziej.

Rozłączyli się. Nate siedział chwilę bez ruchu. Chciał coś zrobić. Cokolwiek. Pomóc. Otworzył wyszukiwarkę.

Wyszukaj lub wpisz adres URL, zachęcał komunikat.

Palce zastukały o klawiaturę. W pasku wyszukiwania pojawiły się dwa słowa, imię i nazwisko.

Anton Kowalow.

Grudzień 2021

LAMAR: Była pani świadoma napięć wśród załogi ekspedycji 75?

RATHKE: Tak. Chociaż nikt nie mówił o tym otwarciu.

LAMAR: Zrobiła pani coś z tą informacją?

RATHKE: Tak. Napisałam do przełożonych.

LAMAR: Co dokładnie pani napisała?

RATHKE: Że nigdy nie powinni byli polecieć na orbitę w takim składzie.

Czerwiec 2021

Steve Ayers miał spędzić poranek z radą etyki. W planach była dyskusja o tym, jak powinna być ukonstytuowana kolonia na Marsie. Czy ma powstać we współpracy między państwem a prywatnymi firmami? Czy ma być zarządzana z Ziemi, czy przez samych mieszkańców? Czy należy ogłosić wyłączne roszczenia do zajętego terytorium? A jeśli tak, to jak takie roszczenia egzekwować? Czy na wyposażeniu takiej kolonii ma znajdować się broń? Jaki powinien być oficjalny język? Jaki wprowadzić tam system ekonomiczny – czy mieszkańcom kolonii powinno się wypłacać pensje, czy wydawać kartki? Czy należy podjąć wysiłki, aby przystosować środowisko planety do obecności człowieka, czy też, na tyle, na ile to możliwe, zachować ją w stanie niezmienionym?

Jeszcze kilka lat temu takie pytania zajmowały co najwyżej futurologów, fantastów i innych marzycieli; dziś trzeba było potraktować je poważnie. Bo choć perspektywa stałej obecności człowieka na innej planecie wciąż była odległą, to już wyobrażalna. Wyobrazić sobie można było też długą listę kwestii spornych. Dotychczasowa historia ludzkiej eksploracji

sugerowała, że lepiej nie pozostawiać niczego przypadkowi, nie zdawać się na intuicję i instynkty. I choć Mars rzeczywiście stanowił *terra nullius* – całe szczęście nie było tam nikogo, komu można byłoby wydrzeć ziemię, porwać go w niewolę, zarazić zabójczymi mikroorganizmami – potencjału na konflikt i tak nie brakowało. Wciąż wielu członków rady etycznej wierzyło, że Mars może być dla ludzkości nowym początkiem. Miejscem, gdzie człowiek będzie mógł wreszcie odciąć się od bagażu historii, sztucznych podziałów i uprzedzeń, irracjonalnych przesądów, wszelakich toksycznych „izmów”. Trzeba było tylko odpowiednio przygotować grunt, usunąć z drogi przeszkody.

Steve nie podzielał tego entuzjazmu. Był zdania, że ludzie zawsze znajdą pretekst, żeby się pokłócić, że zawsze będą jacyś „my” i jacyś „oni”, ci na górze i ci na dole, a wiara w jakąkolwiek utopię jest równie naiwna co niebezpieczna. Wydarzenia ostatnich dni zdawały się potwierdzać jego pesymistyczną ocenę. To dlatego nie stawił się dziś na posiedzeniu rady. To dlatego rozmawiał właśnie z Lucy Poplaski, nieoficjalnie, w pomieszczeniu zabezpieczonym przed podsłuchami, korzystając z szyfrowanych kanałów. Podejrzenia, którymi się podzieliła, pokrywały się z jego własnymi, a fakty, które ujawniła, wpisywały się w założony przez niego scenariusz zdarzeń.

Wyglądało na to, że Rosjanie planowali porzucić stację wcześniej, niż wynikałoby ze wspólnych ustaleń. Nie było ich stać na dalsze wysyłanie ludzi w kosmos, nie potrafili nadgonić dystansu, który ich dzielił od konkurencji. Ale nie byli też w stanie przełknąć upokorzenia wiążącego się z oddaniem kosmicznego wyścigu walkowerem. Dlatego postanowili najwyraźniej wytworzyć kryzys, obwinić o niego Amerykanów, a następnie zerwać współpracę w atmosferze skandalu – i to tak, żeby życie stacji zakończyło się nagle, bez szansy na przedłużenie obecności na orbicie.

Pytanie, jak dokładnie to zrobili. Wszystko wskazywało na to, że wykorzystali rozbłysk słoneczny – i przerwę w komunikacji – jako zasłonę dymną. Kiedy załoga amerykańska schroniła się po swojej stronie, oni,

zamiast zrobić to samo, przystąpili do działania. Oczywiście, to by oznaczało, że zarówno Lew, jak i Anton wystawili się na szkodliwe promieniowanie. Steve był gotów w to uwierzyć, Rosjanie byli wszak znani z tego, że nie mieli żadnych oporów przed poświęcaniem swoich pionków, zresztą jemu też nie był obcy ten sposób myślenia. Ale na czym dokładnie miałyby polegać ich sabotaż? Co takiego zrobili, że poziom amoniaku zaczął wzrastać, ale jego źródła nie dało się wykryć? Najprościej byłoby uwalniać gaz po swojej stronie, tam, gdzie NASA nie miała pełnego wglądu. Prędzej czy później amoniak rozszedłby się po całej stacji. Ale czemu w takim razie Rosjanie myszkowali w skrzydle amerykańskim? Do czego użyli śrubokrętu? Skąd wgniecenie na ścianie Tranquility? Co się działo z Lwem? Na te pytania Steve nie miał jeszcze odpowiedzi. Planował to zmienić.

– Dziękuję za twoją czujność, Lucy.

– Jasna sprawa – odparła. Ekran, który wypełniała jej twarz, był jedynym źródłem światła w pomieszczeniu, kolorował wszystko odcieniami zimnego błękitu.

– Obawiam się jednak, że wszystko, co mi powiedziałaś, to jedynie poszlaki. Za mało, żebym mógł działać. Bo widzisz, każda rozmowa z Rosjanami odbywa się w kontekście geopolityki. Każda akcja spotka się z reakcją. Albo na orbicie, albo na Ziemi.

– Oczywiście. – Skinęła głową.

– Mówię tu rzecz jasna o rozmowach i działaniach oficjalnych.

Steve przyglądał się Lucy badawczo, śledził każdą zmianę w jej mimice, każdy ruch oczu. Jeśli zrobi to, co chciałby zrobić, zaryzykuje swoją karierę, a dla astronauty nie było wszak nic cenniejszego. Każde z nich poświęciło przecież dla pracy swoje życie i rodzinę, byli jak Agamemnon, gotów poderznąć własnej córce gardło, byleby złapać wiatr w żagle i popłynąć ku przygodzie. Oczywiście, czasy się zmieniły, ofiara była mniej krwawa, dzieci wciąż uśmiechały się do zdjęć, małżonkowie machali z trybun, ale mechanizm był podobny: wasze życie za moje, wasze

marzenia za moje. Dlatego Steve musiał poruszać się ostrożnie, wywierać nacisk stopniowo, powoli, w każdej chwili gotów zrobić krok do tyłu, aby spróbować jeszcze raz, z innej strony, innymi słowami. Znał Lucy, znał wszystkich astronautów, ich mocne strony i słabości. W jej przypadku było to jedno i to samo: ambicja. To za jej sprawą dotarła na orbitę. To za jej sprawą można ją teraz manipulować. Kto jak nie ty, Lucy. Liczymy na ciebie. Dalej, wykaż się.

– Pozostają działania nieoficjalne – dodał po chwili. – Przynajmniej do czasu, aż zbierzemy więcej informacji.

– Jakie działania?

– Zaczniemy od tego, co by nam najwięcej rozjaśniło – odparł. Niech ona to powie, niech to będzie jej inicjatywa.

– Lew – odpowiedziała bez wahania. – Trzeba ustalić, co się z nim dzieje.

– Też tak myślę. Pytanie, jak to zrobić. Bo z tego, co mówisz, Anton dał bardzo wyraźny sygnał, że masz się tym tematem nie interesować. Że jeśli będziesz naciskać, Rosjanie odbiorą to jako eskalację, a tego nie chcemy. Przynajmniej nie w tej chwili.

Pauza. Lucy się zastanawiała. Wiedział, do jakich wniosków dojdzie. Była bystra, znała procedury. Konkluzja była oczywista. Pytanie, czy jest na to gotowa, czy nie przestraszy się własnych myśli.

– Hmm... Jest... – zaczęła niepewnie, urwała, ale zaraz nabrała pewności. – Jest jeden sposób.

Steve pokiwał głową, zadowolony.

– Zamieniam się w słuch – odparł, choć wiedział doskonale, co powie.

Niebieskie oczy, silnie zarysowana szczęka, naturalny, niewymuszony uśmiech. Anton był przystojny, ale na wschodnioeuropejską modłę: widać było po nim lata i kartony wypalonych papierosów. W Rosji mężczyzna,

a już zwłaszcza wojskowy, nie mógł przecież smarować się kremem do twarzy czy nitkować zębów. Akceptowalny był co najwyżej żel do włosów, którego Anton, być może kompensując sobie te ograniczenia tradycyjnego modelu męskości, nieco nadużywał. Na większości zdjęć, które Nate znalazł w internecie, Rosjanin miał na sobie mundur sił powietrznych albo uniform astronauty. Fotografii z prywatnego życia było niewiele, a i te nieliczne, które dało się wyszukać, były pozowane na potrzeby wywiadu. Anton w grubym swetrze w renifery wraz z synem, przy biurku, skleją model Jaka-152 (*Młody Denis planuje pójść w ślady ojca, już próbuje sił na szybowcach w lokalnym aeroklubie, głosi podpis*). Anton wraz z żoną, blondynką o wymiarach modelki i uśmiechu stewardesy, na skrzącym się w słońcu stoku narciarskim, w kolorowych kombinezonach w estetyce lat osiemdziesiątych (*Ksenia uwielbia wspólne wyjazdy do Soczi. „Tu mam go tylko dla siebie”, mówi. „Telefony zostają w hotelu”*). Anton pochylony nad otwartą maską ubłoconego samochodu, podwinięte rękawy, ramiona uwalane smarem, kombinerki wetknięte za przetarty skórzany pasek (*„U mechanika jestem tylko po stemple do papierów”, mówi Anton. „Wszystkie naprawy robię sam”*). Na kolejnym zdjęciu z tej sesji patrzy prosto w obiektyw, z ironicznym uśmieszkiem, jakby chciał spytać: *A ty, kolego? Potrafiłbyś chociaż zmienić oponę?*

Nate potarł oczy – piekły, łzawiły. Wczoraj siedział przy komputerze do drugiej w nocy, dziś wrócił do niego, jak tylko zawiózł Elizę do szkoły. Sprawy, które miał załatwić, odłożył na później; z praniem można jeszcze poczekać, kolację tym razem się zamówi. A do pracy nie chodził już od ładnych paru lat. Złożyło się na to kilka czynników. Po pierwsze, rzecz jasna, narodziny córki, i całkowita niekompatybilność wymogów rodzicielstwa z karierą astronautki, a ktoś musiał przecież wozic Elizę do żłobka, na szczepienia i zajęcia plastyczne, zajmować się nią, kiedy była chora, czyli – przynajmniej na początku – większość czasu. Oczywiście, i to dałoby się pogodzić z aktywnością zawodową, mogliby przecież wynajść

nianie albo ściągnąć do Teksasu którąś z babć. Ale dochodził jeszcze drugi czynnik: jego narastająca frustracja.

W dwa tysiące szóstym, tuż po studiach, Nate dołączył do zespołu pracującego nad sondą, która miała polecieć na Tytana. Wybór był oczywisty. Tytan to przecież jedyny w całym Układzie Słonecznym księżyc z własną atmosferą! Jego powierzchnię pokrywają jeziora węglowodorów, jedyne zbiorniki niezamarzniętej cieczy zaobserwowane poza naszą planetą. Warunki powierzchniowe podobne do tych, gdy na Ziemi narodziło się życie! Chemiczne sygnały sugerujące istnienie prostych organizmów opartych o metan! Tyle rzeczy do zbadania, tyle pytań – i odpowiedzi, które mogły całkowicie zmienić nasze postrzeganie wszechświata! Niesieni entuzjazmem, Nate i jego koledzy pracowali po siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, ba, nawet i sto godzin w tygodniu, żywili się zupkami z proszku i red bullami, spali na rozłożonych pod biurkami karimatach, wychodzili z biura tylko do pralni samoobsługowej, a nawet wtedy, pośród huku dziesiątek wirujących bębnow, w oparach mydlin, rozkładali laptopy na kolanach i dalej wyliczali, szkicowali, pisali. To oni, zgraja kujonów w sandałach i koszulach w kratę, byli tak naprawdę na szpicy, to oni prowadzili ludzkość w nieznane, nie astronauty, którzy latali wahadłowcami w tę i w tę niczym kierowcy ciężarówek, żałosne kilka tysięcy kilometrów, nie zespoły, które szykowały kolejny, nie wiadomo już który lot na Marsa, żeby obrócić jeszcze jeden kamień, zrobić zdjęcie jeszcze jednego krateru.

Przy tym pierwszym projekcie, Titan Saturn System Mission, Nate przepracował trzy lata, które w jego wspomnieniach zlepiły się w jeden niekończący się dzień: żadnych pór roku, świąt, wyjazdów, tylko jarzeniówki, linoleum i zimna pizza. W dwa tysiące dziewiątym ogłoszono, że finansowanie zostanie przyznane innemu wnioskowi, a misja na Tytana będzie „dalej ewaluowana”, i faktycznie, była ewaluowana nawet dziś, blisko dwie dekady później. Pieniądze się skończyły, ludzie się rozjechali,

ale część, w tym Nate, przeszła do zespołu pracującego nad kolejną misją na Tytana, Titan Mare Explorer, której elementem miała być sonda-łódź, pływająca po lodowatych jeziorach metanu: cóż może być wspanialszego, jakież wyzwanie godniejsze wysiłku, poświęceń i czasu! Kolejne cztery lata, kolejne hektolitry potu i tony grafitu rozsmarowanego na hektarach papieru w kratkę – aż w dwa tysiące trzynastym ich budżet został zmasakrowany przez komisję senacką. Ale, ale! To przecież nie koniec! Nate'a zaproszono do prac nad następnym projektem: dronem z generatorem radioizotopowym, który krążąc wokół Tytana, miał stworzyć szczegółową mapę jego powierzchni. Wciąż ekscytujące, ale tym razem Nate był już bardziej sceptyczny, zmęczenie materiału, związek z Lucy i problemy ze zdrowiem będące konsekwencją młodości spędzonej przy biurku skutecznie studziły entuzjazm. I słusznie, bo dron powstał tylko na papierze, NASA nie przyznała im finansowania nawet na zbudowanie makiety. Dolary popłynęły zamiast tego na sondy na Marsa – kolejne, Jezu Chryste Nazareński, kurwa mać, ile można! – oraz na program lotów załogowych. Czyli między innymi na Lucy.

Wtedy Nate się po prostu poddał, wykorzystując dziecko jako wygodny pretekst. Miał dość porażek, dość rozczarowań. I nie żałował: kolejna sonda na Tytana, Dragonfly, jeszcze utrzymująca się przy życiu, miała zostać ukończona i wyniesiona poza ziemską orbitę w dwa tysiące dwudziestym siódmym, a na miejsce doleci, wedle planów, już dziewięć lat później, w dwa tysiące trzydziestym szóstym. Zakładając, rzecz jasna, że wszystko pójdzie jak trzeba, że w międzyczasie NASA nie zmieni planów, że Waszyngton nie zabierze jednak obiecanych pieniędzy, żeby bombardować za nie jakiś kraj Trzeciego Świata, że rakieta nie wybuchnie przy starcie, jak Orbiting Carbon Observatory, Ziemia nie utraci komunikacji z sondą w trakcie przelotu jak w przypadku Shin'en albo Deep Space 2, że ta nie rozbije się przy lądowaniu jak Mars Climate Orbiter albo Schiaparelli ani nie okaże się, że aparatura do pomiarów naukowych nie przetrwała

podróży przez kosmiczną próżnię. Nie miał już na to siły. Bezład biurokracji w zestawieniu z bezkresem kosmosu go pokonał.

Nate zorientował się, że pouciekały mu myśli, a wzrok utkwiał gdzieś za oknem, w miejscu, w którym ziemia spotyka się z niebem. Skup się, opieprzył sam siebie, koniec uzalania się nad sobą, koniec jęczenia, przydad się do czegoś, pomóż jej.

Ruszył myszką, żeby wybudzić wygasły ekran, i otworzył plik, w którym porządkował informacje na temat Antona. Oficjalny życiorys był skrótowy – żeby rzeczywiście go przeświecić, musiał sięgać głębiej w odmęty internetu, zajrzeć na drugą, trzecią, a może nawet, ho, ho, czwartą stronę wyników zebranych przez wyszukiwarke. Teraz przydawał się łamany rosyjski Nate'a: uzbrojony w słowniki, tradycyjne i automatyczne, rozszyfrowywał kolejne strzępki informacji, litera po literze.

Anton Kowalow, urodzony w 1974 roku w Pskowie, w 1995 ukończył Wyższą Szkołę Lotniczą w Syzranii nad Wołgą, w tym samym roku rozpoczął służbę w siłach powietrznych Federacji Rosyjskiej, w 764 pułku lotnictwa myśliwskiego, brał udział w drugiej wojnie czeczeńskiej, przeszedł do cywila w roku 2006, w 2008 zaś wstąpił w szeregi kosmonautów.

Ciekawe, pomyślał Nate. O tym, co się z Antonem działo w latach 2006–2008, internet milczał.

Śmiech, szczebiot, krzyki: *Trzymamy się za ręce! Dzieci, ostrożnie, to jest parking!* Steve nawet nie wyjrzał przez okno, był do tych dźwięków przyzwyczajony: kolejna wycieczka szkolna. Przyjeżdżały tu regularnie, podstawówki, gimnazja, licea, poza tym różnorakie kluby młodego astronoma, skauci i laureaci konkursów naukowych. Kiedy zaczynał tu pracować, drażniło go to, ten hałas, zatłoczone korytarze, marnowanie czasu

astronautów na wypisywanie autografów i pozowanie do zdjęć. Ale był wtedy młody, młody i głupi, myślał co najwyżej ruch albo dwa do przodu, a trzeba było przecież patrzeć dalej, myśleć nie tylko o taktyce, ale i strategii. Dzieci trzeba było przeciągnąć na swoją stronę, bo szybko – zaskakująco szybko – staną się dorosłymi. A dorośli już tak łatwo nie unoszą wzroku ku gwiazdom, bardziej ich interesują stopy procentowe, podatki dochodowe i punkty na kartach lojalnościowych w pobliskim supermarkecie, nie marzą już o odległych światach i przygodach w Wielkim Obłoku Magellana, tylko o większym domu, nowszym samochodzie, ewentualnie lepszym seksie. O ile zawczasu nie zaszczepi się w nich fascynacji wszechświatem, jeśli nie będą z nostalgią wspominać, jak to bawili się w astronautów, w hełmach z kartonu owiniętego folią aluminiową, jak spędzali ciepłą sierpniową noc na rozłożonym w ogrodzie kocu, wypatrując z rodzicami deszczu Perseidów, to potem zaczną zadawać niewygodne pytania. Po co to wszystko? Czemu to służy? I dlaczego aż tyle kosztuje? Loty w kosmos porównywano często do konstrukcji katedr, które budowano czasem przez sto, dwieście albo i trzysta lat – tytaniczny wysiłek, którego owoce zbiorą dopiero przyszłe pokolenia. Porównanie rzeczywiście było trafne, bo i katedry, i rakiety brały swój początek ze wspólnych wierzeń i mitów; tylko tak można było sobie wytłumaczyć ich sens, uzasadnić koszty. Steve, wojujący ateista, dostrzegł z czasem, że z religii da się zaczerpnąć wiele pomysłów. Na przykład na to, jak inspirować ludzi. A także jak kłamać.

– Halo? – zatrzeszczało w słuchawce. Na linii był Robert Schiff.

– Przepraszam, wycieczka. Poczekaj, przejdę do drugiego pokoju... – Steve zamknął za sobą drzwi. – Teraz lepiej?

– Tak, tak, dużo. Dzięki. Możesz powtórzyć?

– Oczywiście. Chciałbym zmienić grafik. Konkretnie: przesunąć aktualizację systemów operacyjnych z dwudziestej trzeciej dwadzieścia jeden na szesnastą czternaście.

– To... Hm. – Robert się zawahał. Utrzymywali co prawda koleżeńskie relacje, ale jednak zwracał się do przełożonego. – To nie jest najlepszy pomysł. Przynajmniej z technicznego punktu widzenia. Specjalnie ustawiliśmy to na nocną zmianę, bo potencjalne problemy można rozwiązać, kiedy załoga jeszcze śpi.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– W takim razie... Czemu?

– Z powodów związanych z naszą ostatnią rozmową – powiedział Steve wymijająco, na wypadek gdyby słucał ich ktoś jeszcze. Nigdy nic nie wiadomo, lepiej dmuchać na zimne.

Robert nie odpowiedział od razu. Ważył słowa. Kalkulował.

– Rozumiem – odparł po chwili. – Ale wciąż potrzebuję jakiegoś uzasadnienia. Podkładki.

– Niestety, nie mogę niczego takiego zapewnić. Nie chcę zostawiać śladów na papierze. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Steve...

– Zdaję sobie sprawę, że proszę o dużo. Ale stawka też jest wysoka. – Pauza, niech te słowa wybrzmia, trzeba im zrobić miejsce. – Chodzi o przyszłość stacji.

Dyrektor lotu milczał. Ale Steve się nie martwił, nie wstrzymywał oddechu. Robert byłby gotów dla tej stacji zabić, tak, dla stacji właśnie, wcale nie dla ludzi, którzy akurat na niej przebywają, a za miesiąc, dwa z niej znikną. On kochał sam mechanizm, to brzydkie kaczątko nastroszone czujnikami i wysięgnikami, kochał je miłością, którą może zrozumieć tylko drugi inżynier.

– Mogę pogadać z Kelly... – Westchnął. – Ona będzie dziś na stanowisku CRONUS. W odczytach z komputerów zawsze znajdzie się jakiś błąd, to by mogło posłużyć za pretekst do przyspieszenia aktualizacji...

– Pogadaj. Ale nieoficjalnie, nie na kanale. Okej?

– Okej. Jasne.

– I nastaw się, że problemy wystąpią.

– Jasne. Dlaczego?

Bo wcześniej odbyłem inną nieoficjalną rozmowę. Z szefem biura programistów. Któremu bardzo, ale to bardzo zależy na awansie.

– Nieistotne – powiedział Steve na głos. – Po prostu uwierz mi na słowo.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Wiedział. Wiedział też, że gdyby coś poszło nie tak, wciąż mógł udawać zaskoczonego. Co takiego? Naprawdę? Nie może być. Zapewniam szanownego kongresmena, że wyciągniemy najsurowsze konsekwencje. Każdy sąd go uniewinni. Oczywiście, mogliby go zwolnić z piastowanego stanowiska, ale kadencja Steve'a i tak dobiegała przecież końca, a kolejna administracja będzie chciała posadzić u sterów własnych ludzi. Akceptowalne ryzyko.

– Robert, pracujemy razem ile...? Siedem lat?

– Osiem.

– Osiem, racja. Kupa czasu, prawda? Z pewnością dość, żeby wyrobić sobie o kimś zdanie. – Przełożył telefon do drugiej ręki, urządzenie było już tak nagrzane, że parzyło w palce. Steve zdążył od rana obdzwonić pół agencji. – Oszczędźmy więc sobie tego tańca. Po prostu powiedz, czy mogę na ciebie liczyć czy nie.

– Możesz – odparł Robert, chociaż mniej zdecydowanym tonem, niżby Steve sobie życzył.

– Świetnie. W takim razie działaj, ja muszę kończyć.

– Do usłyszenia.

Steve się rozłączył, wybrał inny numer: Helen Chen z Public Affairs Office, działu odpowiedzialnego za PR i kontakt z mediami. Wielu pracowników agencji traktowało ludzi z PAO jako zło konieczne, upierdliwą narośl. Nie odpowiadali na ich e-maile, nie odbierali telefonów, na każdą prośbę reagowali ciężkim westchnieniem, które oznaczało: ja tu wykuwam przyszłość ludzkości, a ty chcesz, żebym nagrywał tiktoki. Steve

nie podzielał tej postawy, rozumiał, że Helen i jej koledzy są równie ważni dla sukcesu agencji co projektanci rakiet. Ba, może nawet ważniejsi.

Jeden sygnał, drugi, trzeci. Steve podszedł do okna. Wycieczka szkolna zniknęła w trzewiach budynku, kierowca schował się przed słońcem w cieniu autobusu i palił papierosa, wiatr szarpał go za krawat.

– Halo? – zabrzmiało w słuchawce.

– Cześć, Helen! Jak leci?

– Wszystko w porządku, dzięki...

– Świetnie, świetnie. Słuchaj, dzwonię w sprawie tego panelu z... – Podrapał się po głowie. – Kto to miał być? „Washington Post”?

– „Wall Street Journal”.

– Racja, racja. No więc zastanawiałem się, czy zamiast jednego astronauty nie wolałabyś trzech?

– Znaczy... – Helen na chwilę zatkało. – Gdyby się dało, byłoby ekstra... Po prostu wcześniej Biuro Astronautów odpowiedziało, że w ogóle nie da rady, bo mają tego dnia jakieś szkolenia...

– Zmieniliśmy grafik – odpowiedział, uprzedzając nieco fakty. – Ile byś chciała czasu?

– Dwie godziny byłyby ekstra.

– Niech będą trzy.

– Trzy? – Aż ją zatkało. – Wow... Okej... Wiszę ci przysługę.

Steve się uśmiechnął. Niezmienne prawidła ludzkich interakcji, coś za coś, ręka rękę myje.

– Właśnie, skoro już mam cię na linii... – Podszedł do biurka, przerzucił kartki leżące na blacie, podniósł jedną z nich. – Widzę, że jutro wieczorem NASA TV ma zaplanowaną transmisję ze stacji. Dałoby się to zamienić na, nie wiem, jakiś film dokumentalny?

– Film? – Helen umiejętnie tuszowała zdziwienie. – Tak, pewnie. Jaki?

– Jakikolwiek – odparł Steve. – Byle długi.

Lucy lewitowała w Cupoli, ich bocianim gnieździe, oknie na świat. Ten niewielki moduł o kształcie półkuli był zbudowany jak witraż: siedem tafli pancernego szkła osadzonych w metalowym szkielecie. Większości astronautów Cupola przywodziła na myśl TIE Fightera, myśliwiec z uniwersum *Gwiezdnych wojen* o charakterystycznej wypukłej kabinie, wzorowanej na starych batyskafach. Lucy miała raczej wrażenie, że znajduje się wewnątrz podzielonego na segmenty owadziego oka. To skojarzenie lepiej oddawało miejsce człowieka we wszechświecie, jego rozmiar, wiedzę i sprawczość. Nie żaden pilot, tylko mrówka zapatrzona w gwiazdy.

Przelatywali właśnie nad Syberią, była tu noc, ale rozjarzona światłami zorzy polarnej: falujące pasma żółci, bieli i zieleni, najeżone cienkimi iglicami niczym wykres widma masowego. Lucy uniosła aparat do oka, zrobiła zdjęcie. Przypadła jej najbardziej pożądana zmiana na całej stacji: dokumentacja. Pół godziny w samotności, z zapierającym dech w piersi widokiem na bezkres. Większość modułów w ogóle nie miała okien, a jeśli już, były to niewielkie bulaje – pole widzenia było obramowane ścianami, z których każda była na wyciągnięcie ręki, obrośnięta bluszczem kabli. W Cupoli można było od tego odpocząć, zawiesić oczy nawet nie na odległym horyzoncie, tylko na nieskończoności. Mimo to Lucy nie przepadała za szychtami w tym module i zwykle wymieniała je na inne zadania, o ile nie musiała akurat operować wysięgnikiem CANADARM2 – chętnych do takiego barteru nigdy nie brakowało. Pytana czemu, odpowiadała, że nie lubi robić zdjęć. Prawda była taka, że to miejsce – każdy uchwyt, każde okno – budziło w niej wyrzuty sumienia.

Tym razem jednak nie próbowała się wymigać. Była zestresowana i bała się, że ktoś to zauważy, zacznie zadawać pytania, a potem, kiedy będzie już po wszystkim, sobie o tym przypomni. Tu zaś była sama, wykonywała

proste zadanie, a ewentualne pomyłki – co na stacji stanowiło wyjątek – nie pociągną za sobą ważkich konsekwencji, źle wykadrowana fotografia jeszcze nikogo nie zabiła. *Cyk, cyk*, trzaskała kolejne panoramy spowitej zorzą planety, kosmiczny wiatr szarpał cienki ziemski płaszcz. Nie miała czasu się tym zachwycić, nie podziwiała uwiecznionych obrazów na ekranie podglądu, co chwila sprawdzała tylko czas i położenie stacji. Szesnasta jednaście, południk pięćdziesiąt stopni, wschód. Szesnasta dwanaście, południk sto pięćdziesiąt stopni, wschód.

Ścisnęła ją w brzuchu, nie była już w stanie dłużej skupić się na robieniu zdjęć. Puściła aparat, ten odpłynął leniwie. Zorza odbijała się w wypukłym rybitim oku obiektywu. Jeśli prawdziwa jest teoria równoległych wszechświatów, to dokładnie w tym momencie rzeczywistość rozdzieliła się na dwie odnogi. W jednej z nich Lucy postępowała zgodnie z regulaminem, grafikiem zajęć i zdrowym rozsądkiem. W drugiej podejmowała ogromne ryzyko. I to samo w sobie nie było problemem, Lucy uwielbiała przecież ryzyko: szybka jazda na motorze, paralotnia, wspinaczka wysokogórska. Tylko że to było ryzyko pozbawione wymiaru etycznego. Owszem, groziło jej wówczas, że zrobi sobie krzywdę, ba, że zginie, ale nie to, że stanie po złej stronie historii, zniweczy wysiłki tysięcy ludzi, zniszczy coś bezcennego. Szesnasta trzynaście, południk sto sześćdziesiąt stopni, wschód.

Zamknęła oczy, zacisnęła spoconą rękę na uchwycie. Jeden ruch i przepłynie przez służbę. Wystarczy sygnał elektryczny biegnący od mózgu do ramienia, krótkie spięcie mięśni, ułamek sekundy – nic więcej. Wahała się, albo raczej: odkładała nieuniknione. Bo możliwe również, że nie ma równoległych wszechświatów, że jest jeden jedyny, w którym wszystko wiadomo z góry, od Wielkiego Wybuchu do Wielkiego Kolapsu, włączając w to narodziny galaktyk, eksplozje supernowych i przebieg życia Lucy Madeleine Poplaski. Była odpowiedzialna. Była najlepsza. Była ambitna.

Dyrektor lotów załogowych na nią liczył, poprosił ją, ją właśnie, nikogo innego. Czy mogła odmówić?

Szesnasta czternaście, południk sto sześćdziesiąt pięć stopni, wschód.

Lucy pociągnęła za uchwyt i była już w Tranquility. Zajrzała do sąsiadującego modułu Unity, potem, nauczona doświadczeniem, otworzyła drzwi toalety. Nikogo, cisza, tylko huk wentylacji, szum krwi w skroniach, nierówny oddech. Odblokowała ekran tabletu przypiętego rzepami do ściany. *TRWA AKTUALIZACJA OPROGRAMOWANIA, PAKIET 23 z 342 110*. Zaczęło się. Otworzyła aplikację do komunikacji z Ziemią, wywołała CAPCOM, raz, drugi, trzeci. Cisza, komunikat z czerwonym wykrzyknikiem, *WYKRYTO PROBLEMY Z ŁĄCZNOŚCIĄ*. Oczekała chwilę, spróbowała jeszcze raz. To samo. Czyli Steve dotrzymał swojej części umowy.

Spojrzała ponownie na zegarek. Szesnasta dziewiętnaście, południk sto siedemdziesiąt, zachód. Przelatywali właśnie nad Półwyspem Czukockim, ostatnim skrawkiem Rosji, ostatnimi nadajnikami i odbiornikami Roskosmosu. Kiedy stacja znajdowała się poza ich zasięgiem, mniej więcej między sto sześćdziesiątym południkiem na zachodzie i trzydziestym na wschodzie, Moskwa korzystała z łączy amerykańskich, opartych nie tylko na instalacjach naziemnych, ale też na satelitach przekaźnikowych krążących po orbicie, które umożliwiały stały kontakt niezależnie od pozycji stacji względem globu. Chyba że nastąpiły akurat problemy z łącznością, napotkane podczas aktualizacji oprogramowania.

Szesnasta dwadzieścia. Lecieli nad Alaską. Lucy wcisnęła guzik aktywujący alarm przeciwpożarowy.

- CRONUS, Flight – zatrzeszczało w słuchawkach. – Podaj status.
- Ciągłe brak łączności.

Steve odetchnął z ulgą. Ale dalej wciskał raz za razem długopis, *pstryk, pstryk, pstryk*. To był dopiero początek, pierwszy krok po drugiej stronie Rubikonu. Jeśli miałyby trzymać się tej analogii, prawdziwe bitwy jeszcze przed nim. A na końcu, kto wie, może idy marcowe.

– Kiedy zostanie wznowiona?

– Nie mam jeszcze informacji.

– Złóż raport, kiedy tylko je otrzymasz – powiedział Robert. – SPARTAN, ADCO, ETHOS, ostatnie dane sprzed utraty łączności?

– Flight, SPARTAN. Wszystko w normie.

– Flight, ADCO. U mnie to samo.

– Flight, ETHOS – odpowiedział ostatni wywołany kontroler. – Wartości nominalne poza amoniakiem, poziom jeden przecinek osiemdziesiąt dziewięć cząsteczki na milion.

– CAPCOM, Flight, ostatnie pozycje astronautów? – spytał dyrektor lotu.

– Flight, CAPCOM. Zgodne z grafikiem.

– Dziękuję, informujcie o nieregularnościach – odparł Robert, powoli i spokojnie. W jego monotonnym głosie pobrzmiwały jednak nutki niepokoju. Dobrze gra, pomyślał Steve, jakby rzeczywiście nie wiedział, co się dzieje, był zaskoczony. A może właśnie nie gra, może naprawdę się boi. Że na stacji coś się stanie, a kontrolerzy dowiedzą się o tym dopiero po fakcie, i do końca życia sobie tego nie wybaczy. Albo, mniej dramatycznie, ale wciąż tragicznie, że ktoś przejrzy to przedstawienie i obiecująca kariera Roberta Schiffa zakończy się gwałtownie, na dodatek w atmosferze międzynarodowego skandalu. Niewykluczone. W tym pokoju, za tym biurkiem nie było neutralnych w skutkach decyzji.

– OSO, poinformuj ekipy ratunkowe, że mają przejść w stan gotowości – Robert mówił dalej, musiał mówić cały czas, dyrygować orkiestrą kontrolerów – i pomóż PAO w przygotowaniu komunikatu prasowego. RIO, zadzwoń do Moskwy i daj im znać, co się dzieje.

– Flight, RIO – odpowiedział mu głos Kevina. – Mam ich już na drugiej linii. Są wkurzeni.

– Flight, CRONUS. – Steve poprawił słuchawki. Na ten komunikat właśnie czekał, od tego wiele zależało. – Otrzymałam potwierdzenie z biura programistów. Przywrócenie łączności za godzinę i jednaście minut. W pierwszej kolejności wrócą dane telemetryczne na paśmie „s”, pasmo „ku” kilka minut później.

– Dziękuję, CRONUS – odparł Robert. A potem już cisza.

Steve wyjrzał przez lustro fenickie oddzielające go od pokoju kontroli lotów. Tu ktoś drapie się po głowie, tam ktoś ściąga słuchawki, poczerniały ekrany wyświetlające informacje o statusie stacji. *Brak danych, brak danych, brak danych.* Kontrolerzy byli ślepi i głusi, bezsilni i beczynni. Dziwne uczucie dla ludzi, którzy dzień i noc trzymali rękę na pulsie, którzy rozumieli stację lepiej niż przebywający na niej astronauty. Ale tak przecież będzie, jeśli faktycznie wyrwiemy się kiedyś poza Ziemię i Księżyc. Radiowej pępowiny nie da się rozciągać w nieskończoność: opóźnienie w komunikacji z Marsem wynosiło już sześć i pół minuty, trzynaste w obie strony. Tak się nie da rozmawiać, a już na pewno nie da się wydawać rozkazów.

Steve usiadł w rogu pokoju, wyciszył telefon i przymknął oczy. Musiał odpocząć, zebrać siły. Miał chwilę. Godzinę i jednaście minut, ściśle rzecz biorąc.

Potem zrobi się gorąco.

Ryk wentylacji został zagłuszony przez alarm. Wysoki, rytmiczny, świdrujący pisk, od którego cierpła skóra i dzwoniły zęby. Lucy wślizgnęła się do Unity, byli już tam Lafayette i Devaki. Mimo że pożar na pokładzie stacji byłby śmiertelnie groźny – filtry nie dałyby sobie rady z dymem,

naruszenie integralności któregokolwiek modułu oznaczałoby gwałtowną dekompresję, a ewakuacja byłaby cholernie ryzykowna – zachowywali się spokojnie. Czujniki były niezwykle wyczulone, więc fałszywe alarmy zdarzały się regularnie. Rutyna. Ale Ezra, który dołączył chwilę później, zdawał się traktować sytuację z pełną powagą: ciało napięte jak struna, oczy szukające zagrożenia.

– Ktoś z was coś widział? – spytał.

– Nie.

– Dym? Ktoś czuł dym?

– Ja nie. – Lafayette pokręcił głową.

– Ja też nie – powiedziała Devaki.

– Lucy?

– Nie. – Już była w ruchu, już przerwała kontakt wzrokowy. – Działamy.

Nie musiała mówić niczego więcej – procedury alarmowe na wypadek pożaru ćwiczili wielokrotnie, razem i osobno, na Ziemi i na orbicie, znali każdą gałąź drzewka decyzyjnego. *Czy widać bądź czuć źródło ognia? Jeśli nie: pobierz aparaty filtrujące PBA i udaj się do modułu Zwiezda w części rosyjskiej.* A gdyby coś poszło bardzo, ale to bardzo nie tak, wsiedliby do swoich kapsuł, sojuza i dragona, i porzucili stację. Problem w tym, że nie wracaliby wówczas na Ziemię w optymalnym momencie, podążając trajektorią wyliczoną i potrójnie sprawdzoną przez kontrolerów lotu, w bezpieczne miejsce, gdzie czekała na nich ekipa ratunkowa, z herbatką w termosach i ciepłymi kocami. Nie, wpadliby w atmosferę niczym pocisk wystrzelony na ślepo z armaty, wgnieci w fotele siłą ośmiu albo i dziesięciu g, mogliby wylądować na środku pustyni albo pośród wzburzonych fal, rozbić się o góry albo uderzyć jak meteor w miasto. Nikt nie miał na to ochoty.

Lew i Anton czekali na nich przy komputerze pokładowym, zgodnie z procedurami. Mieli też na sobie maski, co już z procedurami zgodne nie było. Zapas tlenu w butlach był ograniczony, dlatego według instrukcji

korzystano z nich dopiero, gdy potwierdzono obecność ognia bądź zanieczyszczenie atmosfery. Ciekawe, odnotowała Lucy.

– Źródło? – spytał Ezra.

– Brak danych – odparł Anton.

Lucy ich nie słuchała, patrzyła na Lwa. Kombinezon czysty, żadnych plam, uszkodzeń. Ręce zaciśnięte na uchwycie, tak mocno, że aż zbieleły mu kłykcie. Twarz ledwie widoczna za zaparowaną szybką maski, włosy brudne, posklejane. Czemu Anton go ukrywał? Czemu nie chciał, żeby z nim rozmawiała? A może rzeczywiście przeprowadzał jakiś eksperyment w Nauce? Eksperyment, którego pochodną był amoniak?

– Ale gdzie doszło do aktywacji alarmu? – drążył Ezra. – Ręczna czy automatyczna?

– Brak danych.

– Jak to brak danych?

– Tak to, że robicie sobie aktualizacje oprogramowania w środku dnia – powiedział Anton.

– Coś się działo po waszej stronie? – spytała Lucy.

– Nasza strona działa bez zarzutu – odparł Rosjanin. Z wyraźnym naciskiem na słowo „nasza”.

– Dobrze słyszeć, bo jak ostatnio był prawdziwy alarm, to fajczyły się wasze generatory tlenu – wtrącił Lafayette z uśmiechem. – Może warto je obejrzyć? Tak na wszelki wypadek?

– Są jakieś komunikaty o zwarcjach? – dopytywał Ezra. – Przerwanych obwodach?

– Brak danych. O, za to mam ostatni raport o stężeniu amoniaku. Przeczytać wam?

– Lew? A ty coś widziałeś? – spytała Lucy.

– Przecież mówiłem, że u nas wszystko działa – powiedział Anton.

– Pytam Lwa.

Cisza. Drugi Rosjanin pokręcił przecząco głową. Przez krótką chwilę nikt nic nie mówił.

– Lew? – spytał Lafayette. – Wszystko okej? *Choroszo?*

– Cholera, potem sobie pogadacie – przywołał ich do porządku Ezra. – Stacja może się palić.

– Przecież widać, że to fałszywy alarm. – Botanik przewrócił oczami.

– Gównu widać – warknął wojskowy. – Może się tlić coś za panelami.

– Hej, hej, spokojnie – wtrąciła Lucy. Pisk alarmu, huk wentylatorów, podniesione głosy – za dużo się tego wszystkiego robiło. Język miała suchy jak wiór, pękała jej głowa. Może znów skoczył poziom dwutlenku węgla. – Ezra ma rację, trzeba to sprawdzić. Anton, ty zostajesz przy komputerze, czujniki w końcu coś pokażą. Ja i Lew sprawdzamy część rosyjską, a Devaki, Ezra i Lafayette część amerykańską.

– Z całym szacunkiem, ty nie znasz naszych modułów – zaprotestował Anton.

– To ja tu dowodzę – odpowiedziała. – Do roboty.

Czekała, czy się jej sprzeciwi, czy znowu zagrozi Moskwą, ale nie, skinął tylko głową i odwrócił się do ekranu. Amerykańska załoga zniknęła w śluzie prowadzącej do Unity, Lucy została sama z Rosjanami. Lew wciąż trzymał się kurczowo uchwytu. Miała wrażenie, że oddycha z trudem, nierówno. Może to przez maskę.

– Chodź. – Przywołała go gestem dłoni. – Zaczniemy od Nauki.

Lew skinął głową i ruszył jej śladem. Weszli do sąsiadującego modułu, Lucy rozejrzała się wokół. Nie szukała rzecz jasna źródła ognia, tylko czegokolwiek, co rzuciłoby światło na intencje Rosjan, co wytłumaczyłoby, skąd w powietrzu brał się amoniak. Alarm dawał jej pretekst, żeby poruszać się po ich skrzydle bez ograniczeń i, co równie ważne, bez uprzedniej zapowiedzi: Anton i Lew nie mieli czasu, żeby się przygotować, ukryć ewentualne dowody. Najpierw sprawdziła otwory wentylacyjne. Jeśli rzeczywiście uwalniali amoniak, tak byłoby najprościej – ale nie, pudło.

Rzuciła okiem w stronę Lwa. Był za jej plecami, przeczesywał moduł ręcznym detektorem dymu.

– Coś widzisz? – spytała. Żeby tylko coś odpowiedział, żeby go usłyszeć.

– Nie – odparł. Mówił cicho, z mocnym akcentem, głosem zniekształconym przez maskę. – Atmosfera w normie.

A ty, chciała spytać, też w normie? Co przede mną ukrywasz? Ale nie, musiała być ostrożna, temperatura i tak podskoczy, kiedy wyjdzie na jaw, że alarm został uruchomiony ręcznie, po ich stronie, i to bez wyraźnego powodu. Każde jej pytanie, ba, każde słowo może potem zostać użyte przeciwko nim, potraktowane jako pretekst do natychmiastowego zerwania współpracy. Stąpała po kruchym lodzie.

Lucy przeniosła wzrok na szafy eksperymentalne. Steve wysłał jej listę prostych reakcji chemicznych, które mogły być źródłem amoniaku, oraz zdjęcia konfiguracji sprzętu laboratoryjnego potrzebnego, żeby je przeprowadzić. Szukała ich wzrokiem, pociągała nosem, wyczulona na kwaśny, piekący nozdrza odór. Nic. Za szybką były tylko zwiędła sałata i martwe ślimaki.

– Życie na orbicie im nie służy, co? – powiedziała.

– Nie. Nie służy.

– Co się stało?

Lew odwrócił się w jej stronę. Szybka maski pokrywała się parą w rytm jego oddechu.

– Nie miałem czasu się nimi zająć – odparł.

– Dlaczego?

Unosili się oboje w powietrzu, zawieszeni, spięci.

– Lepiej nie dociekać – powiedział Rosjanin.

– Słucham?

– Proszę. Tak będzie bezpieczniej.

– Bezpieczniej dla kogo?

Lew nic już nie odpowiedział. Wsunął stopę pod drążek i wykorzystał punkt podparcia, żeby obrócić się w stronę śluzy.

– Tu wszystko w porządku. – Rosjanin odbił się w kierunku wyjścia.

– Hej, zaczekaj...

Za późno, już go nie było. Lucy ostatni raz omiotła wzrokiem Naukę. Jej uwagę przykuła ścianka, do której przyczepione były zdjęcia, obrazki i wycinki z gazet. Koślawy rysunek zrobiony przez dziecko, astronauta na Księżycu. Jakiś prawosławny święty, z surową miną, brodą czarodzieja i złotą aureolą. Mapa Federacji Rosyjskiej, pokolorowana czerwienią, która rozlewa się aż po Krym.

Wrócili do Zwiezdy. Terkot procesora, błyskające diody, ona, Lew, poza tym pusto. Przy komputerze nikogo nie było.

– Anton? – zawołała Lucy. – Anton?!

Cisza. Szum wentylacji. Po plecach popłynął jej zimny pot, włoski na ramionach stanęły na sztorc. Wyjrzała przez śluzę prowadzącą do Zarii, tam też nic. Dwa ruchy i już przeciskała się przez wąski jak korytarz moduł, ku przejściu do Rasswietu. Anton.

– Miałeś obsługiwać komputer – powiedziała. Ledwo panowała nad głosem.

– Wciąż nie było odczytów, więc postanowiłem...

– To był rozkaz.

Anton zmrużył oczy, wygiął usta w obłudnym uśmiechu.

– Dostosowałem się do sytuacji.

– Tak to wygląda u was w wojsku? – spytała. – Każdy robi, na co ma ochotę?

– Nie jesteśmy w wojsku.

– Masz szczęście, inaczej czekałoby cię postępowanie za niesubordynację.

– Co się dzieje? – Śluzę wypełniła sylwetka Ezry. Widać było, jak pulsuje żyła biegnąca przez jego skroń, jak pracują mięśnie zuchwy. Był

zdenerwowany.

– Kończymy właśnie. Wszystko gra – odparł Anton z uśmiechem równie szerokim, co nieszczerym. – U was?

– Niczego nie znaleźliśmy.

– Świetnie. Czyli alarm odwołany.

– To ja odwołuję alarm – powiedziała Lucy. – Chcę zrobić sprawozdanie. Z całą załogą.

– To nie jest dobry pomysł – odparł Rosjanin. – Przeciążymy wentylację i znowu się włączy syrena.

– Dziękuję za radę. Widzimy się w Zwieździe.

Cała załoga zebrała się w przestrzeni kilku metrów sześciennych. Musieli podkulić nogi i ściągnąć ramiona, żeby się pomieścić. Devaki, Lafayette, Ezra. Zmęczone, spocone twarze. Problem gonił problem – rozbłysk, amoniak, zerwana komunikacja, teraz to. Robiło się nerwowo, puszczały hamulce. To nie była udana ekspedycja, pomyślała Lucy. Oby nie ostatnia.

Przeniosła wzrok na Rosjan. Wciąż byli w maskach tlenowych.

– Zdejmijcie je.

– Czyli alarm jednak odwołany?

– Anton. Chcę z wami porozmawiać.

Rosjanin dłuższą chwilę nie odpowiadał, w końcu jednak ściągnął maskę. Dopiero wówczas Lew zrobił to samo.

Jego twarz była posiniaczona, a oko podbite.

Grudzień 2021

LAMAR: Czy mógłby pan się odnieść do zarzutów, jakie wystosowano wobec waszych kosmonautów?

RYBKIN: To kłamstwa.

LAMAR: Zeznania świadków są zgodne.

RYBKIN: Bo tego od nich oczekujecie.

LAMAR: W takim razie jaka jest pana hipoteza? Co dokładnie stało się na stacji w trakcie ekspedycji 75?

RYBKIN: Waszym ludziom puściły nerwy.

Czerwiec 2021

W Zwieżdzie było gorąco i parno, śmierdziało przeпоconymi ubraniami, dudniło w rurach. Za niewielkim okrągłym oknem przesuwała się Ziemia spowita kożuchem cumulusów. Niby zostawili ją za sobą, ale to była iluzja – wciąż ścigała ich przecież ku sobie, powoli, cierpliwie, centymetr po centymetrze, jak nawijanego na szpulę latawca, aż zaczną szurać brzuchem po atmosferze, aż rozgrzany metal zacznie iskrzyć. Co jakiś czas musieli włączyć silniki, umieszczone właśnie tu, w rosyjskim module, żeby przeciwstawić się planecie, żeby nie spłonąć. A nawet gdyby silniki ryknęły pełną mocą, gdyby wyrwali się z pola grawitacyjnego i popłynęli w czerń, od Ziemi i tak nie dało się uciec: nie sposób było odciąć się od jej kultur, języków, polityki. Ani od konfliktów.

– Lew, co ci się stało? – Głos Devaki drżał.

Rosjanin odwrócił głowę, tak żeby schować przed nimi sińce.

– Uderzyłem się – odpowiedział. Bardzo cicho.

– Uderzyłeś się w twarz?

– Tak, uderzył się w twarz, zdarza się – wtrącił Anton.

– A co, nadepnął na grabie? – spytał Lafayette.

– Rozmawiamy z Lwem – powiedziała Lucy. Stanowczo.

– Dzisiaj w ogóle będzie dużo rozmów – odparł Rosjanin. – Jak tylko wróci łączność.

– Lew, co się dokładnie stało?

Krótką pauza, pół sekundy, może nawet mniej. Dość, żeby Rosjanie wymienili spojrzenia. Anton skinął lekko głową.

– Przenosiłem ciężkie pudło – zaczął Lew, powoli, niepewnie. – Za mocno odbiłem się od uchwytów, nie miałem jak wyhamować... I wpadłem na ścianę.

Teoretycznie możliwe, pomyślała Lucy, w warunkach mikrogravitacji łatwo było zapomnieć, że ciężar się zmienia, ale masa już nie, a raz rozpędzony przedmiot potrafi uderzyć albo przygnieść. Ale Lew był w kosmosie po raz piąty, spędził na orbicie ponad tysiąc dni, zjadł na tym zęby. Najpewniej więc kłamie. Ale nie ma co ich konfrontować, stwierdziła, przynajmniej nie tu, nie teraz, nie przy świadkach, to by tylko pogorszyło sytuację. Musieli w tym składzie wytrzymać jeszcze trzy miesiące, zakładając rzecz jasna, że stacji nie trzeba będzie ewakuować z tego czy innego powodu. Niech będzie, grajmy w tę grę, zgrywajmy głupków.

– Kiedy to się stało? – spytała więc.

– Wczoraj.

– Dlaczego nikt mi nie powiedział?

– Bo to nic poważnego – powiedział Anton. – Zagoi się.

– Jestem odpowiedzialna za bezpieczeństwo załogi. Całej załogi.

– No i świetnie, wszyscy zdrowi.

– Pokaż twarz – powiedział Ezra do Lwa. Jego ton nie pozostawiał żadnych wątpliwości, to nie była prośba. Ale Rosjanin nie zareagował.

Ezra puścił uchwyt, zaczepił się nogami o drążek w podłodze. I spał mięśnie. Niedobrze, pomyślała Lucy.

– Powiedziałem: pokaż twarz – powtórzył.

– Hola, hola, tak to sobie mozesz... – zaczął Anton, ale nie dokończył, bo Ezra już był w ruchu, już rzucił się do przodu. Ścisnął Lwa za brodę i siłą obrócił ku sobie. Rosjanin próbował się opierać, ale na próżno, pilot był silniejszy.

– *Mudak!* – warknął Anton.

Nim Lucy zdążyła cokolwiek zrobić, już był obok nich i gwałtownie odepchnął Ezrę. Polecieli w przeciwnych kierunkach – zero tarcia, akcja–reakcja, przeciwne wektory – i uderzyli o ściany. Jeden mężczyzna walnął o przypięty do ściany laptop, aż coś chrupnęło i w powietrze wystrzeliły klawisze, niczym ziarna rozerwanego owocu, a drugi o gaśnicę. Obaj przy tym kogoś potrącili i ruch rozszedł się kaskadowo, jak przy rozbiciu w bilardzie.

– Przestańcie! – krzyknęła Lucy. Walnęła o coś łokciem, ból promieniował po całym ciele. – Przestańcie, ale już!

– Co ci odwaliło?! – wrzeszczał Anton.

– Kłamiecie – wydyszał Ezra.

– Że co?!

– On ma zadrapania. Ślady tarcia. Góra, dół, po skosie. Nie uderzył o żadną ścianę.

– Hej, Ezra... – szepnął Lafayette. – To jeszcze nie powód, żeby...

– Dla mnie jest – pilot wszedł mu w słowo. – Mów, co się stało.

– Bo co? – warknął Anton.

– Chcesz się przekonać?

– Cisza! – wrzasnęła Lucy. – Zamknijcie się, obydwaj!

Zadziałało. I dobrze, bo co by odpowiedziała, gdyby i ją spytał: bo co? Czym mogłaby zagrozić? I do czego by to doprowadziło, tu, w stalowej puszcze pędzącej wokół Ziemi, która powoli, powolutku wypełniała się trującym gazem?

Wszyscy na nią patrzyli. Anton – wyzywająco, Devaki – przerażona. Zastanawiała się, co powiedzieć. Przycisnąć ich, skoro szydło i tak wyszło już z worka? Spytać Rosjan, co wyrabiają, co tu się, do cholery, dzieje? Ale nie, czuła, że w ten sposób nic nie ugra, a sytuacja może łatwo wymknąć się spod kontroli. I tak było już gęsto od testosteronu.

– Alarm pożarowy odwołany – powiedziała. – Rozejść się.

– Słucham? – warknął Ezra. Czoło miał mokre od potu, oczy przekrwione. – Chyba tego tak nie zostawisz?

– Nie, nie zostawię. Wróćmy do tej rozmowy.

– Kiedy?

– Kiedy uspokoją się nastroje – powiedziała.

– Chcę wziąć udział w tej rozmowie – odparł pilot. Właściwie zażądał.

– Odnotowałam.

Mierzyli się wzrokiem. Lucy nie skuliła się, nie mrugnęła nawet, chociaż Ezra był od niej wyższy o głowę i dwa razy cięższy, chociaż – gdyby tylko nasza go ochota – zgniótłby ją w dłoniach jak plastikowy kubek.

– Tak jest – odparł w końcu, ale w każdej głosce pobrzmiwała niechęć.

– Doskonale. Wracamy do swoich zajęć.

Nim skończyła mówić, Ezra już był w służbie prowadzącej do części amerykańskiej, a Lew zniknął w Nauce. Devaki i Lafayette wymienili spojrzenia – *Co tu się, do cholery, dzieje?* – po czym też ruszyli do wyjścia. Została sama z Antonem. Rosjanin sprawdzał, czy laptop, w który uderzył, jest jeszcze do odratowania.

– To kiedy ta rozmowa? – spytał.

– Wkrótce.

– Bo system właśnie wstał. – Rosjanin stukał w klawisze. – I widzę, że alarm pożarowy aktywowano ręcznie. Wiesz coś o tym?

– Nie – skłamała. – Może było jakieś spięcie.

– Oj tak. Spięcie było na pewno.

– Do zobaczenia, Anton – odparła. Czuła, że musi stamtąd wyjść. Już, teraz, natychmiast.

Przecisnęła się przez wąski łącznik do modułu Unity. Poruszała się z trudem, miała dreszcze. *Uciekaj*, krzyczały chemiczne sygnały, tylko tu nie było dokąd uciec. *Schowaj się*, tylko nie było jak. *Walcz*, ale nie wiadomo z kim, nie wiadomo jak, nie wiadomo czym. Czuła się jak czajnik, który ktoś zapomniał zdjąć z rozgrzanego do białości palnika – rozsadzało ją od środka, miała wrażenie, że zaraz pęknie jej czaszka, a jej mózg rozbryzgnie się na wszystkie strony. Spojrzała na zegarek: siedemnasta dwadzieścia. Zgodnie z rozpiską miała właśnie przeprowadzać jakiś eksperyment z fizyki płynów. Powinna zabrać się do tego natychmiast, kryzys czy nie, musiała robić swoje, a i tak była już prawie dwie godziny do tyłu w stosunku do planu dnia, i tak będzie musiała zarwać pół nocy, żeby się ze wszystkim wyrobić. Ale najpierw wróciła do swojej kabiny, dwa metry na pół metra, i starannie zamknęła za sobą drzwi. A potem wcisnęła twarz w śpiwór, mocno, aż nie dało się oddychać – i zaczęła krzyczeć.

Nate przeczesał rosyjskojęzyczne fora poświęcone eksploracji kosmosu: astronomy.ru, astrogalaxy.ru, forum.novosti-kosmonavtiki.ru. Na każdym znalazł kilkadziesiąt postów wspominających o Antonie, ale żaden z nich nie zawierał informacji na temat tego, co się z nim działo między dwa tysiące szóstym a dwa tysiące ósmym. Nate podrapał się po głowie. Może fora to jednak zły kierunek, pomyślał, nawyk kogoś, kto sieć poznawał dwadzieścia lat temu, instykt internetowego dziada, który pamięta, jak to obrazki ładowały się piksel po pikselu przy akompaniamencie skrzeczącego modemu. Zaczął więc sprawdzać platformy społecznościowe i masowe komunikatory. Wiadomo: Facebook, Twitter, Odnoklassniki, ale też Discord, Telegram, TikTok i tak dalej. Wszystkie te miejsca zazdrośnie

strzegły swoich treści przed wyszukiwarkami, wszystkie chciały w zamian myta w postaci adresu e-mail, danych, czasu. Część aplikacji już miał zainstalowaną, inne uruchamiał po raz pierwszy, przeklikiwał niekończące się regulaminy, rejestrował się i logował, skrolował i wertował. Jak do tej pory – bez zadowalających rezultatów.

Zaklął w myślach. Anton. Był pewien, że to on jest źródłem problemów na stacji, słyszał przecież, jak ton Lucy się zmienia, kiedy tylko wspominała jego imię, jak tężeje jej twarz. Nie był pewien, co tak właściwie chciał osiągnąć swoim amatorskim śledztwem, jak ta luka w życiorysie Rosjanina ma się do kryzysu na orbicie, ale chociaż tyle mógł zrobić, tym mógł zająć myśli. A czymś musiał, bo inaczej wróciłby do generowania najczarniejszych scenariuszy. Pretekstów nie brakowało: NASA dopiero co przyznała, że doszło do niezaplanowanej przerwy w komunikacji z załogą. W przypadku ekspedycji 75 nieszczęścia zdawały się chodzić nawet nie parami, tylko stadami.

– Tato, co robisz? – spytała Eliza. Nate oderwał wzrok od telefonu. Siedzieli na kanapie. W telewizji leciała jakaś kreskówka o baranku z plasteliny. Na stoliku kawowym stała żółta miska wypełniona w połowie popcornem.

– Nic takiego – odparł, po czym schował telefon do kieszeni, pospiesznie i niezdarnie, jakby przyłapała go na gorącym uczynku. Trochę zresztą tak było. Powinien przecież poświęcić jej swoją pełną uwagę, być z nią, utrzymywać pozory normalności. Teatr jednego aktora dla jednego widza.

– Pisałeś do mamy?

– Nie, akurat nie. – Uśmiechnął się i posłodził głos. Robił co mógł, żeby mała nie wyczuła, że coś jest nie tak, żeby nie zaraziła się jego lękiem. – A ty chcesz coś do niej napisać?

Eliza sięgnęła po popcorn, nie odrywając wzroku od telewizora. Jedno z uprażonych ziaren wyleciało jej z ręki i spadło na kanapę.

– Nie – odpowiedziała. – Nie chcę.

– Uważaj, bo świniisz.

– Okej. Sorry.

– Byłoby jej miło – dodał.

– Ale ja nie chcę.

– Okej, ale pamiętasz, że mówiliśmy o tym, że warto pomyśleć też o cudzych potrzebach, prawda? – Nate wygrzebał resztki popcornu spomiędzy poduszek. – Mama bardzo za tobą tęskni.

– Mogę obejrzeć jeszcze jeden odcinek?

– Zgodziliśmy się na dwa.

– Ale taka jest moja potrzeba.

Cwaniara, pomyślał. Obrócił się ku niej, dźgnął ją lekko palcem między żebra.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– Ej, przestań! – Zamiast się zaśmiać, Eliza zrobiła swoją obrażoną minę.

– Napiszę. Ale nie dziś.

– Czyli jutro?

– A mogę obejrzeć jeszcze jeden odcinek?

Wiedział, co powinien odpowiedzieć. *Nie, kochanie, na dziś już wystarczy. Albo: Nie, umowa to umowa. Albo: Czy dobrze rozumiem, że chcesz nagrodę w zamian za to, że napiszesz do mamy? Zastanów się: czy to jest dobra motywacja?* Ale postanowił, że da jej spokój. Dobrze wiedział, skąd biorą się te humory. Bycie córką astronautki nie jest łatwe. Lucy była daleko i rzucała długi cień, jak pomnik na wysokim cokole.

– W porządku. Ale potem od razu idziesz do łazienki, tak? – upewnił się.

– Mhm.

– Bez przystanków?

– Okej, okej.

Zamilkli oboje. Za oknem przejechał ambulans. Baranek gonił kury. Nate próbował skupić się na jego przygodach, ale nie był w stanie.

– Wezmę sobie coś do picia – powiedział wreszcie. – Chcesz też?

– Nie. Dzięki.

Wszedł do kuchni, sprawdził, czy Eliza za nim nie patrzy, po czym wyjął z kieszeni telefon, a drugą ręką otworzył lodówkę i sięgnął po puszkę z przesłodzoną mrożoną herbatą. Nie chciało mu się pić, ale tak mógł przynajmniej udawać sam przed sobą, że nie okłamał córki, nie uciekł. Przejrzał jeszcze kilka kanałów, kilka wątków, ale już pobieżnie, przestał wierzyć, że to cokolwiek da. Co dalej? Pierwszy instynkt, odruchowa reakcja: poddać się. Ale nie, powiedział sobie, nie tym razem. Otworzył folder, na którym zapisał zdjęcia Antona. Czytał kiedyś książkę o dziennikarce prowadzącej śledztwa w internecie – jeśli wierzyć autorowi, z pozornie niewinnych fotografii można było wiele wyczytać. Czemu nie, pomyślał, nie zaszkodzi spróbować. Najpierw wziął na warsztat fotografię z samochodem: zaczął ją oglądać w powiększeniu, kawałek po kawałku. Może coś ciekawego leży na siedzeniu pasażera? Może da się spisać numer rejestracyjny? Może na tylnym zderzaku ma chociaż naklejkę z nazwą uczelni? Nie. Nic. Szlag by to.

Z salonu dobiegł znajomy dzingiel zwiastujący koniec odcinka. Nate wychylił się z kuchni, ale tak, żeby nie było widać, że trzyma w ręku telefon.

– Eliza, do łazienki! – zawołał. – No, raz, raz.

– Mogę jeszcze jeden?

– A jak myślisz? – spytał, już lekko zniecierpliwiony. – One są krótkie.

– Nie ma mowy. I dobrze szczotkuj, bo popcorn wchodzi między zęby, tak?

Teatralne westchnienie, demonstracyjne tupanie, ale posłuchała się, wyłączyła telewizor. W sumie powinna jeszcze odnieść miskę do zmywarki, pomyślał Nate, ale niech jej będzie, tym razem odpuszczę. Przeniósł wzrok na telefon, otworzył kolejne zdjęcie Antona, to z synem i modelem samolotu. Z tyłu stał regał z książkami. Nate obrócił ekran o dziewięćdziesiąt stopni i zaczął odczytywać tytuły z okładek, a nuż jest

tam coś ciekawego? Nikitin, Latynina, Bułyczow... Dużo science fiction. Poza tym klasycy: Turgieniew, Tołstoj, Czechow... Oczywiście, nie dość, że przystojny, to jeszcze czytany...

Nate zastygł. Coś było nie tak, coś nie pasowało, odnotował to na poziomie podprogowym, zupełnie nieświadomie. Ach tak, przecież. Nie słyszał wody.

– Eliza? – zawołał. – Co robisz?

– Koloruję.

– A co powinnaś robić?

Kolejne westchnienie, kroki, skrzypnięcie drzwi. Nate przerzucił uwagę na zdjęcie. Książki, książki, nic ciekawego. Ale... Na jednej z nich, albumie, który wystawał poza półkę, zawieszono ozdobną wstążkę, jakby od medalu czy orderu. Na materiale wyszyto złotą nitką ozdobne litery, ale dekoracyjne esy-floresy i zagięcia materiału prawie uniemożliwiały ich odczytanie. Prawie.

Nate zdjął z lodówki przyczepiony na magnes bloczek kartek samoprzylepnych na listy zakupów i zaczął notować. *Wie... Li... Czi...*, mamrotał pod nosem, *Je... Ro... D... C...* Nie, „c” nie ma tu sensu, to pewnie raczej „i”... Chwilę później miał już cały zwrot: *Wieliczije Rodiny – w waszych sławnych dziełach*. Co to dokładnie znaczy? Coś o czynach, wielkości, ale co to była „rodina”? Nie pamiętał. Wpisał całą frazę do wyszukiwarki. Pierwszy wynik zawierał tłumaczenie: *Wielkość Ojczyzny jest w waszych chlubnych czynach*. A drugi pozwalał wywnioskować, co Anton Kowalow robił po odejściu z wojska.

– O cholera – wyszeptał Nate.

Zegar pokładowy pokazywał dwudziestą drugą trzydzieści dwie. Stacja szykowała się do snu – przygasły ledowe lampki, zwolniły wiatraki

wentylatorów – i większość załogi zamknęła się już w swoich kabinach. Ale nie Lucy. Lucy była znów w przeklętej Cupoli. I czekała tu na kogoś.

Przelatywali akurat po ciemnej stronie Ziemi, nad Europą. Światła miast gorzały wśród nocnego granatu niby płynąca lawa. Wyżej – albo równie dobrze niżej czy obok, w kosmosie te przysłówki traciły wszakże sens – lśniły gwiazdy, pośród których czasem dało się zauważyć wędrujące, migające rytmicznie punkciki: sztuczne satelity. Badawcze, meteorologiczne, telekomunikacyjne, rozpoznawcze, nawigacyjne – były ich tysiące, niektóre mniejsze niż ludzka dłoń, inne wielkości autobusu. Ale tylko na jednym z nich byli też ludzie. Któryś z tych świetlików to Tiangong, „Podniebny Pałac”, chińska stacja kosmiczna. Jej pierwszy moduł został wyniesiony na orbitę na początku roku, kolejne były w drodze. Nie utrzymywali z nią żadnego kontaktu, nie wymieniali się nawet informacjami o zagrożeniach. Zimna wojna między Waszyngtonem a Pekinem w kosmosie stawała się coraz gorętsza. Chiny były jedynym krajem, którego wniosek o przyjęcie w poczet państw współtworzących ISS został odrzucony. Amerykanie nie ufali im jeszcze bardziej niż Rosjanom, mało tego: bali się ich. Ale tak jak i na innych polach, tak i tu Chiny doganiały Zachód: uporem, mrówczą pracą oraz *last but not least*, szeroko zakrojonym programem szpiegostwa przemysłowego. Oficjalnie Tiangong był stacją badawczą, nieoficjalnie – przyczółkiem do wyścigu w kosmos. Księżyc, Mars, asteroidy zlepione z bezcennych surowców, wszystko to nagle wydawało się na wyciągnięcie ręki. Oczywiście wyścig ten miał swoje zasady, podpisano multilateralne porozumienia, wymieniono się zapewnieniami o pokojowych intencjach. Oczywiście nikt nikomu nie wierzył. Kto pierwszy, ten lepszy, czas start.

Lucy podciągnęła kolana pod brodę i oplotła je ciasno ramionami, rozpuszczone, falujące włosy okalały ją jak aureola. Myślała. Odpoczywała. Zbierała siły. Docierało do niej, że w jej przypadku dowództwo nie było jedynie symbolem, prestiżowym wyróżnieniem, nową naszywką na

uniformie. Że od tego, co powie – komu powie, kiedy powie – może zależeć los całej stacji. Było jej z tym ciężko. Była na to gotowa.

– Podziwiasz widoki? – W wejściu do Cupoli pojawił się Anton.

– Nie. – Odsunęła się na bok, żeby zrobić dla niego miejsce.

– Nie?

– Nie jestem w nastroju.

Anton przepłynął przez moduł, złapał się uchwytu po drugiej stronie. Było ciemno, przez okna wpadało słabe światło w odcieniach niebieskiego. Widziała tylko jego sylwetkę zarysowaną na tle planety. Rosjanin rozejrzał się wokół. Westchnął.

– Dawno mnie tu nie było.

– Przestań.

– Nawet nie wiesz, co chciałem powiedzieć – odparł, niby urażony.

– Po prostu przestań.

Cisza. Rosjanin wzruszył ramionami.

– Widział cię ktoś? – spytała.

– Nie – zaprzeczył. – No chyba że twoi koledzy na Ziemi.

– Na noc wyłączają kamery.

– Jasne. – Anton stuknął kłykciami w ścianę. – Tak wam mówią.

– Interesowałeś się tym ostatnio? Jak ten system działa?

– Ostatnio? – Rosjanin przekrzywił głowę. – Nie, ostatnio bardziej mnie zajmował system chłodzenia. Nadal nie wiecie, skąd przecieka?

– A ty wiesz?

– Chciałbym. – Błysnął zębami.

Pieprzone żarciki, pomyślała, pieprzone uśmieшки. Pies cię jebał, draniu.

– Pewnie się domyślasz, czemu poprosiłam cię o spotkanie – powiedziała.

– Mam swoje podejrzenia, tak.

Ja też, pomyślała.

– Co się stało z Lwem? – spytała.

Nie odpowiadał. Ziemia przesuwała się za oknami, za krzywizną horyzontu już jaśniało. Czas, żeby wcieliła się w rolę dobrej policjantki.

– Anton. – Pochyliła się w jego stronę. – Widziałeś, co się działo. Jakie są nastroje. Jeśli nie zaczniemy ze sobą współpracować, jeśli nie odbudujemy zaufania, będzie tylko gorzej. Dlatego spotykamy się w cztery oczy.

– Tylko dlatego?

– Przestań, do cholery.

– Lew dostał ode mnie po pysku.

Na chwilę ją zatkało. Odchrząknęła.

– Dziękuję – powiedziała. – Za co?

– Nie słuchał rozkazów.

– Mhm. Nie jesteście aby równi stopniem?

– Oficjalnie.

Cupolę zalało ostre światło brzasku, Lucy aż musiała zmrużyć oczy.

– I co to był za rozkaz?

– Czekaaj, czekaaj, powoli. – Anton odwrócił się od okna. – A ja? Kiedy ja zadam swoje pytania?

– Kiedy skończę.

– Ach, jakie to typowe. – Zaśmiał się. – „Zaufajmy sobie”, „współpraca”. Dorzuć jeszcze „prawa człowieka” i „wolność prasy”, to będziemy mieli bingo amerykańskiej hipokryzji.

– Zapomnijmy o polityce.

– Nie da się.

– Da się. Jest nas tu szóstka – podkreśliła. – Nikogo więcej.

– Sama w to nie wierzysz.

Faktycznie, nie wierzyła.

– Okej. – Skrzyżowała ramiona na piersi. – Co chcesz wiedzieć?

– O czym rozmawiasz z Ayersem?

– Skąd wiesz, że rozmawiamy?

– *Nu, nu, padruga.* – Pogroził jej palcem, jak dziecku. Co ją drażniło. Co było jego zamiarem. – Teraz moja kolej. Okaż dobrą wolę.

– Gadaliśmy o tej sytuacji. Z amoniakiem.

– I co o tym myśli dyrektor Ayers?

Powiedzieć, nie powiedzieć? Zastanawiała się, ile kart musi odsłonić, żeby dostać to, czego chciała.

– Że to wam na rękę – rzuciła w końcu.

– Owszem. – Skinął głową. – Ale to chyba jeszcze nie grzech?

– Zakładając, że to przypadek.

– A co zakładacie z dyrektorem Ayersem?

– Co to był za rozkaz?

Zaśmiał się. Znowu. Miała ochotę go udusić. Ale nie ruszyła nawet mięśniami.

– Dociekliwa jesteś – powiedział po chwili. – To ci muszę przyznać.

– Powiesz mi?

– Nie. – Pokręcił głową. – Nie powiem.

– Czemu?

– Bo nie jestem głupi. O, patrz. – Zastukał palcem w szybę. – Jesteśmy nad Rosją. Piękny kraj.

– Mhm. Bardzo.

– Tylko zrujnowany. Widzisz tę rzekę, tam? To Ob.

– Co robiliście w trakcie rozbłysku?

Nic nie odpowiedział, wciąż był odwrócony w stronę okien.

– Mówiłaś, że mamy budować zaufanie – powiedział. – A to jest chyba raczej przesłuchanie?

– Bo macie coś za uszami.

– A wy niby nie macie?

– Co robiliście w trakcie rozbłysku? – podniosła ton.

– To, co do nas należało – odparł. A potem ostentacyjnie spojrzął na zegarek. – Pora się zbierać. Jutro dużo pracy. Muszę na nowo posadzić

sałatę.

– Anton.

– Tylko ślimaków już nie ma. Macie może jakieś na stanie, zapasowe? Przekazalibyście w ramach pomocy humanitarnej? Wy lubicie takie szlachetne gesty.

– Anton, to się dobrze nie skończy – powiedziała.

– Oczywiście, że nie. – Rosjanin odepchnął się już w stronę wyjścia. – Tylko idioci wierzą w *happy endings* – rzucił jeszcze na odchodne, po czym zniknął w drugim module.

Została sama. Huczało jej w głowie. Rozkaz. Jaki rozkaz? Powinna porozmawiać z Lwem, może z niego byłaby w stanie wydusić więcej, ale jak, kiedy? Wyglądało na to, że starszy Rosjanin jest w areszcie domowym, nie mógł się nigdzie ruszyć bez pozwolenia Antona, a wejść do ich skrzydła – do tych kilku blaszanych szaf zespawanych jedna z drugą – i odbyć z nim rozmowę tak, żeby nikt tego nie zauważył, nie było szans. Może ktoś na Ziemi byłby w stanie to załatwić, wyrzucić na nich presję. Ale nie, pomyślała, dopóki nie załatwią problemu amoniaku, góra będzie chciała grać bezpiecznie. Ostatnie, czego teraz potrzebują, to dać Rosjanom kolejny pretekst do tego, żeby odłączyli swoje moduły. Za dużo myśli, za dużo niewiadomych. Była zmęczona, diabło zmęczona.

Przecisnęła się przez Tranquility i Unity, ostrożnie, żeby o coś nie zahaczyć, czegoś nie potrącić. Sunęła bezgłośnie przez powietrze. Kiedy dotarła do Harmony, zatrzymała się na chwilę. Obserwowała. Słuchała. Cztery kabiny naprzeciwko siebie, wszystkie drzwi zamknięte, zza żadnych nie wylewa się światło, nie dochodzi żaden dźwięk. Dobrze, ucieszyła się, czyli śpią. Póki Ayers nie uzna, że czas podzielić się podejrzeniami, musiała być ostrożna: nie chcieli wzbudzać paniki wśród reszty załogi. Lucy wślizgnęła się do swojej kajuty, powoli, powolutku, żeby nie zdradzić nocnych wycieczek jakimś przypadkowym skrzypnięciem czy stuknięciem, i zaczęła się rozbierać.

Klik. Dźwięk zwalniania magnetycznego zamka, otworzyły się drzwi którejs z pozostałych kajut. Od środka? Od zewnątrz? Ktoś jeszcze był poza modułem sypialnym w trakcie ciszy nocnej? Lucy wyplątała się ze spodni i sięgnęła ku własnym drzwiom, po czym ostrożnie je uchyliła. Prawo, lewo, góra. Spokój, cisza, wszystkie kajuty zamknięte. Ktokolwiek to był, zdążył już wejść do środka.

Może Ezra chciał się czegoś napić przed snem. Może Devaki było znów niedobrze. Może Lafayette poszedł po świeże ubrania, bo już nie mógł znieść zapachu swojej prze poczonej piżamy.

A może był inny powód.

Nate chodził po kuchni, w tę i we w tę, w tę i we w tę. Zadzwoić? Nie zadzwoić? Zdawał sobie przecież sprawę, jak absurdalnie brzmi to oskarżenie, jak wąta jest podstawa, na której je opierał. Jedno zdjęcie, jeden napis. Ale nic nie zrobić? I pluć sobie potem przez resztę życia w brodę? Jeszcze gorzej. Wyciągnął telefon i wyświetlił listę kontaktów. Ostatnio wybrane, czwarta pozycja od góry: Jeff Pictou, opiekun rodzin astronautów. Nie, pomyślał, bez sensu, z tego będą tylko kłopoty. A potem przypomniał sobie twarz Lucy. Jej minę, jej głos.

Przestałam mu ufać.

Oni zrobili coś na stacji.

Nate zaklął pod nosem. A potem kliknął zieloną słuchawkę. Sygnał. Sygnał. Sygnał. No dalej, odbierz. Która jest godzina? Dopiero dochodzi jedenasta wieczorem. Chyba jeszcze nie śpi, chociaż...

- Halo? – w słuchawce rozległ się zaspany męski głos.
- Hej, Jeff, tu Nate, przepraszam, że tak późno, ale...
- Wszystko w porządku.
- Słucham?

– Łączność już przywrócona. – Stłumione ziewnięcie. – Nic się nie stało.

– Co? Wiem, ja nie w tej sprawie... – Nate urwał w pół zdania. Bo zrozumiał właśnie, że Jeff, przyjazny, wiecznie uśmiechnięty Jeff, Jeff do rany przyłóż, brat lata o uśmiechu jak z reklamy pasty do zębów, ma go za uciążliwego panikarza, którego trzeba było poklepać po plecach, pocieszyć, odesłać do łóżka z jakimś białym kłamstwem, niczym dziecko, że wszystko jest okej, wszystko dobrze się skończy, to naprawdę jest wciąż ten sam chomik, tylko weterynarz przesunął mu łatkę w inne miejsce. Nate poczuł przyływ złości – i wstydu. Bo zdawał sobie sprawę, że to się nie wzięło z niczego, że na taką reputację sobie zasłużył.

– W takim razie w czym ci mogę pomóc? – spytał Jeff.

Nie uwierzy mi, pomyślał Nate. Nie ma szans.

– Chodzi o Rosjan – powiedział mimo to. – Konkretnie o Antona.

– Hm? – Wiele wybrzmiało w tym krótkim słowie. *Co znowu? Co tym razem wymyśliłeś?*

– Ja... – Nate zamknął oczy, oparł się o ścianę. – Wydaje mi się, że w życiorysie Antona jest coś, co Roskosmos przed wami ukrywa.

– Rozumiem. Mianowicie?

– On ma jakieś związki z GRU.

– GRU?

– Główny Urząd Wywiadowczy, coś jak nasze...

– Wiem, co to jest GRU – wtrącił Jeff. – I... Przepraszam, ale jak dokładnie to ustaliłeś?

– „Ustaliłem” to może za dużo powiedziane. Ale... – Nate mówił coraz szybciej, byle to już z siebie wypluć, mieć to za sobą. – Na jednym z jego zdjęć... Podeślę ci... Widać wstążkę z ich mottem. „Wielkość Ojczyzny jest w waszych chlubnych czynach”.

– Wstążka? – upewnił się Jeff.

– Tak. Od orderu, jeśli mam zgadywać.

– Aha. Słuchaj... – Astronauta odchrząknął. – Zdaję sobie sprawę, że to jest dla ciebie trudny okres...

– Czekał, to nie wszystko – wszedł mu w słowo Nate. Czuł się jak uczeń, który próbuje przekonać nauczyciela, że tym razem pies *naprawdę* zjadł jego pracę domową. – Anton ma dziurę w życiorysie. Dwa lata, o których nic nie wiadomo.

– ...i ja to doskonale rozumiem, naprawdę – ciągnął Jeff uspokajającym tonem, jakby te słowa w ogóle nie padły. – Moja żona też miała chwilę kryzysu, kiedy...

– Cholera, ja mówię poważnie – znów mu przerwał.

Przez chwilę było cicho. Potem słychać było jakieś trzaski, jakby Jeff przekładał telefon z ręki do ręki.

– Nate... Mogę mieć dla ciebie radę? – spytał. – Tak zupełnie prywatnie?

– Oczywiście.

– Zostaw Antona w spokoju.

Zamurowało go. Jeff naprawdę to powiedział? *Zostaw go w spokoju?*

– Słucham? – zdołał powiedzieć.

– Odpuść sobie tę sprawę. Nie wyjdzie z tego nic dobrego.

– Nie rozumiem.

– Po prostu mi zaufaj. To dla twojego dobra – odparł Jeff. Z troską. Prawdziwą? Udawaną?

Nate wyprostował się gwałtownie, jakby ktoś go ukłuł. Znów go chciał ugłaskać? Żeby nie robił szumu, nie zawracał głowy? A może to była zawołana groźba? *Nie interesuj się, bo pożałujesz?* Przeszedł na drugą stronę pokoju, ku wejściu. Na ścianie obok drzwi wisiało lustro. Zobaczył w nim swoje odbicie. Przydeptane kapcie, szare bawełniane dresy, sprana koszulka. Zarumienione policzki. Odwrócił się.

– Nie – powiedział. Mocno, jak nie on.

– Przepraszam?

– To trzeba gdzieś zgłosić.

– Rozumiem, martwisz się o Lucy, ale...

– Przestań do mnie mówić jak do wariata – nie pozwolił mu dokończyć Nate.

W odpowiedzi usłyszał tylko westchnienie.

– Jeśli ty się tym nie zajmiesz, zrobię to sam – powiedział.

– Okej – odparł Jeff. – Twój wybór. Mogę ci pomóc z czymś innym?

– Nie. I nie bój się, nie będę ci już więcej zawracał głowy.

– Hej, hej, poczekaj...

Nate się rozłączył i schował telefon do kieszeni. Chodził w kółko po pokoju, próbował uspokoić oddech. Wszedł do łazienki, otworzył szafkę na leki, tę ze skrzypiącymi zawiasami. Wziął do ręki pudełko z alprazolamem. Pigułki zagrzechotały kusząco. Może tylko jedna, pomyślał. Ale potem przypomniał sobie artykuł, który przeczytał kilka lat temu, o kobiecie, która wzięła leki nasenne, a potem nie usłyszała, jak w nocy wołało ją dziecko, które spadło ze schodów. Tekst na sto, może sto pięćdziesiąt słów, szósta strona gazety, historia, jakich wiele, na zapchanie szpalty. Większość ludzi zapomniałaby o niej następnego dnia, ale nie Nate, on zapamiętał wszystko: kolor papieru, krój czcionki, czarno-białe zdjęcie domu, w którym doszło do wypadku. Bungalow na przedmieściach, huśtawka z opony na drzewie koło garażu, przekrzywiona skrzynka pocztowa przy podjeździe. Ciągle zapominał swoje hasła i PIN-y, daty urodzin przyjaciół i ich adresy, ale takie historie jego mózg uznawał najwyraźniej za szczególnie istotne, stemplował pieczętką *ZACHOWAĆ*, skrupulatnie archiwizował i przywoływał przy byle okazji.

Odłożył więc pudełko z lekami – na najwyższą półkę, żeby Eliza go nie dosięgnęła, gdyby jednak, wbrew powtarzanym wielokrotnie ostrzeżeniom, postanowiła grzebać w apteczce – po czym wyszedł na werandę. Potrzebował świeżego powietrza. Mimo późnej pory wciąż było gorąco. W Houston zawsze było gorąco, ale przynajmniej wiał wiatr. Szumiały liście. Terkotały cykady. Zanosilo się na deszcz.

Nate wyciągnął telefon, wytarł spocone dłonie o spodnie, po czym zaczął pisać e-mail. Zaadresował go do dyrektora do spraw lotów załogowych Steve'a Ayersa.

Gdyby ktoś miał zaprojektować piekło specjalnie dla Steve'a Ayersa – któraś z jego byłych żon, dajmy na to, albo jeden z wielu pracowników, których doprowadził do załamania nerwowego – nie zawierałoby ono kotłów z gotującą się smołą, średniowiecznych narzędzi tortur ani diabłów uzbrojonych w trójzęby. Nie, piekło skrojone pod indywidualne potrzeby Steve'a Ayersa nie wymagało takiej efekciarskiej scenografii. Wystarczyłoby kilka tuzinów składanych krzeseł – najlepiej takich z nierównymi nogami, które kolebią się przy każdym ruchu – długi stół przykryty ciemnym suknem, parę dzbanków z wodą oraz kilkanaście kamer i mikrofonów. Na ten widok dyrektor Ayers pobladłby, padł na kolana, a następnie, zalewając się łzami, błagał kierownictwo piekła o zamianę kary na łagodniejszą: na przykład łamanie kołem, hiszpańskie trzewiki bądź nabicie na pal.

Innymi słowy, Steve Ayers nienawidził dziennikarzy. Oczywiście rozumiał, że są potrzebni, owszem, współpracował z PAO, żeby zainteresować ich eksploracją kosmosu, zapewnić im efektowne zdjęcia i dostęp za kulisy. Ale kiedy tylko było to możliwe, unikał bezpośredniego kontaktu z mediami. Był bowiem zdania, że dla niego, biurokraty, który lubi działać po cichu, bez rozgłosu, a najlepiej bez świadków, nic dobrego nie może z takich kontaktów wyniknąć. Wszystko, co chciał obwieścić światu, zawierało się przecież w komunikacie prasowym. Pytania, które zadawano później, służyły już wyłącznie temu, żeby sprowokować go do powiedzenia czegoś, czego powiedzieć nie chciał, co można będzie potem przekuć – lub rozdmuchać – w coś zupełnie innego. Rozumiał to, na swój

sposób nawet szanował: każdy dziennikarz chciał się przecież wykazać, wycisnąć coś ekstra, zwęszyć niewygodną prawdę przykrytą starannie wyważonymi słowami – i wbić w nią zęby. Steve i reszta pracowników agencji posługiwali się chłodnym językiem naukowym, pełnym asekuranckich kwalifikatorów: *możliwe, niewykluczone, prawdopodobne*. Dziennikarze wszędzie szukali zaś skrajności, przymiotników w stopniu najwyższym, wszystko musiało być pierwsze albo ostatnie, największe albo najmniejsze. Co gorsza, każdy temat musiał mieć „ludzką twarz”. Udało wam się posadzić sondę na pędzącej przez kosmos komecie, miliony kilometrów od Ziemi? Okej, to nawet ciekawe, ale nie tak ciekawe jak to, że jeden z kontrolerów lotu, widoczny na drugim planie, ma – patrzcie! – wielkie sumiaste wąsy! I potem taki nieszczęśnik miał swoje pięć minut sławy, stawał zamurowany w błysku fleszy jak jeleni w świetle reflektorów, nie rozumiejąc zupełnie, co się dzieje, że powinien uciekać, i to co sił w nogach. Bo chociaż z początku było miło – hasło #WąsatyAstronom trendowało w mediach społecznościowych, padały propozycje wywiadów, ciocia z Utah czy innego Idaho dzwoniła powiedzieć *widziałam cię w telewizji!* – to zwykle kończyło się źle. Bo w końcu ktoś dogrzebywał się jakiegoś tweeta sprzed kilku lat, który źle się zestarzał, czy zdjęcia w koszulce z żartobliwym nadrukiem, który nie był już wcale taki zabawny, kiedy wyrwało się go z kontekstu. I potem, zamiast pisać o tej nieszczęsnej sondzie – której setki piekielnie inteligentnych ludzi poświęciło wszak najlepsze lata swojego życia, której lot kosztował dziesiątki milionów dolarów i przybliżył ludzkość o mały, maluteńki krok do zrozumienia wszechświata – dziennikarze pisali o tym, co na temat wąsatego chłopaka miała do powiedzenia jego była dziewczyna z liceum.

Zatem: Steve Ayers unikał dziennikarzy jak ognia. Ale czasami, niestety, uniknąć się ich nie dało. Tak jak dziś. Czasem trzeba było usiąść za mikrofonem i odpowiadać na durne, niepotrzebne bądź podchwytliwe pytania (innych, zdaniem dyrektora Ayersa, nie było), z pełną

świadomością, że jeśli jakimś cudem wszystko pójdzie dobrze, świat zapomni o całym wydarzeniu minutę po tym, jak konferencja się zakończy, ale jeśli wymysknie mu się choćby jedno nieprzemyślane słowo, pozwoli sobie na jakiś grymas czy na chwilę podniesie ton, będzie go to słono kosztować. Krótko mówiąc, nie mógł niczego wygrać, za to dużo przegrać. A to był przecież tylko jeden wymiar tej całej szopki. Jego słowa musiały jednocześnie ugłaskać opinię publiczną, uspokoić Waszyngton oraz ostrzec Moskwę. Czuł się jak aktor, czy raczej wypchnięty siłą na scenę amator, któremu kazano jedną połowę widzów rozśmieszyć, a drugą wzruszyć do łez. Jednym słowem: piekło.

– Następne pytanie proszę. – Helen Chen z PAO pochyliła się nad mikrofonem.

– Roger Douglas, Associated Press – przedstawił się szpakowaty mężczyzna w eleganckiej granatowej marynarce. – Czy to prawda, że poziom stężenia amoniaku na pokładzie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej przekroczył dwie cząsteczki na milion?

Klasyk, pomyślał Ayers. Zawarli przecież tę informację w komunikacie, więc pan szpakowaty albo w ogóle jej nie przeczytał, albo zadał to pytanie tylko po to, żeby pokazywano potem ten moment z konferencji w wieczornych wiadomościach: zatroskana mina, dramatyczne pytanie. Może dlatego się tak wystroił, żeby rzucić się w oczy, żeby go zapamiętano. I jeszcze to sformułowanie, *czy to prawda*, jakby próbowali coś ukryć, jakby ten lalusz odkrył właśnie skandal na miarę Watergate. Steve z ogromną rozkoszą by coś ukrył, gdyby tylko mógł. Ale nie mógł, musiał grać w otwarte karty.

– Tak, to prawda – odparł, starannie artykułując każdą głoskę. – Według ostatniego odczytu poziom wynosi dwa przecinek jeden, czyli powyżej przyjętej normy. Chciałbym przy tym zaznaczyć, że amoniak staje się wyczuwalny dopiero przy stężeniu pięćdziesięciu cząsteczek na milion, i taki jest też limit dla miejsc pracy wedle regulacji federalnych.

Niebezpieczeństwo dla człowieka pojawia się dopiero po przekroczeniu pułapu osiemdziesięciu cząsteczek na milion. Powtórzę jeszcze raz: astronautom nic nie grozi.

– Czemu w takim razie limit dla stacji ustawiono tak nisko? – zapytał nieustraszony szpakowaty bojownik w walce o prawdę.

– Bo nauka nie odpowiedziała jeszcze na pytanie, jakie są konsekwencje długofalowego wystawienia na amoniak w niskich stężeniach – odpowiedział Ayers. – A że bezpieczeństwo astronautów jest dla nas najwyższym priorytetem, wolimy dmuchać na zimne.

– Czyli tak naprawdę nie wiemy, czy dwie cząsteczki na milion stanowią zagrożenie? Dobrze zrozumiałem?

Źle zrozumiałeś, baranie, pomyślał Ayers, ba, nawet nie próbowałeś. Ale złośliwości i cięte riposty trzeba było przełknąć.

– Nie – odparł więc spokojnym tonem. – W perspektywie tygodnia czy nawet miesiąca nie ma mowy o jakimkolwiek zagrożeniu. Natomiast nie wiemy, jaki byłby efekt wystawienia ludzkiego organizmu na takie stężenie przez pół roku czy rok. Dlatego działać trzeba już teraz.

– A jakie działania podjęto? – spytał dziennikarz, ignorując wzniesione ręce kolegów i koleżanek po fachu.

– Uruchomiliśmy dodatkowe filtry. Cały czas szukamy źródła wycieku. W ciągu najbliższych dni nasi astronauta przeprowadzą EVA, czyli spacer kosmiczny, żeby sprawdzić, czy nie doszło do uszkodzeń systemu chłodzenia od zewnętrznej strony stacji – dodał Ayers – na przykład w wyniku zderzenia z mikroasteroidą.

– Jak niebezpieczne dla stacji byłoby takie zderzenie?

– Następne pytanie proszę. – Helen wybawiła go z opresji. – Pani w pierwszym rzędzie.

Steve sięgnął po szklanę z wodą, ale się rozmyślił. Jeszcze rozleję, potrączę, siorbnę. Nie dam im tej satysfakcji. Wycofał rękę powoli, żeby nikt

nie zauważył tego niezdarnego momentu, żeby kamerzysta, niby wyczulony na ruch drapieznik, nie zwrócił ku niemu obiektywu.

– Dzień dobry, Maggie Kohl, CNN – przedstawiła się kobieta w czerwonym żakiecie. – Z sygnałów, które dochodzą z Moskwy, można wyciągnąć wniosek, że strona rosyjska nie czuje się uspokojona tymi zapewnieniami. Roskosmos poprosił o nadzwyczajne spotkanie MCB, Multilateralnego Panelu Koordynacyjnego. Czy wiadomo, jakie przedstawią postulaty?

Nie wiadomo, pomyślał Ayers. Rybkin nie odbierał jego telefonów. Kiedy dowiedział się, że alarm przeciwpożarowy aktywowano ręcznie, po stronie amerykańskiej, i to bez żadnych widocznych znamion ognia, dodał dwa do dwóch i zrozumiał, że Ayers powiedział w ten sposób: sprawdzam. Najwyraźniej bardzo mu się to nie spodobało.

– Cieszy nas, że strona rosyjska podchodzi do kwestii bezpieczeństwa załogi z tak wielką troską – zaczął Ayers. Szkoda, że nie przejawiali takiej wrażliwości, kiedy marynarze Kurska dusili się na dnie oceanu, dodał w myślach. – Zapewniamy naszych partnerów, że podchodzimy do sprawy poważnie i dołożymy wszelkich starań, żeby ją rozwiązać. Przy czym chciałbym jeszcze raz zaznaczyć, że nikomu nie grozi niebezpieczeństwo.

– Następne pytanie – powiedziała Helen, nim dziennikarka CNN zdążyła otworzyć znów usta.

– Jennifer Suskind, „Air and Space Magazine” – odezwała się reporterka w czarnym golfie, nim ktokolwiek udzielił jej głosu. Mogła sobie na to pozwolić, kojarzono ją tu i szanowano. W odróżnieniu od koleżanek i kolegów z sali rzeczywiście znała się na tematyce kosmicznej, interesowała się lotami załogowymi oraz, co gorsza, miała w agencji swoje źródła. Steve wyprostował się na krześle, splótł dłonie. Kojarzył Jennifer, spotkali się wcześniej. W jego piekle to właśnie ona zadawałaby pytania. – Według przecieków Rosja chce złożyć deklarację intencji wcześniejszego odłączenia się od stacji. W wewnętrznej komunikacji padły słowa... –

reporterka spojrzała do notatek – ...o „przestarzałym, niebezpiecznym i nieakceptowalnym” systemie chłodzenia w skrzydle amerykańskim. Czy otrzymał pan takie sygnały? Jeśli to prawda, jak wpłynie to na funkcjonowanie stacji w najbliższej przyszłości? I perspektywę lotów załogowych na Księżyc w ramach programu Artemis?

Steve postanowił, że jednak napije się wody i kupi sobie w ten sposób trochę czasu na pozbieranie myśli. To pytanie było szczególnie trudne. Rosjanie grali ostro, ale to prawdopodobnie był blef pod własną publiczność. Wreszcie to oni mogli krytykować Amerykanów za awarię, żal byłoby nie skorzystać z okazji, nie przeciągnąć tego momentu. Niemniej istniało prawdopodobieństwo – niewielkie, ale jednak – że ich groźby były poważne, że nie skończy się na marsowych minach i waleniu pięścią w stół. Więcej, istniało również prawdopodobieństwo, że to oni są autorami tego kryzysu. Informacje, które przekazała mu Lucy, zdawały się na to wskazywać.

Choć bynajmniej nie udowodniono, że do wycieku amoniaku doszło po stronie amerykańskiej, Steve był gotów przyjąć kilka ciosów, posypać głowę popiołem, ba, nawet wysłać do biura Roskosmosu bombonierkę czekolady Hershey's w kształcie serca i pocztówkę z brokatowym napisem *Przyjmij moje przeprosiny*, która zagra rzewną melodyjkę, gdy się ją otworzy. Zdawał sobie przecież sprawę, że wskutek rosnącej asymetrii ich relacji cały układ stawał się niestabilny. Niechże więc Rosjanie wreszcie zapunktują, niechże Rybkin dostanie kilka medali, usiądzie w pierwszym rzędzie na jakiejś wojskowej paradzie, w jednej z tych ich kretyńskich czapek wojskowych wielkości patelni. Ale jeśli rzeczywiście zrobią choćby krok więcej, jeśli zagrozą przyszłości agencji na orbicie okołoziemskiej oraz, co równie ważne – może, prawdę mówiąc, nawet ważniejsze – jego spuściźnie, był gotów zrobić wszystko, *wszystko*, co w jego mocy, aby ich powstrzymać.

Helen Chen złapała jego spojrzenie. Pokręciła głową: minimalnie, ledwie widocznie. Sygnał, żeby odbił pytanie, powiedział: *bez komentarza*. Udał, że jej nie widzi. Skoro Rybkin nie odbiera, trzeba z nim porozmawiać za pośrednictwem mediów.

– Nie, nie otrzymaliśmy takich sygnałów – odparł Ayers. – Czekamy na spotkanie z rosyjskimi partnerami i mamy nadzieję, że to spotkanie będzie produktywnie. My na pewno dołożymy wszelkich starań, aby tak właśnie było, mamy szczerą nadzieję, że współpraca będzie kontynuowana. Byłoby to korzystne dla nas, a tym bardziej dla Moskwy. Jeśli Rosjanie uznają jednak, że chcą przerwać uczestnictwo w programie, przyjmiemy to do wiadomości. Ale – Ayers zrobił pauzę, omiół wzrokiem pokój, szukając obiektywów kamer. Teraz poproszę zbliżenie, pomyślał, kadr na tle amerykańskiej flagi – postawimy wtedy własne twarde warunki. Nie dopuszczę do sytuacji, w której odejście Roskosmosu miałyby negatywnie wpłynąć na dalsze funkcjonowanie naszej części stacji.

– Ale ISS jest zależny od rosyjskich generatorów tlenu – naciskała Suskin. – Silniki, które korygują tor lotu, też są po ich stronie. Stacja nie była zaprojektowana z myślą o tym, że zostanie kiedyś rozdzielona.

Wiem, pomyślał Ayers. Niestety.

– Pracujemy nad rozwiązaniem – powiedział zamiast tego. I to była prawda, tuż po konferencji czekało go spotkanie z przedstawicielami SpaceX. Podobno mieli już jakiś pomysł.

– Rozumiem. – Reporterka skinęła głową. – Ale czy zdążycie? Gdyby przyszło co do czego?

– À propos, obawiam się, że nasz czas dobiegł właśnie końca – wcięła się Helen.

– Już moja w tym głowa – odparł Steve z uśmiechem, od którego cierpła skóra – żebyśmy zdążyli.

– Dziękuję państwu serdecznie – powiedziała Helen. – Dodatkowe materiały udostępnimy na serwerach prasowych. Do widzenia.

Steve podziękował jej skinieniem głowy i wstał od stołu – powoli, ostrożnie. Jeszcze nie był bezpieczny. Musiał uważać, żeby nie przewrócić krzesła, nie potknąć się o kabel, nie rozsypać papierów; kamery wciąż mogły być włączone, a takie niewinne z pozoru wypadki potrafiły zakończyć karierę. Dopiero kiedy wyszedł na korytarz, mógł odetchnąć. Wyciągnął wyciszony na czas konferencji telefon, sprawdził, jakie wiadomości przyszły przez ten czas. Raport dyrektora lotu kończącego zmianę, e-mail od Jenny z pytaniem, na kiedy ma zarezerwować lot do Waszyngtonu i czy chce tym razem nocować w Conradzie, czy Grand Hyacie... Ayers przewijał kolejne powiadomienia, szukając tych wiadomości, które były faktycznie istotne, którymi trzeba było zająć się w pierwszej kolejności. Zatrzymał się, kiedy zobaczył e-mail od Kevina Wallgreena. Wieści z Rosji.

Od: Kevin Wallgreen <kevin.wallgreen@nasa.gov>

Do: Ja <steve.ayers@nasa.gov>

Temat: Pilne

Cześć, Steve

Rozmawiałem przed chwilą ze znajomymi z Moskwy. Nieoficjalnie. Rybkin był wczoraj na nieplanowanym wcześniej spotkaniu na Kremlu, był tam też ktoś z tamtejszego MSZet-u. Po powrocie Rybkin wezwał do biura Puszakowa. Bezpośrednio potem Puszakow poleciał do Bajkonuru. Sam. Nie wiem, co to wszystko oznacza, ale pewnie nic dobrego.

=====

Kevin Wallgreen

Russian Interface Officer

Steve też nie wiedział, ale miał swoje podejrzenia. Kreml był zainteresowany kosmosem wyłącznie w wymiarze politycznym. Jeśli Rybkina wezwano do Moskwy na spotkanie, to zapewne nie po to, żeby dyskutować o wybuchu supernowej w Mgławicy Oriona albo nowo odkrytym obiekcie w Pasie Kuipera, zwłaszcza jeśli w pokoju znajdowali się też dyplomaci. Jewgienij Puszakow był z kolei odpowiedzialny za loty załogowe z Bajkonuru. Tylko że start kolejnego sojuza był zaplanowany dopiero za trzy miesiące, coś pilnego mógł więc mieć tam do załatwienia? Mogło jeszcze chodzić o powrót. Przed każdym lotem na Ziemię trzeba było wyszykować ekipę ratunkową, która odbierała astronautów z miejsca lądowania – Puszakow lubił doglądać tych przygotowań osobiście. Ale załoga sojuza miała przecież spędzić na orbicie jeszcze pół roku. Chyba że plany Rosjan się zmieniły.

Steve zaklął, przetarł spoconą twarz. Widział dwie możliwości. Pierwsza była taka, że Rosjanie faktycznie planowali wykorzystać problem z amoniakiem, żeby odłączyć swoje moduły i ewakuować załogę – skazując całą stację na śmierć. Druga była taka, że przeciek był intencjonalny, że znajomy Kevina odezwał się do niego nieoficjalnymi kanałami na prośbę swoich przełożonych. Wówczas byłby to jedynie bluff: patrzcie, my nie żartujemy, naprawdę możemy wyciągnąć wam wtyczkę, zakończyć tę przygodę z hukiem – więc kiedy przyjdzie co do czego, kiedy wreszcie usiądziemy do stołu, bądźcie gotowi na duże ustępstwa. Na przykład podpiszcie kontrakt na kolejne pięć lat lotów sojuzami, innymi słowy: podepnijcie kropłówkę z dolarami.

Muszę się spotkać z Kevinem, pomyślał, spytać, co dokładnie mu powiedziano, jak i kiedy. A potem, przy okazji zbliżającej się wizyty w Waszyngtonie, trzeba będzie zawitać też do Białego Domu, bo ta sytuacja wykraczała już poza kompetencje dyrektora Ayersa. Pospiesznie przewijał kolejne wiadomości, żeby się upewnić, że w skrzynce odbiorczej nie wylądowała jeszcze jakaś inna tykająca bomba. Jego uwagę zwrócił e-

mail od nieznanego nadawcy, wysłany z zewnętrznych serwerów, o czym informował go podkreślony na żółto alert. I słusznie, bo raz na jakiś czas rosyjscy, chińscy albo irańscy hakerzy podsyłali pracownikom agencji nafaszerowane malware'em wiadomości – a nuż ktoś kliknie w link i uchyli nieświadomie drzwi, a nuż będzie można wejść na serwery, coś skopiować, usunąć albo popsuć. Ale nazwisko nadawcy brzmiało znajomo... Ach, racja, przypomniał sobie. Mąż Lucy. Kusilo go, żeby skasować wiadomość bez czytania – miał w końcu lepsze rzeczy do roboty niż niańczenie małżonków załogi, mieli od tego wyznaczonych ludzi – ale temat wiadomości przekonał go, żeby tego jednak nie robić.

Od: Nathaniel J. Hunt <nate.j.hunt@protonmail.com>

Do: Ja <steve.ayers@nasa.gov>

Temat: Anton Kowalow

Szanowny Panie

Proszę wybaczyć, że odzywam się bezpośrednio do Pana – zdaję sobie sprawę, iż jest Pan niezwykle zajętą osobą – ale wierzę, że fakty, które mam do przekazania, są na tyle istotne, by usprawiedliwić niniejszą próbę kontaktu.

Mianowicie: mam powody, aby przypuszczać, że strona rosyjska ukrywa przed Wami ważne informacje na temat Antona Kowalowa, astronauty, który przebywa obecnie na stacji. Z zebranych przeze mnie materiałów wynika, że Kowalow był powiązany z agencją GRU. Fakt ten nie został nigdy upubliczniony. Podejrzewam, że w świetle niedawnych wydarzeń przeszłość Kowalowa może mieć szczególne znaczenie.

Wspomniane materiały są w załączniku.

=====

Nathaniel J. Hunt

GRU. Ciekawe, pomyślał Steve, a nawet bardzo ciekawe. Po chwili wahania otworzył załączony dokument. Zapoznał się z nim, wziął głęboki oddech, a potem skasował wiadomość – bez odpowiedzi. Nie dlatego, że podejrzenia Nate’a (oparte na amatorskim śledztwie przeprowadzonym z kanapy) były bezpodstawne. Nie, wręcz przeciwnie, z tego powodu właśnie, że nosiły znamiona prawdopodobieństwa, sprawę trzeba było potraktować poważnie, a co za tym idzie: przygotować się na najgorsze i zatrzeć ślady. Steve chciał mieć możliwość – choćby teoretyczną – zaprzeczenia, że kiedykolwiek otrzymał taki list, że to za jego sprawą podjął takie, a nie inne działania. Bo też plan, jaki zaczął układać mu się w głowie, był bardzo ryzykowny, mogło się skończyć na przesłuchaniach w świetle reflektorów.

Steve wybrał numer do swojej sekretarki i przycisnął telefon do ucha.

– Jenny?

– Tak, panie dyrektorze? O co chodzi?

– O lot do Waszyngtonu. – Ayers wcisnął guzik przywołujący windę, po czym, zniecierpliwiony, wyszedł jednak na klatkę schodową. Czas gonił.

– Mam go przełożyć?

– Nie – odpowiedział. – Odwołać.

Lucy otworzyła drzwi śluzy Quest. W środku, przypięte do przeciwległych ścian, wisiały dwa skafandry EMU, *extravehicular mobility units*, niczym zbroje zdobiące jakąś średniowieczną komnatę. Podobnie jak zbroje, były

wielkie i toporne, przypominały, jak trudno człowiekowi przetrwać w przestrzeni kosmicznej, jak wiele potrzebuje zabezpieczeń, by wytrzymać bombardowanie kosmicznymi cząstkami i gwałtowne wahnięcia temperatury. Były kokonami, które chroniły miękkie, delikatne ludzkie ciało. Ale były też pułapkami. Jeśli bowiem w trakcie misji coś poszłoby źle, nie było jak się z nich wydostać, nie było gdzie uciec. Do najgroźniejszego jak do tej pory wypadku w trakcie spaceru kosmicznego doszło, gdy w skafandrze jednego z astronautów rozszczelniły się rurki doprowadzające wodę. Płyn zaczął zbierać się w hełmie, z początku powoli, kropla po kropli, potem coraz szybciej. Wkrótce woda, która w warunkach mikrogravitacji chłupotała swobodnie to w jedną, to w drugą stronę, zaczęła wlewać się do nosa, ust i oczu. Astronauta zaczął się dusić, ledwo co widział. Musiał jak najszybciej – na oślepienie – wrócić do śluzy i się rozebrać. Ale jeśli po drodze omsknęłaby mu się ręka, jeśli źle zapiąłby karabińczyk paska asekuracyjnego, jeśli by się poślizgnął, dołączyłby do grona ziemskich satelitów.

– To jak chcesz się do tego zabrać? – Lafayette wyrwał ją z zamyślenia. Przecisnął się obok niej i wsunął stopy w uchwyt, żeby się zakotwiczyć.

– Ty skonfiguruj komputery – odparła. – Ja sprawdzę kombinezony i narzędzia.

– Robi się.

Jeszcze nie tak dawno Lucy cieszyła się na nadchodzący spacer: pierwszy raz poza stacją, wśród gwiazd, Ziemia przesuwająca się pod stopami. Ale teraz, kiedy powoli zbliżał się moment wyjścia, była spięta i zestresowana. Między innymi dlatego, że zupełnie zmieniono cele EVA: zamiast naprawiać panele słoneczne na skrzydle S-6, miała dokonać oględzin instalacji chłodzącej, sprawdzić, czy nie jest uszkodzona, czy nie ma wycieku amoniaku. Niby nic, ale spacer kosmiczny był tak trudny i wymagający, że najmniejsze odstępstwo od przewidzianego wcześniej planu dramatycznie zwiększało ryzyko. Znowu, myśląca nazwa: słowo

„spacer” przywodziło na myśl coś przyjemnego, spokojnego, niespieszną przechadzkę. Bardziej pasowałby „kosmiczny maraton” albo „kosmiczna wspinaczka”, chociaż i te określenia nie oddawałyby skali wyzwania. Po pierwsze, taki skafander jest wielki i niewygodny, trudno się w nim schylić, a obrócić głowy nie sposób. Najgorsze są jednak rękawice, które – mimo dekad prób, mimo wydanych milionów – wciąż obcierają palce do krwi. Po drugie, na zewnątrz stacji niezwykle łatwo stracić orientację i się pogubić. Słońce wschodzi i zachodzi, to oślepiając, to spowijając wszystko w nieprzeniknionym mroku. Cienie prześlizgują się po ścianach stacji z prędkością, do której ludzkie oko nie przywykło, i aktywują atawistyczne odruchy obronne: uważaj, coś tu jest, skrada się, zaraz na ciebie wyskoczy! Dodajmy do tego zaparowaną szybkę i tańczące wokół twarzy krople potu – momentami trudno choćby o orientację, skąd się przyszło i dokąd się idzie. Po trzecie wreszcie, praca fizyczna w warunkach mikrogravitacji jest niewdzięczną mordęgą: śrubki i nakrętki uciekają spod palców, trudno cokolwiek docisnąć czy wepchnąć na miejsce. Dlatego właśnie astronauta miesiącami ćwiczyli w Neutral Buoyancy Laboratory w Houston, ogromnym basenie, w którym zanurzony był model stacji w skali jeden do jednego. Pod wodą, w warunkach zbliżonych do tych panujących na orbicie – neutralna wyporność całkiem zgrabnie udawała nieważkość – powtarzali te same czynności w tych samych miejscach tyle razy, aż znali dany wycinek stacji jak własną kieszeń, aż byli w stanie się po nim poruszać z zamkniętymi oczami. Teraz jednak zdecydowano, że Lucy ma ruszyć w nieznane. I to byłoby do przełknięcia – przecież to właśnie nieznane ją pociągało, to ten syreni śpiew zwabił ją na orbitę – gdyby nie kwestia zaufania. Żeby czuć się bezpiecznie po drugiej stronie śluzu, musiała mieć poczucie, że może w pełni polegać na reszcie załogi. Tak jednak nie było.

– Okej, gotowe... – Lafayette stuknął w ekran dotykowy. – Sprawdź maski tlenowe.

– Mhm. Dzięki.

Lucy otworzyła przypiętą do ściany skrzynkę. Uśmiechnęła się, ale to była podszyta smutkiem nostalgia, nie radość. Znajdujące się w środku narzędzia kojarzyły jej się z garażem, który stał koło jej rodzinnego domu, z ojcem. Mike – tak naprawdę Michał – przyjechał do Stanów w osiemdziesiątym drugim, z jakiejś wsi koło Krakowa. Nigdy nie opanował dobrze angielskiego, ona zaś nigdy nie nauczyła się mówić płynnie po polsku. Nie mieli więc wspólnego języka, więcej, byli z różnych światów. Ona nie знаła kraju, który Mike zostawił za sobą: nie tęskniła za smakiem barszczu ani chleba razowego, serce nie biło jej żywiej na dźwięk *Mazurka Dąbrowskiego* czy płaczących wierzb rosnących wzdłuż miedzy, nie wiedziała, co natenczas chwycił Wojski. Mike z kolei nie rozumiał jej codziennych doświadczeń i rozterek, nie znał zasad bejsbola ani futbolu amerykańskiego, nie potrafił upiec s'moresów, nie umiał pomóc jej w odrabianiu lekcji. Dorastając, Lucy się go wstydziła: jego silnego akcentu, niemodnych wąsów oraz okropnych polskich piosenek, które puszczał na cały regulator, gdy kosił trawnik. Kiedy pod jego nieobecność wpadali do niej kumple ze szkoły, chowała kiczowaty portret papieża i gipsowe popiersie Piłsudskiego, które stało na telewizorze. On z kolei miał jej za złe dziury w džinsach, kolczyk w nosie i przykrótkie koszulki, krzywym okiem patrzył na jej chłopaków z długimi włosami i przyjaciółki z tatuażami. Widział się jako patriarcha rodu, który powie jej, z kim, gdzie i jak powinna spędzić swoje życie. Ale ona miała jego rady gdzieś; *whatever, dad*. Jedyne miejsce, w którym znosili się nawzajem, w którym byli w stanie znaleźć wspólną częstotliwość, to właśnie garaż. Z początku ojciec ją stamtąd przeganiał, mówił: *Lucja, idź pomóż matce w kuchni*, ale kiedy okazało się, że córka ma smykałkę do majsterkowania, wpuścił ją do tego męskiego świata. Przez długi czas Lucy znała więc nazwy narzędzi tylko po polsku. Nie rozumiała tych słów, zapamiętywała jedynie obce, egzotyczne dźwięki, tak najeżone spółgłoskami, że aż kaleczyły język, tarły

o podniebienie: podaj mi *shcheeptze* i kilka *gvozhdzheekov*... Dobrze, a teraz *pozhomeetsa*... Potrafili spędzić cały weekend, budując szopę na narzędzia albo doprowadzając do porządku przeżarte rdzą auto, które ojciec kupił za kilka stów (a potem, odnowione, sprzedawał z kilkukrotnym przebicciem). Tutaj właśnie, i tutaj tylko – umazana smarem, spocona, zajęta – czuła się kochana. Matka, która nigdy nie odnalazła się na emigracji, wypełniała dom nieszczęśliwą ciszą i ciężkimi westchnieniami. Choć nie pracowała, nie miała czasu dla Lucy: nie zachwycała się jej dziecięcymi bohomazami, nie słuchała relacji z placu zabaw. Jedyne, co na niej robiło wrażenie, to klasówki zdane na A+ i pozłacane medale z zawodów sportowych. Wtedy się uśmiechała, wtedy ją przytulała.

– Maski sprawne – zaraportował Lafayette, wyrywając ją z zamyślenia.

– Dobrze, to przetestuj kapturki komunikacyjne, a potem ciśnienie w układach SAFER – odpowiedziała.

– Okej. – Botanik przeplynał na drugą stronę śluzy. – Lucy?

– Hm?

– Rozmawiałaś już z Rosjanami?

Obróciła się ku niemu. Astronauta patrzył na nią wyczekująco.

– Na temat? – spytała.

– Tego, co się wydarzyło wczoraj. Na temat Lwa.

Dlaczego mnie o to pyta, pomyślała Lucy, z czystej ciekawości? Bo się boi? Czy dlatego, że usłyszał wczoraj, jak wracała z sekretnego spotkania z Antonem? A może kwestionuje w ten sposób jej przywództwo, jej decyzje? Kusiło ją, żeby mu wszystko powiedzieć, żeby podzielić się podejrzeniami, ciężarem, który złożono na jej ramionach. Ale wiedziała, że jeśli to zrobi, spirala wzajemnych oskarżeń nakręci się jeszcze bardziej, a Anton całkowicie się już od nich odetnie. Poza tym instrukcje dyrektora Ayersa były jasne: to wszystko zostaje między nami. Dopóki nie będziemy mieli w ręku twardych dowodów, załatwiamy sprawę nieoficjalnie, po cichu, nie angażując góry i nie denerwując Moskwy. Rzuciła okiem na

zegar: za dziesięć minut mieli odbyć kolejną wideokonferencję. Może, dla odmiany, Ayers będzie miał do przekazania jakieś dobre wieści.

– Poruszyliśmy ten temat, tak – odpowiedziała więc. Chłodno.

– I? – dociekał botanik.

Lucy wzruszyła ramionami.

– Niczego ci nie powiedzieli?

– Ani słowa.

– Może po prostu się pokłócili – stwierdził Lafayette. – Wiesz, jacy oni są, jak sobie popijają.

– Może – zgodziła się. Formalnie alkohol był na stacji zakazany. Mimo to jakoś na orbitę docierał. Zwłaszcza do skrzydła rosyjskiego. Albo jako część bagażu osobistego, albo jako odczynnik do jakiegoś bliżej niesprecyzowanego eksperymentu.

Lafayette pokiwał głową, ale widać było, że ta odpowiedź go nie zadowoliła, że to jeszcze nie koniec tej rozmowy.

– Słuchaj, rozumiem, że nie możesz powiedzieć nam wszystkiego... – podjął.

– Ale?

– Coś powiedzieć musisz – botanik zniżył głos – bo załódze puszczejają nerwy.

– Komu?

– Wolałbym nie pokazywać palcem. – Schował kapturki do szafy.

– Jest nas czwórka.

– Właśnie dlatego.

– Ezra? – spytała.

Lafayette milczał. Lucy zamknęła skrzynkę na narzędzia. Jeden z kluczy francuskich próbował uciec, niczym ryba, która za wszelką cenę chce wyskoczyć z podbieraka. Wepchnęła go na miejsce, zapięła zatrzaski.

– Jeśli dysponujesz informacjami, które mają znaczenie dla bezpieczeństwa załogi – przypomniała – twoim obowiązkiem jest podzielić

się nimi z dowódcą.

- Nic konkretnego się nie stało.
- Ale coś musiało.
- Widzę, że go nosi – powiedział. – Para bucha mu z uszu.
- Wszyscy miewamy gorsze dni. Ja też.
- Owszem, ale ciebie nigdy się nie bałem.

Lucy zmierzyła Lafayette'a wzrokiem. Faktycznie się niepokoi? Czy wykorzystuje sytuację, żeby podkopać kolegę, z którym się nie dogaduje?

– Porozmawiamy o tym później – stwierdziła. Czas gonił: pięć minut do telekonferencji z Ayersem.

- Nie wiem, czy mam cokolwiek do dodania...
- Przekonamy się. Dokończysz tutaj?
- Pewnie – odparł Lafayette. – Lucy?
- Hm?

– Możesz na mnie liczyć – powiedział z naciskiem, patrząc jej prosto w oczy. – W każdej sytuacji.

Chciałabym w to wierzyć, pomyślała. Czas pokaże. Skinęła głową w niemym podziękowaniu, po czym odepchnęła się od ściany i przeleciała przez oświetlone zimnym światłem moduły. Już tęskniła za dotykiem ziemi pod stopami, powietrzem, które nie śmierdziało skwaśniałym potem i przeciążoną elektroniką. Zabawne, pomyślała, chociaż wcale nie było jej do śmiechu, na Ziemi marzyłam o orbicie, na orbicie wzdycham do Ziemi, nigdzie nie jestem zadowolona, nigdy nie jestem usatysfakcjonowana, chociaż teoretycznie mam wszystko, żeby być szczęśliwa, choć zazdroścą mi miliony. Co ze mną nie tak? Ale wyciszyła te myśli, zepchnęła na bok, nie miała na to teraz czasu. Chwilę potem była już w swojej kabine. Zamknęła za sobą drzwi, założyła słuchawki. Ekran laptopa ożył, pojawiła się w nim twarz Ayersa. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz i już wiedziała: dobrych nowin jednak nie będzie.

- Dzień dobry, Lucy – przywitał się. – Trzymasz się?

– Tak, jest okej – odparła, byle jak najszybciej skończyć z grzecznościami.

– Coś nowego do zaraportowania?

Skinęła głową. Opowiedziała mu o rozmowie z Antonem, o tym, że uderzył Lwa, bo ten odmówił wykonania jakiegoś rozkazu – chociaż formalnie byli równi stopniem, chociaż jedyne, co według oficjalnych komunikatów mieli robić na orbicie, to pielęgnować sałatę i karmić ślimaki. Ayers potarł brodę. Wyglądał jak człowiek, który waży opcje, zawodowy pokerzysta, który oblicza prawdopodobieństwo, że przeciwnik ma w ręku asa.

– Przede wszystkim chciałem ci podziękować za wszystko, co zrobiłaś do tej pory – powiedział Ayers, gdy skończyła zdawać relację. – Jestem świadomy, jak wiele zaryzykowałaś. I jakie to musiało być dla ciebie trudne.

– Staram się robić, co do mnie należy. – Mimo iż wiedziała, że nie kadzi jej bez powodu, i tak czuła się mile polectana.

– Oboje wiemy, że to, o co cię prosiłem, nie mieściło się w tych ramach – dodał Ayers. – A to, o co poproszę cię teraz, wykracza poza nie jeszcze bardziej.

Oho, pomyślała, zapowiada się ciekawie.

– Mianowicie? – spytała.

– Jak zapewne wiesz – Ayers pochylił się ku kamerze – na pokładzie stacji znajduje się broń palna.

Oczywiście, że wiedziała, w końcu musiała wiedzieć wszystko. W sojuszu, w którym przyleciała, a dokładniej w schowku pod siedzeniem nawigatora, znajdowały się pistolet Makarowa 9 mm oraz dwa magazynki. Na wypadek gdyby musieli lądować awaryjnie, w miejscu, w którym nie czekała na nich ekipa ratunkowa. Choćby pośród syberyjskiej tajgi, gdzie spotkać można było wilki i niedźwiedzie. Albo w jakimś państwie upadłym, Somalii czy innym Afganistanie, gdzie nie powitano by ich chlebem i solą.

– Zgadza się – odparła, z trudem artykułując słowa. Bo to pytanie miało zapewne jakiś ciąg dalszy.

Ayers skinął głową.

– Chcę, żebyś dzisiaj w nocy ją zabezpieczyła – dodał.

– Słucham?

– Masz udać się do części rosyjskiej – Ayers mówił powoli i dobitnie – znaleźć rzezoną broń, zabrać ją stamtąd i ukryć w bezpiecznym miejscu. Oczywiście w tajemnicy przed resztą załogi.

Chwilę nic mówiła. Huk wentylacji wypełniał jej głowę.

– Dlaczego? – spytała w końcu.

– Bo istnieje prawdopodobieństwo, że inaczej użyje jej ktoś inny.

– Kto? Kiedy?

– Cóż... Jak wiesz, wiele wskazuje na to, że nasi rosyjscy przyjaciele nie mają czystych intencji.

– Rozumiem, ale... – Urwała. – Nie jestem przekonana, czy taki ruch jest uzasadniony.

– Ja też nie. Ale musimy działać na podstawie informacji, jakie mamy. I mając na uwadze, jaka jest stawka.

Lucy zobaczyła swoją twarz na podglądzie w rogu ekranu. Była śmiertelnie blada.

– Nie jestem najlepszą osobą do tego rodzaju misji – powiedziała.

– Oczywiście. Nie przygotowaliśmy cię do czegoś takiego. Ale zdajesz sobie chyba sprawę, że nie bardzo możemy wysłać posiłki.

– Tak, ale są członkowie załogi, którzy mają stosowne doświadczenie do tego rodzaju...

– Zdecydowałem, że tobie powierzymy to zadanie – nie dał jej dokończyć Ayers.

Wzięła głęboki oddech. I jeszcze jeden. Było jej gorąco, ubrania parzyły skórę.

– Czy mogę poinformować innych członków naszej załogi? – spytała.

– Nie.

– Czy gdyby coś poszło nie tak... – Przełknęła kwaśną ślinę. – Czy przyznacie, że działałam na wasze polecenie?

– Nie. Ale też nie zostawimy cię samej sobie.

– A czy mogę odmówić?

Dyrektor Ayers przyglądał jej się dłuższą chwilę. Lucy zdała sobie sprawę, że się go boi: tego niższego od niej o pół głowy biurokraty po sześćdziesiątce.

– Oczywiście, że możesz – odparł wreszcie. – Ale czy powinnaś?

Grudzień 2021

LAMAR: Jak długo zna się pani z dyrektorem Ayersem?

RATHKE: Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego
dziewiątego. Czyli ponad trzydzieści lat.

LAMAR: Jak określiłaby pani jego charakter?

RATHKE: Przepraszam, jaki to ma związek ze sprawą?

LAMAR: Proszę odpowiedzieć na pytanie.

RATHKE: Oczywiście. Steve jest człowiekiem zadaniowym.
Osiąga wyznaczone cele.

LAMAR: Choćby idąc po trupach?

RATHKE: To pana słowa.

Czerwiec 2021

Lucy poczuła w dłoni mrowienie, fizyczne echo wspomnienia. Piaszczysta, jałowa ziemia, z której wyrastały cienkie jak zapałki sosny. Bładoniebieskie niebo niczym sprane dzinsy. Puste łuski błyszczą wśród suchego igliwia, słuchawki wygłuszające uciskają uszy, po policzku spływa kropla potu, a palec naciska na spust. Trzask, odrzut, energia rozchodzi się po całym ciele, a w czarnej sylwetce na tarczy, na wysokości głowy, pomiędzy oczami, wykwita dziura o poszarpanych krawędziach. Wszystko to w ułamku sekundy. Rosyjski instruktor kiwa z uznaniem głową, odhacza coś na formularzu, w powietrzu unosi się zapach spalonego prochu. Lucy zabezpiecza makarowa i wyciąga magazynek, po czym odkłada pistolet na nagrany słońcem stół polowy: szkolenie zaliczone.

To było rok temu, na poligonie pod Zwiozdnym Gorodkiem, miasteczkiem astronautów nieopodal Moskwy. Tydzień wcześniej ćwiczyli survival w pobliskim lesie, tydzień później mieli egzamin ze znajomości

diagramów technicznych sojuzów. Niekończąca się lista zadań do wykonania, żeby dostać upragniony bilet na lot w kosmos, tak wtedy o tym myślała. W minutę po tym, jak zaliczyła trening na strzelnicy, zapomniała o całym wydarzeniu. W życiu by jej nie przyszło do głowy, że temat makarowa jeszcze do niej wróci, że ten trening strzelecki to coś więcej niż czysta formalność – od czasów Gagarina awaryjnych pistoletów nigdy nie użyto. Rozkręcano je i skręcano na powrót, oliwiono i testowano, wymieniano zwietrzałą amunicję, i tak w kółko, aż wreszcie psuły się od przeciążeń i wibracji, które towarzyszyły każdemu lotowi.

Trudno było jej uwierzyć, że ktoś z załogi miałby faktycznie skorzystać z tej broni, wymierzyć z niej do kogoś, nie mówiąc już o pociągnięciu za spust. Może nie byli przyjaciółmi, ale pracowali wspólnie od lat, znali swoje rodziny, pili razem rosyjską wódkę i robili amerykańskie barbecue. Poza tym – strzelić z broni palnej na pokładzie statku kosmicznego, gdzie od zabójczej pustki oddzielało ich zaledwie kilka centymetrów blachy, byłoby przecież szaleństwem. Jeśli pocisk przebiłby ścianę, nastąpiłaby dekompresja, może nie tak gwałtowna, jak pokazywano na filmach – gdzie próżnia momentalnie wsysała ludzi jak odkurzacz – ale i tak doszłoby do niebezpiecznej sytuacji. Ale może Lucy się myliła, może wychodziła z fałszywych założeń. Może czasy współpracy skończyły się raz na zawsze, może stali się już wrogami. Wydarzenia ostatnich dni zdawały się na to wskazywać.

Lucy zamknęła oczy; jej ramiona unosiły się bezwładnie, jak u kołysanego falami topielca. Mogę odmówić, powtórzyła w myślach, żeby się uspokoić, żeby dodać sobie pewności. Ale czy powinna? Jeśli posłucha Ayersa i przechwyci makarowa, usunie potencjalne niebezpieczeństwo, niczym saper, który przecina kabel w detonatorze. Jeśli tego nie zrobi, może potem tego żałować. Znów zobaczyła przed oczami czarną sylwetkę na tarczy. I dziurę ziejącą pośrodku głowy.

Zawibrował opięty wokół nadgarstka zegarek: kolacja. Nie miała na nią ochoty, stres ścisnął jej żołądek tak mocno, że kwas aż podjeżdżał w przelyk, piekł i drażnił. Ale musiała się tam pokazać, zrobić dobrą minę do złej gry, dać przykład reszcie załogi, sprawdzić, jakie są nastroje. Rozsunęła więc drzwiczki kabiny i popłynęła w stronę modułu Unity. Reszta już tam była. Lafayette wyciągał właśnie tackę z mikrofalówki, kiedy nagle syknął i ją puścił, widać nadto się nagrzała. Na Ziemi upadłaby na podłogę i pękła, tu wisiała dalej w powietrzu, niczym w kreskówce, jakby zapomniała, co miała zrobić. Devaki była obok, pochylona nad miską wystygłej owsianki, pobladła na twarzy, wyraźnie nieszczęśliwa. Ezra wisiał przy wejściu do modułu, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Nie interesowało go jedzenie. Czekał. Na nią.

– Wideokonferencja z górą? – spytał.

– Tak jest. – Lucy skinęła głową, po czym otworzyła jedną z szafek. Wysłała mu w ten sposób jasny sygnał: nie twój interes, koniec rozmowy. – Jest jeszcze łosoś?

– Nie ma – odparł Lafayette, potem dmuchnął w sparzone palce.

– A curry?

– Błagam – jęknęła Devaki – tylko nie curry, bo znowu się porzygam.

– Przepraszam. – Lucy dotknęła jej ramienia. – Nie pomyślałam.

– Nie szkodzi.

– O czym rozmawialiście? – Ezra nie odpuszczał.

– O misji – odparła, nie patrząc w jego stronę, pochylona nad otwartą szafką. Pilot ją zatrzasnął, dosłownie przed nosem Lucy. Zrobiło się cicho. Wszyscy na nich patrzyli. Odwróciła się w stronę Ezry. Był tuż obok, blisko, za blisko. Oho, pomyślała, Lafayette nie przesadzał.

– Nie zbywaj mnie – rzucił były wojskowy.

– Nie zbywam cię, Ezra. Powiedziałam tyle, ile mogłam.

– Czyli nic? – spytała Devaki. *I ty, Brutusie?*

– To nie jest temat do dyskusji – powiedziała Lucy.

– Ruskie chcą nam rozwalić stację, a ty mówisz, że to nie jest temat do dyskusji? – spytał. – To co niby jest?

– Twoje zachowanie, na przykład? – wtrącił botanik. – Rozmawiasz z dowódcą.

– Dziękuję. – Lucy uniosła otwartą dłoń. – Poradzę sobie sama.

– Na pewno? – spytał Ezra. – Bo Rosjanie śmieją ci się w twarz, a ty nic.

– Lucy z nimi rozmawiała.

– Tak? I co wyszło z tej rozmowy? Wiesz może?

Lafayette odwrócił wzrok bez słowa.

– Nie wiesz – prychnął pilot. – Nie powiedziała ci.

– Nie mam takiego obowiązku.

– Musimy coś zrobić. – Ezra walnął pięścią w szafkę, aż zadzwoniło. – Musimy działać.

– Owszem – zgodziła się Lucy. – Zostaw to mnie.

Ezra posłał jej pogardliwe spojrzenie. Tobie?, mówiło. *Tobie?*

– Ej, a ty odszedłeś z wojska sam czy cię wywalili za łamanie dyscypliny? – spytał Lafayette.

– Kiedy on ma rację – powiedziała Devaki. – Stężenie amoniaku rośnie, Rosjanie coś knują, a nikt z nami nawet nie...

– Gównu wiesz o wojsku – warknął Ezra. – Więc stul pysk.

– Bo?

Niedobrze układa się ta rozmowa, pomyślała Lucy. Bardzo niedobrze.

– Hej, hej, spokój – powiedziała. – Rozumiem waszą frustrację. Wiercie mi, chciałabym być z wami w stu procentach szczerą. Ale nie mogę. Takie dostałam wytyczne z Houston. Ezra, chyba spotkałeś się wcześniej z taką sytuacją, prawda? Że musiałeś po prostu zaufać swojemu dowódcy?

– Tak. – Skinął głową. – Ale on sobie na to zapracował. Latał ze mną skrzydło w skrzydło. Ryzykował życie.

– A ja? – spytała Lucy.

Ezra nie odpowiedział. Wiedziała, co myśli: że nie zasługiwała na to dowództwo. Że dostała je tylko dlatego, że to ładnie wygląda na zdjęciach, kobieta za sterem, dwudziesty pierwszy wiek, równość i tęcza. Wkurzało ją to, więcej: wkurwiało. Zapracowała sobie na ten awans. Zapłaciła za niego potem i łzami, poświęciła dla niego swoje małżeństwo i relację z córką. Miała ochotę mu to wszystko wykrzyczeć: zrugać go, zagrozić, że wysmaży na jego temat taki raport, że już nigdy nie polecą w kosmos, ba, wyleci z NASA na kopach.

Ale nie zrobiła tego. Dowództwo powierzono jej właśnie dlatego, że nie straci nad sobą kontroli, nie będzie przeżył muskułów, udowodniać wszem wobec, że ma największego. Ziemia oczekiwała od niej jednego: że nie straci zimnej krwi. Że choćby wokół się paliło i waliło, będzie postępować zgodnie z procedurami i instrukcjami. Kosmos nie potrzebował już kowbojów, tylko menedżerów. Wzięła więc głęboki oddech i schowała dumę do kieszeni, choć nie było łatwo.

– A ja nie – odpowiedziała na własne pytanie, patrząc Ezrze prosto w oczy. – Nie znasz mnie zbyt dobrze. Nie widziałeś mnie w sytuacji kryzysowej. Oceniasz mnie więc na podstawie tego, co widzisz. To zrozumiałe. Ale nie widzisz wszystkiego. Nie wszystko wiesz. Weź to pod uwagę. Jak również to, że to ja wystawię ci ocenę na koniec misji, i od tej oceny wiele zależy.

Pokręcił głową i odwrócił wzrok. Nie przeprosił, nie pokajał się. Ale przynajmniej nic nie odszczeknął. Dobre i to.

– Zdaję sobie sprawę, że okoliczności są niezwykle stresujące – ciągnęła. – I tak, Rosjanie dali nam mnóstwo powodów do tego, żeby podejrzewać ich o najgorsze. Ale musimy działać ostrożnie, żeby nie doprowadzić do przypadkowej eskalacji.

– Używasz liczby mnogiej – wtrąciła Devaki. – Ale nikt nam nic nie mówi, nie konsultuje z nami decyzji. Ani nawet nie mówi, jakie są.

– To frustrujące, wiem. Znów: proszę was o zaufanie. I cierpliwość.

– Na mnie możesz liczyć – powiedział Lafayette. Już drugi raz tego dnia.
Czemu?

– Na mnie też, oczywiście. – Devaki skinęła głową.

Ezra opuścił moduł Unity bez słowa.

Każdy związek ma swoją definicję prywatności. Niektóre pary stosują pełną otwartość: partnerzy wymieniają się hasłami do skrzynek pocztowych i kodami do telefonów, mają wspólne konto bankowe, na którym widać wykaz wszystkich transakcji, może nawet nie dbają o to, żeby zamknąć za sobą drzwi łazienki: wszak ludźmi jesteśmy i nic, co ludzkie, nie jest nam obce. Inni z kolei wytyczają wyraźne granice, których potem pilnie strzegą, których przekroczenie wywołuje natychmiastowy kryzys dyplomatyczny: nie otwieraj moich listów, nie grzeb mi w torebce, nie zagląдай do dolnej szuflady biurka. Czasami wynika to z nieczystego sumienia, częściej z potrzeby zaznaczenia swojej odrębności, swojego „ja”, które w wieloletnim związku zaczyna zlewać się w „my”. Negocjowanie przebiegu tych granic jest zawsze trudne, nierzadko bolesne, a czasem kończy się rozpadem związku.

W przypadku Nate’a i Lucy sprawa była jasna. Oboje pracowali przy projektach rządowych objętych klauzulą tajności. Od początku było więc oczywiste, że są sprawy, o których się nie mówi, że pytanie „Co u ciebie w pracy?” wypada z repertuaru domowego small talku. Przedłużeniem tej zasady był zakaz dotykania służbowego sprzętu. Prywatny laptop Lucy stał na biurku i gdyby zaszła taka potrzeba, Nate mógł skorzystać z niego w każdej chwili. Za to komputer wydany przez NASA leżał pod jej nieobecność pod łóżkiem, spakowany w ochronny futerał. Chociaż nigdy nie zostało to wypowiedziane wprost, Nate wiedział, że absolutnie nie

powinien go stamtąd wyciągać, a już tym bardziej – uruchamiać. I to właśnie miał zamiar teraz zrobić.

Dyrektor Ayers nie odpisał na jego e-mail. Nic, żadnego „Dziękuję, przyjrzę się sprawie” albo choćby „Otrzymałem, pozdrawiam”. Innymi słowy: Nate został zignorowany. Oczywiście, nie była to dla niego pierwszozna. Eliza puszczała mimo uszu prośby o posprzątanie swojego pokoju, Lucy zbywała alarmistyczne postulaty, żeby wyjechać godzinę wcześniej, bo może będzie korek, albo kupić generator prądu, bo a nuż kolejny huragan zerwie kable. Przyjmował to ze spokojem kogoś, kto przez lata patrzył w nocne niebo, na miliardy galaktyk zawierające w sobie miliardy gwiazd i tryliardy planet, i był głęboko świadomy swojej totalnej nieistotności. Więcej: był z nią pogodzony.

Ale tym razem, nietypowo, nie odpuścił. Może dlatego, że nie chodziło o niego – o jego kruchy komfort psychiczny, zależny, jak ustalili to z terapeutką, od licznych, nie zawsze racjonalnych czynników – tylko o Lucy. Poczucie, że grozi jej niebezpieczeństwo, aktywowało w nim ukryte do tej pory pokłady determinacji. Kiedyś czytał jeszcze jeden artykuł o tragicznym wypadku – naprawdę świetnie je zapamiętywał – w którym matka w przyływie jakiejś pierwotnej, zwierzęcej siły uniosła wrak samochodu, aby wydobyć uwięzione pod nim dziecko. Może i u niego kryzys coś przełączył, przepiął, a może mózg, postawiony przed rzeczywistym, a nie wyimaginowanym problemem, porzucił dotychczasowe koleiny, w których jałowo buksowały koła, i obrał nowy kierunek. W każdym razie towarzyszące Nate’owi na co dzień emocje – niepewność, lęk, wahanie – zeszyły na drugi plan. NASA nie chce mu pomóc? Trudno, poradzi sobie sam.

Wyciągnął służbowy laptop Lucy, wpiął go do kontaktu i uruchomił. Podczas gdy budził się system operacyjny, sprawdził jej hasło – wszystkie kody dostępu, zarówno swoje, jak i jej, przechowywali na oddzielnym dysku, w zaszyfrowanym pliku, do którego oboje mieli wgląd. Na wszelki

wypadek, gdyby któremuś z nich coś się stało (jego wyobraźnia podpowiadała wiele scenariuszy), drugie miałyby wówczas możliwość uregulowania cyfrowego życia małżonka. Znów, założenie było takie, że sobie ufają, że nie będą się nawzajem śledzić i podglądać. W tej sytuacji Nate nie miał jednak wątpliwości, że cel uświęca środki. Owszem, powinien być może najpierw porozmawiać z Lucy, upewnić się, że nie ma nic przeciwko temu, żeby przeprowadził małe śledztwo, używając jej służbowego konta – ale skąd miał wiedzieć, kto jeszcze słucha ich rozmów? Zachowanie Jeffa Pictou było co najmniej dziwne, wręcz podejrzane. *Dobrze ci radzę, lepiej nie interesuj się Antonem.* Przecież to tekst żywcem wyjęty z filmów o włoskiej mafii, coś, co mógłby powiedzieć don Corleone, drapiąc za uchem mruczącego kota. Co to mogło oznaczać? Czy Rosjanie mieli w NASA przyjaciół, którym zależało na tym, żeby prawda o przeszłości Antona nie wyszła na jaw? A może to wcale nie był zamknięty rozdział, może Anton wciąż miał jakiś związek z GRU, nie poleciał wcale na stację, żeby hodować ślimaki, tylko powierzono mu inną misję, a ktoś w Houston jej sprzyja?

Nate odszukał potrzebne hasło – długi ciąg znaków alfanumerycznych – i wstukał je do komputera Lucy. Następny krok: połączenie z serwerami NASA za pomocą tunelu VPN. Zawahał się, zastygł z palcem nad przyciskiem myszki. To zostanie już odnotowane, może przyciągnąć uwagę administratora sieci: przecież Lucy jest na orbicie, czemu łączy się z Ziemi, spod swojego prywatnego adresu? Trudno, pomyślał. Może to jednak przeoczą, może zignorują, a jeśli nie, wymyśli się jakąś wymówkę. Chwilę później buszował już w archiwach centrum kontroli lotów: EKSPEDYCJA 37, DANE, MONITORING. Kilkaset plików, kilka tysięcy godzin monotonnych nagrań. Nikt ich nie oglądał, przechowywano je na wszelki wypadek, dla potomności.

Oczywiście, najlepiej byłoby przejrzeć nagrania z bieżącej misji, sprzed tygodnia czy dwóch, ale te nie zostały jeszcze skopiowane na serwer

archiwalny, do którego miał dostęp. Nate założył jednak, że jeśli Anton rzeczywiście ma coś na sumieniu, jeśli faktycznie jest na usługach GRU, to prawdopodobnie powierzono mu jakąś misję już w czasie pierwszego pobytu na stacji. Rosjanie nie ryzykowaliby przecież skandalu, który towarzyszyłby ewentualnemu prześwietleniu ich agenta, gdyby nie mieli czegoś do ugrania. Wtedy, w dwa tysiące trzynastym roku, jeszcze w atmosferze resetu i pojednania, Anton mógł się poruszać po amerykańskim skrzydle stacji, nie wzbudzając zbyt wielu podejrzeń. Ale – kolejna lekcja, którą Nate wyniósł z badań kosmosu – obserwator widzi wiele więcej, kiedy już wie, czego szuka, dopiero wówczas z szumu da się wyłowić dane. Może więc uda mu się znaleźć w archiwach coś, co potwierdziłoby jego podejrzenia, coś, czego NASA nie będzie mogła już zignorować.

Zaczął przeglądać nagrania, dziesięciokrotnie przyspieszwszy tempo odtwarzania – astronauta śmigali to w jedną, to w drugą, niczym w końcówce *Benny'ego Hilla*, brakowało tylko podkładu zdyszanego saksofonu. Czasem na ekranie pojawiała się Lucy. Młodsza, ze starą fryzurą, uśmiechnięta od ucha do ucha: pierwszy lot w kosmos, spełnienie marzeń! Ale Nate się nie rozczulał, nie rozpraszał, szukał wśród załogi twarzy Antona. Rosjanin spędzał większość czasu we własnym skrzydle, gdzie kamer nie było, pojawiał się więc na nagraniach z rzadka, raz na kilka dni. 17 września: brał udział we wspólnym posiłku w module Unity. 22 września: pomaga w naprawie filtrów CDRA w module Harmony. 24: pożyczył jakąś elektronikę z japońskiego modułu Kibo. 26: pomógł w rozpakowaniu kapsuły towarowej Cygnus. I tak dalej, i tym podobne. Kosmiczna rutyna.

Po godzinie Nate'a zaczęły boleć oczy, po czterech pękała mu głowa, po sześciu musiał wstać od komputera. Opłukał twarz zimną wodą, zjadł coś – bez talerza, nad zlewem – i wrócił do pracy. Siadając za biurkiem, poczuł nagły przypływ współczucia dla nieszczęśników, którzy żyją z montażu

filmów z cudzych wesel. Ale wreszcie, na nagraniu z 4 listopada, zobaczył coś ciekawego. Anton pojawił się w Cupoli, w module obserwacyjnym – i to wieczorem, bo światła były przygaszone. Nate zatrzymał nagranie i odczytał dokładną godzinę: dwudziesta druga czterdzieści trzy, a więc teoretycznie już po wyłączeniu kamer. Czemu więc nagrywały? Dziwne. Nate sprawdził ponownie datę. 4 listopada, dzień po zmianie czasu na zimowy. Co prawda stacja podporządkowana była standardowi UTC, który nie wymaga przestawiania zegarka, ale komputery kontrolerów na Ziemi podlegały już krajowym regulacjom. Wyglądało na to, że system monitoringu – z powodu czyjegoś błędu bądź zaniechania – był chwilowo rozsynchronizowany i zachowywał się tak, jakby było o godzinę wcześniej niż w rzeczywistości. Pierwsza zagwozdzka rozwikłana. Pozostawała jeszcze druga, znacznie bardziej intrygująca: co robił tu Rosjanin? O tej porze wszyscy załoganci byli już zwykle w swoich kajutach. Czego Anton szukał w Cupoli?

Nate wcisnął *play*, tym razem w domyślnym tempie odtwarzania, i pochylił się nad komputerem. Przez następne kilka minut śledził ruch na ekranie – w milczeniu i z rosnącym niedowierzaniem. A kiedy wideo dobiegło końca, poszedł chwiejnym krokiem do łazienki i zażył dwie pigułki alprazolamu.

Lucy nastawiła sobie budzik, chociaż wiedziała, że nie zaśnie. Próbowwała się czymś rozproszyć: najpierw książką, potem serialem, następnie muzyką, wreszcie głupimi filmikami na YouTube – autor klipu *20 najgorszych kinowych romansów* nie spodziewał się zapewne, że jego twórczość będzie kiedyś odtwarzana na orbicie – ale na niczym nie była w stanie się skupić, wszystko ją drażniło. Jej organizm już pompował do krwi hormony stresu, już przyspieszył pracę serca. Miała ochotę biegać – skakać – boksować

powietrze – ale nie mogła. Musiała utrzymać pozory, podążać za grafikiem, zgodnie z którym trwała wszak cisza nocna. Wisiała więc w swojej kabine, dusząc się w tej ciasnocie, w tym huku, jak zwierzę trzymane w zbyt małej klatce, jak ściśnięta w dłoniach sprężyna – i czekała. Wiedziała, co zrobi, gdy zadzwoni budzik, ale nie miała pojęcia, czy postępuje słusznie, czy popełnia błąd. Nie miała wystarczająco dużo informacji, nie rozumiała, o co tak naprawdę toczy się gra, wedle jakich zasad.

Kiedyś, kiedy była nastolatką i zaczynała na poważnie interesować się kosmosem, wyczytała, że znakomitą większość wszechświata – ponad dziewięćdziesiąt procent – wypełnia najprawdopodobniej ciemna materia, której człowiek nie jest w stanie zobaczyć, dotknąć ani doświadczyć w jakikolwiek inny sposób, której istnienie można wywnioskować tylko z zachowania pól grawitacyjnych. Wtedy wydało jej się to szokujące, tak odległe od jej własnych, codziennych przeżyć, logiki jej świata. Teraz była zdania, że to jednak świetna analogia ludzkiego życia, którego przebieg był przecież uzależniony od tysięcy współzależnych czynników, niewidocznych i niezrozumiałych, że spraw naprawdę ważnych nie dało się opisać, objąć rozumem ani nawet nazwać. Mimo to trzeba było w tej mgłę ignorancji jakoś funkcjonować, podejmować decyzje – i z nimi żyć.

Rzuciła okiem na zegarek. Załoga wróciła do kabin godzinę temu, wszyscy powinni już spać. Ale wolała dmuchać na zimne, wstrzymać się jeszcze pół godziny. Jej myśli krążyły wokół pistoletu, zastanawiała się, gdzie go schować. To musiało być jakieś niedostępne, nieoczywiste miejsce, do którego nikt nie zajrzy przez przypadek, ale jednak gdzieś w zasięgu ręki, żeby mogła po niego sięgnąć, gdyby – szaleństwo! – zaszła jednak taka konieczność. Może pojemnik na śmieci w magazynie BEAM? Kontener w Leonardo? Albo szafka na odczynniki w module Columbus? Nie podjęła jeszcze decyzji, żadne z tych miejsc nie było idealne. Nie szkodzi, powiedziała sobie w myślach, żeby się uspokoić, nie martw się na zapas,

wszystko jakoś się ułoży. To znaczy – o ile nikt cię nie przyłapie na gorącym uczynku.

Ile minut minęło? Dziesięć? Piętnaście? Spojrzała na cyferblat i zakłęła pod nosem. Czas rzeczywiście był względny. Nie, stwierdziła, dłużej już nie wytrzymam. Chwilę jeszcze nasłuchiwała, czy coś nie przebija się przez warkot wentylacji: czyjś głos, chrobot maszynki do włosów czy skrzypienie sprzętu do ćwiczeń. Niczego jednak nie wychwyciła. Uchyliła więc lekko drzwi swojej kabiny. Pozostałe kajuty – z lewej, z prawej, po drugiej stronie modułu, wszystko na wyciągnięcie ręki – były zamknięte, a światła wewnątrz wygaszone. Wypatrywała przez moment, czy w powietrzu coś się nie unosi: kropelka potu, okruch jedzenia albo włos. Wszystkie takie drobiazgi powoli, niesione ruchem zasysanego powietrza, zmierzały ku wentylatorom, gdzie osadzały się na filtrach. Jeśli zobaczyłaby cokolwiek pośrodku modułu, znaczyłoby to, że ktoś był tu stosunkowo niedawno i zostawił po sobie materialne powidoki, niczym kometa, która ciągnie za sobą ogon pyłu. Ale nie, pusto, droga wolna.

Lucy odepchnęła się od ściany kabiny, zamknęła za sobą drzwi i przekręciła świat o sto osiemdziesiąt stopni. Odbiła się lekko i poszybowała przez kolejne moduły – Harmony, Destiny, Unity – wciąż buzując energią, której nie było jak z siebie upuścić, jak spożytkować. Miała wrażenie, że dudniąca w tętnicach krew za moment rozsadzi jej głowę.

Przy wejściu do łącznika z częścią rosyjską zatrzymała się i rozejrzała wokół, znów nasłuchiwała, czy coś nie przebija się przez szum tła, ten nieustający stalowy klekot. Nic, stacja wydawała się pogrążona we śnie. Wpełzła do ciemnego wąskiego korytarza, prześwit na końcu był szerokości jej ramion. Poruszała się powoli, podciągając jednym palcem, żeby tylko o coś nie zaczepić, nie zaszeleścić. Po chwili wyłoniła się po drugiej stronie, w Zarii. Moduł był pogrążony w żółtawym półmroku, śmierdział starym plastikiem i stęchlizną, a rozpięte między ścianami druty, za

którymi można było umieścić bagaże bez obaw, że te lada moment odlecą, wyglądały jak element jakiejś pułapki. Tuż pod nogami Lucy znajdowało się wejście do sojuza, którym przyleciała, gdzie czekały na nią makarow i magazynek naboju. Zabójczy potencjał kinetyczny zaklęty w metal i czarny proszek. Tuż obok – w odległości kilku metrów – była już Zwiезда, gdzie za otwartymi drzwiami, z unoszącymi się bezwładnie rękami, niczym zombie, spali Rosjanie. W przeciwieństwie do Amerykanów nie mieli osobnych kajut, za sypialnie służyły im śpiwory przywiązane do uchwytów wystających ze ścian. Niełatwo było zasnąć w takich warunkach, w otoczeniu terkoczących, błyskających diodami komputerów, niektórzy zakładali więc opaski na oczy i wciskali stopery do uszu. Lucy miała nadzieję, że Anton i Lew skorzystali z tych udogodnień. Zwłaszcza Anton.

Uspokoila oddech, obróciła się głową w dół, podkurczyła nogi – i popłynęła w stronę sojuza. Musiała skorygować kurs, żeby nie uderzyć o pudła przyczepione do ścian, więc odepchnęła się dłonią od uchwytu. Robiła to już automatycznie, bez zastanowienia. Przywykła do nieważkości, prawie że zapomniała, jak to jest chodzić. W momencie powrotu podeszwy jej stóp będą już zupełnie gładkie, jak u dziecka. O ile, rzecz jasna, misja nie zakończy się przedwcześnie.

Wejście do kapsuły było prawie całkowicie przesłonięte przez ogromny stalowy stożek zwieńczony metalowymi zębami: element chwytający systemu dokowania SSWP, którym sojuz zaczepiał się o śluzę przy pierwszym kontakcie ze stacją. Chociaż od jej lotu minęło już sporo czasu, w powietrzu wciąż unosił się zapach kosmosu, coś jak rozgrzane druty albo świeżo zespawana blacha. Nie było do końca wiadomo, skąd dokładnie pochodził, może to pochodna powolnego utleniania metalowego poszycia stacji, może ostatnie tchnienie umarłych przed eonami gwiazd.

Lucy bała się ruszać chwytnak – bo zawiasy mogą zgrzytnąć, bo może ktoś potem zauważy, że go ruszyła – więc wypuściła z płuc powietrze, wstrzymała oddech i powolutku precyzyjnie przycisnęła się przez pozostawioną

przezeń szparę. Znalazła się w module orbitalnym sojuza, który zostanie odrzucony przed lądowaniem na Ziemi i spłonie w atmosferze, już wypełniały go więc śmieci, już cuchnęło tu potem i gnijącym jedzeniem. W tej części statku było tak ciasno, że musiała przyłgnąć do ściany; tu i ówdzie świeciły w ciemności pokryte fluorescencyjną farbą litery rosyjskiego alfabetu.

Już widziała przed sobą włącz do lądownika – kolejny ciasny przesmyk – kiedy coś szarpnęło ją za stopę i gwałtownie się zatrzymała. Pierwsza myśl: ktoś ją złapał. Stres eksplodował w jej ciele, ścisnął za brzuch, buchnął krwią do mózgu. Z trudem stłumiła okrzyk i obejrzała się za siebie. Odetchnęła z ulgą: zahaczyła po prostu o skórzany pas, którym mocowano bagaże. Kilka ruchów i udało jej się oswobodzić, nie robiąc przy tym – miała nadzieję – zbyt wiele hałasu. W końcu dotarła do kapsuły lądowniczej. Za niewielkim owalnym oknem widać było kosmos. Podwieszona nad kokpitem maskotka kołysała się łagodnie w powietrzu, Lucy widziała swoje rozciągnięte odbicie w jej plastikowych oczkach. Skuliła się do pozycji embrionalnej i obróciła w stronę siedzenia nawigatora. Pod spodem, w schowku, powinien znajdować się makarow.

Ale go tam nie było.

Lucy zamarła. Co się stało? Czyżby Rosjanie zmienili zasady pakowania sojuzów i pistolet był przechowywany gdzie indziej? Ale nie, odpytywali ją przecież z tego przed odlotem. Chyba że ją okłamali, że dokumentacja kapsuły nie odpowiadała rzeczywistości? To jedna możliwość. Druga: że pistoletu nigdy na pokład nie wniesiono. Procedury dopuszczały taką ewentualność, jeśli trzeba było odjąć kilkaset gramów z całkowitego ciężaru kapsuły, żeby zrobić miejsce dla innych, istotniejszych ładunków. Trzecia opcja: makarow tu był jeszcze niedawno. A potem ktoś go stąd zabrał.

Nagle coś zgrzytnęło i Lucy zauważyła kątem oka ruch za plecami, ale za późno, żeby jakkolwiek zareagować.

W wejściu do kapsuły pojawił się Anton.

Jako kilkuletni chłopiec Nate lubił sobie wyobrazać, jak by to było znaleźć się pośród chmur. W jego dziecięcym marzeniu miały one konsystencję cukrowej pianki, były ciepłe w dotyku – nieco cieplejsze niż skóra, niczym ciasto, które niedawno wyjęto z piekarnika – i pachniały jak łazienka zaraz po kąpieli. Kiedy się na nich kładło, były tak puszyste, że aż można było zapomnieć, że cokolwiek się waży, że aż trudno było powiedzieć, gdzie ciało się zaczyna, a gdzie kończy, rozpływało się. Było wśród nich tak wygodnie, że człowiek cały czas czuł się jak w słoneczny sobotni poranek, otulony kołdrą, tuż przed otwarciem oczu, na granicy jawy i snu, kiedy myśli rozciągają się jak guma, nic nie trzeba i wszystko jest dobre.

Tak mu właśnie teraz było, po dwóch pigułkach alprazolamu. Leżał na łóżku i gapił się na wiatraczek wirujący pod sufitem. Kiedy mrużył nieco oczy, ten wydawał się zwalniać, kiedy otwierał, jakby przyspieszał, bardzo to było zajmujące. I wszystko było okej. Któryś raz dzwoniła już jego komórka, nie odbierał, i to było okej. Strasznie chciało mu się sikać, a do łazienki było daleko, i to również było okej. Okej było nawet to, co zobaczył na archiwalnym nagraniu ze stacji, no bo co zrobisz, stało się, to się stało.

Na początku Nate podekscytował się, że znalazł to, czego szukał. Bo jasne było, że Anton coś knuje: mowa jego ciała, to, jak nerwowo rozglądał się dookoła, wszystko jasno na to wskazywało. Po co zatem przyszedł do Cupoli? Czyżby czekał tam na jakąś złowieszczą przesyłkę, którą miał przechwycić wysięgnikiem w sekrecie przed resztą załogi? A może miał zamiar wykonać zdjęcia jakimś wydarzeniom, które właśnie rozgrywały się na Ziemi, niczym szpiegowski satelita? Uśmiechnął się do siebie, bo to były bardzo głupie myśli, tak głupie, że aż śmieszne, zwłaszcza w kontekście

tego, co wydarzyło się później. Okazało się bowiem, że Anton po prostu na kogoś czekał. Tym kimś była Lucy. Chwilę rozmawiali, wyglądali razem przez okna, podziwiali wschody i zachody słońca. A potem zaczęli się całować. Ciągu dalszego kamery już nie uchwyciły – kiedy wybiła dwudziesta trzecia, wyłączyły się na noc – ale można było się go bez trudu domyślić.

I okej. Trochę ją rozumiał. Była już wtedy na orbicie czwarty miesiąc, a każdy ma przecież swoje potrzeby. Rozumiał nawet to, że zdradziła go właśnie z Antonem. Najwyraźniej potrzebowała prawdziwego mężczyzny, twarziela z dwudniowym zarostem szorstkim jak draska z pudełka zapalek, który *u mechanika jest tylko po stemple do papierów i wszystkie naprawy robi sam*. On, Nate, nie był jej w stanie tego zapewnić. I to też jest zabawne, gdy o tym dłużej pomyśleć – człowiek może tak mądrze perorować o kwarkach i kwantach, spojrzeć na światło oddalonej o miliony lat świetlnych gwiazdy i na podstawie rozkładu spektroskopowego emitowanych przez nią promieni określić jej temperaturę, masę i skład chemiczny, a jednocześnie czasem musi po prostu poruchać. Wszystkie ważne kwestie schodzą wówczas na drugi plan, przestaje się liczyć za i przeciw, wyłącza się racjonalne myślenie, znaczenie ma tylko tu i teraz, natychmiastowa gratyfikacja łasych stymulacji neuronów. Ludzie byli już w stanie zbudować raketę, która zabrałaby ich na Marsa, ale czy byliby w stanie odbyć ten lot bez orgazmu? Nie, prędzej by się nawzajem pozabijali. Może zdrada Lucy przysłużyła się nauce i dalszej eksploracji wszechświata, może stanowiła dobitny dowód na to, że czasami człowiek zwyczajnie musi, bo inaczej się udusi.

To, czego Nate nie rozumiał, to że Lucy nigdy się do tego nie przyznała. Nie byli idealnym małżeństwem, a on nie był idealnym mężem, z pewnością nie dla niej. Ale się starał. Widział, jak ważna jest dla Lucy jej praca – chociaż, tak po prawdzie, czy to była rzeczywiście praca, czy jednak bardziej łechtanie własnego ego? – i nie tylko przystał na to, żeby

podporządkowała jej swoje życie, ale to samo zrobił ze swoim. Miał nadzieję, że to dość, żeby podtrzymać łączącą ich miłość, wierzył, że przynajmniej wystarczy, aby go szanowała. Ale Lucy udała, że ten epizod nigdy się nie zdarzył. Dlaczego? Przecież każdy problem można omówić, przepracować, powiedzieć „przepraszam”. To właśnie znak dojrzałego związku: że jest w stanie przetrwać kryzys, że błędy nie stanowią jedynie amunicji, po którą można sięgnąć przy okazji następnej kłótni, tylko wyciąga się z nich wnioski, obiecuje poprawę. Tyle że trzeba chcieć. Znaleźć czas i energię na nieprzyjemne rozmowy, wysłuchać niewygodnych prawd, odpokutować grzechy. Lucy najwyraźniej miała lepsze rzeczy do roboty.

Mimo że wszystko wciąż było okej, że Nate wciąż leżał w pudełeczku wyłożonym ciepłą watą, która izolowała go od reszty świata, to jednak płakał.

Lucy zastygła w bezruchu: bezsensowny odruch, echo doświadczeń odległych przodków, którzy w ten sposób złączyli się z otoczeniem, oszukali drapieżnika, uniknęli śmierci. Ale ona nie miała się gdzie schować, gdzie uciec, ba, nie było tu nawet miejsca, żeby swobodnie rozprostować ręce i nogi, mogła się tylko skulić. Anton precyzyjnie przesunął się przez właz do kapsuły, zablokował wyjście swoim ciałem. Dzieliły ich centymetry, czuła jego oddech na swojej skórze.

– Co tu robisz? – spytał. Już bez uśmiezków, bez drwiny. Proste pytanie, na które nie było dobrej odpowiedzi. W kłamstwo nie uwierzy, prawdy nie mogła mu zdradzić. Milczała. – Co tu robisz? – powtórzył, tym razem głośniej.

– Nie mam obowiązku ci powiedzieć.

– To mam przekazać Moskwie? – zapytał.

– A będziesz dzwonić do Roskosmosu? Czy może gdzie indziej?

Mierzyli się wzrokiem. Anton pokręcił głową.

– Miałaś pecha, wiesz? – westchnął.

Lucy milczała. Gorączkowo rozważała opcje. Nie było ich wiele. I żadna nie była dobra.

– Kiedy indziej bym po prostu spał – ciągnął Rosjanin – ale dzisiaj chciałem doczytać książkę. Wiesz, jak to jest... Ostatni rozdział, musisz wiedzieć, jak się skończy.

– Możemy wrócić do tej rozmowy jutro?

– No i się rozczarowałem – westchnął kosmonauta. – Autor nie pozbiierał wątków.

– Anton.

Odwrócił się w jej stronę. Spoważniał.

– Nie puszczę cię, dopóki mi nie powiesz, co tu robiłaś – oznajmił.

– Nie masz takich uprawnień.

– Faktycznie, nie mam – odparł Anton. I wciąż blokował przejście.

– Nie naruszyłam żadnego protokołu.

– Mogę ci opowiedzieć tę historię, żeby nam się nie dłużyło. Jest rok dwa tysiące trzydziesty siódmy i ludzkość...

– Przestań – przerwała mu.

– To powiedz, co tu robiłaś.

– Chciałam coś sprawdzić.

– O, widzisz, robimy postępy. – Rosjanin uśmiechnął się zachęcająco, jak do tępawego ucznia, który wreszcie doszedł do tego, ile to dwa plus dwa. – Ale potrzebuję więcej konkretów.

– Gdzie jest makarow? – spytała, zamiast się tłumaczyć.

Anton uniósł brew.

– Pistolet? – spytał.

– Nie, hokeista.

– Pod siedzeniem nawigatora – odparł.

– Nie ma go tam.

– Jak to nie ma?

– No nie ma.

Anton przyglądał się jej badawczo, jakby szukając podstępu. A potem przecisnął się obok niej i zanurkował w stronę schowka.

– *Pizdiac...* – mruknął pod nosem. – Faktycznie.

– Daj sobie spokój z tym teatrem.

Rosjanin ją zignorował. Wysuwał kolejne szufladki, zaglądał do toreb, przerzucał pudełka. Jeśli udawał, to z wielkim zaangażowaniem. Lucy spojrzała w stronę wyjścia. Było wolne. Mogła się odbić, uciec, przejść na stronę amerykańską. Postanowiła jednak, że tego nie zrobi.

– Może Lew? – spytała.

– Nie. – Kosmonauta pokręcił głową. – Na pewno nie.

– To kto?

Anton posłał jej drwiący uśmiech.

– Nas tu więcej nie ma, pani kapitan. Więc ktoś z waszej ekipy.

– Logiczne, tak – zgodziła się. – Zakładając, że mówisz prawdę.

– Mówię.

– Czemu mam ci wierzyć?

– Nie wiem, może ze względu na naszą wspólną przeszłość?

– Pierdol się – syknęła.

Anton się zaśmiał.

– Prosiłam cię, żebyś do tego nie wracał – powiedziała. – Wiele razy.

– Co poradzę, lubię się z tobą drażnić. Jesteś słodka, jak się denerwujesz.

– To jest nieprofesjonalne.

– Prawda – zgodził się Rosjanin. – Ale tu ostatnio wszystko jest nieprofesjonalne.

– Chodzi o twoją urażoną męską dumę?

– Słucham?

– Myślałeś, że jak raz się z tobą prześpię, to już zawsze będę do ciebie wzdychać? Prawda? Dlatego teraz nie umiesz odpuścić? Nie możesz się pogodzić z tym, że dla mnie to zamknięty rozdział, o którym wolałabym zapomnieć?

– O tym teraz powinniśmy rozmawiać?

– Nie. Nie o tym.

Zamilkli. Nie patrzyli na siebie.

– Mówię prawdę – powiedział po chwili Anton. Wyglądał przez okno. Noc, śpiące miasta.

– To udowodnij.

– Niby jak? – spytał.

– Powiedz, co się stało między Lwem a tobą – zażądała. – O co poszło.

– Wiesz, że nie mogę.

– No to nie mamy o czym rozmawiać.

Anton westchnął. Szybka zaparowała, zniknęły na chwilę gwiazdy.

– Pod jednym warunkiem – powiedział.

– Słucham.

– To, co powiem, zostaje między nami. Ani słowa Ayersowi.

Lucy nie od razu odpowiedziała. Zdawała sobie sprawę, że to ważny moment, że balansuje na krawędzi między dobrem załogi a zdradą.

– Nie mogę ci tego obiecać – odparła w końcu.

– Musisz.

– To zależy od tego, co powiesz.

– Nie, Lucy. Albo oboje gramy w otwarte karty, albo wcale.

Ktoś na tej stacji zabrał pistolet, pomyślała. Bez jej wiedzy, bez, wydaje się, wiedzy Rosjan. Tego się nie robi z czystą intencją. Tego nie można było zignorować.

– Okej, zgoda – powiedziała. – Mów.

– Mam twoje słowo?

– Masz.

Czekała, jak to skomentuje, czy powie, że Nate'owi też przyrzekła różne rzeczy. Ale nie, skinął tylko głową.

– Zdajesz sobie sprawę, że u nas źle się dzieje – zaczął Anton. – Że nasza przygoda z kosmosem się kończy, a wasza dopiero zaczyna. No i z oczywistych powodów nas to, *excusez-moi*, wkurwia. Bo myśmy to wszystko zaczęli. Bo długo to wyście nas gonili. A potem wszystko się posypało. Za waszą sprawą.

– Kwestia sporna.

– Tak sobie mówicie, wiem. Nieważne. – Machnął ręką. – W każdym razie stacja powoli dogorywa. Wy sobie potem zbudujecie następną, my nie. Nie stać nas, nie mamy sprzętu, nie mamy ludzi. Co najwyżej będziemy się wysługiwać Chińczykom, chociaż wątpię, żeby coś z tego wyszło na dłuższą metę. Oni nie umieją grać zespołowo. Są pod tym względem jeszcze gorsi niż wy.

– Geopolitykę na razie zostawmy.

– Racja. W każdym razie... – Anton potarł czoło. – Ktoś u nas na górze postanowił, że przynajmniej pojedziemy z wami na gapę. Nie dosłownie, oczywiście... Tylko że będziemy sobie patrzeć, co wy na tej orbicie knujecie. Żeby to zrobić, musieliśmy coś zainstalować w jednym z modułów, które miały zostać użyte przy budowie następnej stacji. Mieliśmy to zrobić trochę później, ale nadarzyła się dobra okazja...

– W Tranquility? W trakcie burzy słonecznej?

– Bingo. – Rosjanin skinął głową. – Idealna okoliczność, przyznaj sama: mieliśmy stuprocentową pewność, że będziecie wszyscy w swoich kabinkach i że wasze kamery faktycznie są ślepe.

– Co to było? To coś?

– Takie białe pudełeczko, wielkości papierośnicy. A co tam dokładnie było w środku... – Anton wzruszył ramionami. – Nie wiem. Nie znam się. Nie zadaję niepotrzebnych pytań.

– W przeciwieństwie do Lwa?

Rosjanin przejechał dłonią po brodzie, podrapał się po policzku.

– Taaak... – westchnął. – Lew miał pewne wątpliwości. Musiałem je rozwiać.

Stary dobry Lew, pomyślała. Idealista, naiwniak, dinozaur.

– Znalazłam ślady – powiedziała po chwili.

– Śrubokręt?

– Między innymi... – przyznała Lucy. – Chociaż widziałam go tylko na nagraniu.

– Wróciłem posprzątać.

– Kiedy? – spytała Lucy, ale nim Anton zdążył otworzyć usta, odpowiedziała sama sobie: – A, już wiem. Kawior.

– A widzisz. Nic ci nie umknie.

– Dziękuję.

– Jak już cię naprowadzić na właściwy trop.

Nie skomentowała tego przytyku. Zastanawiała się.

– Dlaczego teraz? – spytała.

– Hm?

– Dlaczego właśnie teraz? – powtórzyła. – Przecież stacja będzie działać co najmniej do dwa tysiące dwudziestego czwartego. A więc mieliście jeszcze trzy lata, może więcej. Po co uprzedzać wydarzenia? Po co ryzykować konflikt?

Anton patrzył jej w oczy. Znów wahał się, ile może powiedzieć, co musi przemilczeć.

– Może góra wie więcej niż my – odparł w końcu. – Może coś planują.

– Coś, po czym i tak byśmy się rozstali? Coś na Ziemi?

– Może. Tylko zgaduję.

Lucy przypomniała się mapa z pokolorowanym na czerwono Krymem. To ma sens, pomyślała. Niestety.

– I co? – spytał Anton. – Teraz mi już wierzysz?

– Nie wiem. Czemu mi to wszystko mówisz? Czemu mi pomagasz?

– No i weź takiej dogódź... – Kosmonauta przewrócił oczami. – Nie mówię, niezadowolona, mówię, też niezadowolona...

– Odpowiedz.

Rosjanin spoważniał.

– Bo im szybciej przyjmiesz do wiadomości, że to ktoś z twojej załogi zabrał broń – powiedział – tym większa szansa, że wrócimy stąd żywi.

– Ale to przecież nie ma sensu – zaprotestowała. – Niby kto? Po co?

– Nie wiem. Ale pewnie ma to jakiś związek z amoniakiem.

– To nie wy?

– Nie. – Anton pokręcił głową. – A naprawdę nie cieknie z układu chłodzenia czy tylko tak mówicie?

– Naprawdę.

– Ha. – Anton wyglądał na autentycznie zaskoczonego. – Ciekawe.

– Bardzo.

Zamilkli oboje, pogrążeni w myślach. Za oknem znów zaczęło świtać, kapsułę zalało ostre, rażące światło.

– Pora wracać do łóżek – powiedział Anton, mrużąc oczy.

– Chętnie.

– Ani słowa? – upewnił się. – Nikomu?

– Słowo skautki. A ty? Będziesz trzymał język za zębami?

Anton przejechał palcem po ustach, jak gdyby zapinał suwak. Lucy skinęła głową, złapała za uchwyt i podciągnęła się ku wyjściu. Była wycieńczona tym dniem, tą rozmową, a najbardziej konkluzjami, do jakich ją doprowadziła.

– Mogę ci coś doradzić? – zawołał za nią Rosjanin.

– Tak? – Obejrzała się za siebie.

– Na twoim miejscu – Anton spojrzał jej prosto w oczy – zamknąłbym drzwi kabiny od środka.

Grudzień 2021

LAMAR: Czy polecił pan specjalistce Poplaski, żeby zabezpieczyła pistolet?

AYERS: Absolutnie nie.

LAMAR: O czym w takim razie rozmawialiście siódmego lipca?

AYERS: Nie przypominam sobie.

LAMAR: A kiedy dowiedział się pan, że na stacji doszło do wystrzału?

AYERS: Nie pamiętam.

Czerwiec 2021

Syk rozpinanego suwaka. Zdjęte w pośpiechu ubrania zawisają w powietrzu, obracają się wokół własnych osi. Pocałunek o posmaku mięty. Jęki zagłuszone hukiem wentylacji. Promienie słońca pełzną po nagiej skórze.

Kiedy było już po wszystkim, Lucy zastanawiała się, czemu to właściwie zrobiła. Zdawała sobie przecież sprawę, ile ryzykuje, jak bardzo zraniłaby Nate'a, gdyby się o tym dowiedział. Żeby jeszcze zaczęła całować Antona w przypiływie jakichś nagłych emocji czy po alkoholu, mogłaby sobie wówczas powiedzieć – usprawiedliwić się – że żądza była nie do odparcia. Bo i owszem, Rosjanin jej się podobał. Wkurzał ją niemożliwie, to prawda, ale niewątpliwie była między nimi chemia, iskrzyło. Ale to nie było tak, nie zdradziła w afekcie. Zaplanowali to, umówili się w Cupoli tuż po wyłączeniu kamer. Miała czas, długie godziny, żeby ochłonać, żeby zmienić zdanie. Więc czemu?

Wałkowała to w myślach wiele razy, najczęściej w trakcie tych niezliczonych niekończących się lotów, Tuluza–Paryż–Houston, Houston–Frankfurt–Kolonia, Kolonia–Dubaj–Tokio, tuż przed lądowaniem, kiedy była już zbyt zmęczona, żeby czytać albo pracować, ale nie mogła też zasnąć, bo niewygodnie, bo znów zmieniała strefę czasową, bo gdzieś z tyłu darło się dziecko, co było drażniące samo w sobie, a do tego przypominało jeszcze o tym, jak daleko jest od własnej córki. Wtedy właśnie jej sumienie, które zwykle nie mogło doprosić się o audiencję – *przykro mi, Lucy jest zajęta, musi się przygotować do egzaminu, nie może się teraz rozpraszać* – przypominało się z pretensjami.

Któregoś razu, popijając cierpkie czerwone wino z plastikowego kieliszka, doszła do wniosku, że chodziło o poczucie kontroli. Oczywiście jakąś rolę odegrały też na pewno jej uzależnienie od adrenaliny i nawarstwiające się problemy w związku z Nate'em. Miała ochotę raz jeden pieprzyć się z mężczyzną, którego uczucia absolutnie jej nie obchodzą, o którego kruche szczęście nie musi się martwić. Ale zdrada kusiała przede wszystkim dlatego, że nie było jej w grafiku, że tego nie wpisał w jej życie ktoś inny. To mogła zrobić nie dla kariery, dla nauki, dla ludzkości – tylko dlatego, że chciała, że miała akurat taki kaprys. To było wbrew tym wszystkim oczekiwaniom i zasadom, które od blisko dwudziestu lat determinowały rytm jej życia, nijak nie miało się do ideału wiecznie uśmiechniętej i oddanej sprawie astronautki, którym z taką determinacją próbowała nadpisać swoje prawdziwe „ja”.

Pierwszy krok zrobił Anton, i to jeszcze na Ziemi, w kosmicznym miasteczku pod Moskwą. Zaczepki, uśmieszki, dwuznaczne komentarze – ot, licealne zaloty. A wszystko to podszyte kpina, jakby drażnił się ze zwierzęciem w klatce: nawet gdybyś chciała, to tego nie zrobisz, zdawał się mówić, dopóki nie pozwoli ci na to centrum kontroli lotów, dopóki twój wszechwiedzący Flight, po odbyciu narady z pozostałymi kontrolerami, nie nada komunikatu: *Poplaski, tu Houston, masz zgodę na akt płciowy,*

powtarzam, masz zgodę na akt płciowy, alokacja piętnaście minut, odbiór. Na stacji – gdzie było mniej miejsca, mniej świadków – Rosjanin rozochocił się jeszcze bardziej. Z początku go ignorowała, a kiedy to nie pomogło, stwierdziła: dobrze, to powiem „sprawdzam”, zobaczymy, czy rzeczywiście jesteś gotowy na coś takiego, czy nie blefujesz.

Nie blefował. Przyniósł prezerwatywy.

Sam seks był, rzecz jasna, marny. Po pierwsze, nie znali swoich preferencji ani swoich ciał, a Anton nie był mężczyzną, który chciałby się uczyć swojej partnerki, ba, który byłby w stanie przyznać przed samym sobą, że w ogóle istnieje taka potrzeba, że mógłby nie być idealnym kochankiem, dla każdej, od razu i zawsze. Po drugie, było ciasno, Cupola miała raptem trzy metry na półtora, a do tego z każdej ściany wystawał jakiś uchwyt, dżojstik albo inna rurka. Po trzecie wreszcie, nieważkość bynajmniej im nie pomagała.

Miłość w kosmosie – jak to brzmiało! Z równania wypada łożko, nie trzeba przejmować się grawitacją, gdzie góra, a gdzie dół, repertuar pozycji ogranicza jedynie wyobraźnia; orgazm na tle błękitnej planety. Na myśl przychodziły ciasno splecione, lewitujące ciała kochanków, rozwiane włosy, niezliczone gwiazdy odbite w zeszlonych rozkoszą oczach. Rzeczywistość była mniej kolorowa. Opowiadając o całym zajściu przyjaciółce – jedynej osobie, której się zwierzyła – Lucy porównała je do zapasów dwóch wrotkarzy na oblanych olejem schodach. Seks ma w końcu to do siebie, że – używając może mało zmysłowego, ale za to precyzyjnego języka fizyki – dużo w nim ruchów posuwistych o regularnej frekwencji, a jak wiadomo, oddziaływania są wzajemne, każdej akcji towarzyszy reakcja i tak dalej. Na ziemi grawitacja i tarcie kotwiczą ciała w miejscu, wektory się równoważą, ale na stacji każdy ruch bioder odpychał ich w przeciwnych kierunkach. Trzeba było się jakoś zaprzeć; skończyło się na tym, że Lucy lewą ręką trzymała się uchwyty, a prawą stopę zaczepiła

o krawędź włazu wejściowego, podczas gdy Anton wpił palce w spoiwo między szybami.

Przez chwilę jakoś im to szło – nawet zaczynało być przyjemnie – ale wkrótce plany pokrzyżował im pot: ręce i nogi zaczęły się ześlizgiwać, mokra skóra tarła po zaparowanym szkłe. Próbowali poprawić chwyt – niezgrabnie, sapiąc, stukając się czołami – aż za którymś razem Anton popchnął za mocno i wpadli w boczną rotację. W kiepskich powieściach erotycznych, które Lucy jako nastolatka podkradała z szafki nocnej swojej mamy, w momencie orgazmu bohaterki świat zawsze zaczynał wirować. Brzmiało wspaniale, w praktyce całe to wirowanie było niespecjalnie przyjemne: wpadli na ścianę, Lucy obijała sobie łokieć, a Anton rozciął skórę na kolanie. Wtedy najzwyczajniej w świecie się poddali: niezaspokojeni i zażenowani. Z tego, co wiedziała, było to pierwsze podejście do seksu w kosmosie i – jak przy większości pierwszych razów – nikt nie był usatysfakcjonowany. Gdyby miała podsumować całe wydarzenie w raporcie, padłyby w nim zapewne takie sformułowania jak *konieczny jest uprzedni trening w parach, w warunkach możliwie jak najbardziej zbliżonych do panujących na stacji oraz zadanie ułatwiłby system uprząży regulowanych rzepami bądź zatraskami*.

Zastanawiała się potem: powiedzieć Nate'owi? Nie powiedzieć? Oczywiście, w świecie zer i jedynek, absolutów i pryncypiów sprawa była jasna: złamała dane mu słowo, zdradziła jego zaufanie, powinna się przyznać i posypać głowę popiołem. I byłaby to zrobiła od razu, gdyby nie fakt, że, cóż, znajdowała się czterysta dwadzieścia kilometrów nad Ziemią, a komunikacja z mężem odbywała się za pośrednictwem kanałów monitorowanych przez agencje rządowe. Niby obiecywano jej, że prywatnych rozmów nikt nie będzie podsłuchiwał, ale czy można być tego pewnym? Lepiej poczekać, aż wróci do domu. Ale z każdym mijającym dniem, a potem tygodniem całe to zajście wydawało się coraz bardziej absurdalne, coraz głupsze, coraz mniej istotne. Robiła w myślach rachunek

zysków i strat: czy warto ranić Nate'a tylko po to, żeby powiedzieć mu o czymś, co przecież nigdy więcej się już nie wydarzy? Czy przypadkiem to właśnie ta potrzeba wypowiedziania się nie była przejawem egoizmu, gorszym niż sam skok w bok? Czy nie było tak, że kazałaby mu cierpieć tylko po to, żeby oczyścić własne sumienie? Może większym poświęceniem – lepszą decyzją – byłoby właśnie zostać samej z tą winą, w pełni świadoma, że nikt nigdy jej nie rozgrzeszy, nie wybaczy, że już zawsze będzie jej ona ciążyła? Czy tak nie byłoby lepiej dla dobra ich związku i ich córki? I tak dalej, i tym podobne, odwracanie kota ogonem, kazuistyka przed lustrem. A potem, jak już wylądowała – kiedy byłby właściwy moment na taką rozmowę? Kiedy witał ją z kwiatami? W samolocie do Stanów? Po tym, jak poszli do łóżka? Kiedy następnego dnia przyjechali do nich na śniadanie jego rodzice? I tak oto, w jej głowie przynajmniej, cała sprawa przyschła, zmieniła się w strup, który wciąż swędział, ale którego postanowiła nie zdrapywać.

– Lucy? Słyszysz mnie? – usłyszała głos Ayersa. Obraz był niskiej jakości, rwał się; może Słońce znów westchnęło.

Nie miała ochoty z nim rozmawiać. Nie miała na to siły. Wiedziała też, że musi.

– Są zakłócenia, ale tak.

– I? Udało się?

– Nie – zaprzeczyła. – Makarowa nie było w schowku.

– Cholera. Czyli Rosjanie są o krok przed nami. Trzeba jak najszybciej...

– To nie oni – Lucy weszła mu w słowo.

Ayers jakby zastygł. Dopiero po chwili odzyskał głos.

– Jak to nie oni? To kto?

– Nie wiem.

– Skąd możesz być pewna?

Tego nie mogła mu powiedzieć. Raz, że obiecała. Dwa, że byłoby więcej pytań. Na przykład skąd się tak dobrze z Antonem znają. Uważnie

dobierała słowa, zależało jej, żeby pozostać na pograniczu prawdy i kłamstwa. Dla spokoju i tak obciążonego już sumienia. I na wypadek gdyby ta historia miała ciąg dalszy na Ziemi.

– Gdyby to oni zabrali pistolet, chcieliby zatrzeć ślady – odparła. – Zamknęliby sojuza, na przykład pod pretekstem jakiejś awarii, tak żeby nikt do niego nie wszedł bez ich wiedzy i zgody. Albo chociaż zamknęliby schowek na kłódkę, żeby nie dało się tak łatwo sprawdzić, co jest w środku... Lub czego nie ma. A niczego takiego nie zrobili.

– Może nie podejrzewali, że będziemy myszkować w ich skrzydle.

– Po fałszywym alarmie przeciwpożarowym? – spytała. W jej tonie zawarta była odpowiedź.

Obraz się wyostrzył. Dopiero teraz Lucy zauważyła, że Ayers wygląda koszmarnie. Cienie pod oczami, tłuste włosy, pociemniały od potu kołnierzyk.

– To kto, Lucy? – spytał.

– Nie wiem.

– Ale pewnie masz jakiejś podejrzenia. Mieszkacie w stalowej tubie wielkości autobusu. W takich warunkach nie da się wszystkiego ukryć. Jeśli ktoś... Jeśli ktoś z naszej załogi jest zaangażowany w jakieś... – Ayers zdjął okulary, potarł oczy. Szukał eufemizmu dla słów, które nie chciały mu przejść przez gardło: sabotaż. Zdrada. Prowokacja. – ...niewłaściwe działania... To musiałaś zauważyć coś niezwykłego w jego czy jej zachowaniu.

Ezra, pomyślała, albo nawet nie, bo tu nie było żadnej świadomej analizy, to imię po prostu wypłynęło na powierzchnię, samo, nieproszone. Ale przecież nie mogła powiedzieć tego na głos. Tak, pilot wielokrotnie kwestionował jej autorytet, owszem, prawie pobił się z Antonem, do tego Lafayette sygnalizował, że się go boi... Ale to za mało.

– W każdej załodze są tarcia, to prawda, ale... – zaczęła.

– Kto?

– To są bardzo poważne oskarżenia. Nie chcę powiedzieć czegoś, czego będę potem żałować.

– Czyli nie masz niczego do zaraportowania?

– Nie na tym etapie.

Pauza. Ayers splótł dłonie, przycisnął je do ust.

– Nie muszę ci chyba tłumaczyć – podjął po chwili – w jak poważnej sytuacji się znalazłaś. Od tego, co teraz zrobisz... Czego nie zrobisz... Zależy nie tylko przyszłość stacji, ale całego programu kosmicznego. Jeśli dojdzie do jakiegoś rodzaju... Eskalacji... To nas może cofnąć o dziesięciolecia. Zmienić bieg historii.

Lucy kiwała głową – i gorączkowo się zastanawiała: powiedzieć mu jednak o rozmowie z Antonem? Nie powiedzieć? Przymknęła, że tego nie zrobi... Ale biorąc pod uwagę stawkę, złamanie danego słowa byłoby usprawiedliwione. Gorzej, że straciłaby wtedy zaufanie Rosjanina, nie powiedziała by jej już niczego, nie mogłaby liczyć na jego pomoc. A ta, uznała, mogła się jeszcze przydać. Milczała więc.

– Zdaję sobie sprawę, że chcesz być fair wobec swoich kolegów i koleżanek – ciągnął Ayers – i jest to rzecz jasna godne pochwały. Ale nie w tej sytuacji.

– Jak tylko zauważę coś podejrzanego, od razu dam znać.

Ayers spojrzał jej prosto w oczy. Trudno było znieść jego wzrok.

– Dobrze. – Skinął głową. – Ale chciałbym, żebyś zrozumiała, że czas na to, żeby być sympatyczną panią kapitan, którą lubi cała załoga, właśnie się skończył. Od teraz interesują nas wyłącznie rezultaty. Nie ludzie.

– Rozumiem.

– Makarow ma się znaleźć – powiedział dyrektor. Z naciskiem. – A osoba, która go zabrała z sojuza, unieszkodliwiona zgodnie z procedurą ISS MED/3A z czwartego września dwutysięcznego roku.

Pamiętała ją. Jak każdą inną. *Krok pierwszy: wypakuj taśmę klejącą (szarą), linki elastyczne oraz apteczkę. Krok drugi: owiń taśmę ciasno wokół*

nadgarstków i kostek, a linkę elastyczną wokół ramion i klatki piersiowej. Krok trzeci: podaj 10 mg haloperidolu (doustnie) bądź, w przypadku braku kooperacji, 5 mg dożylnie. Uwaga! Mogą nastąpić bardzo silne skurcze mięśni!

Ayers rozłączył się bez pożegnania.

Serce Lucy waliło tak mocno, że zrobiło jej się niedobrze.

Żeby móc funkcjonować, człowiek potrzebuje jakichś aksjomatów, pewników, których nie roztrząsa każdego dnia od nowa. Inaczej zwariowałyby do szczytu. Na przykład: po każdym zachodzie słońca nastąpi wschód. Albo: podrzucony przedmiot spadnie na ziemię. Lub: mój partner bądź moja partnerka są ze mną szczerzy.

Kiedy wiara w te podstawowe sprawy zostaje zachwiana, robi się nieciekawie. Przeszłość zaczyna się widzieć w zupełnie innym świetle, a przyszłość napawa głębokim niepokojem. Ludzie podejmują nerwowe, nierzadko drastyczne ruchy, żeby przywrócić światu normalność. Jak Aztekowie, którzy wyrwali bijące wciąż serca setkom jeńców wojennych, aby zagwarantować, że świat nie pograży się w wiecznych ciemnościach, że nastanie nowy dzień.

Co jeszcze było kłamstwem? – zastanawiał się Nate. Czy jak Lucy powiedziała, że jedzie na dwudniowe szkolenie do Orlando, rzeczywiście tam była? Czy kiedy wyszła na kawę z koleżanką ze studiów, to faktycznie właśnie z nią się spotkała? Czy wierzyć w zapewnienia, że John czy inny Greg to *tylko koledzy*?

Starął się zagłuszyć te pytania, zająć głowę czym innym. A było czym, bo przez to swoje amatorskie śledztwo – jakże żałował, że w ogóle się go podjął, że nie posłuchał przestrogi Jeffa! – zaniedbał dom. W zlewie piętrzyły się brudne naczynia, samojezdny odkurzacz pikał z narastającą pretensją, że trzeba go opróżnić, a płatki pogubione przez zwiędłe tulipany

pokryły stół. Do tego przez ten przeklęty alprazolam spóźnił się z odbiorem Elizy z zajęć z robotyki, i to ponad dwie godziny; organizatorzy, mówiąc delikatnie, nie byli zachwyceni, a mała miała łzy w oczach i nie odzywała się do niego przez resztę wieczoru. Starał się więc teraz udowodnić, przede wszystkim sobie, że jest odpowiedzialnym ojcem, że można na nim polegać, że jest dorosły. Ogarniał więc dom, robił te wszystkie małe rzeczy, które obiecał kiedyś Elizie – że wymieni baterijki w zabawce, zszyje poprutą przytulankę, przywierci haczyk na kurtkę w korytarzu – i starał się nie popaść w spiralę paranoi. Szło mu słabo.

Czy kiedy jechali na wakacje na Florida Keys i całą drogę siedziała w telefonie, to naprawdę pisała z bratem czy może z kimś innym? Czy te fikuśne koronkowe majtki z kokardką i kryształkiem w kształcie serduszka rzeczywiście kupiła z myślą o nim? Czy Eliza jest jego córką?

Oczywiście, że jest, odpowiadał zaraz samemu sobie, zły, że w ogóle śmiał coś takiego pomyśleć, bo nawet gdyby, chociaż oczywiście nie, bez przesady, to przecież liczy się to, kto ją wychowywał, a nie materiał genetyczny.

Ale ten materiał jest twój czy nie twój?

Kusiło go, żeby wziąć kolejną pigułkę, uwolnić się od tych pytań, od tego upierdliwego głosu z tyłu głowy – od siebie samego – ale nie, obiecał sobie, że tego nie zrobi, że da radę. Rozładował zmywarę. Zrobił pranie. Wrzucił pranie do suszarki.

Czy jestem frajerem? Czy zostawiła mnie tu, żebym siedział na grzędzie, gotował i sprzątał, bo ją to nudzi? Czy jest ze mną, bo mnie kocha, czy tak jest wygodniej? Co jeszcze przede mną ukrywa?

Suszarka do ubrań zakończyła program. Nate wyczyścił filtr, ciuchy Elizy zaniósł do jej pokoju, swoje zabrał do garderoby obok sypialni małżeńskiej. Z lewej strony były jego szuflady, z prawej – jej. Składał koszulki, związał skarpetki, zgrzytał zębami.

A potem, choć sam do końca nie wiedział czemu, otworzył szafę Lucy i zaczął ją systematycznie opróżniać.

Ludzie, westchnął Steve Ayers. Najśłabsze ogniwo.

Każdy inny element stacji można było zmierzyć, przetestować, ulepszyć, jego parametry wyrazić eleganckim wzorem. Ale załogant zawsze był zagadką. Wszyscy coś taili. Oczywiście, agencje kosmiczne robiły co mogły, żeby ich uprzednio przeświecić, każda na swój sposób. Kanadyjczycy, zgodnie z wpisanym w swój rodowód duchem pogranicza, wysyłali kandydatów na obozy survivalowe w okolicie bieguna i odsiewali tych, którzy się tam nie sprawdzili. Europejczycy, z typowo brukselską miłością do papieru, robili im dziesiątki testów, ewaluacji i egzaminów. Japończycy, przekonani, że największą cnotą jest cierpliwość, kazali potencjalnym zdobywcom kosmosu składać origami, po tysiąc żurawi każdy, i patrzyli, czy ostatni ptak został wykonany z takim samym pietyzmem co pierwszy – tylko ci, którzy zdali ten test, przechodzili do kolejnego etapu szkolenia. Rosjanie zaś... Ech, nie warto się denerwować.

Ding. Winda przyjechała, otworzyły się drzwi, ktoś mu skinął głową, ktoś inny udał, że go nie widzi. Steve wszedł do środka i wcisnął guzik. Trzecie piętro.

Metody były różnorakie, ale żadna nie była stuprocentowo skuteczna. Przez gęste sita zawsze przecisnął się ktoś, kto w kosmos lecieć absolutnie nie powinien, czy to ze względów zdrowotnych (bo zataił przed swoją agencją dyskwalifikujące problemy medyczne), czy charakterologicznych (bo okazywało się, że szeroki uśmiech to kamuflaż psychopaty), czy też ze względu na rozregulowany kompas moralny (jak załoganci Apolla 15, którzy robili na boku handelek przemycanymi na orbitę pocztówkami). Najczęściej szydło z worka wychodziło jeszcze na Ziemi, czasem niestety

dopiero na orbicie. Tak czy owak zwykle udawało się takie przypadki tuszować, ujawniano je dopiero po latach, kiedy interesowały już tylko historyków. Zwykle, ale nie zawsze. Najślynniejszym wyjątkiem od tej reguły była Lisa Nowak (misja STS-121), która postanowiła uprowadzić kochankę swojego eksa, także astronauty. Z jakiegoś powodu uznała, że musi to zrobić już, NATYCHMIAST – Japończycy może nie są tacy głupi z tym testowaniem cierpliwości – mimo że od ofiary dzieliło ją ponad dziewięćset mil. Przejechała ten dystans jednej nocy, założywszy uprzednio pieluchę, żeby ograniczyć liczbę przystanków. Ach, jakże dziennikarze pokochali te pieluchy! *Zawsze sucho, zawsze tam gdzie ty. Atak zazdrosnej astronautki*, brzmiał jeden z nagłówków. *Houston, mamy pełno!*, krzyczał inny. Śmiechom nie było końca.

Ding. Ayers wyszedł z windy, skręcił w lewo, potem w prawo. Gdybyż tak można było czytać ludziom w myślach, fantazjował. Wpiąć im w te głupie łby jakiś kabelek i podpatrywać, czy czegoś nie knują. A wtedy *pyk*, odpalałoby się jakąś elektrodę i sygnał pobiegłby inną ścieżką; kryzys zażegnany. Mogliby mieć do tego celu osobnego kontrolera, nazwałoby się go na przykład REHOC, *remote human operation and control*. REHOC, powtórzył Steve w myślach, to nawet ładnie brzmi. Na razie była to fantastyka naukowa, ale technika szła do przodu w takim tempie, że kto wie. DARPA już finansowała eksperymenty z hełmami rejestrującymi aktywność mózgową i reagującymi na nią, a Pentagon bacznie się temu przyglądał. Oficjalny cel był taki, aby umożliwić kontrolę sprzętu wojskowego za pomocą myśli, bez pośrednictwa dłoni. Ale gdy już raz się znajdzie sposób, żeby zajrzeć ludziom pod kopułę, będzie z tym można robić inne, znacznie ciekawsze rzeczy – droga do mózgu była dwukierunkowa. Steve głęboko żałował, że zapewne tego nie doczeka. Wiedziałby, jak zrobić z takiego wynalazku użytek.

Jeszcze jeden skręt, w prawo przy automacie z wodą, i stanął przed drzwiami do gabinetu szefa Biura Astronautów. A właściwie szefowej:

funkcję tę piastowała bowiem obecnie kobieta, Sarah Faizan. Wszedł bez pukania. Sarah siedziała za biurkiem, pochylona nad jakimiś papierami.

– Ależ proszę – powiedziała, nie unosząc głowy.

Niezbyt się lubili.

– Mam sprawę. – Steve usiadł na fotelu po przeciwnej stronie; zaskrzypiała skóra.

– Mhm. Słucham.

– Chodzi o astronautów przebywających obecnie na stacji. Chciałbym im się bliżej przyjrzeć.

– Bo? – Wciąż na niego nie patrzyła.

– Bo leży to w zakresie moich kompetencji.

Sarah odsunęła papiery na bok, odgarnęła włosy z twarzy. Próbowwała odgadnąć, jakie Ayers żywi zamiary.

– Masz przecież wgląd do dossier załogi – odparła.

– Oczywiście. Ale mnie interesuje to, co do dossier nie trafiło.

Sarah odchyliła się w krześle.

– Chodzi o amoniak?

– Nie. – Pokręcił głową.

– A o co?

– To z kolei nie leży w zakresie twoich kompetencji.

Sarah uśmiechnęła się chłodno.

– Kawy? – spytała. Nie zdziwił się, że padła taka propozycja. W windzie było lustro, widział swoje odbicie. Wyglądał, jakby nie spał od tygodnia. Co było bliskie prawdy.

– Już myślałem, że nie zaproponujesz.

– Jest w dzbanku. – Wskazała ekspres przelewowy w rogu pokoju. – Świeżo parzona.

Ha, pomyślał, dobre zagranie. To on był jej szefem, nie na odwrót. Ale jeśli wstanie, ustawi się w słabszej pozycji, przyzna, że jest na jej terenie, gra według jej zasad. Mógłby oczywiście powiedzieć *to ty nalej mi filiżankę*,

złotko, ale wtedy wyjdzie na starego seksistę, a na to agencja była obecnie bardzo wyczulona. To co, może zmienić zdanie, powiedziec, że przeszła mu ochota? Nie, jeszcze gorzej, przyznałby wówczas, że zapunktowała. A zatem zróbmy dobrą minę do złej gry.

– A dla ciebie? – spytał, unosząc się z krzesła.

– Nie, dziękuję.

Ayers podszedł do dzbanka. Zastanawiał się, jak pociągnąć rozmowę dalej. Jego relacje z Sarą były napięte od samego początku. Nie mogło być inaczej. Ona sama jeszcze nie tak dawno temu była astronautką, znała wszystkich członków załogi osobiście, trenowała z nimi, z niektórymi była razem na orbicie. Jak nikt inny rozumiała ich marzenia, dylematy i obawy, jak nikt rozumiała, ile poświęcili tej pracy i jak wielkim ciosem byłoby, gdyby zostali jej pozbawieni. Dlatego, mimo że Steve piastował stanowisko dyrektora do spraw lotów załogowych, nie była z nim całkowicie szczera. Owszem, jeśli ktoś przekroczył jakąś czerwoną linię – na przykład naraził innych członków załogi na niebezpieczeństwo poprzez zaniedbanie obowiązków – działała niezwłocznie i bez litości. Ale drobne przewinienia i grzeszki, zwłaszcza takie, do których doszło poza godzinami pracy, z dala od betonowych zigguratów NASA, skłonna była wybaczyć i, co więcej, tuszować. Tak żeby nie było śladów w papierach, żeby nikomu nie zaszkodzić. Narobiłeś długów w kasynie? Cóż, dopóki nie wynosisz elementów skafandra do lombardu, to nie mój problem. Lubisz się zabawić w klubach nocnych w Miami? Tak długo, jak w próbkach moczu nie będzie śladów po narkotykach, nie mój interes.

Steve nie podzielał tej filozofii. Po prawdzie uważał większość astronautów za rozpuszczonych gnojników. Wygrali los na loterii i zamiast okazać wdzięczność, zamiast tyrać dzień i noc, ciągle na coś narzekali. A to, że w grafiku za dużo zadań, a to, że jedzenie niedobre, a to, że za rzadko latają w kosmos i czemu tamten, a nie ja, i dlaczego nikt mnie dziś jeszcze nie poklepał po plecach i nie dał naklejki z uśmiechniętą buzią. Dla

Steve'a zasady były proste: raz podpadniesz i wylatujesz, na twoje miejsce czekają tysiące chętnych. Niestety, był w tym poglądzie odosobniony.

Nalał sobie kawy. Znow usiadł na krześle. Napił się.

– Myślałam, że słodysz.

– Przestałem. – Wzruszył ramionami.

– A zatem – Sarah położyła łokcie na biurku – rozmawialiśmy o kompetencjach.

– Chcę wiedzieć wszystko.

– Wszystko?

– Tak. – Odstawił filiżankę. – Sąd Ostateczny. Lucy, Lafayette, Devaki, Ezra. Zgubili kiedyś kartę dostępu i tego nie zgłosili? Nie rozliczyli rachunku za pączka? Wystąpili o zwrot za benzynę, a polecili na delegację samolotem? Chcę to mieć na biurku.

Steve nie był do końca przekonany, że to któreś z nich zabrało makarowa; wciąż wydawało mu się bardziej prawdopodobne, że wyciągnęli go Rosjanie, a śladów nie zatuszowali albo dlatego, że właśnie chcieli, aby Amerykanie wiedzieli, że pistolet jest w grze, albo dlatego, że byli po prostu niekompetentni; nie byłby to pierwszy raz. Ale, musiał przyznać, że hipoteza Lucy też miała sens. Chociaż i jej nie mógł w stu procentach zaufać; słyszał przecież plotki o szczególnie serdecznych relacjach, jakie nawiązała z rosyjskimi przyjaciółmi. A kto wie, jakie jeszcze trupy ma w szafie.

– Dossier astronauty zawiera wszystkie informacje relewantne dla dalszego przebiegu... – zaczęła Sarah.

– Do jutra – wszedł jej w słowo. – Do południa. Przed EVA.

– Skąd ten pośpiech?

Zamiast odpowiadać, Steve tylko się uśmiechnął. *Kompetencje*. Szefowa Biura Astronautów odwróciła wzrok w stronę okna, założyła nogę na nogę. Myślała.

– Mogę niczego nie znaleźć – powiedziała po chwili.

- Doprawdy?
 - Obawiam się, że jest takie ryzyko. Z góry przepraszam.
 - Rozumiem. – Steve skinął głową. Pora wytoczyć ciężkie działa. – Jest też takie ryzyko, że twoi astronauta nie będą mieli wkrótce dokąd latać.
- Sarah milczała. Ale widział po jej minie, że zrobiło to na niej odpowiednie wrażenie.
- Jutro – powtórzył jeszcze, wstając. – Do południa.
- Niedopitą kawę zostawił na biurku.

Lucy znajdowała się naprzeciwko Ezry, dzieliły ich centymetry. Pilot patrzył jej prosto w oczy. Bez sympatii, badawczo.

– I jak? – spytał Lafayette. Unosił się niżej, na poziomie ich stóp wsuniętych w uchwyty.

– Możesz jeszcze ścieśnić – odpowiedziała.

Botanik rozpiął rzepy mocujące układ chłodzący, który oplatał jej ciało. Pociągnął za pasek do regulacji, aż ten zatrzeszczał.

– Teraz? – spytał.

– Teraz okej.

– Dobra. Ezra, twoja kolej. – Botanik odepchnął się palcem od podłogi, zrobił półobrót. – Możesz, proszę, ugiąć trochę kolana?

– Pewnie – odparł pilot. – Dziękuję za pomoc.

Słodzili sobie. Nic dziwnego: lecieli na żywo. Lucy wiedziała, że w Houston długo dyskutowano, czy tym razem nie zrezygnować z transmisji. Owszem, zbliżający się spacer kosmiczny był gwoździem programu, niewątpliwie ściągnie przed ekrany licznych entuzjastów i wygeneruje ruch w mediach społecznościowych, a te wszystkie lajki, serduszka i komentarze konwertowano potem w Kongresie na twardą walutę: *jak szanowni państwo widzą, amerykańscy podatnicy są żywo*

zainteresowani naszą misją i niewątpliwie chcieliby, aby była kontynuowana. Z drugiej strony załoga i tak miała się czym stresować – poziom amoniaku w atmosferze wzrósł do trzech cząsteczek na milion, coraz głośniejsze mówiło się, że trzeba będzie podjąć jakieś drastyczne kroki, na przykład ograniczyć liczebność załogi do czasu rozwiązania problemu – po co więc dokładać im jeszcze tremę przed występem w telewizji? Ale jakiegokolwiek zmiany w planach dałyby początek plotkom, że NASA coś ukrywa, że sytuacja musi być gorsza, niż wynika z oficjalnych komunikatów; trzymano się więc standardowych procedur.

– W porządku? – spytał Lafayette.

– W sam raz – odparł Ezra.

– Dobrze... Uwaga, podpinam wasze EEH...

Lucy przymknęła oczy, wzięła głęboki wdech i powoli, miarowo wypuściła powietrze. Od tej pory centrum kontroli lotów będzie miało podgląd jej biosygnatów: pracy serca, temperatury ciała, potliwości. Chodziło rzecz jasna o ich bezpieczeństwo, ale te wszystkie diody i kabelki były też swego rodzaju wariografem. Jeśli pojawi się jakiś problem, nie ukryje już tego przed Houston: owszem, może sobie raportować, że prace idą zgodnie z planem, ale EKG i tak doniesie, że się zdenerwowała. Na to trzeba było uważać: jeśli krzywe biosygnatów wychodziły poza normy, to – nawet jeśli wszystko poszło dobrze, a cele zostały osiągnięte w stu procentach – astronauta mógł utracić uprawnienia do wykonywania spacerów kosmicznych jako „podatny na stres”.

– Okej... – Lafayette sięgnął do szafy. – Czas na kapturki. Kto pierwszy?

– Panie przodem – odparł Ezra.

Pierdol się, pomyślała Lucy.

– Dziękuję – powiedziała.

Jak każda inna astronautka, nie znosiła, kiedy podkreślano, że jest kobietą, że w związku z tym powinna być traktowana inaczej, mieć specjalne względy, ułatwienia, udogodnienia. Bo te wszystkie serdeczności

miały drugie dno, budowały obraz kobiety jako problemu: *no tak, takiej to trzeba zapakować lakier do włosów i pumeks do pięt, będzie chciała osobną toaletę, tampony i mleczko do demakijażu*. A przecież wysłanie każdego grama na orbitę kosztowało majątek, więc czy nie lepiej byłoby zostać przy mężczyznach?

Ezra oczywiście o tym wiedział. Był jednym ze współautorów tej narracji.

– Okej... Gotowa? – Lafayette zawisł tuż przed nią. Trzymał w ręku kapturek komunikacyjny: opleciony kablami bawełniany czepek. Wyglądał na zestresowanego.

– Pewnie.

Botanik naciągnął jej kapturek na głowę i zapiął ciasno pod brodą, aż pasek pił w skórę. I dobrze. Jeśli potem, w trakcie spaceru, by się poluzował, nie miałyby już jak go poprawić.

– Lucy, tu CAPCOM – ze słuchawek dobiegł ją głos Anny Rathke. – Słyszysz mnie?

– Jakbyś tu była.

– Ha! Chciałabym. Ale już nie ten wiek.

Lucy się uśmiechnęła. Lubiała Annę, cieszyła się, że odbędzie spacer akurat w trakcie jej zmiany. Była kiedyś na stacji, wiedziała, jak tu jest, co więcej: wiedziała, jak tu jest być kobietą.

– Tak, słyszę cię – powiedział Ezra; też już był podpięty. Cały czas gapił się na Lucy, jakby chciał wzrokiem wywiercić jej dziurę w czaszce. Chociaż kuśilo, to nie odwracała głowy, nie uciekała oczami w bok. Wiedziała, że o to właśnie mu chodzi: żeby ją speszyć, żeby się spięła, żeby skoczyło jej tętno; będzie mógł wtedy powiedzieć *a mówiłem, że nie nadaje się na dowódcę*.

– Okej... – Lafayette odepchnął się od ściany, przepłynął na drugi koniec śluzy. Jego skóra lśniła od potu. – Przechodzimy do zakładania LTA.

– Panowie przodem. – Lucy wykonała szarmancki gest w stronę pilota. Skrzywił się. I dobrze, pomyślała, udław się.

Lafayette przygotował dolną część kombinezonu, spodnie połączone z butami: teraz Ezra musiał się w nią wślizgnąć, jak w dziecięcą piżamkę. To też było omawiane w Houston, i to wiele razy: czy to dobrze wygląda? Czy to Lafayette powinien pomagać przy zakładaniu skafandrów? Czy na pewno chcemy, żeby to czarnoskóry astronauta zakładał białemu astronautcie buty? Polityka, wszędzie polityka, nie dało się od niej uciec, leciała w kosmos na gapę.

Ezra wreszcie musiał skupić się na chwilę na czym innym niż nieme podkopywanie jej autorytetu, spojrzała więc na zegarek. Przygotowania do spaceru trwały już czwartą godzinę, a przed nimi jeszcze ze dwie. Znowuż: gdyby było tak jak na filmach, że *hop*, naciąga się skafander (elastyczny, obcisły, cienki, niczym druga skóra!), *pstryk*, zamyka się drzwi śluzy, *psst*, następuje dekompresja i *oooo*, zachwycamy się gwiazdami. Ale rzeczywistość była bardziej skomplikowana, bardziej nieprzyjazna. Ciśnienie wewnątrz stacji wynosiło jedną atmosferę, na zewnątrz – oczywiście zero, byli wszak w próżni. Gdyby więc skafander też został wypełniony powietrzem przy ziemskiej kompresji, 14,6 psi, to poza stacją, bez jakiegokolwiek nacisku z zewnątrz, nadałby się jak balon. A wówczas nie dość, że trudno byłoby się ruszyć – nie mówiąc o motoryce małej – to nie sposób byłoby precyzyjnie przycisnąć się przez właz przy powrocie. Przekonał się o tym, bardzo boleśnie, Aleksiej Leonow, który jako pierwszy spacerował po kosmosie – i o mały włos nie został tam na zawsze.

Żeby uniknąć powtórki z rozrywki, amerykańskie skafandry EMU są więc wypełniane do poziomu jednej trzeciej atmosfery. A przy takich zmianach ciśnienia pojawia się problem znany każdemu nurkowi: choroba dekompresyjna. Żeby nie dostać jej przy powrocie na stację, astronautci muszą wpieryw pozbyć się z krwiobiegu możliwie jak najwięcej azotu. Dlatego pierwszy krok przygotowań to pół godziny wdychania czystego

tlenu, ten zaś bardzo podnosi łatwopalność innych substancji, konieczne są więc dodatkowe procedury bezpieczeństwa... I tak dalej, i tak dalej.

Lucy zamknęła oczy. Nie mogła się doczekać, aż będzie na zewnątrz, aż wyciągnie rękę ku Ziemi. Nawet z Ezrą w zespole. Nawet ze świadomością, że stacja wypełnia się amoniakiem, a ktoś z załogi wyciągnął ze schowka makarowa wraz z amunicją i gdzieś je ukrył.

– Niewyspana? – usłyszała głos pilota. Widać już założył spodnie. Tylko spokojnie, pomyślała. Żeby ci nie skoczyło ciśnienie.

– Zbieram siły – odparła.

– Słusznie. To jest bardzo wymagające fizycznie.

– Wiem.

– Wiedzieć a przeżyć... – Uśmiechnął się.

No tak, zgrzytnęła zębami, on już raz to robił, ja nie. Kolejny powód, żeby nie traktować jej poważnie. Oczywiście, miała wyjść na spacer już poprzednim razem, tylko okazało się, że brakuje skafandrów w jej rozmiarze. Wysłano na stację same elki. Podobno przez pomyłkę.

– Niedługo się przekonamy – odparła.

– Lucy, noga wyżej. – Lafayette zawisł obok niej, głową w dół.

– Tak. – Pilot potaknął. – Wkrótce prawda wyjdzie na jaw.

Zmroziło ją. Jaka prawda? O czym on mówi?

– Słucham? – spytała.

– Prawda o amoniaku. Czy system chłodzenia rzeczywiście został uszkodzony od zewnątrz, czy stąd ten przeciek. A ty o czym myślałaś?

– O niczym.

– Na pewno? – Przekrzywił głowę.

– Przepraszam, o co ci chodzi?

– O nic. – Uśmiechnął się. Po raz pierwszy, odkąd spotkali się w służbie. – Nie denerwuj się.

Lucy zobaczyła oczami wyobraźni wykresy na ekranach w Houston, zmarszczone brwi kontrolera na stanowisku BME, zaniepokojone spojrzenia

wymienione z CAPCOM: jeszcze nie wyszli na zewnątrz, a Poplaski już traci nad sobą kontrolę? Wciągnęła powietrze przez nos, aż poczuła, jak opięte wokół żeber paski wpijają się w skórę.

– Trzeba dużo więcej, żebym się zdenerwowała – odparła, odwzajemniając uśmiech.

Ezra nic już na to nie odpowiedział. Ale jego wzrok mówił: niedługo się przekonamy.

Papiery czekały na biurku, tak jak prosił. Cztery grube teczki. No proszę, pomyślał Steve, nie ma to jak lekko zawołowana groźba. Zaczął zaciągać kotary w oknach.

– Jenny? – zawołał przez otwarte drzwi.

Zaszurało krzesło, zastukały obcasy. Sekretarka stanęła w wejściu do gabinetu.

– Tak?

– Wyczyść, proszę, mój kalendarz. – Ayers zasłonił ostatnie okno. – Do końca dnia.

– Ale o trzynastej trzydzieści jest to spotkanie z Rocket Labem...

– Powiedz, że jestem chory. – Steve usiadł za biurkiem i włączył swoją ulubioną lampkę.

– Przylecieli wczoraj z Kalifornii...

– To powiedz, że jestem bardzo chory.

Jenny skinęła głową. Pracowali razem od wielu lat. Wiedziała, że nie ma sensu dalej dyskutować, że snop światła pada teraz na leżące na biurku dokumenty i wszystko inne przestało się właśnie liczyć.

– A gdyby ktoś dzwonił? – spytała jeszcze.

– Nie ma mnie.

– Jakież wyjątki?

– Dla prezydenta... – Steve poprawił okulary – ...i Rybkina – dodał po chwili namysłu.

Rosjanin wciąż milczał. Moskwie nie spodobał się fałszywy alarm przeciwpożarowy, nie kupili oficjalnej wersji o „przypadkowym uruchomieniu systemu spowodowanym błędem w oprogramowaniu”. Rybkin musiał jakoś odpowiedzieć, żeby zasygnalizować – zarówno Amerykanom, jak i własnemu szefostwu – że nie można grać mu bezkarnie na nosie. Pytanie, co może jeszcze zrobić. Wyłożył już przecież najmocniejszą kartę, jaką miał w ręku: zagroził, że porzucą stację. Jak podbić stawkę po takim otwarciu?

Stąd zapewne ta przedłużająca się cisza, temu prawdopodobnie służyły te spotkania na Kremlu, o których donosił Ayersowi Kevin Wallgreen. Kolejny krok w tańcu, gdy już coś uradzą, powinien być następujący: potupać, pokrzyczeć, potrząsnąć szabelką i wymóc w ten sposób jakieś ustępstwa. Steve był na to gotowy, uzgodnił z Departamentem Stanu listę koncesji, które mógł zaproponować, aby ugłaskać Rosjan. Może chcielibyście kontrakt na wyniesienie jakiegoś satelity na orbitę? Zapłacimy, niech będzie. A może byłoby wam na rękę, gdyby z listy objętych sankcjami obywateli Federacji zdjąć paru waszych naukowców? Proszę bardzo, załatwi się.

Ale Rosjanie zwlekali z rozpoczęciem negocjacji. Martwiło go to. Bo może – zamiast zachowywać się przewidywalnie, logicznie, zgodnie z własnymi interesami – postanowili jednak zrobić coś głupiego. Na przykład coś, do czego był potrzebny kosmonauta przeszkolony przez GRU i naładowany makarow. A może po prostu zabrakło im języka w gębie. Może pistolet zabrał kto inny. Co prowadziło Ayersa ku teczkom rozłożonym na biurku.

Każda z nich liczyła po kilkaset stron, przeczytanie tych wszystkich dokumentów, nawet pobieżnie, zajęłoby mu cały tydzień. Na szczęście Sarah Faizan była tak miła, że zaznaczyła najciekawsze fragmenty

kolorowymi karteczkami. Steve nie miał wątpliwości, że każde z tej czwórki miało coś na sumieniu. W tym temacie Ayers, zdeklarowany ateista, znalazłby wspólny język ze średniowiecznymi inkwizytorami: nie ma niewinnych ludzi, są tylko tacy, których nie prześwietlono wystarczająco starannie. Pozostawało jedynie sprawdzić, czy któryś z tych grzeszków wpisuje się w logikę bieżących wydarzeń: może mieć coś wspólnego z tajemniczym wyciekiem amoniaku albo zachowaniem Rosjan.

Sięgnął po pierwszą teczkę: Devaki Anand, kosmiczna turystka. Ta przynajmniej zapłaciła za swój bilet, pomyślał. Na oficjalnym zdjęciu szeroki, szczery uśmiech: udało się, dopięłam swego, polecę. Spory kontrast z tym, co można było wyczytać z jej twarzy podczas telekonferencji z załogą: ile jeszcze, nie wytrzymam, pomocy. Ciekawe, skąd te nudności. Czy to na pewno wyłącznie choroba lokomocyjna? A może jest w ciąży? Oczywiście, astronautki badano na tę okoliczność przed wylotem, ale żaden test nie jest bezbłędny. Tak czy owak Devaki ma interes w tym, żeby zakłócić misję, pomyślał Ayers, wymóc wcześniejszą ewakuację załogi. Wtedy ten koszmar, rozpoczęty na własne życzenie, za grube miliony, wreszcie by się skończył. Oczywiście mogła zgłosić potrzebę wcześniejszego powrotu oficjalnymi kanałami. Gdyby nadzorujący załogę lekarz uznał, że jej życie jest w niebezpieczeństwie – a nie trzeba było bardzo naciągać faktów, żeby dojść do takiej konkluzji, Devaki od tygodni balansowała przecież na granicy odwodnienia – misję by skrócono. Ale jakież byłby wtedy skandal, ile by się wylało na nią pomyj, jakże ucierpiałaby jej reputacja. A Dolina Krzemowa nie tolerowała słabości. Kto wie, ile spadłby kurs akcji jej firmy, gdyby się rozeszło, że to ona spowodowała kryzys na orbicie. Więc motyw jest.

Steve przerzucił dokumenty w teczce Devaki do pierwszej karteczki; tu było coś wartego uwagi. Przeczytał fragment oznaczony jaskrawożółtym markerem: *...niepokoi, iż 51 procent AI Revolved, firmy założonej przez Anand, należy obecnie do chińskiego funduszu inwestycyjnego...* Ha. Warte

zapamiętania. Mając taki kawałek tortu, można dyktować warunki. Fundusz pewnie prywatny, ale w Chinach granica między rządem a biznesem była cienka niczym łupina cebuli. A plany Państwa Środka i Zachodu względem przyszłości kosmosu, mówiąc delikatnie, nie były zbieżne. Steve przerzucił kolejne oznaczone dokumenty. Oskarżona o mobbing przez byłą współpracownicę w dwa tysiące trzecim... Podejrzana o przenoszenie aktywów do rajów podatkowych na Karaibach... Też ciekawe, ale bez oczywistych związków z bieżącą sytuacją.

Następna teczka, Lucy Poplaski, pani kapitan, jego awatar na stacji. Pierwsza karteczka: *...według anonimowo przekazanych informacji relacje Poplaski z niektórymi członkami rosyjskiego korpusu kosmonautów wychodzą poza ramy koleżeńskiej zażyłości...* Te plotki wcale go nie dziwiły. Jak długo istniała praca, tak długo istniały biurowe romanse, pewnie już łowcom-zbieraczom z epoki kamienia zdarzały się skoki w bok na niewyprawionej mamuciej skórze. Można sobie obiecywać, że tylko ty i ja, póki śmierć nas nie rozłączy, tak nam dopomóż Bóg, ale wystarczy kilka miesięcy rozłąki, hormony oraz alkohol i okazuje się, że nikt nie jest święty. Pytanie, czy Rosjanie wiedzieli o tym romansie i co za tym idzie, mogli go wykorzystać jako punkt nacisku. Jeśli Lucy wypowiadała się ze wszystkiego mężowi – albo jeśli miała jego przyzwolenie na takie rozrywki – wiele nie mogliby na niej wymóc. Ale jeśli chciała, żeby zdrada pozostała tajemnicą, a stawką było jej małżeństwo... Wtedy mieliby spore pole do popisu.

Wyobraźmy sobie taki scenariusz, pomyślał, odchylając się w krześle. Poziom amoniaku wzrasta do czterech cząsteczek na milion, potem pięciu. Zbiera się rada MCB, zapada decyzja o zmniejszeniu stanu załogi do czasu rozwiązania problemu, żeby ograniczyć objętość wydychanych gazów. Naturalnie, z dwóch załóg wróci wcześniej dragon, bo odciążać trzeba przede wszystkim skrzydło amerykańskie. Wówczas Ezra, Lafayette i Devaki lecą na Ziemię, a na stacji zostają tylko trzy osoby, które

przyleciały w sojuszu. Dwóch Rosjan i Lucy. Byłby to bardzo ciekawy scenariusz dla Rybkina, oferujący duże możliwości. Cholera, pomyślał Ayers, Lucy trzeba było dogłębnie prześwietlić, zanim wciągnąłem ją do współpracy, zanim pokazałem jej swoje karty. Bo teraz, być może, znają je też w Moskwie. No nic, westchnął, mleko się rozlało, a od tej pory ograniczone zaufanie.

Przejrzał resztę teczki Lucy, ale to już naprawdę były drobiazgi, anegdotyczne mandaty za nieprawidłowe parkowanie. Poza tym jednym grzeszkiem była chodzącym ideałem astronautki. Sięgnął więc po następny plik, Lafayette'a Summersa, i otworzył go na pierwszym oznaczonym dokumencie. Od razu zwrócił uwagę na emblemat Departamentu Policji w Houston u góry kartki. Ciekawe, pomyślał, co z kolei przeszkrobał nasz uśmiechnięty botanik. Jazda pod wpływem? Potrącenie pieszego?

Już po pierwszych paru zdaniach okazało się jednak, że charakter zajścia był zgoła inny. Historia, jakich w Stanach wiele, jakie zdarzają się codziennie. Lafayette został zatrzymany przez patrol drogówki, rzekomo dlatego, że nie użył kierunkowskazu przy zmianie pasa, prawdopodobnie zaś z tego powodu, że był czarny, a jechał drogim autem, co mundurowym wydało się podejrzane. Co zaszło dalej, tu wersje były różne. Według zeznań policjantów Lafayette *odmówił współpracy, przyjął agresywną postawę*, a wreszcie *gwałtownie i niespodziewanie sięgnął do schowka przy fotelu pasażera*. Według samego astronauty patrol odmówił odpowiedzi na pytanie, czemu został zatrzymany, a kiedy chciał pokazać papiery wozu, jeden z policjantów wyciągnął broń, drugi złapał go za kark i wykręcił mu ramię. Tak czy owak skończyło się na aresztowaniu i wzajemnych pozwach. W pliku papierów była kopia obdukcji, która wskazywała, że na komisariacie nie obchodzono się z zatrzymanym w sposób delikatny. Kolejne dokumenty: wymiana korespondencji między Lafayette'em a Helen Chen z PAO. Lafayette chciał nagłośnić sprawę, wykorzystać swoją pozycję, żeby zwrócić uwagę na pałacy, jego zdaniem, problem policyjnej

brutalności. Helen odpowiedziała, że chociaż zajście w Houston niewątpliwie zasługuje na potępienie, to robienie szumu wokół niego nie służy długofalowym interesom agencji. I miała, niestety, rację: byli w końcu na Florydzie, władze stanu reagowały histerycznie na jakiegokolwiek próby poruszenia tematu rasizmu. A Lafayette – przynajmniej z tego, co Ayers kojarzył, bo w papierach tego nie było, już nie te czasy – był również gejem, więc już w ogóle zadziałałby na lokalnych konserwatystów jak płachta na byka. Helen Chen dopięła swego, całą sprawę zamieciono pod dywan, policjanci nie dostali nawet nagany.

Zastanawiające, pomyślał Steve. Może Rosjanie – albo Chińczycy, albo Iran, albo jeszcze ktoś inny, chętnych nie brakowało – wykorzystali tę historię, żeby dotrzeć do Lafayette’a, przekonać go, że kraj, w którym czarnoskórzy wciąż są obywatelami drugiej kategorii, nie zasługuje na jego lojalność i wsparcie. Że kosmos zdominowany przez Amerykę to zarzewie przyszłych konfliktów, że dla dobra ludzkości trzeba wyrównać szanse, jak onegdaj z bronią atomową, stworzyć układ, którego podwaliną jest kompromis, a nie...

Zadzwoił telefon. Wewnętrzne połączenie, z pokoju obok, od Jenny.

– Tak? – mruknął do słuchawki. Mówił przecież, żeby mu nie przeszkadzać.

– Mam na linii dyrektora Rybkina – odparła sekretarka. – Łączyć?

Steve odsunął papiery na bok, wyprostował się w krześle. Wreszcie.

– Tak, tak. Czekam.

Klik, był już na innym kanale.

– Halo?

– Tu Rybkin.

– Miło cię słyszeć, Jurij. – Tym razem Steve nie silił się na rosyjski. – Jak się miewasz?

– Wedle naszych informacji alarm uruchomiono ręcznie.

A więc od razu przechodzi do rzeczy. Niech będzie. Miejsmy to za sobą.

– Eksperci z centrum kontroli lotów twierdzą, że to był błąd w kodzie. – Ayers trzymał się oficjalnej wersji.

– Moi kosmonauci po raz kolejny zostali narażeni przez was na niebezpieczeństwo.

– Nie przesadzajmy, fałszywe alarmy się zdarzają. Ale żeby nie było, rozumiem waszą frustrację. Dlatego zostałem upoważniony, aby...

– Nie chcemy waszej jałmużny – warknął Rosjanin.

Steve urwał w pół słowa. Oho.

– Myślicie, że macie nas na smyczy – ciągnął Rybkin. – Że najpierw można nas kopnąć, a potem wystarczy rzucić jakiś ochłap z pańskiego stołu i po sprawie. Uszy po sobie i podkulony ogon.

– To jest bardzo dalekie od naszego podejścia do współpracy.

– Ale my jeszcze potrafimy ugryźć.

– Jurij, naprawdę, tego rodzaju język nigdzie nas nie... Halo?

Rozłączył się. Sukinsyn się rozłączył. Nim Steve zdążył odłożyć słuchawkę, zadzwoniła jego prywatna komórka. Spojrzał na ekran telefonu. Kevin Wallgreen.

– Tak?

– Steve, dostałem właśnie depezę z Moskwy... – Kontroler zawiesił głos, jakby sam nie dowierzał w to, co miał zamiar za chwilę powiedzieć. – Informacja o planowanym teście systemów ASAT.

– Słucham?!

– Rakiety antysatelitarne. Chcą w ramach demonstracji zestrzelić własną sondę, która już...

– Wiem, co to jest ASAT – warknął Steve. – Kiedy?

– Za piętnaście minut.

– Co?! – Ayers zerwał się na równe nogi; krzesło biurowe przetoczyło się na drugi koniec pokoju.

– Tak jest w depeży.

– EVA?

– Już się zaczęło – odparł Kevin. – Ezra i Lucy są na zewnątrz.

– Orbity?

– Przyległe. Mogą się przeciąć.

Ożeż kurwa, westchnął Ayers. Czyli grozi im, że dostaną odłamkami.

– Przerwijcie transmisję na żywo. Za pięć minut będę w kontroli lotów –
zawołał Steve, już w biegu, przyciskając komórkę do policzka.

Nie zdążył przejrzeć ostatniej teczki.

Ezra Wendley.

Grudzień 2021

LAMAR: Czy działał pan z premedytacją? Czy pod wpływem impulsu?

WENDLEY: Działałem zgodnie z własnym sumieniem.

LAMAR: Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

WENDLEY: Uważam, że czyny przemawiają głośniej niż słowa.

LAMAR: Przypominam, że przysiągł pan współpracować.

WENDLEY: Przede wszystkim przysiągłem bronić ojczyzny. I będę jej bronił aż do śmierci, tak mi dopomóż Bóg.

Czerwiec 2021

Lucy czuła się bardzo mała.

Nad głową miała Ziemię. Planeta wypełniała całe pole widzenia, przytłaczała ogromem. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że zaraz spadnie z nieba i rozgniecie człowieka na miazgę. Astronautka musiała co chwilę uspokajać podświadomość, wyłączać alarmy odziedziczone po przodkach i praprzodkach, powstrzymywać odruchowe reakcje: chwycić się czegoś! Cofnij! Skul głowę!

Lecieli nad Pacyfikiem. Wszędzie woda, chmury, żadnej zieleni, żadnych świateł, jakby patrzyła na obcy, nieprzyjazny świat. Choć Ezra był tuż obok – pracował – nie słyszała metalu zgrzytającego o metal czy brzdęku blachy. Tylko swój oddech, nic więcej. W kosmosie gwiazdy rodziły się i umierały w grobowej ciszy, dźwięk był wyjątkiem, nie regułą. Kontrast z wnętrzem stacji, z bezustannym hukiem wentylatorów, z horyzontem zawężonym do szerokości rozpostartych ramion, był niebywały, przyprawiał o zawrót głowy.

– Klucz – sapnął Ezra.

– Który?

– Dziesiątka.

Lucy najpierw chwyciła narzędzie, dopiero potem odpięła zatrzask i podała je Ezrze, inaczej zaraz by odpłynęło w czerni. A potem, dzień albo dwa później, mogłoby wrócić, niczym bumerang, i rozerwać któryś z modułów niczym papierowy lampion.

– Jak tam? – spytała. Już byli do tyłu w stosunku do planu. Jak zawsze.

– Moment.

Ezra miał problem z jedną ze śrub. I niedziwne: ich rękawice były na tyle grube, że nic nie było przez nie czuć, nie dało się wymacać, czy dana część jest wciąż luźna, czy już dokręcona. Kolejny zmysł otumaniony przez kosmos, kolejne nawyki, których trzeba było się oduczyć. Niektórzy twierdzili, że zamiast wysyłać w kosmos atletów, lepiej byłoby ubrać w skafandry osoby z niepełnosprawnościami. Człowiek, który i tak nie słyszy, nie będzie narzekał na wieczny hałas, a dodatkowo jeśli ma uszkodzone ucho wewnętrzne, nigdy nie dostanie mdłości, choćby kręcić nim całą dobę. Ktoś, kto nie używa nóg, szybciej odnajdzie się w przestrzeni, gdzie korzysta się prawie wyłącznie z rąk. Astronauta, który i tak nie ma pełnej kontroli nad swoim ciałem, nawykły do funkcjonowania w świecie stworzonym pod cudze możliwości i potrzeby, szybciej pogodzi się z kolejnymi ograniczeniami, jakie narzuca kosmos. Tę logikę można było ciągnąć dalej: czy izolacji nie zniósłby lepiej ktoś, kto nie potrzebuje kontaktu z innymi? Czy człowiek ze spektrum autyzmu, zakochany w tabelkach i porządku, nie miałby więcej cierpliwości do wymogów ustalanego na Ziemi harmonogramu?

– Okej, zrobione. – Ezra złapał się uchwyty i wyprostował. Był czerwony na twarzy, kropelki potu zbierały mu się wokół oczu. Nie miał jak ich przetrzeć.

Lucy odłożyła narzędzia na miejsce i zatrzaskała skrzynkę.

- CAPCOM, ruszamy do segmentu S1 – zaraportowała.
- Potwierdzam – odpowiedziała Anna Rathke czterysta kilometrów niżej.
- Status minus dwadzieścia dziewięć minut. Jeśli dacie radę, spróbujcie przyspieszyć.
- Postaramy się.

Lucy odpięła jeden z kotwiczących ją karabińczyków i zaczepiła linę asekuracyjną o metalową pętlę – fachowo: spit – po czym pociągnęła mocno dwa razy, żeby sprawdzić, czy zatrask na pewno chwycił. Teraz, dopiero teraz, ani chwili wcześniej, mogła przełożyć też drugi karabińczyk, upewniając się przy tym, że zamki obrócone są w przeciwnych kierunkach, że liny się o nic nie zaczepiły ani nie splątały. Niby proste, ale w pośpiechu można się zapomnieć, a pojedynczy karabińczyk potrafi puścić. Wówczas wystarczyłby już jakikolwiek, najmniejszy nawet ruch, który wywołałaby zwrotną reakcję, choćby wciśnięcie guzika, i już oderwałaby się od powierzchni, leciała w lodowatą nicość.

Ziemia przesłoniła Słońce. W mgnieniu oka stację spowiła całkowita ciemność, jakby ktoś przejechał po niej pędzlem zanurzonym w smołę. W oczach eksplodowały jej powidoki blików odbitych jeszcze sekundę temu od metalowego poszycia, wystarczyło, żeby straciła orientację. Nie miała pojęcia, w którą stronę ma iść, nic nie słyszała, nic nie czuła, była na wpół ślepa. Krew zadudniła jej w skroniach, oddech zaczął się rwać, zwierzę schowane w rdzeniu mózgu zaczęło panikować. Zrobiła tak, jak uczono ją na szkoleniach: zamknij oczy, uspokój oddech, policz do pięciu. Pomogło.

Latarka w hełmie oświetlała jej drogę, dwa, trzy metry do przodu, nie dalej, obok widziała snop światła rzucony przez Ezrę. W trakcie normalnego, zaplanowanego uprzednio spaceru kosmicznego, przećwiczonego wielokrotnie na Ziemi, pracowałyby oddzielnie, każde nad swoim zadaniem. Ale w tym wypadku uznano, że bezpieczniej będzie się nie rozdzielać. Gdyby któreś z nich napotkało jakiś problem, drugie

mogłoby od razu przyjść z pomocą. Na nikogo innego nie mogli liczyć. Nim inny członek załogi założyłby skafander i do nich dotarł, wyczerpałyby im się zapasy powietrza.

A więc pierwszy karabińczyk, drugi, podciągnął się pół metra do przodu, powtórzyć. Posuwali się powoli, rozglądając się uważnie na boki. Plan spaceru był prosty: mieli dokonać oględzin stacji w miejscach, gdzie ukryte pod metalową blachą rurki z ciekłym amoniakiem wchodziły do modułów mieszkalnych. Istniała możliwość, że jakiś kosmiczny okruch przebił poszycie i uszkodził jedną z nich, właśnie na którymś ze styków, a wyciekający powoli amoniak przedostawał się do wnętrza stacji przez mikroskopijne szczeliny. Mało prawdopodobne, ale niewykluczone.

– Widzisz coś? – spytał Ezra.

– Jest kilka wgnieceń, ale żadnych perforacji.

Obrócił głowę w jej stronę, zalał światłem przestrzeń pod jej stopami. Nie ufał jej, wolał samemu sprawdzić.

– A u ciebie? – spytała, żeby z powrotem zajął się sobą.

– Wciąż nic.

– Sprawdzę pompę. Ty idź na stronę południową.

– Okej – odparł niechętnie.

Przepiął karabińczyki i zniknął za krawędzią kratownicy, po jej przeciwnej stronie. Nie widzieli się, ale nadal mogli rozmawiać.

– I co? – spytała, szarpiąc się z panelem, za którym znajdowała się pompa.

– Nic. Tracimy tu czas.

Kretyn, pomyślała. Przecież nas słyszą, odnotują to.

– Takie dostaliśmy instrukcje – odpowiedziała.

Ezra tylko prychnął.

Kusiło ją, żeby spytać, co go tak rozbawiło, czy ma jej coś do powiedzenia, ale o to mu przecież chodziło. Sprowokować kłótnię, żeby wyszła na czepialską, albo jeszcze lepiej, na histeryczkę. Podważyła

krawędź panelu śrubokrętem. Puścił, mogła zajrzeć do środka. Jak na zawołanie, znów wyszło słońce, wszystko się nagle rozjarzyło, aż musiała przymknąć oczy. Pompa wyglądała na nieuszkodzoną. Szukała niebieskich kryształków zmrożonego amoniaku, które wskazywałyby na wyciek. Nigdzie ich nie było.

– Poplaski, Wendley, tu CAPCOM – zatrzeszczało nagle w słuchawkach. Lucy nie spodobał się ton kontrolerki, zwiastował kłopoty. – Wracajcie do służby. Powtarzam, wracajcie do służby.

– CAPCOM, co się dzieje? – Lucy już zamykała panel, już pakowała narzędzia, nie czekała na odpowiedź. Wiedziała, że Houston nie podejmie takiej decyzji bez ważnego powodu.

– Rosjanie zaraz wysadzą w powietrze jednego ze swoich satelitów.

– Co?!

– Jesteście na zbliżonych orbitach – powiedziała CAPCOM. – Może dojść do kolizji.

– Zaraz to znaczy za ile? – spytał Ezra.

– Dwanaście minut.

Lucy poczuła, jak po plecach cieknie jej zimny pot. Przejście ze służby do miejsca, w którym znajdowali się teraz, zajęło im dwie godziny. Jeśli satelita zostanie zniszczony za dwanaście minut, pierwsze odłamki pojawią się w okolicy stacji najpóźniej za półtorej godziny, a może wcześniej. Nie zdążą wrócić do tego czasu.

– Zadzwońcie do nich – warknął pilot. – Zadzwońcie i powiedzcie, że mają to odwołać.

– Próbowaliśmy.

– Ezra, nie dyskutuj, tylko się pakuj! – zawołała Lucy.

– Próbowaliście i co? – drążył pilot. Wciąż go nie widziała, wciąż był po drugiej stronie kratownicy.

– Twierdzą, że decyzja zapadła poza Roskosmosem.

– Tyle wam powiedzieli?!

– O szerszym kontekście poinformujemy was na debriefingu – odparła Anna. – Jak już będziecie w środku. To jest w tej chwili najważniejsze.

– Robią z nami, co chcą.

– Zapewniam cię, że tak nie jest, a nasza odpowiedź będzie proporcjonalna i adekwatna. – CAPCOM próbowała zachować spokój, ale słychać było, że powoli traci cierpliwość. – Ale ja nie zadzwonię teraz na Kreml, nie jestem odpowiedzialna za politykę zagraniczną naszego kraju, tylko za wasze bezpieczeństwo. Lucy, wracacie?

– Tak, właśnie się przepinam.

– A ty, Ezra?

Bez odpowiedzi. Nie widziała go, nie słyszała.

– Ezra? – spytała Lucy.

Wciąż nic, cisza. Coś mu się stało, pomyślała, może awaria radia? Albo problem z cyrkulacją powietrza, za duże stężenie azotu i zemdłał? Czy zaplątał się w coś liną i nie chce się przyznać, bo prędzej by umarł, niż poprosił o pomoc? Cholera jasna, trzeba sprawdzić. Przepięła karabińczyki i zamiast w kierunku śluzy odbiła się w bok, ku krawędzi kratownicy.

– Lucy, CAPCOM, wszystko w porządku? – rozległo się w słuchawkach.

– Tak – skłamała.

Ezra szedł w stronę części rosyjskiej.

Steve był w łoży dla VIP-ów przy centrum kontroli lotów. Normalnie zająłby miejsce w rogu pokoju, na skórzanym fotelu, z laptopem na kolanach i parującą kawą na stoliku obok. Ale teraz nie był w stanie usiedzieć, nosiło go. Chciał być po drugiej stronie szklanej szyby, przy mikrofonie, u steru. A mógł tylko słuchać.

– Lucy, CAPCOM, wszystko w porządku? – usłyszał głos Anny Rathke. Zajmowała stanowisko na środku sali, tuż obok dyrektora lotów. Z tą swoją

niemodną trwałą i lekką nadwagą, w wyciągniętym kremowym kardiganie i wielkich okularach, wpatrzona w komputer, nie wyglądała na przewodniczkę astronautów, raczej na stawiającą pasjansa emerytkę. Ale pozory myliły, Anna znała stację jak własną kieszeń, a orientacji w przestrzeni trójwymiarowej mógłby pozazdrościć jej niejeden pilot. Mieli szczęście, że to akurat ona była na zmianie. Zapowiadał się długi dzień.

– Lucy, CAPCOM, wszystko w porządku? – powtórzyła Anna.

Skurwysyny, pomyślał Steve. Faktycznie, Kevin miał rację, nie rozumiał rosyjskiej duszy. Zakładał, że, jakkolwiek gorąco by się zrobiło, nikt nie będzie chciał palić mostów. Owszem, wbrew oficjalnym deklaracjom dawno przestali być partnerami, robili sobie nawzajem na złość, wkładali kije w szprychy. I okej, akceptował to, taki jest świat, taka jest polityka, bez kłamstw i hipokryzji daleko nie ujedziesz. Ale do tej pory wymiana ciosów miała swój rytm i swoje zasady. Tym razem Steve usiadł do stolika szachowego i dostał w zęby.

– ...blemy... sła... szę... – głos Lucy się rwał. – ...iowe... enia...

Niedobrze. Steve przełączył się na kanał dyrektora lotu.

– CRONUS, Flight. – Robert był spokojny, jak zawsze. Wokół mogłoby się palić i walić, mogłyby wyć syreny alarmowe, a on dalej mówiłby tym swoim jednostajnym głosem. Człowiek skała, wydawałoby się, maszyna. Ale Steve wiedział, jak to jest, ile kosztuje takie chłonięcie stresu do środka, niczym gąbka, co się działo, kiedy później, już w domu, wszystko wyciekało, jakie to musiało mieć konsekwencje dla jego zdrowia i rodziny. Odczuł przecież to wszystko na własnej skórze. – Co się dzieje?

– Flight, po mojej stronie zielono. Pełna przepustowość na wszystkich pasmach.

– Dziękuję. EVA, Flight. Możliwa awaria skafandrów?

– Nic na to nie wskazuje.

– Sprawdź całą telemetrię z EMU, poproszę aktualizację za trzy minuty.

– Robert poprawił słuchawki. – BME?

– Widzę niewielkie skoki na wszystkich ekranach, u obojga – odparł wywołany kontroler. – Ale to może być efekt stresu związanego z awarią łączności.

A teraz jeszcze to, westchnął Steve. Chociażby ten cholerny satelita, kupa sowieckiego złomu. Żeby pokazać, jacy są niezadowoleni, jacy groźni, Rosjanie rozpiździli go na dziesięć tysięcy kawałków. Ho, ho, ho, niesamowite, mają raketę, którą można wysłać na orbitę, i jeszcze w coś trafić. Technologia z lat siedemdziesiątych, brawo. Amerykanie i Chińczycy oczywiście też takie mieli, i to na pęczki – jeśli chcesz pokoju, szykuj się na wojnę – ale już ich nie testowali, z jednego prostego powodu: śmieci latających wokół Ziemi nie było jak sprzątnąć. Dopóki – o ile – nie obniżą orbity w takim stopniu, żeby zacząć trzeć o górną warstwę atmosfery, zostaną tam na zawsze. Zatem jak dużo takich testów można było przeprowadzić, nim otoczka złomu stanie się na tyle gęsta, że uniemożliwi dalsze loty? Może dziesięć, może piętnaście, może nawet sto, ale już nie więcej. Rosjanie widać mieli to w dupie, i nic dziwnego, przecież jeszcze trochę, a zaczną wytaczać na kazachskie kosmodromy obklejone fajerwerkami moskwicze. Ich czas się kończył, ważne, żeby nie wygrali inni. Bo to był koniec: koniec współpracy, koniec stacji, koniec z udawaniem, że patrzymy w gwiazdy pod jednym sztandarem, jako ludzkość. Pytanie tylko, o ile odroczone w czasie, czy uda się go jeszcze przesunąć o kilka lat, czy będzie natychmiastowy.

Bo jeśli któregoś z astronautów dostanie odłamkiem – nawet jeśli przeżyje, jeśli skończy się tylko na strachu – to szambo wybije momentalnie. W Waszyngtonie byli przecież tacy, którzy nie mogli doczekać się kolejnej wojny, którzy już marzyli o trylionowych kontraktach na sprzęt wojskowy, jakie wówczas dałoby się przepchnąć, bo z takich zamówień można by sobie wykroić skromny milionik albo dwa za lobbying czy konsultacje. Jedyne, czego potrzebowali, to pretekst, a śmierć Amerykanina w kosmosie za sprawą Rosjan nadałaby się wszak znakomicie.

– Flight, EVA – odezwał się jeden z kontrolerów. Steve zatrzymał się w pół kroku. Słysząc było, że coś go zaniepokoiło. – Komunikację wyłączono ręcznie.

– EVA, powtórz.

– Komunikację w skafandrach wyłączono ręcznie. U obojga. Najpierw Wendley, minutę i trzynaście sekund później Poplaski. Działa tylko komunikacja bezpośrednia, między nimi.

Najpierw zrobiło się cicho. A potem po sali przeszedł szmer.

– CAPCOM? – Robert wywołał Annę. – Potwierdzasz?

– Flight, CAPCOM, zgadza się.

Coś jeszcze mówili, ale Steve ich nie słuchał, myślał. Wyłączyli komunikację, oboje. Czemu? Bo mieli dość wtrącania się kontrolerów, chcieli mieć spokój? Historia znała takie przypadki. Ale nie, Poplaski nigdy by czegoś takiego nie zrobiła, to nie w jej stylu, była typem prymuski. Druga opcja: bo chcieli coś przed nimi ukryć. Ale co? I dlaczego? Drzewko logiczne się rozgałęziało: mogli planować coś razem i przeszli do realizacji tego planu. Możliwe, ale mało prawdopodobne, bo raz, że niezbyt za sobą przepadali – z tego, co Ayers słyszał, Ezra wysłał już kilka donosów na Lucy, że za miękka, że brak doświadczenia, że nie ma zaufania załogi – dwa, czemu akurat teraz, kiedy Rosjanom zachciało się zestrzeliwać satelity? Nie mogli przecież o tym wiedzieć wcześniej. Chyba że wiedzieli?

– Flight, BME. – Głos kontrolerki był podniesiony, wybił Steve’a z toku myśli. Wypatrzył ją na sali. Trzymała się kurczowo biurka, tak jakby miało za chwilę szarpnąć, wierzgnąć, zrzucić z siebie monitory. – Mam gwałtowne skoki u Poplaski. Potliwość, tętno, oddech, wszystko.

– CRONUS, Flight, widzisz ich na kamerach?

– Moment... Tak. Na osiemnastce.

– CRONUS, potwierdź, osiemnastka? – Robert nie dowierzał.

– Zgadza się, Flight.

– CAPCOM, czy osiemnastka jest na trasie do śluzy?

- Flight, odpowiedź negatywna, to w przeciwnym kierunku.
- OSO, wrzuc widok z osiemnastki na główny ekran.
- Flight, RIO – wtrącił Kevin. – Mam na linii Puszakowa, chce...
- Nie teraz, RIO – Robert wszedł mu w słowo. – Mamy pilniejsze rzeczy na głowie.

Steve podszedł do szyby. Na głównym ekranie, który zwykle pokazywał mapę globu i trajektorię lotu stacji, wyświetlony był podgląd z kamery osiemnastej. W kadrze widać było Lucy i Ezrę, można było ich rozpoznać wyłącznie po naszywkach na ramionach. Ezra był odwrócony tyłem do obiektywu. Wspinał się w kierunku rosyjskich modułów, był przy Zarii. Jedną linkę kotwiczącą przepiął już do następnego spitu.

Drugiej nie mógł.

Bo trzymała ją Lucy.

- Puszczaj – wycedził Ezra. Nie widziała jego twarzy, szybka hełmu pociemniała, żeby osłonić go przed słońcem.
 - Jaki jest twój plan? – spytała Lucy, owijając sobie linkę asekuracyjną Ezry wokół nadgarstka. Dudniło jej w skroniach. Ziemia była teraz pod jej stopami. Miała wrażenie, że jeden fałszywy krok i polecą w dół, spłoną wśród chmur jak meteor.
 - Nie będę cię więcej ostrzegał.
 - Co, urwiesz im antenę? – Lucy odpięła jeden ze swoich własnych karabińczyków i odbiła się od powierzchni stacji, żeby się do niego zbliżyć. Mały krok dla człowieka, duży dla losów stacji.
 - Nic nie rozumiesz – zachnął się.
 - I co potem?
 - Potem? Cokolwiek – odpowiedział jej. A potem szarpnął linkę, za którą go trzymała.

Nagły ruch, ostry ból w ramieniu, świat zaczął gwałtownie wirować. Ziemia, stacja, Ziemia, stacja, Ziemia, stacja, coraz szybciej i szybciej, kręciła się w korkociągu, coraz głośniejszy oddech, nerwowe *pik, pik, pik* alarmów. A potem kolejne szarpnięcie – i nagle się zatrzymała, uderzyła czołem w szybkę hełmu, ścisnęło ją w brzuchu. Czuła, że zaraz się porzyga, na wpół strawione jedzenie czołgało się już przez przełyk, paliło, drażniło. Zamknęła oczy i zacisnęła z całej siły zęby, aż zatrzęszczało. Wiedziała, że jeśli teraz zwymiotuje – zginie. Hełm wypełni gorąca treść żołądkowa, kule gęstego kwasu będą pływać swobodnie to w jedną, to w drugą, niczym w lampce lawowej, przesłonią szybkę, wpadną do oczu, nosa, ust, krótko mówiąc, zaczną się podtapiać własnymi rzygami. Udało się, zdusiła odruch, przełknęła szczypiący gardło płyn. Otworzyła oczy. I krzyknęła.

Była jakieś cztery, pięć metrów od stacji – z którą, niczym pępowina, łączyła ją pojedyncza linka asekuracyjna. Druga unosiła się swobodnie wokół niej, wijąc się jak wąż, odpięta. Ezra faktycznie nie ostrzegł po raz drugi. Szarpnął za linę, którą owinęła sobie wokół nadgarstka, i zakreślił nią niczym bączkiem, akurat kiedy się przepinała.

– Wróć po ciebie, jak skończę – usłyszała jego głos w słuchawkach. Był już na ścianie Zarii. I wyciągał narzędzia.

– Jak skończysz co?!

– Nie możemy być popychadłami.

– Ezra! – krzyknęła. – Przestań, kurwa!

– Nie przyjmuję twoich rozkazów.

– Ja próbuję ci przemówić do rozsądku! Czy ty rozumiesz, że...

– Wróć po ciebie – powtórzył. – Bez odbioru.

– Ezra!!! Ezra, nie!

Nie odpowiedział, mało tego, już jej nawet nie słyszał. Wyłączył ostatni kanał, ten do komunikacji z członkami załogi. Skurwysyn. Lucy przygryzła wargę, wypuściła powietrze przez ściśnięte usta. Zaczęła się trząść, do oczu

napłynęły jej łzy. Spokojnie, powiedziała sobie, tylko spokojnie. Dasz radę, tylko nie panikuj, myśl. Co teraz? Co zrobić?

Mogła włączyć komunikację z Ziemią, poprosić ich o pomoc. Przerwała ją pod mało wiarygodnym pretekstem. Nie chciała, żeby słyszeli, jak się kłóca, zamierzała rozładować sytuację, nim w Houston w ogóle się zorientują, że dzieje się coś złego. Cóż, nie udało się. A teraz, jeśli otworzy ponownie kanał, co jej to da? Godzinę będzie się tłumaczyła z tego, co zaszło, a przecież nie przyślą jej tu posiłków, nie dezaktywują zdalnie skafandra Ezry. Skoro powiedziała „A”, trzeba było przejść do „B”, musiała działać sama. Ale była jedna osoba, do której trzeba było się odezwać, którą powinna wcześniej uprzedzić. Pstryknęła przełącznik.

- Lafayette? – zawołała. – Słyszysz mnie?
- O Boże, wreszcie! – Botanikowi drżał głos. – Lucy, co tam się dzieje?
- Nic dobrego.
- Ezra?
- Ezra – potwierdziła.
- Co się stało?
- Nie mam czasu tłumaczyć.
- Ale z tobą wszystko okej?
- Powiedzmy – odparła, lewitując wśród bezdennej czerni.
- Coś mogę zrobić?
- Pamiętasz procedurę ISS MED/3A?
- O matko...
- Czyli pamiętasz. Przygotuj się. Bez odbioru.

Wyłączyła kanał łączący ją z Lafayette'em. Potrzebowała teraz ciszy i spokoju. Rzuciła okiem w kierunku Ezry. Pilot miał w ręku ściągacz śrub. Niedobrze, bardzo niedobrze, ale powoli, po kolei, teraz trzeba skupić się na pierwszym punkcie programu: jak wrócić na stację. Ezra ewidentnie założył, że Lucy będzie tu tak dyndać, sparaliżowana strachem, aż on zrobi

swoje – cokolwiek to znaczy – i ją uratuje, a potem wciągnie na pokład jak bezwolną bojkę. O, takiego. Nie miała zamiaru na niego czekać.

Ze stacją wciąż łączyła ją jedna linka asekuracyjna. Wystarczyło ją lekko pociągnąć, naprężyć, i popłynie w jej stronę. Brzmi banalnie, ale na końcu linki znajdował się pojedynczy karabińczyk z prostym zamkiem sprężynowym. Gdyby wspinali się na Ziemi, po skałkach, zatrzask byłby dodatkowo zabezpieczony metalową zakrętką, która blokowałaby ramię zamka. Tyle że ich rękawice były za grube, żeby operować tak małym elementem. Jedyne, co dzieliło ją od bezkresu, to mała, tycia sprężynka. Jeśli szarpnie liną za mocno, pod złym kątem, ramię zamka oprze się o pierścień spitu, sprężynka się zegnie – i puści. Alternatywnie, zamiast ciągnąć za linę, mogła jeszcze użyć systemu SAFER. Oboje, i ona, i Ezra, mieli na sobie plecaczki wypełnione sprężonym azotem. Gdyby – tfu, tfu – któreś z nich odpadło od stacji, gaz posłużyłby wówczas za paliwo odrzutowe. Na rogach SAFER znajdowały się dwadzieścia cztery otworki. Za pomocą panelu przypiętego do klatki piersiowej astronauta mógł kontrolować, które z nich otworzyć: wypuszczając gaz z prawej, odleciałby w lewo, aktywując otwory na górnych krawędziach, poleciałby w dół, i tak dalej. Tyle że gazu było niewiele, dość, żeby dać jednego, może dwa kopy, a łatwo było przeszacować, przechylić dźwostik za daleko – i odbić się od powierzchni stacji jak piłka. Lucy wolała korzystać z tego koła ratunkowego jedynie w ostateczności. A więc opcja pierwsza: lina.

Pociągnęła leciutko, delikatnie, jakby grała w bierki. Lepiej spieszyć się powoli, nie używać dużej siły. Podpłynęła o jakieś piętnaście, dwadzieścia centymetrów, karabińczyk wciąż trzymał. Dobrze. Jeszcze raz, i znowu, delikatnie, opierając się pokusie, żeby szarpnąć raz a dobrze, aż uderzy stopami o poszycie i będzie mieć to już za sobą. Udało się, po kilku minutach była znów na stacji. Natychmiast zabezpieczyła się drugim karabińczykiem – i dopiero wówczas pozwoliła sobie na to, żeby

sprawdzić, co robi Ezra. Wisiał przy panelach słonecznych Zarii, rozłożonych jak skrzydła ważki. I je odkręcał.

– Skurwysyn – szepnęła Lucy. Bez tych paneli część rosyjska straci zasilanie, a pozbawiona zasilania szybko stanie się bezużyteczna.

No tak, logika wojny, prawo Hammurabiego: oko za oko, ząb za ząb. Ezra najwyraźniej – i, trzeba przyznać, nie bez podstaw – uznał, że zostali zaatakowani, postanowił więc odpłacić pięknym za nadobne, od razu, nie czekając na zwierzchników. Żeby Rosjanie wiedzieli, z kim mają do czynienia, pokazać, że gdy spluniesz Amerykaninowi w twarz, to nie będzie udawać, że pada deszcz. Tylko co dalej? Co jest na końcu tej spirali? Wojna? Musiała go zatrzymać, zanim zrobi coś, czego nie będzie można cofnąć, co będzie miało konsekwencje na Ziemi. Ale jak? Był od niej przecież silniejszy, dużo silniejszy, przed chwilą się o tym boleśnie przekonała. Cóż, wymyśli się później, w drodze, teraz musiała działać. Szybko.

Ezra był na tej samej płaszczyźnie co ona, jakieś trzy, może cztery metry od niej. Na ziemi pokonałaby ten dystans w kilka sekund, ale znów: nie mogła się spieszyć. Raz, że nie chciała popełnić jakiegoś błędu i znów zawisnąć pośród próżni, dwa, że musiała go podejść niezauważona. Całe szczęście, że pilot nie wyczuje drgania metalu pod jej stopami, nie mógł jej usłyszeć ani też zobaczyć, bo pracował tyłem do niej, a kąt widzenia miał zawężony do jakichś stu czterdziestu stopni. O ile więc Ezra się nie odwróci – a musiałby się odwrócić całym ciałem, nie samą szyją, bo hełm był przykręcony do skafandra na sztywno – albo nie wyciągnie z torby z narzędziami składanego lusterka, żeby sprawdzić, co się dzieje za jego plecami, powinna móc go podejść. Jedyne, na co musiała uważać, to jej cień, bo ten się przesuwiał gwałtownie, jakby w przyspieszonym tempie. Chwila nieuwagi i może wpełznąć w pole widzenia Ezry, a wtedy się zdradzi i będzie po wszystkim.

Zatem powoli, spokojnie. Pierwszy spit. Jej cień pada na siódmą, za plecy. Dobrze. Przepięta karabińczyki, pół metra do przodu.

Co dalej, myślała cały czas, z tyłu głowy, gorączkowo, związać go liną asekuracyjną? Nie da rady, jest zbyt silny, odepchnie ją, obezwładni.

Drugi spit. Jej cień przesunął się na ósmą, za lewe ramię. Wciąż w bezpiecznej odległości od Ezry.

Uderzyć go czymś ciężkim w głowę? Ale przecież ma hełm, nie straci przytomności. A gdyby ten się rozszczelnił, skazałaby Ezrę na śmierć, nagłą albo powolną, w zależności od rozmiaru pęknięcia.

Trzeci spit. Cień na dziewiątej, już niebezpiecznie blisko, pora zmienić płaszczyznę. Skoczyła w bok i schowała się za krawędzią, na ścianie kratownicy. Jej dół przesunął się o dziewięćdziesiąt stopni w stosunku do jego, byli do siebie prostopadli, teraz jej nie zobaczy.

Może wystarczy zabrać mu narzędzia, pomyślała, rzucić je za siebie, w kosmos? Ale nie, raz, że to niebezpieczne – dość, że wokół głów będą im zaraz śmigać fragmenty zniszczonego satelity – a dwa, że jak się uprze, może przecież zniszczyć panele gołymi rękoma.

Czwarty spit. Była już tuż koło niego, tyle że na bocznej ścianie, po jego lewej. Czekwała teraz tylko, aż zmienią pozycję w stosunku do słońca, aż rzucony przez nią cień będzie znów padał do tyłu, na czwartej. Oddychała głęboko, wypuszczała powietrze przez otwarte usta, aż zaparowała jej na chwilę szybka.

Jest jeszcze jedna opcja, stwierdziła. Cholernie niebezpieczna dla nich obojga. Ale jako jedyna miała szansę zadziałać.

Spojrzała w stronę Słońca. Teraz. Jedno odbicie, ściągnięcie linki asekuracyjnej i wróciła na płaszczyznę Ezry, stanęła tuż za jego plecami. Dzieliły ich centymetry: dziesięć, może piętnaście. Na Ziemi od razu by ją usłyszał, poczułby ruch powietrza, jej oddech, zapach. A tu nic, równie dobrze mogłaby być na przeciwległym końcu galaktyki. Lucy omiotła Zarię wzrokiem – i zmroziło ją. Ezra odkręcił już pięć śrub z ośmiu. Jeszcze

trochę i panel słoneczny oderwie się od rosyjskiego modułu. Musiała działać natychmiast.

Zbliżyła się do Ezry tak bardzo, jak mogła, prawie do niego przyległa. Czekala, kiedy uniesie ramiona. Wtedy wyciągnęła rękę, tak, jakby chciała go objąć, aż dotknęła panelu sterowania systemem SAFER na jego skafandrze. Teraz opłaciły się te setki godzin spędzonych nad dokumentacją, w basenie do ćwiczeń, w symulatorach: nie widziała kontrolek, ale wiedziała dokładnie, gdzie się znajdują, w którą stronę je przekręcać. Klucz dwa oczka w prawo, z pozycji OFF, potem na STANDBY, wreszcie ON. Ezra już ją zobaczył, zorientował się, co zamierza, zaczął się przekręcać w jej stronę. Ale zdążyła jeszcze trącić palcami dżojstik.

Na chwilę oboje zniknęli w obłokach gazu.

A potem Ezra poleciał ku gwiazdom.

W centrum kontroli lotów wrzało. Ktoś krzychał do telefonu, ktoś biegł w stronę drzwi, ktoś inny płakał. Robert Schiff stał otoczony wianuszkami podkomendnych: marsowe miny, rozchełstane koszule, spocone dłonie. W słuchawkach nie dało się wytrzymać, na wszystkich kanałach jazgot, wszyscy mówią jedni przez drugich, gorączkowo szukają rozwiązania. Ale Steve wiedział, że rozwiązania nie ma.

Stało się, pomyślał. Ktoś pękł. Obawiali się tego, i to od samego początku. Tyle stresu i zmęczenia, przebodźcowanie, izolacja, to się musiało w końcu wydarzyć, na to wskazywały wszystkie eksperymenty. Zamknij dwa szczury w klatce, poddaj podobnym warunkom, a w końcu zaczną się gryźć, zawsze, za każdym razem. Kiedyś przerabiano podobne scenariusze w trakcie ćwiczeń dla dyrektorów lotów, na symulacjach: psychoza, samobójstwo, konflikt wewnątrz załogi. Ostatecznie testy

porzucono. Bo niczego nie dało się zrobić. W takiej sytuacji Flight, bóg orbity, mógł tylko się modlić.

A więc trzeba myśleć ruch do przodu, stwierdził Steve. Pogodzić się z tym, że ma się zerowy wpływ na teraźniejszość, odciąć emocje, skupić wyłącznie na przyszłości. Wszedł z łoży VIP-ów przy centrum kontroli lotów i ruszył w stronę swojego biura. Parł pod prąd: ciągle mijał kogoś, kto biegł w przeciwnym kierunku. Tupot stóp, skrzypienie podszew o linoleum, telefony dzwonią w opuszczonych pokojach.

Steve wszedł do gabinetu i sięgnął po ostatnią teczkę. Ezra Wendley. Nie znał go za dobrze. Sprawiał wrażenie faceta, który wolał działać niż gadać. Na oficjalnych eventach trzymał się z boku, do wywiadów zaciągali go siłą. Pozostali astronauta niezbyt za nim przepadali, ale niskie noty od kolegów i koleżanek rekompensował świetnymi wynikami z testów sprawnościowych i egzaminów. Co szczególnie ważne, najlepiej radził sobie z pilotowaniem nowych kapsuł, dragonów, dokował idealnie za każdym podejściem. Poza tym stanowił istotny element politycznej układanki.

Senatorów i kongresmenów z czerwonych, konserwatywnych stanów drażnił bowiem nowy narybek astronautów. Te wszystkie długie włosy, kolczyki, tatuaże, doktoraty, niewymawialne i obco brzmiące nazwiska, kłujące w oczy zaimki osobowe. Nijak się to miało do złotych czasów misji Apollo, gdzie wszyscy byli spod jednej, dobrej sztancy: najpierw wojsko, potem kosmos. Koszula i krawat, żona i wianuszek dzieci, barbecue w sobotę, a kościół w niedzielę. Flaga w pasy i gwiazdy, a nie kolory tęczy. Jeśli NASA nie chciała stracić poparcia tych polityków – a nie mogła sobie na to pozwolić – musiała zadbać o to, żeby w składzie lecących na orbitę załóg był przynajmniej jeden astronauta, z którym chcieliby sobie zrobić zdjęcie, którego mieliby ochotę poklepać po plecach, powiedzieć *daj nam powody do dumy, synu*, ze spokojem głowy, że się o to nie obrazi, nie

oskarży o jakieś wydumane mikroagresje czy inny paternalizm. Ezra dobrze wpisywał się w te oczekiwania. Może nawet za dobrze.

Steve rozsupłał teczkę. Pierwszy plik dokumentów: rozwód. Nic zaskakującego, małżeństwa astronautów były nietrwałe. Ale to rozstanie wyglądało na wyjątkowo toksyczne. Długi proces, wzajemne oskarżenia, spory o wszystko. Kilka razy musiała interweniować policja: była żona oskarżała go, że spóźniał się z oddaniem dzieci po weekendzie – i to o dzień, czasem nawet dwa. Ale skończyło się na pouczeniach, nie był notowany. Wszystko to działo się poza pracą i nie miało wpływu na wykonywane obowiązki. A więc, przynajmniej według Sary Faizan, nie ma problemu, przemykamy oko i jedziemy dalej.

Drugi dokument: korespondencja między Biurem Astronautów a PAO. PR-owcy agencji delikatnie upominali, że aktywni astronauta nie powinni angażować się w bieżącą politykę. Tymczasem Ezra pojawiał się na wiecach swojego kolegi, który kandydował na gubernatora stanu Wyoming. Przybijał sobie z nim piątki: na scenie, przed obiektywami, w koszulce NASA. Nie pomogło, kolega i tak nie dostał nominacji. Ale w sieci wciąż można było sprawdzić jego program. Drużyna czerwonej czapeczki, *Make America great again*, szowinizm przebrany za troskę o tradycyjne wartości. To już musiało wywołać konsternację w Biurze Astronautów, ale co mogli zrobić? Odsunąć go od służby na takiej podstawie? Dopiero byłaby burza, Fox News miałyby używanie przez bity tydzień, telefonom z Waszyngtonu nie byłoby końca.

Trzeci plik papierów, kolejne dokumenty sądowe. Wynikało z nich, że trzy lata wcześniej, w dwa tysiące osiemnastym, Ezra miał niebezpieczną stłuczkę. Zawinił inny kierowca, doszło do kłótni oraz „szarpaniny”, jak to ujął adwokat pilota, najwyraźniej jednak intensywnej, bo konieczna była interwencja medyczna. Ezra wyszedł bez szwanku, ale drugi mężczyzna odjechał z miejsca zdarzenia w ambulansie. Sędzia był jednak wyrozumiały – miał w końcu do czynienia z weteranem, bohaterem, astronautą –

wszystko zamieciono więc pod dywan, skończyło się na pracach społecznych oraz przymusowych zajęciach z kontrolowania gniewu.

Których, jak wynikało z dossier, Ezra nigdy nie ukończył.

Role się odwróciły: teraz to Ezra wirował w czerni. Wyrzut gazu nadał mu sporą prędkość, astronauta robił kilka obrotów na sekundę, piruet za piruetem. Dopiero kiedy odpłynął od stacji na długość linek asekuracyjnych, te nagle się napreżyły. Szarpnięcie pozwoliło zatrzymać rotację, ale Ezra wciąż jeszcze nie odzyskał pełnej kontroli, rzucało nim na wszystkie strony. Nie było tarcia, które pomogłoby mu wyhamować, nie było czego się złapać – poza linami. Ezra chwycił się ich i pociągnął, to z jednej, to z drugiej, żeby skontrolować targające nim siły. Wyglądał jak woźnica, który szarpie za lejce, żeby usadzić narowiste konie.

Lucy spoglądała nerwowo na trzymające Ezrę karabińczyki, wiedziała, że jeśli puszcza, będzie go miała na sumieniu, będzie winna morderstwu. Całe szczęście wytrzymały. Pilot ruszał się coraz wolniej, wreszcie przeszedł w łagodny dryf. Wtedy obrócił się w jej stronę. Lucy na to właśnie czekała. Przyłożyła zaciśniętą w pięść dłoń do hełmu. To był sygnał: „włącz radio”. Ezra chwilę nie odpowiadał, nie ruszał się, ręce i nogi wyciągnięte na boki – człowiek witrwiański na tle gwiazd. Ale potem jego dłoń, powoli, jakby po omacku, powędrowała w stronę panelu komunikacyjnego. *Pstryk.*

– Halo? Ezra? – zawołała.

Na początku słyszała tylko rzeżenie, porwany oddech: *hrr... ghr...* No tak, jeszcze chwilę temu kręcił się niczym jojo: to sponiewiera każdego, nawet pilota, choćby wojskowego.

– Chcesz mnie zabić? – wychrypiał wreszcie.

– Nie. Porozmawiać.

– Porozmawiać?!

- Nie dałeś mi wyboru.
- Nie mamy o czym rozmawiać.

Ezra chwycił za jedną z linek asekuracyjnych i zaczął się podciągać w stronę stacji. Jedną ręką, drugą, on się nie wahał, on się nie bał, grał na jedną kartę, zaraz tu będzie i co wtedy? Uderzy ją. Obezwładni. Dokończy, co zaczął. Spotęguje kryzys. Nie mogła do tego dopuścić.

Lucy sięgnęła po karabińczyk mocujący linę, za którą ciągnął Ezra – i go odpięła. Astronauta poleciał do tyłu, nogi do góry, za głowę, i jeszcze raz, i znów, aż zatrzymała go druga linka, wciąż jeszcze przypięta do spitu.

- Kurwa! – wrzasnął pilot.
- Najpierw porozmawiajmy!
- Po czyjej ty jesteś stronie?!
- Uspokój się!

Ezra wyhamował, powstrzymał rotację, wrócił do dryfu.

– Najpierw podtruwają nas amoniakiem – wychrypiał – knują coś i kłamią w żywe oczy. A teraz to. Wysadzili satelitę w trakcie EVA, napluli nam w twarz. A ty co?! Nic. Nic!!! – ryknął, aż zatrzęszczało w słuchawkach.

- Proszę cię. Wróćmy do służby.
- Nie możemy... – Urwał na chwilę. Dyszał, musiało mu się kręcić w głowie, mroczyć przed oczami. – Nie możemy im wiecznie ustępować.

Trudno było odmówić mu racji. Ale to przecież nie nasze miejsce, pomyślała Lucy, nie nasza rola, nie nasza odpowiedzialność, z pewnością nie ten moment!

- Mamy jasne instrukcje – powiedziała.
- Tak – prychnął. – Instrukcje urzędników.
- Ezra...
- Są ważniejsze rzeczy – zawołał. – Ważniejsze przysięgi.

Już odzyskał kontrolę. Już się szykował, żeby pociągnąć za drugą linkę. Ostatnią.

– Ezra, stop!

– Nie ma mowy.

– Zatrzymaj się, bo odepnę drugą linkę! – krzyknęła. Już zacisnęła na niej dłoń. Zaraz szarpnie. Zaraz tu będzie. Obok.

– Nie zrobisz tego – powiedział. I pociągnął.

W tym samym momencie Lucy odpięła karabińczyk jego liny – ale chwyciła ją w dłoń, nim poleciała w czern. Razem ze skafandrem Ezra ważył ponad dwieście kilogramów, mimo to czuła w rękach tylko lekki opór, jakby puszczała latawiec w wietrzny dzień. Gdyby puściła, toby odleciał, w siną, siną dal.

– Pojebało cię?! – krzyknął Ezra. Po raz pierwszy usłyszała w jego głosie nie złość, lecz strach.

– Przyszło ci do głowy, że oni tego właśnie chcą?! – zawołała w odpowiedzi. – Że próbują nas sprowokować? Komu jest na rękę, żeby stacja przestała istnieć? Ich skrzydło to kupa złomu, bez żadnej wartości. Szukają tylko pretekstu, żeby zrobić awanturę, żeby mogli powiedzieć, że to przez nas, że to nasza wina! Chcą pociągnąć nas na dno razem ze sobą, a tym im pomagasz!

– Czyli co, mamy tańczyć, jak nam zagrają? – Pilot chwycił za linkę. Wystarczy, że pociągnie raz, a wróci na stację. – Bo inaczej Ruskie się obrażą?

– Nie ruszaj się! – krzyknęła. – Bo puszcze!

– Nie zrobisz tego – powtórzył, ale z mniejszym przekonaniem.

– Nie zmuszaj mnie!

Chwilę mierzyli się wzrokiem. Cofnął rękę.

– Chcą awantury?! – zawołał. – Niech dostaną awanturę. Bo to się musi kiedyś skończyć. Wjechali na Krym i co zrobiliśmy? Gówno! Noty dyplomatyczne! Truli nowiczkiem ludzi na lewo i prawo, w Anglii, w Bułgarii, w Turcji? Wzruszyliśmy ramionami. Obiecali talibom nagrodę

za głowę każdego naszego chłopaka? Wyraziliśmy ubolewanie. Czym to się skończy? Jeśli będą myśleć, że są bezkarni? Co? Odpowiedz mi!

– Chętnie! – odrzyknęła. – Ale w środku!

– Czemu im odpuszczasz? Bo tak ci kazał Ayers? Bo tak jest w tabelce?

Czy z jakiegoś innego powodu?

– Ezra, błagam cię...

– Ściągnij mnie z powrotem!

– Najpierw musimy się dogadać.

Wisiał bez ruchu. Przez chwilę słyszała tylko jego dyszenie.

– Wiem o twoich schadzkach z Antonem – przerwał milczenie. –

Widziałem, jak wracasz w środku nocy.

Lucy poczuła ukłucie w brzuchu, ścisnęło ją w gardle. Wstyd. Poczucie winy. Złość.

– Nic nie rozumiesz – zachnęła się.

– O czym sobie gadaliście?

– Jak nie dopuścić do takiej sytuacji jak teraz!

– Gówny prawda – wycedził. – Zmanipulował cię, okręcił sobie wokół palca. Dlatego jesteś taka miękka.

To nie Anton jest zagrożeniem, pomyślała Lucy. Tylko ktoś, kto pompuje powoli amoniak do atmosfery stacji. Ktoś, kto zabrał makarowa. Ktoś z nas. Ty, Devaki albo Lafayette. Poczowała się nagle cholernie zmęczona. Mimo że system chłodzenia pracował na najwyższych obrotach, była zlane potem, drżały jej nogi, a dłonie miała już otarte do krwi. Powiedzieć mu o tym wszystkim, zastanawiała się, czy to jakkolwiek pomoże, czy tylko pogorszy sprawę, jeszcze go nakręci?

– Robisz, co ci każe, bo się pieprzycie? – podjął Ezra. Dużo było w tych słowach. Kpina. Pogarda. Lekceważenie. Przełknęła to. Musiała. Dla dobra misji.

– Zapewniam cię, że to nie tak – odpowiedziała najspokojniej, jak potrafiła.

– To jak? Może mają na ciebie coś jeszcze?

Lucy otworzyła już usta, żeby coś powiedzieć, zaprotestować. Ale w tym samym momencie zauważyła kątem oka ruch. Coś małego, wielkości gwoździa albo może jednocentowej monety, śmignęło jej koło głowy i błysnęło w świetle słońca niby flesz.

A potem, wśród absolutnej, grobowej ciszy, urwało stalowy talerz anteny o średnicy półtora metra, wraz z mocującymi go śrubami.

Właśnie dogoniły ich pierwsze odłamki zniszczonego satelity.

Eliza, ku zdziwieniu i lekkiej konsternacji obojga rodziców, uwielbiała krwawe bajki. Te współczesne, o sile przyjaźni, pokonywaniu własnych słabości i podążaniu za marzeniami, wywoływały u niej co najwyżej ziewanie. Nie, Eliza lubiła niemiecki gotyk: rozsmakowane w ludzkim mięsie wiedźmy, rozpruwanie wilczego brzucha i grzebanie w parujących flakach, porzucone pośród siarczystego mrozu bosa sieroty. Odkryła te opowieści w trakcie pobytu u dziadków Poplaskich, którzy mieli w domu jakieś polskie wydanie Grimmów sprzed półwiecza, z pięknymi, pełnymi szczegółów ilustracjami. Nowa ulubiona książka.

Ich koleżanka, która była psychologiem dziecięcym, uspokajała, że nie ma czym się martwić, że Eliza w ten sposób oswaja trudne tematy: strach o matkę, która mogła przecież któregoś dnia spłonąć pośród chmur, niezwerbalizowaną obawę, że wiecznie zestresowany ojciec nie jest w stanie zapewnić jej bezpieczeństwa. A więc czytali małej te wszystkie okropieństwa o mrocznych lasach, ponurych zamczyskach i domkach na kurzej łapce, w jej słodkim, pastelowym, klimatyzowanym pokoiku. Eliza prosiła ich, żeby robili straszne głosy i czytali po kilka razy co krwistsze fragmenty.

Najbardziej lubiła baśń o Sinobrodym, a konkretnie ten fragment, kiedy jego żona stoi przed żelaznymi drzwiami, których nigdy, przenigdy, pod żadnym pozorem, miała nie otwierać. Waha się, już ma odchodzić, ale ciekawość bierze w końcu górę i przekręca klucz, a w środku znajduje siedem zasuszonych ciał swoich poprzedniczek, które też nie były w stanie oprzeć się tej pokusie.

Nate czytał tę okropną baśń wiele razy i zastanawiał się, co Elizę może w niej tak fascynować. Strach przed nieznanym, przed tym, co przyniesie dorosłość? Nieuświadomiona, nienazwana dziecięca obawa, że rodzice mają jakąś mroczniejszą stronę, którą przed nią ukrywają, że mimo tych wszystkich deklaracji: że kochają, że zawsze przytulą, że jest najwspanialsza na świecie – czasem, bardzo rzadko, ale jednak, mają jej dość, żałują, że kiedykolwiek zdecydowali się na dziecko, chcieliby ją oddać, zwrócić, przegnać albo zamienić na inną, grzeczniejszą dziewczynkę? A może ta opowieść dotykała jakiegoś bardziej uniwersalnego strachu: że wiedza przynosi ból, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Bo też takich historii było przecież więcej: *nigdy nie otwieraj tej puszki, Pandoro. Nie waż się zrywać tego jabłka, Ewo. Pod żadnym pozorem nie zagłądaj do pudełka, Psyche.*

Może było w tym trochę prawdy, myślał Nate, no bo czy ludzie byli szczęśliwsi, jak już odkryli, że wszechświat jest dziełem ślepego przypadku, a nie kochającego boga? Czy lepiej im, odkąd wiedzą, że łańcuch przyczyn i skutków nie sięga poziomu kwantów, że na najbardziej fundamentalnym poziomie świat jest pozbawiony logiki i całkowicie nieprzewidywalny? Ze świadomością, że wszystko się rozpada, studzi i dąży do maksymalnego chaosu? Że wszyscy gotujemy się jak żaby w garnku, tylko zbyt powoli, żeby z niego wyskoczyć?

Nate nie wiedział, czego tak właściwie szukał na dnie szafy Lucy. Listy z nazwiskami kochanków, wraz z ocenami od jednego do sześciu?

Sekretne telefonu do przeglądania Tindera? Wyników testu genetycznego Elizy, z którego wynikałoby niezbiecie, że jest rogaczem?

Ale szukał. Aż w końcu coś znalazł: zaklejoną kopertę. Na samym dnie szuflady z koszulkami, schowaną w stary T-shirt, którego Lucy nigdy nie nosiła. Nie była zaadresowana. Kiedy trzymał ją pod światło, widać było, że w środku jest złożona w harmonijkę, gęsto zadrukowana kartka.

Otworzyć?

Nie otworzyć?

Grudzień 2021

LAMAR: Czy w trakcie spaceru kosmicznego specjalistka Poplaski złamała zasady obowiązujące na stacji?

FAIZAN: Niewątpliwie tak.

LAMAR: Czy w zaistniałej sytuacji mogła zrobić cokolwiek, co nie byłoby sprzeczne z regulaminem?

FAIZAN: Nie.

LAMAR: Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

Czerwiec 2021

Lucy patrzyła za urwaną anteną: wirujący jasny punkt na tle atramentowej czerni, coraz mniejszy i mniejszy. To nie ma sensu, protestował mózg astronautki, przywykły do ziemskich prędkości, do ziemskich sił, przecież odłamek, który w nią uderzył, był nie większy niż paznokieć. Mógł zarysować blachę, owszem, może nawet ją wgnieść, ale zmiażdżyć, zмяć jak papier, zedrzeć za jednym razem z powierzchni stacji? To niemożliwe! To się nie mogło stać! To jak gdyby mrówka powaliła słońca!

Bo też stary dobry mózg myślał, że stoją w miejscu, a słońce i gwiazdy kręcą się wokół nich. Tylko tak był w stanie poskładać sprzeczne bodźce w spójny obraz. Ale iluzja właśnie runęła i Lucy poczuła na jakimś głębokim poziomie, gdzieś w trzewiach, że pędzi po orbicie z szybkością cztery razy większą niż pracujący na pełnych obrotach wojskowy odrzutowiec. Poczowała strach: śliski, zimny, paralizujący. Miała ochotę skulić się w sobie, zatkać uszy, zamknąć oczy. Wiedziała, że nie może.

Krzyczała coś do Ezry, on krzyczał coś do niej. W obliczu grożącej im śmierci zawarli tymczasowy rozejm. Pociągnęła za jego linę asekuracyjną i pomogła mu się wpiąć w najbliższy spit. Zaczęli wędrówkę w stronę

śluzy, oboje byli złani potem i wyczerpani. Nie rozglądali się na boki, nie wyglądali kolejnych odłamków. Bo i po co? O ile nie odbijały akurat słońca, były nie do wypatrzenia, a co ważniejsze: leciały z taką prędkością, że i tak nie zdołaliby się uchylić. Jeśli któreś z nich zostanie trafione, umrze natychmiast, wybuchnie wewnątrz skafandra, niczym balon z farbą, żaba w blenderze.

Poruszali się najszybciej jak mogli, ale wciąż za wolno. Każdy instynkt podpowiadał, że trzeba biec, a oni pełzli – karabińczyk za karabińczykiem, spłót za spłótem – ignorując ból otartych do żywego mięsa, krwawiących palców. Lucy chciała wyć, dyszeć, krzyczeć, ale musiała zacisnąć zęby, bo tlen trzeba było wszak oszczędzać, bo nigdy nie wiadomo, co się jeszcze wydarzy, na jak długo będzie musiało go starczyć. Chciała też płakać, ale nie mogła, i to pod żadnym pozorem, bo łzy nie odlepią się od gałek ocznych, nijak ich nie przetrze, nie pomoże mruganie. Obraz się rozmyje, a wtedy źle oszacuje odległość, nie zabezpieczy należycie zamka, zginie.

Ona była z przodu, wytyczała trasę. Szła na pamięć, inaczej straciłaby orientację. Ktoś przekręcał kalejdoskop i nagle dzień zmieniał się w noc, czerń w biel, a góra w dół. Cień prześlizgnął się po poszyciu stacji, tuż koło jej stopy, jak cofająca się fala, i odsłonił głęboką rysę. Była tu już wcześniej? Czy trafił ich przed chwilą kolejny odłamek?

Włączyła kanał łączący ich z Lafayette'em.

– Lucy? – usłyszała jego głos.

– Wracamy – sapnęła, podciągając się do przodu. – Pięć minut.

– Oboje? – upewnił się botanik.

– Tak.

– Przekonałaś go?

– Nie sądzę – odpowiedziała. – Jak stacja? Jakies kolizje?

– Na razie tylko ta jedna, Houston już zmieniło orbitę.

Houston, pomyślała. Będą mieli o czym rozmawiać.

– Co z tą procedurą? – spytał Lafayette.

– MED/3A?

– Mhm.

Obróciła się, żeby spojrzeć za siebie. Ezra był tuż za nią.

– Nie wiem – odparła. – Na wszelki wypadek bądź gotowy.

– W porządku. Nie rozłączaj się już, dobrze?

– Okej.

Dotarli do śluzy. Lucy zwolniła zatrząsk i otworzyła właz, po czym wgramoliła się do środka. Wcisnęła się w bok, tak żeby zrobić miejsce dla Ezry – było tu bardzo ciasno. Kiedy do niej dołączył, całkowicie wypełnili tę przestrzeń, ich hełmy się stykały, stanęli oko w oko. Czerwoną twarz pilota otaczała skomplikowana konstelacja kropli potu. Próbowwała odgadnąć, co dalej: czy to koniec? Czy dopiero początek?

– Gotowy? – spytała.

– Tak.

– Zamknij właz – poleciła.

Ezra sięgnął po uchwyt i zatrząsnął okrągłe drzwi. Zniknęły gwiazdy, zgasło ostre światło słońca. Wrócili do klatki.

– Lafayette, wyrównaj ciśnienie – wydała instrukcję.

– Przyjąłem.

Nie widzieli tego, nie czuli, ale wewnątrz śluzy zaczęło wypełniać się gazem ze stacji. Azot. Tlen. Dwutlenek węgla. I amoniak, w wyższym stężeniu niż zwykle. Skąd on się bierze?, pomyślała, po raz kolejny, zła, rozżalona. Jak to możliwe, do cholery, kto, jak, po co? Gdyby to był horror, przyrost amoniaku wskazywałby, że na pokładzie znajduje się ktoś jeszcze: potwór schowany gdzieś za panelami albo w jednej z szaf. Śledziłby ich wzrokiem, dyszał, czekał na sposobny moment, żeby wyjść z ukrycia. Ale potwora nie było. I wcale nie musiało go być, żeby się nawzajem pozabijali.

– Ezra. – Spojrzała pilotowi w oczy. – Musimy połączyć się z kontrolą lotów. Powiedzieć im, co zaszło.

Pilot uparcie milczał. Na jego twarzy próżno było szukać emocji.

– Odpowiedz. – Trąciła go w ramię.

– Nic się nie zmieniło.

– Zmieniło. O mały włos tam nie zginęliśmy.

– Jasne. – Ezra skinął głową. – Z powodu Rosjan.

– Wyrównanie ciśnienia za dwie minuty – powiedział Lafayette. Brzmiał niepewnie, ale trzymał się procedur.

– Tak – zgodziła się. – Innych. Na Ziemi.

– Po prostu zejdź mi z drogi.

– Ezra, nie zmuszaj mnie, żebym...

– Żebyś co? – wszedł jej w słowo.

Znał procedury równie dobrze jak ona. Wiedział, co powinna w takiej sytuacji zrobić: strzykawka ze środkami uspokajającymi, taśma, linka. Ale może znów uznał, że Lucy się na to nie odważy, że nie wyda takiego rozkazu, przynajmniej nie bez uprzedniego błogosławieństwa dyrektora kontroli lotów. Albo może doszedł do wniosku, że nikt nie będzie w stanie go wykonać. W końcu jako jedyny z nich był w wojsku, przeszedł szkolenie bojowe. Zabijał. Kto go niby zatrzyma? Gej botanik? Czy wiecznie rzygająca programistka?

– Wyrównanie za minutę – wtrącił Lafayette. Słyszał, o czym rozmawiamy, pomyślała Lucy, chyba musiał? To dlaczego nie reaguje? Czemu jedynie recytuje formułki?

Ezra zaczął zdejmować swój hełm. Powinien poczekać, aż będą po drugiej stronie, aż precyzyjnie się przesuwa przez ostatni właz, otwór wielkości studzienki kanalizacyjnej, który łączył służbę z resztą modułu Quest. Robienie tego w pojedynkę było trudne, zwłaszcza w rękawicach, i to po wyczerpującym, wielogodzinnym spacerze. Najwidoczniej Ezra jednak się spieszył, a może uznał, że Lafayette nie będzie skory do tego, by użyć mu pomocnej dłoni. Udało się za drugim podejściem, hełm zawisł

w przestrzeni, jakby na niewidzialnym haczyku. Włosy Ezry były sklezione potem.

– Teraz to się jeszcze da odkręcić – powiedziała Lucy. – Potem już nie.

Pilot ją zignorował. Ściągnął rękawice, strzepnął pokaleczone, zdrętwiałe palce. Ciasną przestrzeń wypełniły idealnie sferyczne krople krwi. Część uderzyła o szybkę jej hełmu. Próbowwała je zetrzeć wierzchem dłoni, ale tylko je rozmazała; widziała świat przez czerwony filtr.

– Ezra. – Trąciła go w ramię. – Odezwij się, do cholery.

– Będziesz mogła powiedzieć, że działałem wbrew twoim rozkazom – odparł w końcu. – Kto wie, może nawet dostaniesz awans.

– Ciśnienie wyrównane – zaraportował Lafayette.

– Nie otwieraj! – krzyknęła Lucy.

Ezra się zaśmiał. Ale to był śmiech suchy, pozbawiony humoru: śmiech łobuza, który znęca się nad słabszym. Odrzucił jej rękę.

– Jaki jest twój plan? – spytał, przekrzywiwszy głowę. – Że będziemy tu tak siedzieć, aż przyjdzie czas wracać na Ziemię?

– Nie. Aż ochłoniesz.

– Ale ja nie jestem wcale zdenerwowany – odparł. – Po prostu robię, co do mnie należy. Bo ktoś musi.

– Wiesz, że pójdziesz siedzieć?

– Z dumą.

Zgrzytnął zwalniany mechanizm. Metalowy właz do śluzy prowadzącej wewnątrz stacji zaczął się odchyłać. Dlaczego, myślała gorączkowo Lucy, Lafayette mnie nie usłyszał? Czy może działali razem, a ich kłótnie były tylko przedstawieniem? Nie ma czasu, stwierdziła. Odbiła się od ściany, tak żeby zasłonić przejście własnym ciałem. Ale Ezra z łatwością ją odepchnął. Uderzyła głową o panel, aż huknęło, a na upstrzonej krwią szybce wykwitła rysa. Nim zdążyła się obrócić, już przechodził przez właz. Rzuciła się jeszcze, żeby chwycić go za nogi, ale wciąż miała na sobie rękawice, nie

zdołała zamknąć dłoni, wyslizgnął się. Zakłęła, był już po drugiej stronie. Usłyszała podniesione głosy – a potem zrobiło się zupełnie cicho.

Lucy wyjrzała przez krawędź włazu.

Ezra wisiał bez ruchu.

Lafayette miał w ręku pistolet.

Steve rzadko kiedy oglądał telewizję, uważał to za stratę czasu. Wyjątek robił w hotelach. Kiedy wracał z ostatniego spotkania na tyle późno, że nie warto było już siadać do papierów, ale nie aż tak późno, żeby od razu kłaść się spać, zwał się na łóżko – bez spodni, w samych gaciach i rozpiętej, mokrej pod pachami koszuli – po czym skakał po kanałach. Tu obejrzał dziesięć minut starego filmu, który już kiedyś widział, tam fragment jakiegoś meczu, najlepiej koszykówki, potem może kawałek dokumentu o rajskich ptakach czy niedźwiedziach polarnych.

Ale – wstyd przyznać – najbardziej lubił reality shows. Duszna atmosfera, wzajemne oskarżenia, pyskówki i romanse. Coś go w tym wszystkim pociągało. Może to, że durne zachowanie durnych uczestników wpisywało się w jego pesymistyczną ocenę ludzkiej natury, potwierdzało jego podejrzenia, że wszyscy jesteśmy próżni, małostkowi i naiwni? Może, spędziwszy większość kariery na knuciu w cieniu, pośród eufemizmów, niedopowiedzeń i porozumiewawczych spojrzeń, znajdował coś oczyszczającego w otwartym, emocjonalnym konflikcie, gdzie wszyscy na siebie wrzeszczą, łkają i wytykają się nawzajem palcami? A może podobała mu się właściwa takim programom perspektywa boga: w reality show nie sposób było ukryć się przed kamerami, rejestrowały każdy grzeszek i kłamstewko, narodziny i rozpady sojuszków, wzloty i bolesne upadki. Wszak marzył o czymś takim od lat.

Kiedyś naszała go już myśl, że stacja kosmiczna byłaby idealną scenerią podobnego programu. Zamknięta przestrzeń i izolacja? Mieli ku temu idealne warunki. Ciągła inwigilacja? A jakże. Ambitni, skrajnie od siebie różni uczestnicy? Byli. Ustrukturuwany dzień, podzielony na – nierzadko bezsensowne – zadania? Zgadza się. Bezosobowy, wszechwładny głos, któremu trzeba się spowiadać z każdej decyzji i słuchać się go we wszystkim? Jest. Różnorakie utrudnienia, drobne uciążliwości, które z czasem rodzą frustracje i spory? Ależ oczywiście.

Steve spodziewał się, że ktoś doda kiedyś dwa do dwóch i zrobi taki show na orbicie. Może nie NASA – chociaż gdyby ostatnie słowo należało do PAO, to kto wie, w pogoni za zasięgami byli gotowi na wiele. Za rok na stację miała przylecieć ekipa filmowa, kręcić tu fragment kolejnego hollywoodzkiego hitu spod znaku zabili go i uciekł, z szalonym scjentologiem w roli głównej. Ale przecież nie brakowało miliarderów, którzy nie wiedzieli, co zrobić ze swoimi pieniędzmi. Więc czemu nie Wielki Brat na orbicie, na prywatnej stacji?

To, co widział właśnie na podglądzie z kamer zamontowanych w śluzie, doskonale nadawałoby się na finał sezonu. Duże emocje, stawka najwyższa z możliwych: ludzkie życie. Lafayette mierzył do Ezry z makarowa. Pilot wisiał bez ruchu, z rękami w górze. Lucy była tuż obok, właśnie zdjęła hełm. Steve nie słyszał, co do siebie mówią – system monitoringu nie był wyposażony w głośniki – ale wiele można było wyczytać z ich gestów i mimiki.

Lafayette był spięty: podkulone nogi, ramiona ściągnięte do środka, łokcie przyciśnięte do brzucha. Gdy kilka chwil temu Steve zobaczył, jak botanik wyciągnął broń, zastanawiał się: dlaczego? Na czyj rozkaz? Co chciał w ten sposób ugrać? Czy to ma jakiś związek z wyciekiem amoniaku? Ale teraz już widział, że to nie była część żadnego wielkiego spisku. Lafayette się po prostu bał. Od dłuższego czasu musiał przeczuwać, że w kontekście narastającego konfliktu z Rosjanami Ezra zignoruje

w końcu rozkazy Lucy, że zrobi się agresywny, wybierze ścieżkę bezpośredniej konfrontacji. Zresztą, z tego co słyszał, byli skonfliktowani już wcześniej. Może doszło do kłótni, może pilot mu groził, może nawet użył siły. W każdym razie Lafayette zapewne wiedział, że kiedy przyjdzie co do czego, to Ezra – bezwzględny, wyszkolony w sztuce zabijania bliźnich i przekonany o własnej racji – będzie nie do powstrzymania, że poleje się krew. Chyba że układ sił w jakiś sposób się zmieni. To dlatego botanik zabrał makarowa z sojuza, dzień albo dwa temu, chociaż musiał sobie zdawać sprawę, że łamie w ten sposób kluczowe punkty regulaminu, że jeśli zostanie przyłapany, będzie to koniec jego kariery. Zabrać pistolet nie było trudno: wszyscy wiedzieli, gdzie jest, nie było żadnego zamka, żadnej kłódki. Zakładano, że – bez względu na to, co by się działo na stacji – zawsze wygra zdrowy rozsądek. Steve, rzecz jasna, nie podzielał takiego domniemania, wielokrotnie prosił Rosjan, żeby usunęli makarowa z wyposażenia kapsuły. Bo, jak odkrył niegdyś ich krajan, jeśli na ścianie wisi strzelba, to w końcu wystrzeli.

Ezra z kolei nie bał się wcale. Tak, miał ręce w górze, ale bynajmniej nie dlatego, że się poddawał. Grał po prostu na czas, ważył swoje opcje. Myślał: czy Lafayette zdobędzie się na to, żeby pociągnąć za spust? Botanik na pewno nie był gotowy zabijać: mierzył w nogi, w najgorszym razie chciał go unieszkodliwić. Ale czy nabój z makarowa da radę przebić czternaście warstw skafandra EMU? A może odbije się rykoszetem i uderzy w ścianę modułu, wywołując gwałtowną dekompresję? Albo trafi kogoś innego? Tego przecież nie przerabiali na zajęciach, o to jedno nie pytali ich na egzaminach. Steve był przekonany, że Ezra się nie zatrzyma, że czeka tylko na dogodną okazję, żeby uderzyć znowu, a potem... Kto wie? Nie miał już nic do stracenia, cokolwiek by teraz zrobił, i tak po powrocie na Ziemię czeka go sąd.

Pytanie, co robi Lucy. Nawet w rozmytym obrazie z kamery widać było szok na jej twarzy. Lafayette musiał działać bez jej wiedzy. Może czuł, że

powinien stanąć w jej obronie – takie rycerskie odruchy kolegów z załogi były problemem każdej kobiety u steru. I tak, przybył jej z odsieczą, ale też postawił ją pod ścianą: mogła albo przystać na to, że broń została wprowadzona do gry, albo rozkazać botanikowi, aby ją odłożył, trzeciej opcji nie było. A grożąc Ezrze śmiercią, przekreślała wszak ostatecznie ideały, które towarzyszyły powstaniu stacji, marzenia, że kosmos daje szansę na nowy początek, lepszych ludzi, relacje oparte na kompromisie, a nie agresji. Ale czy to kiedykolwiek było w ogóle możliwe? Czy nie było oczywiste, że pierwsze morderstwo, pierwszy gwałt, pierwsza wojna wśród gwiazd to tylko kwestia czasu? Poza tym była odpowiedzialna za obie załogi, rosyjską i amerykańską, za misję, za stację. W tej chwili Ezra groził wszystkim i wszystkiemu.

Astronauci tkwili jeszcze w miejscu, mierząc się wzrokiem, jak w klasycznym westernie. Zegar tykał, za chwilę ktoś wykona pierwszy ruch. Steve nie miał pojęcia, co wówczas się stanie. Ale było dla niego jasne, że ta sytuacja to gra o sumie zerowej: ktoś musiał przegrać.

To miała być misja jak każda inna, pomyślała Lucy. Eksperymenty, praca, wideokonferencje z uczniami podstawówki, liofilizowane lody na deser. Nie to. Nie tak.

– Ezra, obróć się tyłem i złap uchwytów – powiedział botanik.

Czy mogła mu ufać? Zabrał makarowa bez jej zgody, bez konsultacji, wbrew wszelkim zasadom. Co jeszcze przed nią ukrywał? Na co jeszcze był gotów?

– Bo? – spytał pilot.

– Bo musimy cię unieszkodliwić. – Lucy ściągnęła rękawice i syknęła z bólu, bo przy okazji pozrywała z kłykci na wpół zakrzepłą krew. – Dla dobra misji.

- Tak ci kazał Anton?
- Zrób, jak mówi Lafayette.
- Nie sądzę.
- Strzykawki są w apteczce – powiedział botanik. – Po twojej lewej.

Lucy sięgnęła po białe pudełeczko z czerwonym krzyżem, przyczepione rzepami do ściany. Było zapięte na zamek błyskawiczny. Próbowwała schwycić za suwak, ale nie mogła, nie była w stanie dostatecznie zgiąć poranionych, zdętwiałych palców. Wymienili się spojrzeniami z Lafayette'em. Oboje zdawali sobie sprawę, że nie przygotuje zastrzyku zeszywniałymi palcami ani go nie poda. Co teraz?

- Dasz radę położyć palec na spuście? – spytał Lafayette.
- Chyba tak.
- To chodź. Wymienimy się.

– Na pewno wiesz, jak się tego używa? – spytał Ezra. Znow chciał ją podminować, zasiać w niej niepewność. Zignorowała go. Odbiła się od ściany, najlżej jak tylko mogła, żeby przypadkiem nie wpaść w Lafayette'a, nie wytrącić mu broni z ręki.

- Gotowa? – spytał botanik.
- Tak. Na trzy.

– Okej. Raz... Dwa... – Lafayette cały czas nie spuszczał wzroku z Ezry. – Trzy!

Wcisnął jej pistolet w dłoń, rękojeść była nagrzana i śliska od potu. Znow stanęły jej przed oczami obrazy ze strzelnicy. Łuski skrzące się na piasku. Drażniący zapach prochu. Czarna sylwetka z dziurą pośrodku czoła. Przełknęła ślinę, położyła kciuk obok bezpiecznika, a palec wskazujący tuż obok spustu. Bolało, musiała zacisnąć zęby, żeby nie jęknąć.

- Zdajecie sobie sprawę, że oni nam wypowiedzieli wojnę? – spytał Ezra.
- Nie przypominam sobie – odparła.
- Rozjebali satelitę nad naszymi głowami.
- To nie to samo.

– Spodziewasz się, że wyślą notę dyplomatyczną?

– Powinni, tak – odparła.

– To nie w ich stylu – powiedział Ezra. Pewnie, dobitnie. On jeden się nie stresował. Mierzyła do niego z pistoletu, ale miała wrażenie, że pomimo tego to pilot wciąż kontroluje sytuację: co się stanie i kiedy się stanie. – Ruscy mają swoją doktrynę, robić jedno, mówić drugie – ciągnął. – Liczą na to, że tak długo, jak będziemy mogli okłamywać samych siebie, że nic się nie dzieje, nie będzie żadnej reakcji. I mają rację.

– Znalazłeś strzykawkę? – spytała Lucy.

– Szukam – odparł Lafayette.

Odwróciła się na chwilę, na mniej niż uderzenie serca, żeby zobaczyć, jak mu idzie. Apteczka była umazana jej krwią. Obok, w powietrzu, unosiły się buteleczki z lekami, rolki bandażu, paczuszki z gazą. Niedobrze, pomyślała, powinien je od razu odłożyć na miejsce, przypiąć, bo zaraz odpłyną, ograniczą im widoczność, ułatwią Ezzre atak. Bo że zaatakuje, była pewna.

– To nie nasza decyzja – powiedziała, przenosząc wzrok z powrotem na pilota.

– Wszyscy tak sobie mówią, wiem. – Skinął głową. – Boją się odpowiedzialności. Ja się nie boję.

– Mam. – Lafayette wyciągnął ampułkę z haloperidolem. Był skupiony, napięty jak struna. On widział już śmierć na biednych ulicach Nowego Orleanu, dla niego to nie była abstrakcja, motyw z filmu, wiedział, że może upomnieć się też o niego. – Minuta i będę gotowy.

– Ezra, złap się uchwytów i obróć tyłem – powtórzyła rozkaz Lucy.

– Wiesz, że mam rację. – Zignorował ją.

Może i ma rację, przeszło jej przez myśl. Może za długo trzymaliśmy się tej fikcji, może za długo chcieliśmy wierzyć, że Rosjan da się ugłaskać, że przecież oni też chcą Netflix'a, McDonald'sa i Diora, że nie opłaca się

ryzykować utraty taniego paliwa dla idei. Nie ma przecież samochodu na idee.

– Obróć się tyłem – powiedziała raz jeszcze. Głośno, jak gdyby chciała przekrzyczeć nie tylko wentylatory, ale i samą siebie.

– Lepiej mierz w głowę. – Pilot stuknął palcem w czoło, uśmiechając się drwiąco.

– Tak do niego nie podejść. – Botanik wciąż tkwił w miejscu. W rękę miał już strzykawkę. Podajnik był pełen, dość, żeby powalić konia.

– Ezra – warknęła, unosząc broń. – Nie zmuszaj mnie.

– Nie strzelisz.

– Jesteś pewien? – warknęła. – Obróć się.

Mierzyli się wzrokiem. Wiedziała, że był gotowy odbić się i skoczyć ku niej, że może to zrobić w każdej chwili. Miałaby wtedy ułamek sekundy na podjęcie decyzji. Strzelić, nie strzelić? Co się stanie, jeśli pociągnie za spust? A co, jeśli da sobie odebrać broń? Który scenariusz jest gorszy, w którym padnie więcej trupów? Ciężar odpowiedzialności ją przytłaczał, miażdżył głowę jak imadło.

Zauważyła ruch i natychmiast poczuła adrenalinowy haj: zaszumiało jej w skroniach, serce zaczęło walić w piersi. Ale nie, wszystko okej, powiedziała sobie, kiedy tylko zdążyła przeprocesować, co się właściwie dzieje. Ezra zacisnął dłonie na uchwytych, tak jak mu rozkazali, i obrócił się tyłem.

– Dalej – powiedział. – Róbcie swoje, *no bystro*.

Lafayette jeszcze nie ruszył, jeszcze patrzył na nią, zadawał wzrokiem pytania: nie zostawisz mnie samego? Dasz radę, jakby co? Skinęła lekko głową. Botanik wziął głęboki oddech i podpłynął do Ezry. Zatrzymał się tuż za jego plecami, uniósł dłoń ze strzykawką, gotowy wbić ją w odsłonięte ciało, w szyję. Igła błysnęła w zimnym świetle LED-owych listw.

Nagle botanik zgiął się wpół. Ezra musiał uderzyć go łokciem. Lucy nie miała jak zareagować, Lafayette przesłonił jej linię strzału. Odbiła w bok,

żeby mieć jak wycelować, ale Ezra w tym czasie już przyciągnął botanika na powrót do siebie, schował się za jego ciałem jak za tarczą. Wykręcił mu dłoń ze strzykawką, drugie ramię oplótł wokół szyi.

– W takiej sytuacji – powiedział Ezra, zupełnie spokojnie, konwersacyjnym tonem – należało najpierw kazać jeńcowi założyć sobie kajdanki.

– Puść go.

– Albo chociaż opaski uciskowe.

– Puszczaj!

– Ale skąd miałaś wiedzieć?

Botanik się szarpał, wierzgał. Niczego to jednak nie zmieniało, nie miał żadnych szans. Ona też by nie miała. Nie będzie miała.

– Robisz tylko to, co jest w procedurach – dodał Ezra, zaciskając mocniej uchwyt wokół szyi Lafayette’a. – Tak, jak cię zaprogramowano.

– Liczę do trzech.

Botanik zrobił się siny na twarzy, na usta wypłynęły mu bąble ze śliny. Wypuścił strzykawkę z ręki. Kręciła się wokół własnej osi.

– Raz – powiedziała Lucy.

– Tej sytuacji nie było w podręczniku i co? – spytał Ezra. – Nie masz pojęcia, co zrobić. Ani z Ruskimi, ani ze mną.

– Dwa.

– Odłóż broń, to go puszczę.

Nie ma głupich, pomyślała. A potem odciągnęła bezpiecznik.

Na początku Steve nie rozumiał, na co patrzy, co się właściwie stało. W jednej sekundzie widział wszystko jak na dłoni, a w następnej – zupełnie nic. Ekran z podglądem z kamer wypełniła biel, jak gdyby ktoś przesłonił obiektyw kartką.

– CRONUS, Flight – w słuchawkach zabrzmiał głos Roberta Schiffa, który robił co mógł, żeby zachować fasadę opanowania. Nikogo nie nabrał. – Status monitoringu w służbie Quest?

– W pełni sprawny.

– Transfer danych?

– Bliski maksimum, w obie strony.

– Flight, BME – wciął się kontroler odpowiedzialny za sygnały biomedyczne. – Mamy gwałtowny skok tętna u Lucy.

– Przyjąłem, BME – uciął Robert. Nie mógł się teraz rozpraszać, musiał skupić uwagę na tym, na co może mieć wpływ. Ludzi, jak boleśnie się przekonali, kontrolować już nie mógł. – CRONUS, cofnij nagranie i puść w zwolnionym tempie. Dziesięć klatek na sekundę.

Obraz na wielkim, kinowym ekranie w centrum kontroli lotów przewiął się do tyłu. Rozwiała się biel, a Steve znów zobaczył troje astronautów w ciasnej przestrzeni: Lafayette w uścisku Ezry, Lucy naprzeciwko, tyłem do obiektywu, ręce wyprostowane, pistolet wycelowany w pilota. Nagle lufa przesunęła się w bok, nawet w spowolnieniu ruch był błyskawiczny.

– CRONUS, Flight – wtrącił Robert – zatrzymaj nagranie.

Dynamiczny obraz znieruchomiał, niczym kadr z komiksu. Rozbłysk wystrzału (*POW!*). Lucy leci do tyłu, niesiona siłą odrzutu, prosto na ścianę (*BANG!*). Tuż przy przypiętej do ściany gaśnicy pojawia się niewielki obłok białego gazu (*PFFF!*).

– Teraz puść klatka po klatce – polecił dyrektor lotów.

Klik. Obłoczek urósł do rozmiaru chmury. *Klik.* Wypełnił cały ekran.

Cwaniara, pomyślał Steve z uznaniem.

Lucy miała ułamek sekundy, żeby podjąć decyzję: wystrzelić czy nie? A jeśli tak, to w co? W jej głowie wybuchła feeria impulsów, stery przejęły

intuicja i instynkt przetrwania. Przebiegając po synapsach, sygnały elektryczne rozrysowały skomplikowane drzewo decyzyjne, pełne wzajemnie wykluczających się rozgałęzień. Wymierzyć w odsłoniętą głowę? Nie, bo zabijać powinna wyłącznie w ostateczności, poza tym jeśli chybi, może trafić w Lafayette'a. Celować w nogi albo w rękę? Nie, bo skafander EMU był tak gruby, że prawdopodobnie zatrzymałby pocisk.

W takim razie może strzelić w ścianę? Jeśli nabój przeszedłby na wylot, doszłoby do dekompresji. Przy tak niewielkim otworze nie byłaby ona gwałtowna, ale towarzyszący jej hałas mógłby na chwilę odwrócić uwagę Ezry, dać jej przewagę. Ale znów, nie: bo może uszkodzić któryś z systemów ukrytych pod panelami i uruchomić kaskadę awarii, której nie będzie można potem zatrzymać, albo w ogóle zabije ich wszystkich na miejscu. W śluzie znajdował się przecież zbiornik czystego tlenu, którym oddychali przed spacerem kosmicznym, żeby usunąć z krwiobiegu azot. A tlen był równie życiodajny, co zabójczy – w dużym stężeniu mógł sprawić, że zapłonie nawet metal. W takim razie może strzelić w źródło światła? To by miało sens, gdyby pod sufitem wisiła pojedyncza żarówka, ale listwy LED w ten sposób nie zniszczy, poza tym, znów: może chybić albo coś uszkodzić, odpada. Ale trop jest dobry: jak rozproszyć Ezrę, odwrócić jego uwagę, jednocześnie nie ryzykując zniszczenia stacji?

Lucy zarejestrowała czerwony kształt na lewo od pilota. Gaśnica. Doskonale wiedziała, co to za model, tyle razy ćwiczyła przecież procedury przeciwpożarowe, tyle razy miała ją w rękach. Cylinder ze stalowej blachy, wypełniony ciekłym dwutlenkiem węgla, ciśnienie między pięćdziesiąt pięć a sześćdziesiąt barów. Śluz Quest była wielkości windy towarowej – po przerwaniu powłoki gaśnicy dwutlenek węgla wypełniłby taką przestrzeń w okamgnieniu. Co więcej, wyparłoby powietrze, co oznaczałoby, że przynajmniej przez chwilę Ezra będzie miał kłopoty z oddychaniem: zacznie się krztusić, może nawet zemdleje. Idealnie.

Oczywiście – jak zawsze – były też zagrożenia, i to liczne. Po pierwsze, istniało prawdopodobieństwo, że pocisk będzie rykoszetował albo przeleci przez gaśnicę na wylot, i to wciąż z wystarczająco dużą energią, żeby coś uszkodzić. Po drugie, gaz schładza się podczas rozprężania – tuż przy wylocie z otworu wybitego przez pocisk dwutlenek węgla będzie tak zimny, że w kontakcie ze skórą spowoduje odmrożenia. Po trzecie, jeśli gaśnica urwie się z uchwytu, zadziała jak zabójczy pocisk: będzie miotać się po śluzie jak rozsypłany balon, tyle że o masie kuli do bowlingu. Po czwarte wreszcie, Lucy musiała wziąć pod uwagę dalsze zaburzenie atmosfery stacji, ryzyko przeciążenia filtrów. Ale nie widziała innych opcji – i nie miała więcej czasu.

Nim pociągnęła za spust, wzięła jeszcze głęboki oddech przez nos (żeby miała czym oddychać), otworzyła usta (żeby fala dźwiękowa nie rozerwała jej bębenków) i zacisnęła powieki (żeby lodowaty gaz jej nie oślepił). Ostatnie, co zobaczyła, to kpiący uśmiezek na twarzy pilota. Pewnie myślał, że będzie strzelała na oślep, że zamyka oczy, bo boi się broni, nie może patrzeć na to, co się stanie. Czekąca go nieprzyjemna niespodzianka.

Huknęło, zasyczało, Lucy poleciała do tyłu, walnęła plecami o plastikowe panele. Chwila nerwów, niepewności, ale wciąż żyła, czyli pocisk nie trafił rykoszetem w zbiornik z ciekłym tlenem, nie dostała w głowę gaśnicą, nie ryczały też alarmy, czyli nie doszło do dekompresji stacji. Uff. Otworzyła oczy, wokół tylko biel. Ezra był chyba tuż przy niej – nie widziała go, ale słyszała jego kaszel. Zdawała sobie jednak sprawę, że to długo nie potrwa. Zastłona zimnego gazu już się przerzedzała, już zaczęły przezierać przez nią światła diodek. Lucy musiała działać szybko, nim filtry oczyszczą powietrze, nim straci element zaskoczenia i przewagę.

Schowała broń i odbiła się od ściany, jak najdalej od Ezry, wciąż wstrzymując oddech. Szukała strzykawki z haloperidolem. Kiedy widziała ją ostatni raz, ta unosiła się leniwie pośrodku pomieszczenia, ale nagły podmuch gazu mógł ją pchnąć w dowolnym kierunku, mógł też – oby nie!

– roztrzaskać ją o ścianę. Lucy macała na oślep, z rosnącą desperacją, kłuło już ją w płucach, już zaczynało mroczyć przed oczami. Co chwila coś wpadało jej w palce, bo wewnątrz śluzę wypełniała zawartość rozbebeszonej przez Lafayette’a apteczki: plastry, gaziki, pudełka leków. Odtrącała je na boki, niecierpliwie, jak natrętne muchy. Widziała już Ezrę: był zgięty wpół, charczał, z kolei botanik unosił się kawałek dalej, pod sufitem, jakby dryfował na wodzie. Odwróciła od nich wzrok, rozglądała się wokół, świadoma, że zegar tyka, że zaraz wróci do sytuacji startowej, że nie zdobędzie się na to, by wystrzelić drugi raz.

Coś błysnęło w siwym powietrzu. Lucy wyciągnęła dłoń i poczuła gładki plastik pod opuszkami palców. Strzykawka! Właśnie miała ją chwycić, ale ta odbiła się od jej palców i odleciała dalej, tymczasem Ezra już wyrównał oddech, już jej szukał wzrokiem. Lucy wyprostowała nogi, żeby się odbić, ale była zbyt daleko od podłogi, nie sięgnęła jej stopami. Zgięła więc kolana raz jeszcze i kopnęła w ścianę. Pomogło. Otworzyła krwawiącą dłoń, chwila niepewności, chwila nerwów, ale udało się, złapała strzykawkę, była cała. Teraz albo nigdy.

Obróciła się w powietrzu i odepchnęła mocno od sufitu, niczym pływaczka, która zmienia kierunek na końcu toru. Poleciała wprost ku Ezrze. Pilot próbował ją zatrzymać, ale był wciąż w szoku, zbyt powolny, minęła jego wyciągnięte dłonie. Żeby tylko nie trafiła w kość, pomyślała jeszcze Lucy, żeby igła nie pękła, żeby środek zadziałał. Zamachnęła się, uderzyła, strzykawka weszła miękko w ciało. Nim docisnęła kciukiem tłok do końca, Ezra już ją schwycił za nadgarstek, i to tak mocno, że musiała puścić, już szukał dłonią jej gardła, gotowy zmiażdżyć krtań – ale było za późno. Lek uspokajający zaczął działać, widziała to w jego gasnących oczach, w tężejącej twarzy, na której malowało się zaskoczenie. Śpij słodko, skurwysynu.

Wyślizgnęła się z jego słabnącego uścisku i wzięła haust powietrza, nie mogła już dłużej wytrzymać. Nie zarejestrowała żadnej różnicy w smaku

ani zapachu, ale to nie znaczyło, że była bezpieczna: dwutlenku węgla nie dało się przecież wyczuć. Chciała działać już, teraz, natychmiast, jak najszybciej związać i zakneblować Ezrę, połączyć się z Houston, żeby powiedzieli jej, co ma zrobić, zdjęli z niej odpowiedzialność – mieć ten cały koszmar za sobą. Ale zdawała sobie sprawę, że nie może się spieszyć, że nie może dopuścić do tego, żeby zaczęło jej się teraz kręcić w głowie, żeby zemdląca. Sięgnęła więc po maskę z tlenem i naciągnęła ją na twarz.

Pierwszy oddech.

Teraz trzeba znaleźć taśmy, pomyślała.

Drugi oddech.

Lafayette musi mi pomóc, żeby na pewno były mocno sklezione, żeby Ezra się nie oswobodził.

Trzeci oddech.

Właśnie, Lafayette. Dopiero teraz tknęło ją, żeby sprawdzić, co z botanikiem. Spojrzała w jego kierunku. Był nieprzytomny. Obok jego głowy, jak rozsypane korale, wisiały krople krwi.

Steve siedział naprzeciw swojego szefa, dyrektora NASA Adama Lundberga. Adam miał na sobie szary garnitur, białą koszulę i czarny krawat – paleta barw zawodowego urzędnika. Do tego włosy starannie zaczesane na bok, gładko ogolone policzki, okulary w cienkich oprawkach i skórzana aktówka. Krótko mówiąc, Adam pasował jak ulał do estetyki rządowych budynków: tych niekończących się korytarzy, oceanów wykładziny dywanowej, martwego światła jarzeniówek. Zlewał się z tym otoczeniem niczym kameleon albo raczej jak modliszka.

– Za dziesięć minut mam briefing z Białym Domem – powiedział Lundberg. – Na czym stoimy?

– Otworzyliśmy kanał z Poplaski – odparł Steve. – Ezra został unieszkodliwiony, Summers jest ranny. Nie ma z nim kontaktu.

– Co się stało?

– Nie jesteśmy pewni. Był blisko gaśnicy, niewykluczone, że dostał odłamkiem. Rana jest powierzchowna, ale stracił sporo krwi.

– Stan?

– Pięć minut temu stabilny. Teraz nie wiem. Mają mnie informować.

– On nie może umrzeć – zarządził Lundberg. Tak jakby to było w gestii któregoś z nich.

– Musimy go w takim razie jak najszybciej ściągnąć na Ziemię.

– Ile mamy czasu?

– Mało.

Adam Lundberg zabębnił palcami po stole, pokręcił głową.

– Będzie dużo pytań, kiedy to się skończy – powiedział.

– Wiem – odparł Steve.

– Również o to, czyja to wina.

– Tak, oczywiście.

– Lepiej, żebyś miał gotową odpowiedź.

Steve skinął głową. Niezależnie od tego, jaki będzie finał tej historii, kogoś trzeba będzie poświęcić, rytualnie ukamienować przed kamerami. Winny musi mieć imię, nazwisko i twarz, na ławie oskarżonych nie można przecież posadzić „kultury organizacji”, „biurokratycznej inercji” ani tym bardziej „konsekwencji błędnych założeń w polityce zagranicznej kraju”. Nie można też zakuć w kajdanki rachunku prawdopodobieństwa, a przecież choćby cała agencja stawiała na rzesach, to przy tak skomplikowanym projekcie jak Międzynarodowa Stacja Kosmiczna, który trwał już ponad dwie dekady, coś musiało w końcu pójść nie tak. Waszyngton oczekiwał jednak prostego procesu przyczynowo-skutkowego, uproszczonego modelu rzeczywistości. I te oczekiwania trzeba było jak najszybciej zaspokoić, bo NASA nie lubiła być w centrum uwagi. Jej

projekty – tak, jak najbardziej. Poszczególni, starannie wybrani i przeszkoleni przez pijarowców pracownicy – i owszem. Ale nie sama organizacja. Bo wtedy, w ostrym świetle fleszy, widać było różnego rodzaju grzechy, zarówno te z ostatnich lat, jak podejrzanie bliskie związki z przemysłem czy napompowane do absurdu przetargi, jak i te z przeszłości, starannie tuszowane. Choćby to, że fundamenty pod agencję wylali nazistowscy zbrodniarze przeszczepieni tuż po wojnie na amerykański grunt. Von Braunowie, Debus, Dornberger, Rickhey, Schreiber, Strughold: tę listę można by ciągnąć długo, listę ich ofiar – zagłodzonych w niewolniczych fabrykach, zamrożonych żywcem w ramach bestialskich eksperymentów, rozerwanych na kawałki rakietami V-2 – jeszcze dłużej. Kogoś trzeba było więc poświęcić, i to jak najszybciej. Steve już się zastanawiał, kto powinien powędrować na szafot: Robert Schiff? Sarah Faizan? O sobie się nie martwił, zadbał, żeby nie zostawiać śladów, załatwiał wszystko nieoficjalnie, bez protokołów ani nagrań. Może będzie musiał odejść, ale nie na ławę oskarżonych, tylko do rady nadzorczej którejś z prywatnych firm. Miał tam wielu znajomych.

- Zajmę się tym – powiedział po prostu.
- Doskonale. Co z Rosjanami? – spytał Adam.
- Udają oburzenie.
- Nie interesuje mnie, co udają. Chcę wiedzieć, co zrobią.

Wszyscy byśmy chcieli wiedzieć, pomyślał Steve. Było mu gorąco. Kołnierzyk ocierał spoconą szyję, skarpetki piły w kostki.

– Dla nich to samograj – przyznał. – Jak tylko sprawa wyjdzie na jaw, przyćmi kwestię testu broni przeciwsatelitarnej. Mogą załamywać ręce i drzeć szaty. Co więcej, mają w ręku wszystkie karty, jeśli chodzi o ewakuację.

- Rozwiń. – Adam poprawił okulary.
- Na stacji są dwie kapsuły, którymi można wrócić na Ziemię – powiedział Steve. – Sojuz i dragon. Dragona pilotował Wendley,

nawigatorem był Summers. Z oczywistych względów żaden z nich nie może usiąść teraz za sterami.

– Co z pozostałymi?

– Poplaski przeszła podstawowe szkolenie. Anand to turystka, nie można jej w ogóle brać pod uwagę.

– To jakie mamy opcje?

– Same nieciekawe – przyznał Ayers. – Zarówno Summersa, jak i Wendleya trzeba jak najszybciej ewakuować z orbity. W idealnym świecie wróciliby sojuzem, razem z Antonem. Na stacji zostaliby wtedy Lew, Lucy i Devaki. My wysłalibyśmy jakiegoś astronautę, który został przeszkolony z lotów dragonem, z następną rosyjską misją, z Kazachstanu.

– Ale nie żyjemy w idealnym świecie.

– Oj nie.

– Jaka będzie odpowiedź Moskwy? – spytał Lundberg.

– Nie wiem. Ale gdybym miał zgadywać...

– Zgaduj.

– Jeśli nam odmówią, trzeba będzie jednak wrócić dragonem – powiedział Ayers. – Lot będzie musiała pilotować Poplaski, ze związanym Wendleyem po lewej i nieprzytomnym Lafayette'em po prawej. A na stacji zostanie dwóch Rosjan i rzygająca turystka, która nijak nie będzie w stanie kontrolować, co robią. Gdybym to ja miał wybierać...

– Tak. – Lundberg był trupio blady. – Rachunek jest oczywisty. Jakie są szanse, że Poplaski wyląduje?

– Te kapsuły są całkowicie zautomatyzowane... Pilot nie musi właściwie niczego robić, o ile nie ma jakichś komplikacji albo awarii.

– Nie powinno być. To dobry sprzęt.

– Tak. Ale z drugiej strony to będzie lot niezaplanowany, po trajektorii balistycznej, a więc ogromne przeciążenia...

Adam spojrzął na zegarek, po czym wstał od stołu. Biały Dom nie lubił czekać. Nim wyszedł z salki konferencyjnej, zatrzymał się jeszcze na chwilę

w drzwiach.

– Tak? – spytał Steve.

– Znajdźcie jej męża – odparł Lundberg. – Zanim zrobią to media.

Lucy się trzęsła. Nie spała całą dobę, jej ciało było wycieńczone wielogodzinnym spacerem kosmicznym i na adrenalinowym głodzie po konfrontacji z Ezrą. Marzyła o tym, żeby wejść do swojej ciasnej kabiny, zawinąć się w przepocony śpiwór, chociaż na chwilę zamknąć piekące oczy, pozwolić, żeby warkot wentylacji wypełnił głowę, wyparł wszystko inne. Nie mogła sobie na to pozwolić. Koszmar wcale jeszcze się nie skończył.

Była w module Unity. Ramiona miała umazane krwią aż po łokcie. Przed nią, przypięty pasami na rzepy do rozkładanego stolika, leżał Lafayette. I powoli umierał.

Lucy przeszła szkolenie z ratownictwa medycznego, oczywiście zaliczone z najwyższą możliwą oceną. Potrafiła usztywnić złamane ramię i opatrzyć zwichnięte stawy, wiedziała, jak zrobić masaż serca i sztuczne oddychanie, ba, gdyby trzeba było, mogła nawet borować zęby i zakładać plomby. Ale kiedy omawiali na szkoleniu rany krwawiące, instruktorzy NASA podzielili je na dwie kategorie: powierzchowne i śmiertelne. W stanie mikrogravitacji nie dało się bowiem przeprowadzić operacji, przynajmniej nie z pomocą aparatury stosowanej na Ziemi. Krew, zamiast wypływać z rany, zbierała się w wielkim bąblu wokół rozcięcia, albo jeszcze gorzej, gdzieś wewnątrz ciała, co było równoznaczne z późniejszym zakażeniem. Płyn z kroplówki nie ściekał swobodnie – trzeba było go pompować – a uwięzione w nim powietrze, zamiast uciekać ku górze i zostać w podajniku, było wtłaczane do żył, co wielokrotnie zwiększało ryzyko

zatoru. I tak dalej, i tym podobne, lista potencjalnych komplikacji była długa.

Jedyne, co mogła zrobić na orbicie, to zatamować krwawienie. Uciskała więc przeciętą żyłę obiema dłońmi i wrzeszczała tak długo, aż udało jej się przekrzyczeć wentylatory, aż Devaki przyszła jej na pomoc. Owinęły ranę gazikami, związały ciasno bandażem, patrzyły, jak opatrunek nasiąka czerwienią. Lafayette powinien jak najszybciej trafić na stół operacyjny – ale od najbliższego szpitala dzieliły ich setki kilometrów, a dostać się tam nie było łatwo.

– Ja tutaj nie zostanę. – Głos Devaki wybił ją z toku myśli.

Programistka unosiła się obok stołu. Jej dres był upstrzony na czerwono, skóra jeszcze bledsza niż wcześniej.

– Musisz – wychrypiała Lucy. Głos miała zdarty od krzyczenia.

Już dostali decyzję. Moskwa odmówiła uzyczenia sojuza, musieli wracać dragonem. Z nią w fotelu pilota. Miała godzinę i dwadzieścia minut na to, żeby przygotować siebie i nieprzytomnych współpasażerów do lotu. Zwykle ten proces trwał bity tydzień.

– W kapsule są cztery miejsca – Devaki nie ustępowała.

– Ktoś musi zostać.

– Ja to mam zapisane w kontrakcie. W sytuacji zagrożenia życia...

– Nie ma mowy – weszła jej w słowo Lucy.

– Zapłacę.

– Sto dwadzieścia miliardów dolarów? Bo o to toczy się gra.

Devaki umilkła. Była przerażona. I zdesperowana.

– Proszę – powiedziała.

– Nawet gdybym chciała, mamy tylko trzy skafandry do dragona.

– To założę twojego Orłana.

– Nie pasuje do złącza w fotelu. Ugotujesz się.

– Proszę – powtórzyła Devaki.

Lucy było jej żal, ale rozkazy, które otrzymała, brzmiały jednoznacznie: stacji nie można było zostawić w rękach Rosjan. Obie, i ona, i Devaki, dały się zwieść zapewnieniom, że Międzynarodowa Stacja Kosmiczna to przede wszystkim stacja badawcza, neutralny grunt, miejsce, gdzie gasnące i wschodzące imperia odsuwają na bok swoje animozje, by wspólnie wydrzeć kolejną tajemnicę wszechświatowi. Tymczasem nauka była listkiem figowym, który przesłaniał – dotychczas całkiem skutecznie – polityczną grę. Teraz listek został zerwany, a Devaki zorientowała się, że zapłaciła miliony za to, żeby znaleźć się na linii frontu w otwartym właśnie konflikcie, jej skafander zaś stał się mundurem. Lucy wiedziała, że milionerka żałuje teraz swoich decyzji, że chce wrócić do męża, do dzieci, świata bieżącej wody, góry i dołu, dnia i nocy. Rozumiała ją lepiej niż ktokolwiek inny. Ale tym razem zgadzała się z decyzją Houston, wiedziała, że jeśli zostawią stację swoim partnerom na trzy miesiące, nie będą mieli do czego wracać.

W świetle tego, co się wydarzyło, zastanawiała się: czy kiedy Rosjanie zepchnęli stację z kursu, przyłączając Naukę, rzeczywiście byli po prostu niekompetentni, czy już wtedy zaczęli sabotaż? Czy ich filtry powietrza Elektron dymiły ze starości, czy na życzenie kontrolerów z Moskwy? Czy faktycznie nie wiedzieli, skąd się bierze amoniak, czy znaleźli sposób, jak ukradkiem, powolutku pompować go do atmosfery stacji, żeby później zwalić winę na wadliwy system chłodzenia w części amerykańskiej? I na co ich jeszcze stać? Czy skorzystają z tego, że będą mieli za chwilę przewagę liczebną, żeby sfabrykować kolejny kryzys, na tyle poważny, aby posłużył za pretekst do zniszczenia i ewakuacji stacji – i tym samym pozbawia Zachód pomostu do gwiazd? Czy Devaki – przerażona, wyniszczona miesiącami nieustających torsji programistka – będzie w stanie ich powstrzymać?

Do Unity wpłynęli Rosjanie. Anton trzymał pod pachą skafander pokładowy dla Lafayette'a, Lew niósł jego hełm. Oficjalnie wciąż tworzyli

jedną załogę, a Lucy potrzebowała ich pomocy. Wiedziała, że bez nich nie zdąży przygotować się do lotu na czas, że albo zaufa im ten jeden, ostatni raz, albo będzie szykować pierwszy w historii kosmosu pogrzeb.

– Jak się trzyma? – spytał Anton, wskazując botanika.

– Źle – odpowiedziała Lucy.

– Przeżyje lot?

– Nie wiem, Anton. A co byście woleli?

– Moment, moment. – Rosjanin uniósł ręce w geście protestu. – To jest akurat wasza wewnętrzna sprawa.

– A satelita, który nam wybuchł nad głowami? Trafiony rakieta?

– To nie była nasza decyzja – powiedział Lew. W przeciwieństwie do Antona nie szukał zaczepki, jego ton był przepraszający. I może naprawdę było mu żal. Może Lew należał do tego wąskiego grona Rosjan, którzy nie płakali po łagrach, tankach i żelaznej kurtynie, którzy wierzyli, że naprawdę może być inaczej, że może być lepiej. Może patrzył na Zwiozdny Gorodok pod Moskwą, tę nieudolną rekonstrukcję amerykańskiego przedmieścia, stworzoną na potrzeby zachodnich astronautów, z domkami, werandami, trawniczkami, rabatkami, i myślał, że ten przeszczep może się przyjąć, rozrosnąć, wydać nasiona. Może czuł taki sam gorzki zawód jak Lucy.

– Nie chce mi się o tym gadać – powiedziała.

– To waszemu koledze odwaliło – ciągnął z uporem Anton.

– Myślisz? – warknęła. – A może miał rację?

– Słucham?

Wiedziała, że powinna zachować spokój, że wdawanie się w pyskówki nic nie da, że nie ma na to czasu, że antagonizując dalej Rosjan, utrudni tylko życie Devaki. Ale każdemu czasem się ulewało, nawet jej.

– Może powinniśmy was stąd wywalić na zbity pysk, razem z tym waszym blaszonym skansenem – wycedziła. – Może powinniśmy byli to zrobić dawno temu.

– Pewnie, jak już ukradliście nasze know-how?

– Bardzo się ucieszyli w Moskwie, jak im nadałeś, co się stało? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. – Strzelały korki od igrystoje?

– A wy byście się nie cieszyli? – Rosjanin podniósł głos. – Nie cieszyliście się, jak sypał nam się kraj?

– Przestańcie – wcięła się Devaki. – Błagam, przestańcie.

– Wyobraź sobie, że nie – odparła Antonowi Lucy. Nie do końca szczerze.

– Nieźle. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Czyli sama uwierzyłaś w te kłamstwa o przyjaźni i pomocy?

Miała odpowiedź na końcu języka. Ale tym razem się ugryzła.

– Nie mam na to czasu – powiedziała, przenosząc wzrok na Lafayette’a. Jego skóra miała kolor popiołu. – Załóżcie mu skafander. Devaki, gdzie jest twój?

– W dragonie.

– Okej. Zmień mu jeszcze opatrunek, zanim założycie hełm, dobrze? A potem Ezra.

– To nie jest nasza wina – kontynuował Anton. – Albo inaczej: nie tylko nasza.

Rosjanin patrzył jej prosto w oczy, jakby czegoś w nich szukał.

– Czego ty właściwie ode mnie chcesz? – spytała. – Rozgrzeszenia?

– Powiedz mi, że nie mam racji.

– Pierdol się – odpowiedziała. – Idę się ubrać i przygotować kapsułę. Za dwadzieścia minut chcę mieć ich obu w fotelach. Jasne?

– Jasne – potwierdził Lew, nim Anton zdążył otworzyć usta. – I... Lucy?

– Tak?

– Przepraszam.

Spojrzała w oczy starszego kosmonauty. Były w nich łzy.

Lucy skinęła głową i odepchnęła się od ściany. Miała jeszcze coś do załatwienia.

Steve siedział znowu w kącie pokoju VIP przy centrum kontroli lotów. Miał na głowie słuchawki. Pił kawę. Obgryzał paznokcie. Dzień, jakich wiele – spędził w tym pokoju dobrą ćwierć swojego życia – tylko stawka wyższa niż kiedykolwiek.

– OPSPLAN, Flight, podaj status – usłyszał głos Roberta Schiffa.

– Przygotowania do lotu zgodnie z planem i na czas – odpowiedział wywołany kontroler. – Trajektoria powrotna potwierdzona i wgrana do komputera pokładowego. Lądowanie o osiemnastej dwanaście czasu lokalnego, w promieniu piętnastu kilometrów od 34°12'43" północ, 66°20'28" zachód. Ekipa ratunkowa będzie na miejscu za czterdzieści minut, USS Wabash i USS Klamath.

– Dziękuję. TOPO, Flight. Maksymalne przeciążenia?

– Siedem g.

– Dziękuję – odparł Robert. – Surgeon, Flight. Status Summersa?

– Stabilny.

– Szanse na przeżycie?

– Dwadzieścia pięć procent.

Zrobiło się cicho. Steve uniósł wzrok. Robert zamknął oczy, pocierał skronie.

– OSO, Flight – powiedział po chwili. – Podaj status. Procedury awaryjne przećwiczone?

– Wciąż czekam na Poplaski.

Dyrektor lotu uniósł głowę. Widać było, że się spał.

– Nie ma jej w kapsule? – spytał.

– Nie. Jest... – chwila ciszy, kontroler przeskoczył przez podgląd kamer

– ...w Tranquility.

– Czemu?

– Nie wiem, Flight.

Fantastycznie, pomyślał Steve. Kolejna niespodzianka. Co tym razem?

– CAPCOM, Flight. Co ona tam robi?

– Nie mam pojęcia. Wygląda, jakby... Czegoś tam szukała?

– Wdzwoń się do jej modułu i spytaj – powiedział Robert.

Anna Rathke zastukała w klawiaturę, przełączyła się na inny kanał. Po chwili znów usłyszeli jej głos.

– Flight, CAPCOM. Poplaski mówi... – Była astronautka urwała w pół zdania, zaczęła raz jeszcze, jakby nie do końca wierzyła w to, co sama przed chwilą usłyszała. – Mówi, żebyśmy dali jej spokój.

Białe pudełko wielkości papierośnicy. Pluskwa. Lucy uznała, że nim opuści stację, musi ją znaleźć – i zniszczyć. Wcześniej nie chciała jej ruszać, żeby nie wpakować Antona w kłopoty, poza tym zdawała sobie sprawę, że jej usunięcie będzie równoznaczne z przyznaniem się, że wiedziała o jej istnieniu już wcześniej i nie podzieliła się tą informacją z przełożonymi. Teraz było jej już wszystko jedno. Trudno. Chociaż działała w dobrej wierze, i tak groził jej proces, niesława, może nawet więzienie. Raz kozie śmierć, pomyślała.

Lucy dała sobie dwadzieścia minut, potem musiała przygotować się do lotu powrotnego. Moduł Tranquility był niewiele większy niż budka telefoniczna, tyle czasu powinno więc wystarczyć, żeby przejrzeć go od góry do dołu. Ale każdy skrawek ściany, każdy zakamarek były do czegoś wykorzystane, czymś przesłonięte. I choć astronauta mieli ścisłe instrukcje, co gdzie powinno się znajdować, rzeczywistość nigdy nie odzwierciedlała tego rozrysowanego na papierze ideału. Każdy przedmiot zdawał się żyć, mieć własne plany, niczym w jakiejś bajce, gdzie czajnik tańczy oberka z filiżankami, a świecznik bawi się z zegarem w chowanym. Wystarczyło wysunąć szufladę, a jej zawartość wysypywała się na zewnątrz jak konfetti,

otworzyć panel, a upchnięte pod nim kable prostowały się, wyginały, wymykały spod palców. Ławica węgorzy, latający potwór spaghetti. Próbowali opanować ten chaos – rzepami, taśmami, śrubami, gumkami – ale wszystkie starania były ostatecznie skazane na porażkę. Porządek był wyłącznie tymczasowy, zawsze w końcu wygrywała entropia.

Lucy zajrzała do schowka za toaletą. Zapasowe ubrania. Ręczniki. Papier toaletowy. Proza życia, bez której nie powstanie epos o gwiazdach. Zatrzasnęła drzwiczki – nie, nie tu. Następna: golarka, odkurzacz, części wymienne do bieżni, puszka ze smarem. Nic podejrzanego. Szesnaście minut. Lafayette pewnie już siedzi w dragonie, pomyślała Lucy, przypięty pasami, nieprzytomny. Poczowała ukłucie winy – to ona przecież pociągnęła za spust, ona prawie go zabiła. Przełknęła wyrzuty sumienia jak gorzką pigułkę. Nie teraz.

Zajrzała do kolejnego schowka. Wyglądał obiecująco, tu przechowywali części do elektroniki, zapasowe ładowarki, słuchawki, myszki, kable USB, kamerki. Dodatkowy gadżet nie rzuciłby się w oczy, nie zwróciłby uwagi. Szperała w środku i nagle kolejny wyrzut sumienia: wspomnienie wspólnej zabawy z Elizą. Były tylko we dwie, rzadka, cenna chwila. Lucy dopiero co wróciła z lotniska, jeszcze nie przepakowała torby – kolejny lot miała następnego dnia – a mała zaciągnęła ją do swojego pokoju, żeby zbudowały razem coś z lego. Ale Lucy była zmęczona, nie potrafiła dołączyć do córki w jej przestrzeni, ograniczonej do czterech ścian, wyjętej poza nawias obowiązków, pilnych wiadomości i ambitnych planów, za to pokolorowanej wyobraźnią. Udawała tylko, że coś buduje, przerzucała bezmyślnie klocki, niby czegoś szukając, jakby chciała tym plastikowym grzechotaniem zamaskować swoją nieobecność. Absurd – wracać do tego, teraz, tutaj, po tym wszystkim, pomyślała Lucy, ocierając mokre oczy wierzchem dłoni. Z drugiej strony może to naturalne, ta skłonność, żeby zrobić rachunek sumienia; zrozumiały odruch w obliczu grożącej jej śmierci. Siedem g wgniecie ją w fotel jak kowadło, wycisnie powietrze

z płuc, jej naczynia krwionośne, rozpieszczone nieważkością, zaczną pękać jak folia bąbelkowa.

Lucy zajrzała do kolejnego schowka, zasłoniętego wgniecionym panelem – pamiątką po wyczynach Lwa i Antona. Tu przechowywano sprzęt laboratoryjny: odczynniki, probówki, pipety. Rozpięta gumowe linki pętające te pojemniki i pakunki, rozpląły się leniwie na wszystkie strony. Czyżby? Pod spodem, w rogu szafki, tuż za skrzydłem drzwi, zauważyła biały prostokąt. Poczowała strzał adrenaliny – i satysfakcję. Dali się sprowokować, Rosjanie ugrali swoje, ale tu przynajmniej mogła włożyć im kij w szprychy. Zdawała sobie sprawę, że zdradza w ten sposób zaufanie Antona – że czekają go kłopoty – ale z tym akurat gotowa była żyć. Pieprzyć go. Wyciągnęła śrubokręt, podważyła pudełeczko, a potem roztrzaskała je o uchwyt, kawałki układów scalonych wyprysnęły w powietrze. Miała nadzieję, że gdzieś w Moskwie zgasły właśnie ekrany, ucichł sygnał, ktoś cedzi przekleństwa. Zapowiadało się tak pięknie, historia mogła się faktycznie skończyć. Zamiast tego będzie się powtarzać.

Miała jeszcze dziesięć minut. Dość, żeby posprzątać, choć trochę zatrzeć ślady. Zaczęła zagarniać rozpierzchłą zawartość szafki. Pudła, choć nieważkie, wciąż miały jednak swój ciężar, musiała włożyć wysiłek w to, żeby wyrwać je z dryfu, nadać im pożądany kierunek. Pracowała pospiesznie, w mętliku myśli, rozedrgana, wyczerpana, byle skończyć. Nagle się zatrzymała, jakby jej podświadomość pociągnęła za hamulec bezpieczeństwa, wysłała pilny komunikat: stop, coś tu nie gra. Ale co?

Opuszki jej dłoni były wilgotne i delikatnie piekły. Jedno z pudeł wydawało się podejrzenie lekkie. Pchnięte, poleciało za daleko, zbyt łatwo. Spód był zniekształcony, a jeden z jego rogów pociemniały, jakby czymś nasiąkł. Lucy spojrzała na etykietę nadrukowaną na tekturę. *L. SUMMERS – EKSPEDYCJA 75 – BOTANIKA 33/12V/2021 – C4H7NO2*. Taśma zaklejająca wieko była już raz rozcięta, potem ktoś nałożył kolejną warstwę. Lucy zerwała ją i zgmiotła w kulkę, zajrzała do środka. Wewnątrz,

zabezpieczone papierowymi wytłoczkami, były trzy plastikowe butle. Sięgnęła po tę, która znajdowała się najbliżej pociemniałego rogu. Była pusta. W dnie znalazła niewielkie pęknięcie. Lucy uniosła wzrok w stronę kratki wentylatora. Zmarszczyła brwi – a potem się zaśmiała.

Będę miała co opowiadać, pomyślała.

O ile wrócę.

Nate patrzył w telewizor. Na dole ekranu biegł czerwony pasek z napisami. DRAGON Z RANNYMI ASTRONAUTAMI WKRÓTCE OPUŚCI STACJĘ, obwieszczały. W studiu siedzieli jacyś ludzie w garniturach, coś mówili, kiwali głowami, pokazywali efektowne trójwymiarowe infografiki. Przebitka na Atlantyk, dwa wojskowe statki z helikopterami na pokładzie. Przebitka na budynek centrum kontroli lotów, wozy transmisyjne zaparkowane wzdłuż ogrodzenia, reporter przed budką strażników. Przebitka na kamery ze stacji, dragon gotowy do lotu, zaczęło się już odliczanie do zwolnienia zacisków dokujących. Całe szczęście nie było transmisji z wnętrza kapsuły: NASA nie chciała siać paniki, bała się niewygodnych pytań. Oficjalna wersja była taka, że doszło do wypadku, w którym ucierpiały dwie osoby z załogi. Ogólnik na tyle szeroki, że mieściły się w nim zarówno prawda, jak i kłamstwa.

O tym, że coś się stało, że Lucy wróci przed czasem, w trybie awaryjnym, Nate dowiedział się od Jeffa. Astronauta uspokajał, zapewniał, że wszystko będzie w porządku. Nate chciał mu wierzyć. Elizę wzięli dziadkowie, po niego przyjechała czarna limuzyna z przyciemnionymi szybami. Kiedy ruszali, pod dom zajeżdżały już pierwsze samochody z dziennikarzami. Nate patrzył, jak rozstawiają statywy, testują mikrofony, pukają do drzwi sąsiadów. Przygotowywali zdjęcia do materiału o Lucy,

który, w zależności od tego, co wydarzy się w najbliższych godzinach, będzie można zmontować albo jako laurkę, albo jako nekrolog.

Zawieźli go do centrum kontroli lotów. Korytarze, bramki, windy. Nate niewiele z tego pamiętał. Jeff zaprowadził go do małej salki gdzieś na uboczu. Na środku stała kanapa, naprzeciw niej wisiał wielki telewizor. Obok był stolik, a na nim dzbanek kawy, butelki wody mineralnej, talerz z ciasteczkami. I pudełko chusteczek. Nate wiedział, po co je tam postawiono. Na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Nie mógł na nie patrzeć – były katalizatorem najczarniejszych scenariuszy tworzonych przez wyobraźnię – skupiał więc wzrok na ekranie. Kolejna przebitka. Kontrolerzy przy komputerach, w słuchawkach, światło monitorów odbite w szklach okularów, pełne skupienie.

- Przewód startowy odłączony – powiedział któryś z nich.

- Zatrzaski zwolnione.

Ujęcie ze stacji. Dragon zaczął błyskać światłami pozycyjnymi, jakby się obudził.

- Przepływ paliwa nominalny.

- Kapsuła odłączona.

- Mamy wizualne potwierdzenie.

- Odczyty z kabiny w normie. – Głos, który odpowiedział kontrolerom, był zniekształcony, niewyraźny, dochodził z bardzo daleka. Należał jednak z pewnością do kobiety. Do jego żony.

Nate sięgnął do kieszeni. Trzymał tam kopertę, którą znalazł w szafie Lucy, na dnie szuflady, zawiniętą w starą koszulkę. Spodziewał się najgorszego. Kolejnego sekretu, złamanej obietnicy. Postrzegał zdradę Lucy jak odkrycie obiektu nowej klasy, pierwszy element nieznanego wcześniej zbioru o niewiadomej liczebności. Kłamstwa mają przecież to do siebie, że występują w ciągach, bo pierwsze trzeba maskować drugim, drugie trzecim i tak dalej. Fałsz kładziony warstwa po warstwie, aż powstaje gruba skorupa. Gdyby chcieć ją potem zeszkrobać, nie sposób odgadnąć, czy

odstłonięty właśnie kawałek to już prawda, czy aby ją znaleźć, trzeba drapać głębiej, do żywego. Aż zacznie boleć.

W kopercie był list. Nate czytał go już wiele razy. Postanowił zrobić to znowu.

Kochanie

Dzisiaj na szkoleniu poprosili nas, żebyśmy napisali list na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Mamy to sobie wyobrazić możliwie najbardziej szczegółowo. Pogrzeb, reakcję naszych bliskich, ich życie bez nas. To ważne, bo niektórzy po napisaniu tego listu rezygnują z lotu. Uświadamiają sobie, że nie chcą narażać swojej rodziny na taki ból, że żadna przygoda nie jest tego warta.

Ja już wiem, że nie zrezygnuję. Nigdy.

Chcę Cię za to przeprosić. Zdaję sobie sprawę, że się na to nie pisałeś, że było Ci ciężko, a teraz będzie tylko ciężiej.

Chcę Ci też podziękować. Za wszystko, co mi dałeś i co dla mnie poświęciłeś. Wiem, że ta lista jest długa, dłuższa, niż powinna być.

Nie jestem pewna, czy sobie na to wszystko zasłużyłam. Myślę, że raczej nie.

Bardzo Cię kocham. Za rzadko Ci to mówię. Albo mnie nie ma, albo rozmawiamy w pośpiechu, albo jestem zbyt zmęczona.

Ale jeśli będę wiedziała, co się dzieje – jeśli będę świadoma, że umieram – będę myślała o Tobie. Przede wszystkim o tych pięknych momentach, ale o tych mniej pięknych też. Wszystkie były cenne. Za wszystkie jestem Ci wdzięczna.

Miałam ogromne szczęście, że Cię znalazłam. Mam nadzieję, że nie uważasz, że Ty miałeś pecha.

Jeszcze raz: przepraszam, dziękuję, kocham.

*Na zawsze Twoja
Lucy in the sky with diamonds*

Nate złożył kartkę na cztery i schował z powrotem do kieszeni. Wziął głęboki oddech, po czym wypuścił powietrze przez ściśnięte gardło. Huczało mu w głowie od sprzecznych emocji. Wciąż miał do niej żal. Był wzruszony. Bał się o nią. Czuł się źle z tym, że posądzał ją o najgorsze, gryzło go też, że w ogóle przeczytał ten list. Był wszak pisany z myślą o konkretnych okolicznościach, ze szczerością, na jaką można sobie pozwolić jedynie wówczas, kiedy nie oczekuje się już odpowiedzi. Koperta miała czekać w ukryciu, na wypadek gdyby Lucy nie mogła się z nim pożegnać. Wtedy ktoś by do niego zadzwonił, powiedział, gdzie jej szukać. Więc mimo że te słowa były adresowane do niego, wciąż miał wrażenie, że naruszył jej intymność, czuł się jak podglądacz. Świadomość, że być może tylko nieznacznie wyprzedził wydarzenia, wcale go nie pocieszała.

Lucy in the Sky with Diamonds. Puścili sobie tę piosenkę, kiedy dostała potwierdzenie, że została przyjęta. Płakała ze szczęścia, przytulała go tak mocno, aż trzeszczały kości, aż wycisnęła z niego zmartwienia i obawy, aż zaraził się jej entuzjazmem. Uwielbiał te momenty, kiedy wyrывała go z jego własnej ciasnej głowy, kiedy widział świat jej oczami, nasycony kolorami i pełen obietnic. Pili szampana, którego, nic jej nie mówiąc, schłodził uprzednio z myślą o tej okazji. A potem uprawiali seks na kanapie, bo do łóżka już nie doszli. Wbiła mu paznokcie w kark, całowała ucho. Kiedy było po wszystkim, leżeli przez chwilę w ciszy, czekając, aż uspokoją się ich oddechy. Jacy byli wtedy szczęśliwi. Jacy naiwni.

Nate otarł oczy, spojrzął znów na telewizor. Dragon był białym punkcikiem na tle nieskończonej czerni.

Chwilę później zniknął wśród płomieni.

Pole widzenia Lucy powoli się zawężało. Dostrzegała jeszcze ciekłokrystaliczne ekrany, wyświetlające parametry lotu, ale jakie,

pożądane czy niepokojące, tego już nie była w stanie stwierdzić. Za bardzo trzęsło, a rosnące przeciążenie wgniatało jej gałki oczne w czaszkę, odkształcało je, wyciskało łyzy. Widziała własne ręce, tak ciężkie, że aż wrosnięte w poręcz. Ale poza tym wokoło już tylko czerń, jakby ktoś regulował aperturę przysłony obiektywu, powoli ją przymykał.

Robiła co mogła, żeby nie panikować, oddychała tak, jak uczyli ją na zajęciach: z dołu, z przepony, bo płuca były zatrzaśnięte we wnykach z żeber. Krew odpływała z jej głowy i tułowia, jak deszcz ściekający po szybie rozpędzonego pociągu, i zbierała się w nogach, rozrywając pomniejsze naczynka. Armia wściekłych, kąsających mrówek. Kontrolerzy coś jeszcze do niej mówili, ale nie rozpoznawała słów, nie łączyła ich w zdania. Za bardzo huczało, za duży wysiłek. Wiedziała, że lada moment welon plazmy otaczający jej kapsułę zablokuje przepływ fal radiowych i komunikacja zostanie zerwana. Na pięć, sześć minut będzie zupełnie sama – nie licząc nieprzytomnych astronautów w fotelach obok. Nadludzkim wysiłkiem obróciła głowę w stronę Lafayette'a. Żył, nie żył? Nie sposób powiedzieć. Ezra powoli odzyskiwał przytomność – siedem g było jak trzeźwiący siarczysty policzek.

Mimo że Lucy siedziała w fotelu pilota, kapsułą kierował komputer pokładowy. Ona miała reagować tylko w razie awarii, jeśli usłyszy alarm. Astronaucci – pionierzy, odkrywcy, bohaterowie – przez większość czasu mieli nad swoimi statkami tyle kontroli co cyrkowiec wystrzelony z armaty. W pierwszych kapsułach ręczne sterowanie dodano dopiero wówczas, gdy upomnieli się o nie piloci. Chcieli udowodnić – kontrolerom, światu, sobie – że są potrzebni, ba, niezastępowalni, chociaż poprzedzające ich w lotach testowych szympansy sprawdzały się równie dobrze.

Głosy w słuchawkach ucichły. Nikt jej nie podglądał, nie podsłuchiwał, nie oceniał, nie pospieszał. Potrzebowała kuli ognia, żeby odgrodzić się od reszty świata. Wiedziała, że to również ostatnia taka chwila, bo za moment albo zginie, albo wyląduje i przywita ją stroboskop fleszy, niekończące się

pytania, a zapewne także oskarżenia i wyrzuty. Świadomość, że na niektóre z nich zasłużyła, ciążyła chyba bardziej niż zwielokrotniona grawitacja wciskająca ją właśnie w fotel.

Myśli Lucy były chaotyczne, niedokończone, mózg nie miał dość tlenu, żeby porządnie sklejać ze sobą słowa i obrazy. Huk wystrzału i wybuchająca gaśnica. Potargany Nate smaży naleśniki w sobotni poranek, podrygując w rytm muzyki, sobotnie słońce wpada przez żaluzje i maluje złote pasy w dymie unoszącym się z patelni. Kalejdoskop światła i cieni z kosmicznego spaceru, bezdenne pustka, która ciągnie ku sobie, wsysa i zjada. Rysunek Elizy na lodówce, podpisany koślawymi literami, „mama”: postać w skafandrze i hełmie, z twarzą schowaną za smoliście czarną szybką. Korale krwi Lafayette’a, przesiąknięte czerwienią bandaż niczym test Rorschacha. Pożegnanie w Bajkonurze, dłonie przyciśnięte do pleksiglasu z przeciwnych stron, blisko siebie, ale odgrozione. Pęknięta butelka we wgniecionym tekturowym pudle.

Przypadek, pomyślała, z niedowierzaniem, z pretensją do świata, wściekła i rozbawiona jednocześnie. Amoniak w powietrzu to był pieprzony przypadek.

Chwilę później straciła przytomność.

Grudzień 2021

Sala, w której odbywały się przesłuchania, mieściła blisko sto osób. Oficjele, prawnicy, dziennikarze – wszyscy patrzyli na Lucy. Kolejne miliony oglądały ją w telewizji. Miała na sobie szarą garsonkę i białą koszulę, włosy zebrane w kucyk. Siedziała prosto, dłonie położyła na stole i splotła palce. Kiedy zastanawiała się nad odpowiedzią, obracała kciukiem obrączkę.

– Witam państwa po przerwie. – Przewodniczący komisji, niegdysiejszy wicesekretarz stanu, Daniel Lamar, dosunął krzesło, poprawił mikrofon. – Chciałbym, żebyśmy przeszli do kwestii wycieku amoniaku. W świetle innych, tragicznych zdarzeń z ekspedycji siedemdziesiątej piątej ten temat może wydawać się trywialny. Ale z zeznań, które usłyszeliśmy dotychczas, wynika, że ten pozornie nieistotny problem był pierwszym ogniwem łańcucha zdarzeń, które doprowadziły do buntu pilota Wendleya oraz śmierci specjalisty Summersa.

Lucy spuściła głowę. Wróciła myślami do dnia lądowania, momentu, w którym otworzyła oczy. Kapsuła kołysała się już na falach, ekipa ratunkowa otwierała właśnie właz. Wszystko ją bolało, każdy mięsień, każda kość zdawały się miażdżone walcem. Śmierdziało spalenizną, jak gdyby włożyć przypaloną patelnię pod zimną wodę – to osłona termiczna, rozgrzana do tysiąca sześciuset stopni Celsjusza, a potem gwałtownie schłodzona przy kontakcie z Atlantykiem. Ratownicy odpięli Lafayette'a i położyli go na noszach, zdjęli mu zakrwawiony hełm. Wszystko to robili w pośpiechu, świadomi, że liczy się każda sekunda. Nagle jednak zwolnili. Nic jej wtedy nie powiedzieli, akcja przebiegała dalej wedle planu, nosze wciągnięto na helikopter, który poleciał na USS Klamath, gdzie chirurdzy czekali przy stole operacyjnym. Ale Lucy

wiedziała już wtedy, że jest za późno. Że to przez nią zginął. Wysłała potem list do jego rodziny, prosiła o spotkanie, gotowa kajać się, błagać o wybaczenie. Nigdy jej nie odpowiedzieli. Tłumaczyła sobie, że to było niezamierzone, że stawała wtedy też w obronie samego Lafayette'a, ba, całej załogi, całej stacji. Ale nękały ją pytania: a co, gdyby oddała wtedy pistolet bez walki? Co, jeśli sprzeciwiłaby się poleceniom Ayersa i powiedziała o wszystkim załodze? A jak potoczyłyby się wydarzenia, gdyby od razu powtórzyła dyrektorowi to, co wyznał jej Anton? Albo gdyby wcześniej zwróciła uwagę na to przekłete pudło, znalazła pękniętą butelkę? Czy wszyscy wróciliby wówczas cało? A może wręcz przeciwnie, trupów byłoby więcej?

Jej drugi współpasażer, Ezra, wyszedł z kapsuły o własnych siłach – choć w kajdankach. Jego dalsze losy wciąż się ważyły. Toczyło się wobec niego postępowanie karne, groziło mu kilkanaście lat w więzieniu. Ale według sondaży większość opinii publicznej była przeciwna temu, aby go karać, a niewielka, ale za to bardzo głośno wypowiadająca swoje zdanie część okrzyknęła go bohaterem. Jego twarz drukowano na czapczkach, kubkach, koszulkach, przypinkach. Zapraszano go na wywiady, dostał lukratywny kontrakt na książkę, tysiące osób podpisały petycję, żeby odznaczyć go orderem. Z bezczelnym uśmiechem – i bez cienia żalu – dowodził przed kamerami, że zrobił to, co powinien zrobić prawdziwy Amerykanin. Pokazywał się z flagą z syczącym grzechotnikiem, podpisaną ostrzeżeniem: NIE NADEPNIJ NA MNIE. Więcej czasu niż na przygotowaniu obrony spędzał na planowaniu kampanii wyborczej. Miał duże szanse dostać się do Kongresu, pomagał mu w tym jego przyjaciel, który onegdaj chciał zostać gubernatorem stanu Wyoming. Reszta politycznego establishmentu się krzywiła, ale przyzwalała.

– W oświadczeniu napisała pani... – Lamar przerzucał gęsto zadrukowane kartki – ...że ten wyciek był wynikiem, cytuję, „przypadku”. Czy może pani rozwinąć tę myśl?

Lucy skinęła głową. Prawnicy ostrzegli ją, że będzie musiała powtórzyć zeznania przed kamerami. Przygotowała je w porozumieniu ze specjalistami z centrum kontroli lotów. Weryfikowali jej podejrzenia, porównywali jej wspomnienia z nagraniami i diagramami technicznymi stacji. Szukali dziury w całym. Nie znaleźli jej.

– Oczywiście – powiedziała. Bardzo świadomie modulowała głos: musiała brzmieć pewnie, ale nie beczelnie, pomocnie, ale nie służalczo, poważnie, ale nie stoicko. – Pierwsze odczyty wskazujące na wzrost stężenia zostały odnotowane tuż po rozbłysku słonecznym. Tak jak zeznałam w trakcie poprzednich posiedzeń, w czasie kiedy my schroniliśmy się przed promieniowaniem w kajutach, kosmonauci Anton Kowalow i Lew Zajcew udali się do modułu Tranquility.

– Aby?

Zrobiło się cicho, w powietrzu wisiało napięcie. Dobrze poinformowani wiedzieli już, co powie.

– Aby zainstalować tam urządzenie podsłuchowe.

– To nieprawda – zaprotestował reprezentant Roskosmosu, Puszakow. Czerwony na twarzy, oburzony, personifikacja pokrzywdzonej niewinności. Lucy nie przestawała podziwiać hucpy moskiewskich oficjeli, determinacji, z jaką bronili oczywistych kłamstw. Mogliby stać po kolana w wodzie i złorzeczyć na suszę, wbić nóż w plecy, a potem wylewać łzy nad trumną.

– Nie udzieliłem panu głosu – powiedział przewodniczący komisji.

– Nie mogę milczeć, kiedy powtarzane są te oszczerstwa. W trakcie rozbłysku kosmonauci Kowalow i Zajcew znajdowali się w swoim skrzydle. Zgodnie z procedurami, które...

– Pana odrębna opinia zostanie zaprotokołowana. – Lamar wyłączył Rosjaninowi mikrofon.

Skończyło się głaskanie. Dopuszczono udział Puszakowa w komisji, ale to nie był nowy rozdział w historii współpracy, tylko gorzki epilog. Dzięki temu, że Ayers zaczął szykować się jeszcze w trakcie ekspedycji 75, NASA

była gotowa na najgorsze. W ledwie półtora miesiąca po powrocie Lucy z Florydy wystartowały kolejne dwa dragony, jeden zmodyfikowany tak, aby mógł zostać przyłączony do amerykańskiego skrzydła na stałe. Miał służyć do korekty orbity – raz na jakiś czas delikatnie odepchnąć stację od ściągającej ją ku sobie Ziemi – co dotychczas robiono za pomocą silników po stronie rosyjskiej. Cokolwiek by mówić o kosmicznych prywaciarzach i ekscentrycznych miliarderach, działali nieporównanie szybciej niż rządowi kontrahenci. Oczywiście, ktoś za to płacił: marzący o kosmosie pasjonaci, których wyżymano do ostatniej kropli. Ale to był zasób odnawialny, na miejsce każdego wypalonego inżyniera czekała setka następnych.

Potem odbyło się jeszcze kilka kosmicznych spacerów – całe szczęście nie tak burzliwych jak jej – i skrzydła stacji udało się rozdzielić. Niedługo później, wraz z Rosjanami, wróciła na Ziemię Devaki Anand. Schowała się przed światem, unikała dziennikarzy jak ognia. Jej prawnicy złożyli pozew przeciwko NASA – programistka żądała grubych milionów zadośćuczynienia. Biorąc pod uwagę renomę kancelarii, którą wynajęła, mogła się spodziewać wygranej.

Stany zachowały zatem swój pomost ku gwiazdom, ale rosyjskie skrzydło, odcięte od krwiobiegu amerykańskiej gotówki, było bezwartościowe. Na początku Rybkin jeszcze szumnie zapowiadał, że jego moduły zostaną wkrótce połączone z chińskim Tiangongiem, tworząc w ten sposób „alternatywę dla zachodniej dyktatury w eksploracji kosmosu” oraz „platformę trwałego orbitalnego pokoju”. Pekin jednak musiał wzgardzić tą propozycją, bo wizja się nie ziściła. Dni Zwiezdy, Rasswietu, Nauki oraz Zarii były policzone, mówiąc konkretnie: zostało ich jedenaście. Potem rosyjskie skrzydło miało spalić się w atmosferze. Społeczność naukowa już ostrzegała, że zaplanowany przez Roskosmos kąat wejścia był zbyt płytki, że moduły nie spalą się do szczętu, a ich resztki spadną na ziemię niczym deszcz meteorytów. Moskwa zdawała się tym nie przejmować.

Niewykluczone zresztą, że było to intencjonalne, może chcieli zrobić światu na złość, potłuc, co się da, nim zejda ze sceny. Może, jeśli wierzyć doniesieniom o koncentracji wojsk na granicy z Ukrainą, skupieni byli już na czym innym. Odpadnięcie z kosmicznego wyścigu postanowili sobie zrekompensować na Ziemi, tu jeszcze mogli odnieść jakiś sukces, a przynajmniej tak im się wydawało.

Skrzydło amerykańskie miało z kolei przejść gwałtowną transformację. Według śmiałych planów, które musiały jeszcze zostać zaakceptowane przez Kongres, najstarsze moduły miały być zutylizowane, a nowe – stać się jądrem nowej stacji, budowanej już przez spółki komercyjne. Wyssane przez najbogatszych biliony miały popłynąć z Ziemi w kosmos – najwyższa forma offshoringu. Towarzyszące narodzinom stacji ideały zostały odsunięte na bok. Oczekiwano, że w nowej postaci przede wszystkim przyniesie zysk, i to nie zysk mglisty i abstrakcyjny, w postaci dywidendy ze zdobytej na orbicie wiedzy, która miała zostać wypłacona w bliżej niesprecyzowanej przyszłości, ale konkretny, ujęty w dolarach po kursie bieżącym i rozliczany kwartalnie. Może trzeba tak było od razu, może tylko tak dało się polecieć ku gwiazdom: na skrzydłach chciwości.

– Proszę kontynuować – powiedział Lamar.

– Między Rosjanami doszło do szarpaniny. – Lucy nachyliła się do mikrofonu. Kątem oka widziała, że kobieta w liliowym żakiecie siedząca obok przewodniczącego unosi już dłoń. Nazywała się Leslie Brown i była kongresmenką z innej opcji politycznej niż Lamar. Miała w komisji reprezentować amerykańskiego podatnika, ale przede wszystkim grała tu we własną grę, zbierała punkty potrzebne do dalszej kariery. Kosmos był tylko przypadkowym tłem.

– Dlaczego? – spytała polityczka, kiedy udzielono jej głosu.

– Z tego, co mi powiedziano – odparła Lucy – Lew Zajcew był przeciwny realizacji zadania.

– Dlaczego? – Brown drażyła dalej.

- Zakładam, że z powodów pryncypialnych.
- Doprawdy? Proszę powiedzieć, jak się pani o tym dowiedziała.

Lucy poczuła, jak na czoło występuje jej pot. Działała wtedy w dobrej wierze, chciała jak najlepiej. Ale zdawała sobie sprawę, że fakty można było interpretować inaczej. Prawnik, który siedział obok, pochylił się ku niej, przesłonił dłonią mikrofon i przypomniał szeptem ustalone wcześniej formułki – miały jej pozwolić bezpiecznie przepłynąć między skałami paragrafów. Spięła się, zaschło jej w ustach. Chociaż zawsze parła do przodu – na scenę, na podium, przed szereg – tym razem bała się, że nie będzie w stanie odpowiedzieć, pomyli się, zatnie. Poczowała na plecach dotyk. Nate. Siedział tuż za nią, musiał zauważyć, co się z nią dzieje. Nikt tak dobrze jak on nie wyczuwał jej stresu. Nikt inny też tak w nią nie wierzył. W trudnych momentach, widząc siebie odbitą w jego oczach, znajdowała siłę, żeby dorównać temu wyobrażeniu.

– Informację tę podał mi Anton Kowalow – powiedziała. Obserwowała starszą kobietę po drugiej stronie sali. Ta przyglądała jej się spode łba, zza zsuwających się z nosa okularów. Nie miała zamiaru odpuścić.

– Czy przekazała pani tę informację przełożonym? – spytała.

– Nie – odpowiedziała Lucy. Przez salę przeszedł szmer.

– Dlaczego?

– Uznałam, że w sytuacji, w jakiej się znalazłam, muszę utrzymać zaufanie wśród rosyjskiej załogi.

– W jakiej sytuacji? – Brown oparła skrzyżowane ramiona o pulpit, pochyliła się do przodu. – Co pani ma na myśli?

– Wiedziałam już wtedy, że z sojuza zniknął pistolet. I że zabrał go ktoś z mojej załogi.

Flesze. Szepty. Klekot klawiatur.

– Czy rozmawiała pani o tym ze swoimi podkomendnymi? – dociekała kongresmenka.

– Nie.

– Dlaczego? To byłby chyba oczywisty krok?

– Na wyraźne polecenie dyrektora Ayersa.

Przewodniczący komisji uniósł wzrok znad papierów, coś zanotował. Kolejne pytania, na kolejny dzień przesłuchań. Lucy zacisnęła zęby. Była zmęczona, więcej: przytłoczona. Do niedawna jej życie miało wyraźny cel. Wiedziała dokładnie, co musi zrobić, żeby go osiągnąć, jak i kiedy. Wszystko to określały stosowne regulaminy. Teraz, kiedy stawką była jej przyszłość – to, czy zostanie zapamiętana jako bohaterka czy zdrajczyni – zasady były niejasne, a jej sprawczość ograniczona.

– Które pismo zawiera to polecenie? – Brown demonstracyjnie przerzuciła leżące przed nią papiery, jakby miała nadzieję znaleźć stosowny dokument.

– Zostało ono wydane ustnie.

– Czy są stenogramy z tej rozmowy?

– Nie. – Lucy pokręciła głową. – Odbyła się nieoficjalnie.

– Przypominam, że celem dzisiejszej sesji jest omówienie kwestii wycieku... – powiedział Lamar.

– Oddaję głos. – Brown odchyliła się w krześle, jakby chciała pokazać, że to nie jej decyzja, żeby na tym właśnie skupić uwagę, że gdyby to zależało od niej, dalej maglowałaby Lucy. Ayers zeznawał poprzedniego dnia. Niczego nie wiedział, nie pamiętał, nie przypominał sobie. Za to, co dzieje się na stacji, podkreślał, odpowiadają kapitanka oraz dyrektor kontroli lotów, a za skład osobowy załogi – szefowa biura astronautów. Wszystko spływało po nim jak po kaczce. Zeznania Nate'a nie były dostatecznie obciążające, żeby narobić mu kłopotów.

– Jak mówiłam – Lucy kręciła obręczką, aż skóra pod spodem zaczęła piec – między Rosjanami doszło do przepychanki. Jeden z nich... Prawdopodobnie Lew Zajcew... Uderzył plecami o panel, za którym przechowywano odczynniki laboratoryjne.

– Zgodnie z rozpiską, którą mam przed sobą... – Lamar zmrużył oczy, pochylił się nad kartką – ...tego rodzaju materiały powinny znajdować się w schowkach w modułach Columbus albo Destiny. Zostały zaprojektowane specjalnie z myślą o takich substancjach i dodatkowo wzmocnione.

– Owszem – przyznała. – Ale były przepełnione. Od lat.

– Rozumiem. – Przewodniczący skinął głową. – Proszę kontynuować.

– W wyniku uderzenia uszkodzone zostało pudło... I jedna z butli, które znajdowały się w środku.

– Co ona zawierała?

– ACC – odpowiedziała Lucy. – Był potrzebny do eksperymentów nad procesami glebotwórczymi w stanie mikrogravitacji, które miał przeprowadzić Summers.

– I nikt tego nie zauważył? – spytała Leslie Brown.

– Lafayette musiał przerwać swój eksperyment w związku ze zmianami harmonogramu. Nie używał odczynników, więc nie zauważył, że ubywa jednego z nich.

– Ale załoga miała za zadanie przeszukać pokład stacji, tak? – Kongresmenka obracała w palcach wieczne pióro, jakby to była broń, jakby miała zamiar lada moment przebić nim Lucy tchawicę. – Znaleźć potencjalne źródło wycieku? I nie wpadła pani na to, żeby zajrzeć do szafy na odczynniki laboratoryjne?

– Sprawdziliśmy te pudła – odpowiedziała Lucy. – Ale w stanie mikrogravitacji trudno określić ciężar danego przedmiotu, dopóki nie spróbuje się wyrwać go z inercji. Pudło zostało otwarte, na pierwszy rzut oka nie było widać uszkodzeń ani ubytków.

– Czyli chce pani powiedzieć, że sprawdziliście, ale niedokładnie?

– Rzeczywiście, nie odnotowaliśmy pęknięcia w butelce.

– Ani wycieku? – Brown przekrzywiła głowę. – Tylko się upewniam.

– Znów, na Ziemi sprawa byłaby oczywista, bo na podłodze pod szafką pojawiłaby się kałuża. Ale tu krople przesączały się przez karton,

znajdowały ujście w szczelinie panelu i tworzyły ledwie widoczną zawieszinę.

– Moment, moment – powiedział milczący do tej pory przedstawiciel Europejskiej Agencji Kosmicznej, francuski fizyk Antoine Cantat. Siwiejący, gładko golony, w ciemnogrnatowej marynarce i śnieżnobiałej koszuli wyglądał jak model z katalogu ubrań dla mężczyzn w kryzysie wieku średniego. – Jest pani w stanie rozwinąć dla mnie ten skrót? ACC?

– Tak. – Lucy skinęła głową. Miała ten wzór wyryty w pamięci, niczym nagrobek. – Kwas jednoaminocyklopropanojednokarboksyłowy.

– Nie jestem chemikiem, proszę mnie poprawić... – Francuz potarł czoło.

– Ale to jest stabilny związek, prawda? Nie rozpada się tak po prostu? W temperaturze pokojowej?

– Nie – zgodziła się Lucy. – Potrzebny jest reagent.

– To ja nadal nie rozumiem, skąd amoniak w atmosferze. Coś musiało rozłożyć ten kwas.

– Zgadza się. Bakterie – powiedziała Lucy. Twarze niektórych członków komisji wyrażały zaskoczenie, innych niedowierzanie. – Od dłuższego czasu mieliśmy problem z różnymi mikroorganizmami, które mnożą się na stacji... Zwłaszcza z *B. safensis*, który w stanie nieważkości radzi sobie nawet lepiej niż na Ziemi. Dlatego raz w tygodniu całą stację trzeba przetrzeć od góry do dołu chusteczkami nasączonymi alkoholem. Inaczej namnożyłoby się ich tyle, że byłoby to ryzykowne dla zdrowia załogi.

– Tym razem nie pomogło?

– W ostatniej rotacji przed... – astronautka przełknęła ślinę – ...przed awaryjnym powrotem stację sprzątałyśmy ja i Ezra Wendley. Kiedy byliśmy mniej więcej w połowie, spytałam, czy może zająć się tym sam, bo ja byłam do tyłu w stosunku do grafiku i chciałam nadgonić zaległości. Powiedział, że tak... Ale po późniejszym sprawdzeniu nagrań okazało się, że pracy nie dokończył. Nie dotarł do modułu Tranquility. Do tego... Według opinii ekspertów... Rozbłysk słoneczny mógł doprowadzić do

licznych mutacji u znajdujących się na stacji bakterii. Na przykład takich, które przyspieszają ich metabolizm.

– Proszę zrelacjonować od początku do końca, co pani zdaniem się stało – powiedział przewodniczący komisji. – Zwięźle i w prostych słowach. Pozostałych członków komisji proszę o nieprzerywanie.

– Oczywiście. – Lucy wzięła głęboki oddech. – Tuż przed informacją o rozbłyску zmienialiśmy filtry w wentylatorach w Tranquility. W tych filtrach namnaża się najwięcej mikroorganizmów, bo wyłapują z powietrza kawałki naskórka, włosy i inną materię organiczną. Wyjmując stare filtry, rozproszyliśmy bakterie po całym module.

Lucy na chwilę zamilkła, rozejrzała się po sali. Wszyscy słuchali.

– Wkrótce potem doszło do rozbłyску – ciągnęła. – Zajcew oraz Kowalów wgnietli panel i uszkodzili jedną z butli. ACC powoli przeciekał przez karton, a znajdujące się w module bakterie rozkładały go na amoniak oraz kwas szczawiowy. W związku z tym, że otwór w butli był niewielki, a do zdarzenia doszło w stanie mikrograwitacji, wyciek był bardzo powolny. Wzrost stężenia amoniaku był więc stopniowy. Dodatkowo, jako że ciągle pracowała wentylacja, gaz był rozprowadzany równomiernie po całej stacji. Filtry, które i tak są obciążone, nie były w stanie wszystkiego wyłapać. Gdyby w międzyczasie powierzchnie w module Tranquility przemyto środkami dezynfekcyjnymi, proces zostałby przerwany... – Gdyby tylko Ezra mnie posłuchał, dodała w myślach Lucy. Gdyby mnie szanował. Gdyby nie uważał, że sprzątanie stacji uwłacza jego godności. – Ale tak się nie stało.

– Przepraszam bardzo. – Leslie Brown podniosła głos. – Czy chce pani powiedzieć, że do rozpadu stacji i największego kryzysu dyplomatycznego w historii eksploracji kosmosu doszło dlatego, że Ezra Wendley nie wytarł kurzu?

Lucy skinęła głową. To byłoby nawet zabawne, gdyby nie konsekwencje.

– Stacja od dłuższego czasu przypominała beczkę prochu – podjęła. Nie próbowała się kajać, nie przepraszała. Mówiła to, o czym wiedzieli wszyscy, ale o czym mówić na głos nie wypadało. – Potrzebna była tylko iskra. Jakakolwiek.

– Proszę rozwinąć myśl – poprosił przewodniczący.

– Nasi rosyjscy partnerzy, świadomi, że żywot stacji w jej obecnym składzie i konfiguracji dobiega końca, szukali pretekstu, aby zerwać współpracę, bo wiedzieli, że to znacznie utrudni zbudowanie nowej platformy do lotów poza orbitę, chociażby na Księżyc. Równolegle, tak jak wspomniałam, kosmonauci Kowalow i Zajcew dostali polecenie zainstalowania aparatury szpiegowskiej w module Tranquility, który miał stanowić jądro nowej konstrukcji. Na wszelki wypadek, gdyby jednak nie udało się pokrzyżować planów dotyczących dalszych losów stacji.

– To są oszczerstwa – zaprotestował Puszakow. – Jeszcze raz powtórzę: Roskosmos był całkowicie oddany pokojowej...

Pstryk, Lamar ponownie wyciszył mu mikrofon, po czym dał Lucy znać, by mówiła dalej.

– Kiedy na stacji skoczył poziom amoniaku – podjęła – dyrektor Rybkin miał wypowiedź, na którą czekał. Zasłaniając się dobrem załogi... Załogi, chciałabym podkreślić, której niedługo wcześniej kazał wystawić się na rakotwórcze promieniowanie słoneczne... Dał sygnał, że skłania się do zerwania współpracy.

– Myśli pani, że rzeczywiście był wówczas na to gotów? – Lamar złożył dłonie w piramidkę.

– Jeśli miałabym zgadywać, to nie – odparła. – Myślę, że to miał być pierwszy ruch, przygotowanie gruntu pod późniejsze odejście. Pewnie widział też okazję do osiągnięcia jakichś ustępstw po stronie amerykańskiej, może zakupu kolejnych lotów sojuzami w zamian za tymczasowe przedłużenie współpracy. Ale dyrektor Ayers nie chciał ustępować. Co więcej, podejrzewał, że to Rosjanie są odpowiedzialni za

zanieczyszczenie atmosfery, że aktywnie fabrykują ten kryzys. Polecił więc, żebym to sprawdziła.

– Dyrektor Ayers zaprzecza, aby takie rozmowy miały miejsce. – Kongresmenka Brown uniosła stenogramy z poprzednich sesji.

– Wszyscy jesteśmy świadomi sprzeczności w zeznaniach świadków – wtrącił Lamar. Mimo że przesłuchania ciągnęły się już drugi miesiąc, że cały ten czas Brown prowadziła swoją wojnę podjazdową, był oazą spokoju. – Proszę mówić dalej.

Lucy nalała sobie wody. Musiała skupić na tym uwagę, kontrolować automatyczne odruchy. Przez kilka tygodni po powrocie z kosmosu wszystko rozlewała, upuszczała przedmioty, zaskoczona tym, że nie zawisły w powietrzu tam, gdzie je zostawiła.

– Na polecenie dyrektora Ayersa – podkreśliła raz jeszcze – uruchomiłam alarm przeciwpożarowy. W ten sposób zyskałam pretekst, żeby przeszukać rosyjskie skrzydło stacji.

– Nie mogła pani po prostu poprosić Antona Kowalowa? – spytała Brown. – Podobno łączyła was bliska relacja?

Lucy poczuła, jakby kongresmenka uderzyła ją otwartą dłonią w twarz. Zapiekły ją policzki, łzy napłynęły do oczu. Przypomniała jej się rozmowa, którą odbyła z Nate'em kilka dni po powrocie. Była koszmarna i bezproduktywna, zakończyła się pyskówką. Zawsze była dla niego podporą, skałą. Wtedy miała poczucie, że ta skała go zgmiotła, że coś w nim nieodwracalnie zniszczyła. Długo płakali. Długo rozmawiali. Próbowwała go przytulić, ale nie chciał. Nic jej tak w życiu nie zabolowało.

– W przeszłości, tak – odpowiedziała, z trudem powstrzymując się od podnoszenia głosu, od nasycenia go jadem. – Ale nie w czasie ekspedycji 75.

– A co dokładnie stało się w przeszłości? – spytała kongresmenka z uśmiechem.

– To w tej chwili nieistotne – powiedział Lamar.

– Absolutnie się nie zgadzam. Natura relacji pani Poplaski z Rosjanami jest kluczowa dla jej wiarygodności jako świadka.

– Proszę mówić dalej – odparł Lamar, nie patrząc nawet w stronę polityczki. Lucy była mu wdzięczna za tę interwencję.

– Rosjanie oczywiście zorientowali się, co zaszło – kontynuowała astronautka. – Rybkin był zapewne wściekły, że naruszono suwerenność ich skrzydła. Podejrzewam, że wtedy właśnie podjął decyzję, żeby przeprowadzić testy broni satelitarnej. Dla maksymalnego efektu postanowił je wykonać w trakcie naszego spaceru kosmicznego. Sygnał byłby czytelny: niedźwiedź trzasnął drzwiami, Amerykanie musieli skulić ogon pod siebie. Rybkin zapunktowałby w ten sposób u przełożonych, to by ładnie wyglądało w lokalnych mediach.

Puszkow otworzył usta, żeby znów zaprotestować, ale mikrofon wciąż był wyłączony. Rosjanin spojrzał na przewodniczącą komisji, a kiedy ten go zignorował, wstał od stołu i demonstracyjnym krokiem ruszył w stronę drzwi.

– Proszę zaprotokołować, że reprezentant Roskosmosu opuścił posiedzenie – rzucił Lamar.

– To jest lincz! – wrzasnął jeszcze Puszkow na odchodne. – Zgodnie z waszymi najlepszymi tradycjami!

– Proszę mówić dalej.

Lucy poczekała, aż Puszkow zamknie za sobą drzwi, aż ucichną migawki aparatów, które go odprowadzały.

– W normalnych warunkach – podjęła – prowokacja Rybkina nie wywołałaby zapewne tak daleko idących konsekwencji. Schowalibyśmy się do kapsuły, przeczekali zagrożenie, a potem wrócili do codziennych zadań, przewracając oczami na wybryki polityków.

Lucy spojrzała wymownie w stronę Brown. Kongresmenka odwróciła wzrok.

– Ale Rybkin nie był świadomy tego, jak toksyczna atmosfera zapanowała w międzyczasie na stacji – ciągnęła. – Nasza załoga wiedziała już wówczas, że między Kowalowem a Zajcewem doszło do bójki, co więcej, byliśmy przekonani, że nas okłamują, coś przed nami ukrywają.

Urwała. Zacisnęła dłonie tak mocno, aż zabolęło w stawach, aż pobieleły jej palce.

– Ezra Wendley zauważył też, że... – przerwała na chwilę, przełknęła ślinę – ...że biorę udział w nieoficjalnych spotkaniach z Kowalowem. Zainicjowałam je, bo miałam nadzieję, że w rozmowie w cztery oczy Kowalow będzie bardziej skłonny powiedzieć prawdę.

– Ze względu na waszą wspólną przeszłość? – wtrąciła Brown.

Lucy znów spojrzała w jej kierunku. W jej oczy. Widziała w nich drwinę, satysfakcję szkolnej prześladowczyni, która wymyśliła nowe, okrutne przezwisko.

– Tak – powiedziała. – Między innymi dlatego. Niestety... Wendley założył, że działam w porozumieniu z Rosjanami, że razem spiskujemy. Poinformował o swoich podejrzeniach dyrektora Ayersa, ale ten go zbył, bo nie chciał go wtajemniczać w poczynione ze mną ustalenia. Oczywiście to tylko zaostrzyło paranoję Wendleya. Uznał, że spisek sięga samej góry organizacji, że aby go udaremnić, musi działać sam. Od tego momentu przestał okazywać mi szacunek, więcej – stał się konfrontacyjny, agresywny.

– Fizycznie czy werbalnie? – spytał Lamar. – To istotne.

– Werbalnie – odparła. – Ale tyle wystarczyło, żeby Lafayette Summers poczuł się zagrożony.

Lucy zapiekły uszy. Wiedziała, że na sali siedzi mąż botanika, że na nim skupiają się właśnie oczy kamer, a od tego, jaką zrobi teraz minę, czy pokiwa ze zrozumieniem głową, czy nią pokręci, zależy, czy ludzie uwierzą w jej wersję wydarzeń czy nie.

– Dyrektor Faizan zeznała, że między tymi dwoma dochodziło w przeszłości do konfliktów – powiedział przewodniczący komisji. – Była pani tego świadoma?

– Owszem, zdawałam sobie sprawę, że coś między nimi było nie tak. Ale nie znałam szczegółów sprawy.

A szczegóły były skandaliczne. Okazało się, że Faizan robiła co mogła, żeby Lafayette i Ezra nigdy nie zostali przypisani do tej samej misji. Wiedziała, że to wybuchowa mieszanka, że w kryzysowej sytuacji zaczną między nimi iskrzyć, zwłaszcza jeśli elementem równania będą również Rosjanie, którymi Wendley otwarcie gardził. Zawiniła polityka. Jedno skrzydło żądało, aby wśród załogantów znalazł się czarnoskóry, drugie – żeby na stację poleciał były wojskowy. Faizan, świadoma, że raz rządzą jedni, raz drudzy, że mając na uwadze przyszłość programu, nie może antagonizować nikogo, ustąpiła obu stronom. Zapłaciła za to posadą – pierwszy kozioł został już złożony w ofierze. Komisja szukała następnych. Lucy nie miała zamiaru kłaść głowy na pieńku.

– Rozumiem – powiedział Lamar. – Proszę kontynuować.

– Summers był przekonany, że Wendley doprowadzi w końcu do konfrontacji z Rosjanami. Bał się, że użyje wówczas siły, zresztą już raz prawie doszło do bójki między Wendleyem a Kowalowem. Summers myślał też pewnie, że gdyby wydarzyła się taka sytuacja, nie poradzę sobie z nią. Że będę potrzebowała wsparcia, że ktoś będzie musiał stanąć w mojej obronie.

– Miał rację? – spytała Brown. Była jak rekin, który raz poczuwszy w wodzie krew ofiary, nie odpuści, dopóki nie zatopi w niej zębów.

– Sądzi pani, że Summers postanowił wtedy zabrać pistolet z sojuza? – Przewodniczący komisji zignorował pytanie kongresmenki.

– Tak. – Lucy nachyliła się do mikrofonu, jakby chciała podkreślić to słowo, nadać mu dodatkową wagę. – Niestety, to pogorszyło sprawę. Nabrałam wówczas przekonania, że źródłem kłopotów na stacji nie są

Rosjanie, tylko ktoś z mojej załogi. Że to jeden z naszych astronautów, z nieznanymi mi powodów, sabotuje stację. Co więcej, że w przypadku wykrycia ewidentnie gotów byłby użyć broni palnej. Dlatego... Zgodnie z zaleceniem dyrektora Ayersa... Nie informowałam swoich podwładnych o dalszych krokach ani nie powiedziałam im o tym, czego dowiedziałam się od Rosjan. To rzecz jasna jeszcze wzmogło podejrzenia Wendleya. Wyczuł, że coś ukrywam, i założył, że współpracuję z Kowalowem.

Lucy zamknęła na chwilę oczy. Miała dość. Chciała wyjść z tej sali i nigdy nie wrócić. Znów poczuła na plecach dłoń męża. Role się odwróciły, teraz to on był dla niej podporą. Pytanie, jak długo jeszcze. Przetarła oczy szybkim ruchem, żeby nie dać kamerzyście dość czasu na reakcję, żeby na zbliżeniu nie było widać jej łez.

– Potem... – Musiała na chwilę przerwać, bo słyszała, że łamie jej się głos. – Potem, w trakcie spaceru, Rosjanie przetestowali broń satelitarną. Z tego, co rozumiem, coś źle policzono... Zniszczony cel był zbyt blisko stacji i zamiast tylko nam pogrozić, Rybkin rzeczywiście postawił nas w sytuacji zagrożenia życia. Wendley... Wendley przestał wówczas słuchać moich rozkazów.

I nic dziwnego, pomyślała. W trakcie jego przesłuchania wyszły na jaw informacje o napadach agresji, o terapii, którą przerwał, o tym, jak dzięki jego politycznym patronom latami zamiatano te problemy pod dywan. Nie żeby to wszystko mu zaszkodziło. Chodził teraz na wiece, przybijał piątki. Zapraszany do stacji telewizyjnych, by komentować doniesienia z Europy Wschodniej, przypominał tonem zatroskanego męża stanu: A nie mówiłem?

– Czyli w pani opinii – zabrał głos Francuz, Cantat – to była po prostu sekwencja niefortunnych zdarzeń? Przypadek?

– Tak. – Lucy skinęła głową. Na tym miała skończyć, tak doradzali prawnicy. Mówiła jednak dalej. – Ale powiedziałabym, że ten przypadek trafił na żyzny grunt. Że zapłaciliśmy za lata zgniłych kompromisów, zaniechań, błędnych decyzji. Decydenci tu, na dole... Wierzyli, że ich spory

nie przekładają się na to, co się dzieje wśród nas, na orbicie. Jakbyśmy byli zupełnie poza nawiasem.

Zacisnęła dłoń na mikrofonie.

– Niestety, tak nie jest – powiedziała. – Ostatecznie, Niestety, jesteśmy tylko ludźmi.

– Dziękuję. – Przewodniczący komisji spojrział na zegarek. – I niniejszym zamykam dzisiejsze posiedzenie.

Pudła, wszędzie pudła, krzywe wieże i szczerbate mury zbudowane z prostopadłościanów. Dom Steve'a Ayersa wyglądał jak fragment jakiejś starej gry, pełnej wielkich kanciastych pikseli. Brakowało tylko chodzących w tę i w tę zółwi i przerośniętych, kłapiących paszczami muchówek. Ale zamiast wesołej muzyczki po korytarzach niosły się skrzeczenie rozwijanej taśmy klejącej i szelest gnieczonego papieru.

– Naczynia segregować zestawami? Czy rozmiarami? – spytała szefowa ekipy przeprowadzkowej, Mandy albo inna Mindy, Steve nie dosłyszał imienia. Zresztą nie miało to większego znaczenia. Dziewczyna była młoda, na spoconym bicepsie widniał kolorowy tatuaż.

– A co za różnica? – Steve zajrzał do pudła, było umoszczone tekturowymi wstążkami jak ptasie gniazdo.

– Żadna. Pytanie, jak będzie panu wygodniej rozpakowywać w nowym domu.

Pokiwał głową. Nowy dom, na drugim końcu kraju. Mniejszy, za to niedaleko morza i tuż obok pola golfowego. Trzy sypialnie, jedna dla niego, druga będzie na gabinet, z trzeciej zrobi się składzik. Tam postawi pudła z talerzami na dwadzieścia osób, sosjerki, patery i etażerki kupione przez byłę żony. Jemu wystarczą mikrofalówka i jedzenie z tacki, a gości się nie spodziewał.

– Wie pani – westchnął – to raczej pytanie do moich spadkobierców.
– W takim razie robie rozmianami – odparła. Nie ciągnęła rozmowy. Nic dziwnego, w końcu płacił jej za wykonaną robotę, nie od godziny.

– Będę się powoli zbierał – rzucił, wstając z krzesła.

– Szerokiej drogi – odparła Mindy albo Mandy, nie przerywając pracy.

Steve dopiero teraz zauważył, że jej tatuaż przedstawia konstelację Byka. Kilka punkcików połączonych prostymi liniami tworzyło szkielet, wokół narysowany był półprzezroczysty zarys zwierzęcia. A więc fanka astrologii, pomyślał, przekonana, że odległe gwiazdy determinują jej cechy charakteru, może nawet przebieg życia. Zabawne: dla większości osób to nie była prawda, ale w przypadku Ayersa i ludzi, z którymi pracował, trochę tak. Na przykład to, w jakiej koniunkcji ustawią się planety, decydowało o optymalnej trajektorii dla planowanej sondy, a więc o tym, kiedy najlepiej wystrzelić ją w kosmos – w tej dekadzie czy może następnej? A to, czy Jowisz rzygnie akurat promieniowaniem, kiedy sonda będzie przelatywać obok, czy usmaży wówczas jej obwody elektryczne, czy nie, zdecyduje o karierach ludzi, którzy ją zbudowali. Albo dopną swego, wydrą wszechświatowi nowe dane i opublikują wysoko punktowane artykuły, albo długie lata wycieńczającej pracy pójdą na nic, a obiecujący naukowcy wypadną z obiegu, wypaleni i zgorzkniali.

– Lambdę Tauri pani źle zrobili – powiedział Steve.

– Słucham? – Dziewczyna uniosła głowę znad pudła, zafarbowane na fioletowo włosy opadały jej na oczy.

– To układ potrójny. Trzy gwiazdy, nie dwie. Za mało kropek.

– Nie rozumiem...

– Na ramieniu. Tatuaż.

– Aha...?

– Nieważne. – Machnął ręką.

Otworzył drzwi. Było chłodno jak na Teksas, dostał gęsiej skórki. Naprzeciwko kobieta w dresie i japonkach wypakowywała zakupy

z bagażnika czarnego jeepa, dwa domy dalej mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem i podartej koszulce kosił trawę. Na myśl, że opuści tę okolicę – że się wyprowadza – Steve nie czuł nic. Ani żalu, ani radości, jakby zostawiał kartę do pokoju na ladzie hotelowej recepcji.

Wyglądało na to, że komisja badająca okoliczności śmierci Summersa oczyści go z zarzutów. Odejdzie z NASA przed końcem kadencji, ale z pełnymi honorami i dobrą emeryturą. Ta część poszła zgodnie z planem. To, co go zaskoczyło, to milczący telefon. Był przekonany, że gdy tylko rozniesie się wieść o tym, że jest dostępny, będzie przebierał w ofertach. Branża kosmiczna wchodziła właśnie w renesans, a mało kto wiedział o niej tyle co on. Zdziwiony i lekko zaniepokojony, umówił się z byłym podwładnym, który był dyrektorem do spraw tego czy tamtego w jednej z wielu firm budujących satelity. Spotkali się w meksykańskiej restauracji, zamówili tacos i tequilę. Po trzeciej szklance, przy akompaniamencie zespołu *mariachi*, znajomy powiedział, że Steve dorobił się Złej Reputacji. Że byli współpracownicy – ale broń Boże nie on! – nie chcą mieć go w zespole, że jest toksyczny, a co więcej, stanowi ryzyko dla PR-u. Zeznania Poplaski i jej męża nie były może dość obciążające, aby postawić go w stan oskarżenia, ale narobiły mu smrodu, a tego firmy boją się dziś bardziej niż kontroli podatkowej.

Koniec końców Steve dostał pracę w start-upie w Kalifornii, który wykorzystywał technologię kwantową do komunikacji satelitarnej. Nie do końca rozumiał, jak to działało, nikt też tego od niego nie oczekiwał. Miał latać do Waszyngtonu, fundować asystentom senatorów wystawne kolacje, rozdawać wizytówki. Płacili mu dobrze, dostał udziały, powinien być zadowolony. Ale nie był.

Ryzyko dla PR-u. Steve mełł te słowa w ustach jak przekleństwo, nie mógł ich odkleić od języka. Gwiazdy wymagają wyrzeczeń, ba, krwawej ofiary. Neil Armstrong nie postawiłby małego kroku na Księżycu, gdyby nie wielkie poświęcenia innych – stanął wówczas nie tyle na ramionach

gigantów, ile na ich nagrobkach. Mieszkańcy Londynu, uwięzieni pod gruzami domów zniszczonych przez rakiety V-2, piloci oblatywacze, którzy roztrzaskali się na piaskach kalifornijskich pustyń, testując samoloty o napędzie raketowym, załoga Apolla 1 spopielona żywcem na płycie wyrzutni raketowej w trakcie rutynowego testu – wszyscy oni zginęli, żebyśmy mogli popłynąć w nieznane, zaludnić odległe planety, poszerzyć granice naszego świata miliardy razy, choć nie wszyscy zdawali sobie sprawę ze swojej roli. Czymże była śmierć Summersa w obliczu takiej nagrody? A czym stres i nieprzespane noce biednej specjalistki Poplaski?

Astronauta, westchnął Steve, grzebiąc czubkiem buta w wyschniętym, zaniedbanym trawniku. Ambitni, głodni przygody, zakochani w sobie. Gotowi wystawić się na ryzyko śmierci, spojrzeć jej w oczy – ale już nie zginąć. Chociaż wszyscy wiedzieli, na co się porywają, z czym walczą, co mówi rachunek prawdopodobieństwa, to wciąż każdy wypadek był niespodzianką, wręcz szokiem. A wtedy, zamiast iść za ciosem, kuć żelazo, póki gorące, zaciągano gwałtownie hamulec, posypywano głowę popiołem, wszystko stawało w miejscu.

Trzeba z nimi inaczej rozmawiać, grzmiał w myślach Ayers, nie wiadomo pod którym adresem. Nie gratulować, nie klepać po plecach, nie ustawiać do zdjęć, tylko spojrzeć w oczy i spytać: czy jesteście na to gotowi? Czy umrzecie za wasze marzenia, gdyby trzeba było – choćby tu i teraz? Ale nie, oni chcieli mieć wszystko. Z jednej strony rakiety i gwiazdy, z drugiej dom na przedmieściach, gromadkę uśmiechniętych dzieci i uślinionego labradora z nadwagą. Tak nie można, prawdziwie ważnym sprawom trzeba się poświęcić całym sobą. Jak średniowieczni słupnicy, którzy odcinali się od ludzi i zameczali swoje ciała, żeby dotknąć Boga. Jak on. Czy gryzło go czasem sumienie? Oczywiście, że gryzło, nie był przecież potworem. Ale znów: czy nieskończoność nie była warta tej ceny?

Steve wyjął telefon, sprawdził, gdzie jest uber, który miał go zawieźć na lotnisko. Swój własny samochód już sprzedał. Komórka odbiła sygnał do satelity sunącego po orbicie, potem do kierowcy i z powrotem. Nim zdążył mrugnąć, aplikacja już pokazała auto na mapie i wyświetliła czas oczekiwania: pięć minut.

Steve cofnął się po walizkę. Była lekka, ale i tak szedł zgarbiony.

Tak jak u większości rodzin, miejsca przy stole kuchennym w domu Poplaskich-Huntów były ściśle przypisane. Nate, który zwykle gotował, siedział najbliżej lodówki i kuchenki, żeby mógł w każdej chwili po coś sięgnąć czy zamieszać w garnku. Lucy zajmowała krzesło przy korytarzu, bo zawsze była w pośpiechu, gotowa złapać torbę i wybiec do czekającej taksówki. Pośrodku, u szczytu, był stołek Elizy. Mała lubiła znajdować się w centrum uwagi, skupiać na sobie wzrok ich obojga. Trzymali się wiernie tego podziału, nawet kiedy Lucy nie było w domu, czyli przez większość czasu.

Ale teraz Nate i Lucy usiedli inaczej, na przeciwległych krańcach, jakby odepchnięci jakąś niewidzialną siłą. Magnesy o identycznych biegunach. Było już ciemno, w zlewku stały brudne naczynia, z kranu kapłała woda, a samojezdny odkurzacz obijał się o nogi od krzeseł, bucząc nisko. Elizy nie było w domu, nocowała u dziadków. „Potrzebujecie czasu dla siebie”, powiedzieli rodzice Nate’a, kiedy wpinali małą w fotelik.

- Powinniśmy dokończyć rozmowę – przerwała milczenie Lucy.
- Jesteś zmęczona.
- Jestem.
- To może jutro?
- Wolałabym teraz. Męczy mnie to – Lucy uniosła dłoń, narysowała w powietrzu nieregularny kształt – między nami.

Pokiwał głową. Tak, powinni porozmawiać, ale to nie będzie przyjemna rozmowa. A Lucy miała przecież za sobą cały dzień przesłuchań, zdarty głos, oczy przekrwione od błysku fleszy.

– To nie jest dobry moment – odparł.

– Dlaczego?

Bo nie lubił konfrontacji, unikał ich za wszelką cenę, odkładał je w czasie. Bo nie chciał teraz dokładać jej powodów do zmartwień, kopać leżącego, nie po tym, co właśnie przeszła, i przed tym, co ją jeszcze czekało. Bo wolałby odbyć tę rozmowę ze świadomością, że Lucy poświęca mu sto procent swojej uwagi, oddzielając związek od kariery. Chociaż raz. Bo nie był pewien, co tak właściwie jej powie.

– Nate... – Wyciągnęła rękę, jakby chciała złapać go za dłoń, ale był za daleko. – Wróciłam pół roku temu.

– Naprawdę?

Zamilkli. Nie musiał rozwijać, dobrze wiedziała, o co mu chodzi. Tak, Lucy była na Ziemi, ale nie z nimi, nie tu. Od rana do wieczora siedziała na spotkaniach w centrum kontroli lotów, z prawnikami, z nową szefową biura astronautów, z p.o. dyrektora lotów załogowych, składała zeznania. Na umywalce stała jej podróżna kosmetyczka, a walizka, zamiast zniknąć w schowku pod schodami, leżała przy łóżku, niczym ponury zwiastun kolejnych wyjazdów.

– To się wkrótce skończy – powiedziała.

– To tak – przyznał jej rację. – A potem?

Znów zrobiło się cicho, w powietrzu wisiało pytanie: czy chcesz dalej to robić? Czy zaspokoiliś już swoje ambicje, czy jeszcze nie, czy musisz być pierwszą kobietą na Księżycu, a może na Marsie? A nawet jeśli nigdy więcej nie polecisz już w kosmos, jeśli komisja zarekomenduje, żeby cię zwolnić, to czy będziesz w stanie usiedzieć w miejscu? Tu, przy tym kuchennym stole? Dzień po dniu?

– Potem co? – spytał raz jeszcze.

– Nie wiem nawet, czy komisja mnie oczyści, czy przywróci mnie do pracy.

– Załóżmy, że tak.

Lucy otworzyła usta, zaraz je zamknęła, jakby nie mogła przepchnąć słów przez gardło.

– Proszę... – powiedziała. – Postaraj się mnie zrozumieć. Poświęciłam temu całe życie i...

– Ja też – wszedł jej w słowo. – I mam już dość. Zwłaszcza po tym, co zrobiłaś.

– To było osiem lat temu.

– No właśnie. – Teraz to on odwrócił wzrok. – Osiem lat, żeby mi powiedzieć.

– Nie chciałam cię zranić.

– A może nie miałaś czasu?

– Hej. Hej, Nate, spójrz na mnie. – Zastukała w stół, aż uniósł oczy. – Tak, spierdoliłam. Wiem. Przeprosiłam cię i jestem gotowa przeproszać cię dalej, do skutku. Ale muszę wiedzieć, czy ty jeszcze chcesz tego słuchać. Proszę.

Nate uśmiechnął się smutno pod nosem. Czy chce – dobre pytanie. Nie był pewien. Jego życie tak długo było podporządkowane jej karierze, że zapomniał, jak to jest robić własne plany, realizować własne potrzeby i marzenia. Ta część jego mózgu, albo duszy, koniec końców, kto to wie, uległa atrofii. Wygodnie byłoby za to winić Lucy: że to na nim wymogła, że postawiła go pod ścianą. Ale prawda była taka, że on też ponosił odpowiedzialność. Kariera Lucy była wygodną wymówką, żeby schować się przed światem, uniknąć kolejnej porażki, jeździć wyłącznie po wyłobionych koleinach, przeżywać ciągle to samo, codzienność tak powtarzalną, tak bezpieczną, że pozbawioną jakiegokolwiek smaku. I tak, wierzył, że tuszując zdradę, Lucy chciała go uchronić przed przykrością. Chociaż nigdy nie powiedział tego na głos, tego przecież od niej oczekiwał,

dlatego czuł się z nią bezpiecznie, tylko przy niej był w stanie wyłączyć wyjący wiecznie w głowie alarm.

– Chciałbym spróbować... – zaczął.

– Przepraszam. Naprawdę.

– Ale boję się, że znów znikniesz.

Ponownie zapadła cisza, ale tym razem taka, która kłuła w uszy.

– To czego ode mnie oczekujesz? – spytała po chwili, cicho. – Że jutro złożę wymówienie?

– Nie. – Pokręcił głową. – Że będziesz wiedziała, czy tego chcesz.

Wstał od stołu. Nie miał już nic więcej do powiedzenia, nie chciał już dłużej rozmawiać, kłócić się. Każde słowo, które wypowiadał, miało kolce, każde spojrzenie parzyło. Szukał jakiejś wymówki, czegokolwiek, czym mógłby zająć ręce. Zaczął szorować przypalony garnek. Czekał, aż zostanie sam. Lucy podeszła do niego od tyłu, objęła ramionami. Nic nie mówiła, ale też nie musiała. Zrozumiał. Odetchnął.

Za oknem, tuż nad horyzontem, pojawiła się pierwsza gwiazda, potem następna, światła odległych, tajemniczych światów.

Jak Państwo się zapewne domyślają, nigdy nie byłem na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej – i szczerze mówiąc, chyba nie chciałbym się tam znaleźć. Staralem się ją jednak opisać jak najwierniej, bazując na wspomnieniach astronautów i kontrolerów lotów, dokumentacji technicznej, filmach dokumentalnych oraz materiałach nagranych przez członków załóg, jak również na licznych artykułach w prasie naukowej i branżowej. Najciekawsze i najprzystępniejsze tytuły wymieniam w bibliografii na końcu książki. Miłej lektury.

Czy opisana wyżej historia mogła się wydarzyć? Cóż, amerykańskie skrzydło rzeczywiście chłodzone jest za pomocą płynnego amoniaku, mnożący się na potęgę *B. safensis* faktycznie jest zmorą astronautów, a między rosyjską agencją kosmiczną a zachodnimi partnerami ostatnimi czasy ciągle skrzy (w momencie oddania książki do druku Roskosmos zapowiedział zakończenie współpracy na rok 2024). Wzajemne oskarżenia o sabotaż rzucano już kilkakrotnie – zwłaszcza przy okazji misji 56/57, kiedy odkryto, że ktoś wywiercił dziurę w poszyciu kapsuły Sojuz – ale do rękoczynów całe szczęście nie doszło.

Przyznaję natomiast, że ilości ACC potrzebne, by podnieść stężenie amoniaku w atmosferze stacji (przy działających sprawnie filtrach), byłyby większe, niż zmieściłoby się w jednej butelce. Proszę mi wybaczyć: *licentia poetica*.

Mimo szczerych chęci, wysiłków i pomocy osób trzecich w tekście mogą znajdować się inne błędy bądź przekłamania, za które z góry przepraszam.

Podziękowania

Pisanie książek jest cholernie trudne – przynajmniej dla mnie. A gdyby nie wsparcie i życzliwość wielu wspaniałych osób, byłoby jeszcze trudniej.

Mojej córce Matyldzie dziękuję za przypomnienie, że kosmos jest fascynujący. Jak większość dorosłych, nie znajdowałem czasu, żeby zadzierać głowę. Gwiazdy mi spowszedniały. Matylda zaraziła mnie swoją pasją, a jej pytania uświadomiły mi, jak wiele jeszcze nie wiem. Ciekaw jestem, czego jeszcze się od Ciebie nauczę, co mi pokażesz. Nie mogę się doczekać.

Doktor Marta Wachowicz oraz doktor Jochen Brandt cierpliwie odpowiadali na moje pytania z zakresu fizyki i chemii, dzięki czemu udało mi się ekspresowo nadrobić głębokie zaległości w tych dziedzinach i uniknąć wielu błędów. Za te, które wkradły się do tekstu, odpowiedzialny jestem oczywiście wyłącznie ja sam.

Dziękuję koleżankom i kolegom z branży gier komputerowych, którzy dzielą moje zainteresowanie kosmosem i podsunęli mi ciekawe artykuły, książki oraz filmy. Szczególnie wdzięczny jestem Wiktorowi Czosnowskiemu, Piotrowi Dudzicowi, Szymonowi Janusowi, Arturowi Poznańskiemu oraz Bartoszowi Taudulowi.

Dziękuję przyjaciołom i rodzinie, którzy znaleźli czas na lekturę pierwszej wersji książki i podzielili się swoimi uwagami. Dominika Gonsierowska, Marta Grabiec, Zofia Łapniewska, Daniel Michalski, Magda Milewska, Natalia Pawłowska, Krzysztof Pawłowski, Monika Płatek, Krzysztof Szamałek, Marta Szulkin, Bartek Rynarzewski, Maja Zabawska, Weronika Zarucka, Magdalena Zych – stokrotne dzięki!

Maria Tengowska i Wojciech Górnaś wyłapali mnóstwo językowych kiksów, nielogiczności i potknięć. Dzięki ich czujnym oczom w ręce Czytelników trafił dużo lepszy tekst. Dziękuję!

Kanadyjskim przyjaciołom dziękuję za okazaną mojej rodzinie serdeczność i jakże potrzebną odskocznnię od klawiatury. Szczególnie mocne uściski przesyłam Jonowi, Nate'owi, Ali, Tomowi oraz Nicole. Mam nadzieję, że kiedyś będziecie mogli przeczytać tę książkę.

Na koniec dziękuję Marysi Pawłowskiej. Zawsze mnie wspierasz, ale przy tej książce przeszłaś samą siebie. Dziękuję za pomoc przy obmyśleniu fabuły, komentarze i sugestie, otuchę i zachętę. Nie wyobrażam sobie pisania bez Ciebie. Albo inaczej: wyobrażam, ale na samą myśl mam dreszcze. Dzięki, dzięki, dzięki.

Wolfville, Nowa Szkocja, sierpień 2022

Wybrane tytuły; pozycje niedostępne w tłumaczeniu na polski podane w języku angielskim.

Baker, David, *International Space Station: An insight into the history, development, collaboration, production and role of the permanently manned earth-orbiting complex*, Haynes Publishing, 2016.

Berger, Eric, *Liftoff: Elon Musk and the Desperate Early Days That Launched SpaceX*, William Morrow, 2021.

Brown, David, *The Mission (A True Story)*, Custom House 2021.

Cristoforetti, Samanta, *Diary of an Apprentice Astronaut*, The Experiment 2021.

Dye, Paul, *Houston, Lecimy!*, przeł. Stanisław Bończyk, Muza 2021.

Hadfield, Chris, *Kosmiczny poradnik życia na Ziemi*, przeł. Agnieszka Sobolewska, Flow Books 2016.

Jacobsen, Annie, *Operacja Paperclip*, przeł. Jerzy Malinowski, Muza 2015.

Kelly, Scott, *Nieziemskie wyzwanie. Rok w kosmosie, życie pełne odkryć*, przeł. Marek Fedyszak, Violetta Dobosz, Post Factum 2018.

Kranz, Gene, *Porażka nie wchodzi w grę. Kontrola misji od programu Mercury do lotu Apollo 13 i później*, przeł. Mariusz Seweryński, Urszula Seweryńska, Prószyński 2010.

Mullane, Mike, *Riding Rockets: The Outrageous Tales of a Space Shuttle Astronaut*, Scribner 2007.

Roach, Mary, *Ale kosmos! Jak jeść, kochać się i korzystać z WC w stanie nieważkości*, przeł. Maciek Sekerdej, Znak 2011.

Smith, Andrew, *Księżycowy Pył. W poszukiwaniu ludzi, którzy spadli na ziemię*, przeł. Rafał Lisowski, Czarne 2019.

Wolfe, Tom, *Najlepsi. Kowboje, którzy polecili w kosmos*, przeł. Jan Kraśko,
Agora 2018.

Redaktorka inicjująca: Maria Tengowska

Redakcja: Wojciech Górnaś / Redaktornia.com
Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Joanna Rodkiewicz

Projekt okładki: Paulina Piorun

Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki: © Yhelfman/Shutterstock, OHishiapply/Shutterstock

Skład i łamanie: Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-8318-710-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek